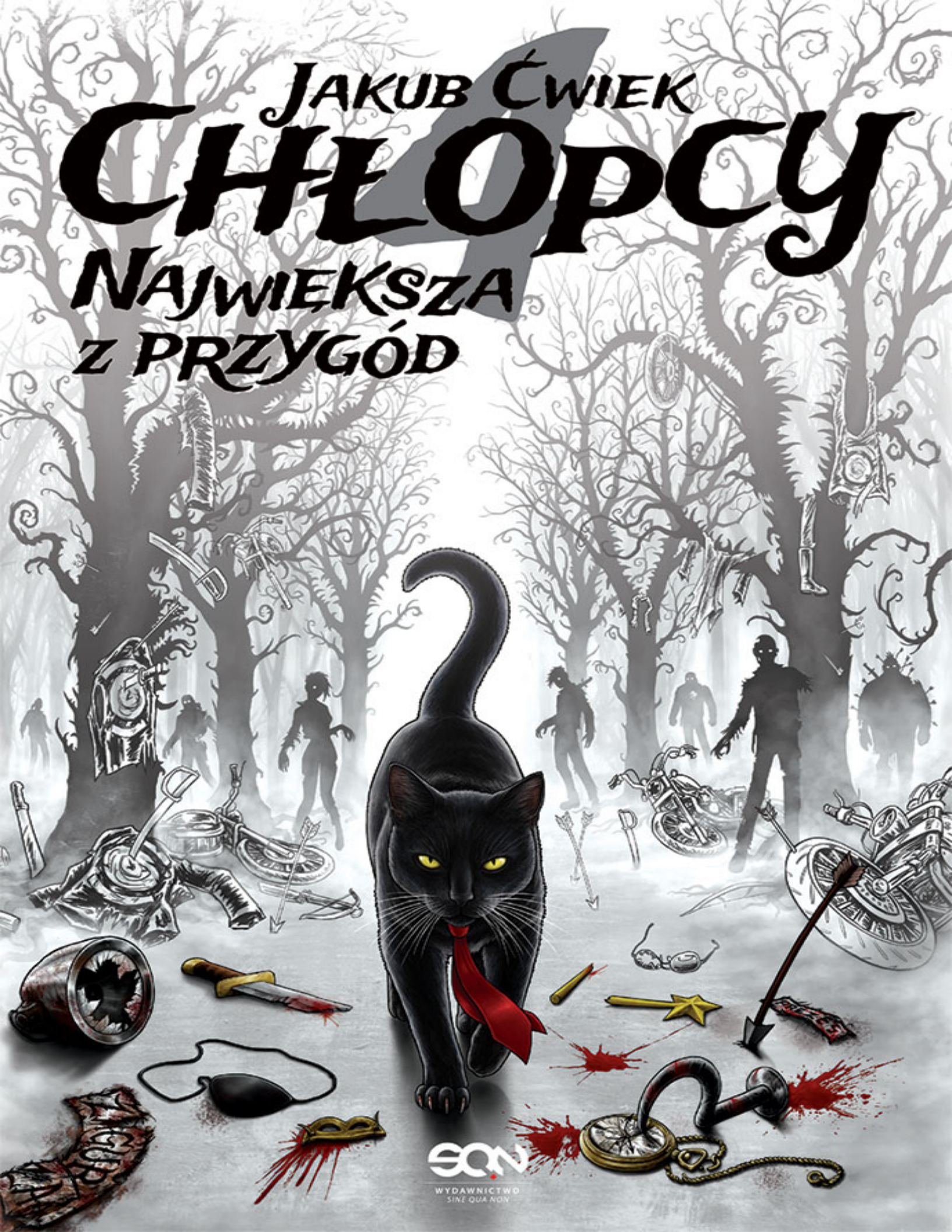
Jakub Ćwiek
Chłopcy
Największa z przygód
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Chłopcy 4

Największa z przygód

Jakub Ćwiek

Kraków 2015

Młodemu

RAZ

Sfatygowana łaciata futbolówka toczyła się wolno po spękanych płytach parkowego chodnika. Minęła klomb i rozpartego w jego cieniu kota liżącego tylną łapę. Minęła ławkę, a siedzące na niej dwie młode matki odprowadziły ją wzrokiem, nie przerywając rozmowy. Nie próbowały zatrzymać piłki, choć wystarczyło tylko wyciągnąć nogę.

Śladem futbolówki szedł chłopiec. Wcześniej biegł, ale ledwie piłka opuściła murawę, by z majestatem wtoczyć się do parku i dalej sunąć powoli skrytą w cieniu alejką, dzieciak zwolnił. Szedł teraz rękami w kieszeniach, podtrzymując za luźne spodenki, które wciąż bardziej pasowały na jego starszego o dwa lata brata, i nic sobie nie robił z ponaglających okrzyków kumpli. Oczywiście było wiadomo, że to on ma iść po piłkę – w końcu kto peci, ten leci – ale nie był taki głupi, by się teraz zziajać, a potem, na boisku, dyszeć jak pies.

Minął ławkę i burknął ciche „dzień dobry”. Jedna z kobiet uśmiechnęła się, jakby był jakimś niedorozwojem, i wskazała mu ręką kierunek, w którym potoczyła się piłka.

– Tam poleciała, złociutki – powiedziała.

„Złociutki”. Tak mówiły kobiety w wieku babci chłopca, a nie takie niewiele starsze od jego siostry studentki…

Mimo to burknął jeszcze „dziękuję”, które płynnie przeszło w pełen zawodu jęk. Futbolówka skręciła bowiem na kamieniu i wtoczyła się prosto w wielką, brudną kałużę. Zatrzymała się – oczywiście – na samym jej środku.

– Cholera! – mruknął chłopiec.

– Ej, złociutki, uważaj, jak się wyrażasz!

Mały odwrócił głowę z taką miną, jakby zaraz miał zademonstrować kobiecie, jak jeszcze potrafi się wyrażać. Już

nawet otworzył usta, kiedy nagle usłyszał klika głośnych chlapnięć.

– Twoja? – rozległ się znajomy głos.

Dzieciak natychmiast zapomniał o sąsiadkach i uśmiechnął się do potężnego, grubego mężczyzny stojącego pośrodku kałuży z mokrą piłką w wielkich rękach. Woda sięgająca mu do kostek całkowicie zmoczyła wysokie chińskie trampki.

– O, dzięki, Panie Balonie!

Chłopiec doskoczył do niego, ale zatrzymał się gwałtownie na brzegu kałuży. Trochę mu się zrobiło głupio, że tak wychodzi przy mężczyźnie na mięczaka. No ale Pan Balon pewnie nie miał matki, która by jęczała na przemoczone buty, jakby wdepnął w nich co najmniej w bajoro kwasu. Poza tym miał na sobie ubranie służbowe – granatowy mundur ochroniarza sklepu – a o takie rzeczy zawsze człowiek mniej dba. Przynajmniej tak mówił czasem tata, gdy wjeżdżał firmowym samochodem na wysokie krawężniki.

Zresztą Pan Balon był w porządku i zachował się, jakby nawet nie zauważył tego aktu chłopięcego tchórzostwa. Chlupocząc i jakby specjalnie szurając nogami, by bardziej wzburzyć brudną wodę, wyszedł z kałuży i podał chłopcu piłkę.

– Gracie, tak? Kto stoi na bramie? – zapytał.

– Sztruksu.

– Aha.

Pan Balon odwrócił się, przykucnął i zanurzył piłkę w mętnej wodzie. Chłopiec z szacunku dla niego odwrócił wzrok, by nie patrzeć, jak opięte na tłustych pośladkach spodnie odsłaniają kawałek rowa. Czasy, kiedy śmiali się z tuszy Pana Balona, minęły bezpowrotnie. Dziś każdy na podwórku wiedział, że ten wciąż nowy sąsiad – bo ileż to jest pół roku? – to równy facet.

Grubemu mężczyźnie strzyknęło w kolanach, gdy się podnosił. Wyprostował się i podał chłopcu całkowicie mokrą piłkę.

– Masz – powiedział przy tym. – Może jak sobie ufajda te spodnie, to zacznie jak człowiek nosić dżinsy.

Chłopiec parsknął śmiechem, tym głośniejszym, że dostrzegł niesmak na twarzach mamuś z ławki. Oczywiście, że teraz nie odezwą się ani słowem, tylko cierpliwie poczekają, aż chłopiec i Pan

Balon odejdą, by ich obgadać. Takie już są, baby. Ojciec nie znosił takich jak one.

Ruszyli we dwóch w stronę boiska. Buty Pana Balona chlupały zabawnie i chłopiec aż się obejrzał, by zobaczyć, jakie ślady zostawia mężczyzna. Były mocne i wyraźne, ale też rozchlapane na tyle, że w żaden sposób nie przypominały śladów ludzkich stóp, raczej ślady nóg słonia.

Minęli klomb, pod którym nie było już kota, a potem weszli między drzewa. Na skraju boiska czekali zniecierpliwieni koledzy chłopca. Mały posłał im piłkę długim i całkiem precyzyjnym kopnięciem.

– Wczoraj też pokazywali pana w telewizji – powiedział, odwracając się do mężczyzny. – Tata mówił, że robią z tego za duże halo…

– Też tak sądzę. – Pan Balon skinął głową.

– Ale ja tak wcale nie uważam. To wymagało odwagi, a pan jest jedynym prawdziwym ochroniarzem w tym markecie, nie jak te wszystkie stare dziadki…

Pan Balon uśmiechnął się i zmierzwił chłopakowi włosy. Nie za bardzo wiedział, co mógłby mu powiedzieć, bo właściwie niewiele pamiętał z tamtego wydarzenia. Jakoś słabo się wtedy poczuł, a potem wszystko docierało do niego jak przez mgłę. Był zły, myślał o grzechach, byli motocykliści, ale nie kojarzył żadnych twarzy. A potem już tylko policja.

– Pan Stanisław to dobry ochroniarz – stwierdził w końcu, by przerwać przedłużającą się ciszę. – Jest miły, uczynny i bardzo go lubię. No i stare dziadki też czasem dużo potrafią. Widziałeś *Karate Kid*?

– To z tym małym Murzynkiem i Jackiem Chanem?

To zabawne, ale gdy mężczyzna sapał, to naprawdę wyglądało, jakby był wielkim, człekokształtnym balonem, z którego uchodziło powietrze. Nawet dźwięk był trochę podobny.

– Mówię o tym starym, prawdziwym *Karate Kid*. Wpadnij kiedyś do mnie, to ci pokażę.

– Jasne, chętnie! – powiedział chłopiec.

Wiedział jednak, że to raczej nie nastąpi. Odkąd gruby mężczyzna się zjawił na ich osiedlu, odkąd po raz pierwszy przyszedł do

w parku z puszką kociego żarcia dla bezdomnych futrzaków i workiem suchego chleba dla ptaków, wszyscy dorośli wzięli go za dziwaka, pewnie niebezpiecznego. A potem jeszcze rozniosła się plotka, że robi zdjęcia dziewczynom w krótkich spódniczkach. I chodzi często do kościoła i do spowiedzi. A kto potrzebuje się często spowiadać? No przecież tylko zboki.

I choć chłopcy z podwórka już dawno przestali myśleć tak o Panu Balonie, to jednak jakieś pozory trzeba było przed rodzicami zachować. Pewnie już i tak będą kłopoty z powodu tych durnych bab na ławce. To znaczy jeśli powiedzą matce, bo ojciec słuchać ich nie będzie. No ale tak czy siak, pójście do mężczyzny na film nie wchodziło w grę…

– Muszę lecieć, Panie Balonie. Dzięki za piłkę.

Mężczyzna skinął głową i uśmiechnął się, aż w pyzatych policzkach pojawiły się głębokie dołeczki.

– Idź, idź – powiedział. – A jak trafisz Sztruksa tą mokrą piłą w klejnoty, to już na pewno pójdzie się przebrać.

– Ha, ha, ha! Jasne, Panie Balonie. Spróbuję! – stwierdził chłopiec i pognał w stronę kolegów.

Pan Balon przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy taka sugestia to już zachęcanie do złego i czy powinien o tym powiedzieć księdzu Zygfrydowi, u którego się spowiadał. Uznał jednak, że nawet Jezus robił czasem żarty. Przypomniawszy sobie jeden z nich, dziarsko wrócił na chodnik. Chlupocząc głośno wodą w przemoczonych trampkach, ruszył w stronę domu, wyobrażając sobie, że spękane płyty chodnika to tafla jeziora.

* * *

Po drodze na swoje siódme piętro dzielił ciasną windę z zasuszoną staruszką z piątego. Dostrzegł, że kobieta przygląda się jego butom, więc zapewnił ją, że posprząta, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

– To tylko woda. Wolałabym, żeby zamiast przepraszać, przestał pan dokarmiać te przeklęte sierściuchy – stwierdziła. – Szcza to

potem po klatce i windach i śmierdzi.

Pokiwał głową, choć oczywiście nie zamierzał przestawać. Wiedział jednak, że ze staruszką, która potrafiła przegadać nawet leciwego proboszcza z osiedlowej parafii, nie ma co się wdawać w dyskusje. Kolejne piętra pokonali więc w milczeniu, a „do widzenia” powiedziane na wdechu, gdy wysiadała, było tak ciche, że przez moment nie był pewien, czy naprawdę wyszło z jego ust. Zwłaszcza że nie odpowiedziała.

Dwa piętra wyżej wysiadł i przeszedł ciemnym korytarzem pod swoje drzwi. Otworzył najpierw górny, potem dolny zamek i pociągnął drzwi do siebie. W kolejnych był już tylko dolny, w dodatku zamknięty na raz. Pan Balon wszedł do przedpokoju i pozamykał za sobą. Zewnętrzne na górny łucznik, wewnętrzne, zupełnie idiotycznie, na łańcuch. Dopiero wtedy włączył światło, zdjął i odwiesił na wieszak służbową kurtkę, a potem z ciężkim sapnięciem usiadł na wzmocnionym stołku koło drzwi łazienkowych, by zsunąć buty.

Skrzywił się, gdy do jego nosa dotarł smród wilgoci i przepoconych skarpetek. Szybko wrzucił je do pralki, a trampki wyniósł na ową marną namiastkę balkonu, na której, gdy stał w progu, ledwo mieścił się jego brzuch.

Otworzył drzwi i uśmiechnął się. Na poręczy siedział czarny kot. Jak zawsze przyglądał mu się przenikliwie, z głową lekko przechyloną na bok. Śmieszny czerwony krawacik, który miał zamiast obroży, przekrzywił się nieco w drugą stronę, jakby dla przeciwwagi.

Pan Balon dawno już przestał się zastanawiać, w jaki sposób zwierzak dostaje się na siódme piętro od tej strony. Przywykł.

– Dzień dobry, Elegancie – powiedział. – A cóż to za plamki?

Wskazał palcem na niewielkie bordowe cętki na krawacie.

Kot ani drgnął.

– To krew? – Tłusty, serdelkowaty palec prawie dotknął materiału.

Kot prychnął i paluch natychmiast się cofnął.

– Spokojnie, spokojnie, Panie Elegancie. Chciałem tylko sprawdzić, czy to krew.

Kot przechylił głowę w drugą stronę. A ten błysk w oczach – czy mógł uchodzić za uśmiech?

– Jeśli nawet – Pan Balon podrapał się po potylicy – to mam nadzieję, że nie pańska. Zjemy coś?

Zwierzak podniósł się powoli, wyprężył grzbiet i zeskoczył zgrabnie na podłogę małego balkoniku. Otarł się lekko o nogę gospodarza, po czym wszedł do środka i skierował się od razu w stronę kanapy, gdzie w kącie, przy samym oparciu, leżała miska. Porcelanowa, bo już dawno dał do zrozumienia, że nie jada z plastiku.

Pan Balon obejrzał się za nim, pokręcił głową i ruszył w stronę kuchni.

– Niestety nie mam tuńczyka – powiedział już stamtąd. – Ostatnio podrożał, za to była promocja na sardynki. Choć jest szansa, że w ramach tej nagrody, co mi ją obiecali za bohaterstwo, załatwią mi taniej trochę świeżych ryb. Albo może, jakby się panu chciało w niedzielę wyskoczyć na glinianki, to…

Kot pacnął łapą w leżącego obok pilota i włączył telewizor.

„…gdzie przed zaledwie trzema godzinami dokonano brawurowego, brutalnego ataku na pojazd więzienny transportujący do zakładu karnego znanych włamywaczy Bartosza i Grzegorza W., znanych jako Tańczące Bliźniaki. Kilku nieznanych sprawców użyło do napadu motocykli wyczynowych, świec dymnych i ostrej amunicji. Wiemy już na pewno, że jeden z funkcjonariuszy eskortujących więźniów nie żyje, drugi jest ciężko ranny…”

Kot położył się na pilocie, wciskając przycisk głośności. W rogu ekranu małe białe schodki zyskiwały kolejne stopnie, aż każde słowo stało się wyraźnie słyszalne w kuchni.

„W naszym wozie transmisyjnym jest z nami świadek całego zajścia, który jednak, zważywszy na brutalne okoliczności zdarzenia, poprosił o nieujawnianie jego twarzy i modulację głosu”.

– Oho, Panie Elegancie! Nie za głośno!? – zawołał Pan Balon, wchodząc do pokoju.

W jednej ręce niósł otwartą puszkę odsączonych z oleju sardynek, w drugiej talerz z niedojedzoną bułką ze schabowym i pomidorem.

Zwalił się na kanapę obok kota, talerz położył na stołku i sięgnął po miskę.

– Sąsiedzi zaraz zaczną w kaloryfer walić!

Ale kot ani drgnął, nawet gdy już miska wypełniła się rybą i powędrowała na swoje miejsce w rogu kanapy. Dopiero gdy gospodarz spróbował złapać za pilota, kot nastroszył się i ponownie prychnął.

– Dobra już, dobra. – Pan Balon cofnął rękę. – Chce pan posłuchać, to możemy. Swoją drogą co się z tymi wszystkimi motocyklistami dzisiaj porobiło? Najpierw to pod marketem, a teraz tutaj. Ksiądz Zygfryd mówił ostatnio na kazaniu, że…

Kot prychnął po raz trzeci, a potem, mimo że nie dało się już zrobić głośniej, ostentacyjnie nacisnął łapką właściwy przycisk.

„Pojawiali się znikąd, zupełnie jakby materializowali się w powietrzu – mówił świadek siedzący tyłem do kamery. Jego głos brzmiał, jakby urządzenie nagrywające właśnie wciągało taśmę. – Skakali nad drogą, rzucali czymś w więźniarkę, a potem opadali i jakby… rozpływali się w powietrzu. To było przerażające, naprawdę. Najstraszniejsze, co widziałem w życiu… A później, gdy już samochód stoczył się do rowu, to jeden z nich zaczął piać jak kogut, a pozostali coś krzyczeli… Coś jak…”

* * *

„…Bangarang!”

Bruzda uniósł głowę. Przerwał na chwilę wycieranie kontuaru i skupił wzrok na ekranie zawieszonego nad barem telewizora. Coraz bardziej potrzebował tych przeklętych okularów – obraz trochę mu się rozmywał. Ale zdecydowanie nie o obraz teraz chodziło. Sięgnął pod ladę po pilota i dał głośniej.

„To już kolejny brutalny wybryk powiązany ze środowiskiem motocyklowym w ostatnich dniach. Wciąż trwa postępowanie w sprawie…”

Bruzda wyłączył dźwięk i westchnął głośno. Nie ma sensu, żeby teraz o tym słuchał. Na dniach usłyszy pewnie z trzydzieści mniej lub bardziej szczegółowych wersji ostatnich zajść, a każda z nich będzie dużo rzetelniejsza niż to, co dostanie od wyfiokowanej paniusi z telewizji.

„Wybryk powiązany ze środowiskiem motocyklowym", no żeż kurwa! Teraz znowu się zacznie. Kontrole, wizyty psów i innych smutnych, przesłuchania i tajniacy w kątach. Nie zgadywał, nie przypuszczał. Wiedział, że tak będzie. Skąd? Tak było zawsze. Większość jego klienteli stanowili bikerzy, z klubów i niezrzeszeni, ich towarzyszki, a czasem podrostki, którym imponowali wielcy goście w kamizelkach. Ilekroć więc zdarzyło się cokolwiek powiązanego z dwukołowymi maszynami, nieważne czy większy wypadek, czy zadyma na zlocie albo poza nim, to właśnie w BarSakwie zjawiały się gliny i reporterzy. Niekoniecznie w tej kolejności.

Z początku Bruzda myślał, że to może i dobrze, że to przyniesie mu rozgłos, ściągnie do baru klientów. Ale nie, dla nowych wciąż było tu, czyli na przedmieścia za daleko, a starym nie podobał się rozgłos w miejscu, gdzie chcieli się po prostu napić, pogadać bez spiny, zaruchać w kiblu. Medialne zamieszanie gwarantowało więc w biznesie ciche dni, a może nawet tygodnie. I to akurat w momencie, gdy Bruzdzie wydawało się, że wreszcie wyszedł na prostą.

Odłożył ścierkę, nalał sobie piwa, obszedł kontuar i zwalił się na jedną z ogromnych skórzanych kanap. Kupił je kiedyś, cały zestaw, za bezcen, bo miały niby pocięte poduchy i wymagały wymiany tapicerki. Oszczędzał wtedy każdy grosz, więc zamiast tego pozszywał je dratwą. Na ścianie wywiesił tabliczkę informującą, że siedziska trochę uwierają w dupę. Z biegiem czasu dodał też sugestię dla panienek troszczących się o rajstopy i pończochy, by zamiast sadowić się na pufach, znalazły sobie jakieś wygodne kolana. Ktoś rzucił, że te kanapy wyglądają jak pokancerowane gęby i nazwał je frankensztajnami, ale się nie przyjęło, bo za długie. Chwyciły za to bliźniaki, że niby od blizn. Idiotyczne, ale co to niby za problem?

Bruzda upił piwa i powiódł wzrokiem po lokalu. Lubił go właśnie takim. Chwilę po otwarciu, pachnący jeszcze środkami czystości, skąpany w półmroku, bo jedynym światłem było to nad barem oraz dwa reflektory podświetlające zawieszone na ceglanej ścianie portrety Billy'ego Hicksa i Richarda Pryora. Jeszcze nie krzywią się z zażenowania, ale pewnie będą już za parę godzin, gdy młodzi adepci stand-upu wejdą na scenę z nielakierowanych desek i zaczną wypluwać z siebie czerstwe żarty ku uciesze niewybrednych lokalsów, którzy zjawią się właśnie po to i pójdą, ledwie ten festiwal żenady się skończy. No ale to przynajmniej generowało jakieś zyski…

Stoliki stały równo, jeszcze żaden nie zdryfował na niewielki parkiet, co zdarzało się notorycznie, gdy impreza się rozkręcała i jeden czy drugi potrzebował przestrzeni, by szerzej machać łapami. Blaty wciąż jeszcze pachniały kwietnym pronto, żaden się nie lepił od wylanego piwa. Krzesła stały równiutko, wczorajsze pierdy zdążyły wywietrzeć z poduszek.

Tak, takim właśnie Bruzda lubił swój lokal najbardziej, ale też takiego się bał, takim się martwił. Bo bar nie jest po to, by lśnić i pachnieć. Bar powinien żyć, śmierdzieć, hałasować i – jak to się ładnie mówi – generować sytuacje…

Upił piwa, mlasnął i rozparł się wygodniej na kanapie. Gdzieś w myślach znowu przypałętało się to zasłyszane w wiadomościach słowo. To, które sprawiło, że dał głośniej. „Bangarang". Znał je skądś, słyszał je więcej niż raz, ale nie umiał skojarzyć gdzie i kiedy. Dręczyło go, uwierało niczym jedna ze zszytych dratwą szram na kanapowych poduchach. Bliźnia…

Ej, zaraz! Czy oni powiedzieli „Tańczące Bliźniaki"?

Nagle w jego głowie otworzyła się tama i dziesiątki spienionych obrazów zalały mu oczy. Znał kiedyś jednych bliźniaków, mieszkał nawet z nimi! To było dawno, a on spotykał się z jedną taką laską, o ksywie… ksywie…

– Dzwoneczek – przypomniał sobie, dopiero gdy powiedział to na głos.

Ale tak, właśnie Dzwoneczek. Świetna dupa, przybrana matka bandy szczyli, dla których on, Bruzda miał być ojcem. I chyba nawet

był przez chwilę. Jak im tam było? Stalówka, Kędzior, ten niemowa Milczek i właśnie Bliźniacy! „Bangarang” to było ich zawołanie. Ich okrzyk. Bangarang! Tak właśnie wołali…

Bruzda zmarszczył czoło. Był tam jeszcze ktoś, ale przypomnienie sobie ostatniego ze szczeniaków szło mu wyjątkowo opornie.

Tak miewał, że czasem coś mu uciekało, zwłaszcza odkąd dorobił się kolejnej blizny na łbie – tej, której zawdzięczał swą aktualną ksywę. Znikały słowa, czasem imiona, a nawet całe epizody z życia, a potem pojawiały się znienacka. Bum – nie ma, pstryk – jest. Właśnie wróciło do niego całe jego życie jako, ha, ha, ojca. Tak się do tego nadawał, tak bardzo pasował, że zupełnie zapomniał, jak nazywali ostatniego z przybranych potomków. Pamiętał tylko, że dzieciak był pyzaty, gruby i…

– Kruszyna! – Bruzda klepnął się w czoło.

I jakby za sprawą tego klepnięcia wszystko wróciło już ostatecznie. Cały tamten czas, nawet chwile rozmyte wódą, dni świetne, fajne i gorsze. Wtedy naprawdę myślał, że jest w stanie się ustatkować, że jest w stanie stłumić w sobie zew Drogi. A potem wyszło, że jednak nie potrafi i pozostawanie za długo w jednym miejscu nie jest dla niego.

– Jeśli tak – mruknął do kufla, nim upił z niego kolejny łyk – to co ty właściwie robisz teraz, stary? Tu, w tym samym barze od lat?

Ale znał odpowiedź na to pytanie. Tu, w tym barze, po prostu się starzał. Ni mniej, ni więcej. Starzał się, zapominał i martwił. A także czekał, aż Droga znowu się o niego upomni. Wtedy, o ile mógł zaufać swej wracającej pamięci, wykorzystała do tego głupią awanturę o jakąś straszną pierdołę. Czy dziś zagra kartą bankructwa? A może zawoła go wcześniej, na przykład teraz, i szepnie do ucha: „Wciąż jeszcze możesz sprzedać to miejsce. Dostaniesz akurat tyle, by znowu postawić starą maszynę na koła, zatankować do pełna i ruszyć przed siebie. A gdy braknie wachy, zawsze można skręcić gdzieś, gdzie wydawało się, że nie ma skrętu, i zobaczyć, co jest dalej”. „Bangarang” brzmiało jak zew.

– Bangarang – powtórzył na głos, a potem jeszcze raz, głośniej. – Bangarang!

Poderwał się z siedziska, złapał za wypełniony do połowy kufel i z całej siły cisnął nim w ceglaną ścianę. Między Pryora i Hicksa.

Wtedy właśnie dobiegł go warkot motocyklowych silników na pobliskim parkingu. Dźwięki Drogi.

* * *

„To już kolejny brutalny wybryk powiązany ze środowiskiem motocyklowym w ostatnich dniach. Wciąż…”

Zaśnieżony obraz na starym telewizorze zniknął. Siedzący przed odbiornikiem półnagi chudzielec o brodzie i policzkach porośniętych drobnym meszkiem błyskawicznie ściągnął nogi z ławy i usiadł prosto. Temu ostatniemu towarzyszyło głośne mlaśnięcie, gdy jego spocone plecy odkleiły się od dermowego obicia. Chłopak obejrzał się przez ramię.

– Co, do chuja? – warknął, widząc Wendy. – Oglądałem to, kurwa!

Dziewczyna nie wyglądała, jakby specjalnie przejęła się jego groźnym tonem. Jedną dłoń nonszalancko opierała na biodrze, drugą, uzbrojoną w pilota, wciąż celowała w odbiornik.

– Widzę właśnie – odparła. – A przecież masz co robić, nie, Meszek?

Na dźwięk znienawidzonego wyzwiska chudzielec uniósł górną wargę, obnażając kły. Mocniej skręcił tułów i zaciśniętą w pięć dłoń położył na oparciu kanapy.

– Nie twój interes, kurwa! Tu rządzi Piotruś, a nie jego…

Urwał, zdając sobie sprawę, że trochę się zapędził. Wendy wydęła wargi.

– No, dalej, dokończ, proszę… A, czekaj, powiedziałeś „kurwa” czy „kurwo”? – zapytała, każdą z opcji akcentując ruchem pilota. Wersja z mianownikiem była na lewo, wołacz na prawo. Oczywiście nie zakładała nawet przez moment, że Meszek odróżniłby części mowy.

Chudzielec wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby nie wiedział, co ma odpowiedzieć, po czym znowu opadł na kanapę, przodem do

odbiornika.

– Nie dam się zastraszyć jak inni, ale też nie chcę się z tobą kłócić – stwierdził. – Włącz, a jak się skończy, to się wezmę, OK?

Wendy westchnęła i pokręciła głową, po czym powoli obeszła kanapę i ławę. Stanęła między Meszkiem a odbiornikiem.

– Nie, nie OK – odparła tak, jakby tłumaczyła coś niesfornemu dziecku. Tym razem obie ręce powędrowały na biodra, co jeszcze potęgowało to skojarzenie. – Po pierwsze, nie będziesz tu siedział i oglądał, gdy wszyscy inni szykują imprezę dla Piotrusia, chłopaków i nowych gości. A po drugie, nie odpowiedziałeś na moje pytanie: powiedziałeś „kurwa”, czy nazwałeś mnie kurwą?

Łypnął na nią spode łba, po czym znowu uniósł górną wargę, szczerząc się w nienaturalnym, drapieżnym uśmiechu.

– A co za różnica?

– Jeżeli to drugie, to mnie obraziłeś.

– No i?

Wendy westchnęła, po czym przesunęła nogą drewnianą ławę i opadła na kanapę obok chudzielca. Ten, wyraźnie zaskoczony, odsunął się nieco, łypiąc na nią podejrzliwie.

– Widzisz, Meszek, nie powinieneś mnie obrażać – powiedziała, zwracając się w jego stronę z udawaną troską.

Nogę założyła na nogę, ręce splotła na kolanie. Starała się nie dać po sobie poznać, jak bardzo ją to wszystko bawi.

– Gdybyś spytał dlaczego, mogłabym przypomnieć akcję, jaką odwaliłam tu na wejściu, ale wtedy zapytałbyś pewnie, co to za problem pobić jakąś głupią dziwkę, nie?

Dała mu moment, by odpowiedział, jednak on tylko przyglądał się jej w milczeniu, dlatego podjęła:

– Gdybyś mnie o to zapytał, nie wiedziałabym, co odpowiedzieć, bo pewnie masz w tym temacie większe niż ja doświadczenie. Więc zamiast tego mogłabym powołać się na Piotrusia i to, że mu na mnie zależy i pewnie nie chciałby, byś mnie obrażał. Wtedy jednak uznałbyś, że się za nim chowam, i miałbyś rację. Co więcej, w jakiś sposób mógłbyś uznać, że Piotruś odpłaca mi ochroną za seks, więc mi płaci. Tym mocniej utwierdziłoby cię to w przekonaniu, że jestem kurwą.

Zrobiła kolejną pauzę, tym razem, by powoli obrócić głowę i spojrzeć chudzielcowi prosto w oczy. Uśmiechnęła się przy tym najmilej, jak potrafiła.

– Dlatego nie będę przywoływać ani jednego, ani drugiego. Powiem tylko, że obojgu nam się tu chyba podoba i głupio by było, gdybyśmy już na początku się nawzajem poobrażali, nie sądzisz? To znaczy, na moim początku, ty jesteś tu dłużej, ale chyba oboje się nigdzie nie wybieramy, prawda?

Sądząc po minie, chłopak nie miał pojęcia, czy właśnie coś sądzi, czy nie. W końcu jednak skinął głową.

– No i sam widzisz – ucieszyła się Wendy. – To co, bierzemy się do roboty?

Meszek namyślał się chwilę. A może po prostu odliczał w głowie te kilka sekund, jakie dzielą bezwarunkową kapitulację od przemyślanego kompromisu.

– Dobra, chuj – powiedział w końcu.

Sapnął jeszcze głośno i powoli podniósł się z kanapy. Mlasnęły odklejające się od dermy skórzane spodnie.

– Idę.

– Świetnie, masz dziś mój pierwszy taniec, Meszek.

– A może zamiast tego mi obciągniesz?

– Naprawdę? – zaśmiała się. – Bo wiesz, możesz zapytać Piotrusia i…

– Żart. Żart, kurwa, taki.

– Komiczny, Meszek.

Wendy odłożyła pilota na stolik i odprowadziła chudzielca do wyjścia spojrzeniem i uśmiechem. Dopiero gdy wyszedł, odetchnęła głośno, przywierając plecami do oparcia. Nie drgnęła nawet, gdy z ciemnego kąta rozległo się ciche klap, klap.

– Sprawdzasz mnie? – spytała.

Wciąż wpatrzona była w ekran telewizora, nie potrzebowała jednak się odwracać, by wiedzieć, kto klaskał. Zawsze gdy tylko chciał, wokół wyczuwało się jego obecność. Widoczny też był tylko wtedy, kiedy taka była jego wola.

Teraz najwyraźniej tego właśnie sobie życzył, bo po prostu wyłonił się z mroku.

– Ja? Dlaczego tak uważasz? – zapytał.

Zajął miejsce, na którym jeszcze przed chwilą siedział Meszek. Nogi, podobnie jak wcześniej chudzielec, wyłożył na ławę, zakładając jedną na drugą.

– Po prostu nadziwić się nie mogę, jak się, dziewczyno, rozwijasz.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Och, wiesz doskonale. Jesteś tu dwa dni i przez te dwa dni zrobiłaś ze sobą więcej niż wcześniej przez całe życie. Brawo!

Wendy znowu wydęła wargi.

– Możesz sobie wsadzić te swoje wyrazy uznania – mruknęła. – Nie są mi do niczego…

– No, tu się jednak mylisz – wszedł jej w zdanie. – Chodź, pokażę ci coś.

Wstał, obszedł kanapę i stanął przy oknie. Podciągnął słomianą żaluzję i poczekał, aż Wendy stanie obok niego. Przed nimi rozpościerał się teraz widok na cały tętniący życiem obóz.

Boisko do koszykówki, gdzie dwa dni wcześniej odbył się mecz na motocyklach, teraz częściowo zastawione było stojącymi w kręgu, zwróconymi do siebie samochodami. W świetle ich reflektorów dziewczyny rozkładały dekoracje, a motocykliści rozciągali kable i podpinali przewody do wzmacniaczy. Nieco dalej kilkunastu rozebranych do pasa uczestników imprezy próbowało za pomocą czterech lin na bloczkach unieść i zamocować na wysokości kilku metrów wielką drewnianą platformę. Wyraźnie utrudniał im to zadanie zarówno stojący na niej sprzęt – wzmacniacze i kolumny, jak i już ćwiczący na sucho zespół. Z lewej strony błyskały iskry spawarek, z prawej wznosiły się dymy grilli. Ryki silników mieszały się z donośnym śmiechem i płynnie przechodziły w odgłosy pierwszych pijackich awantur.

– Spójrz na nich i powiedz, jacy są – powiedział Luby. – Gdybyś tak miała jednym, jedynym słowem.

– Prymitywni. – Wendy nie miała ochoty na tę zabawę, ale przeliczyła się, mając nadzieję, że zniesmaczy Cienia swoją odpowiedzią, bo ten tylko zaśmiał się wesoło.

– Ja bym raczej powiedział „prości”, ale w samo sedno, panienko.

– Nie nazywaj mnie tak.

Spojrzał na nią, jakby chciał rzucić jej wyzwanie. Zaraz jednak kąciki jego ust uniosły się w delikatnym uśmiechu.

– Przepraszam, Wendy – powiedział. – Już więcej tak nie zrobię. Nie chciałem cię obrazić.

Skinęła głową na znak, że przyjmuje przeprosiny, a wtedy Cień podjął:

– To wcale nie jest złe być prostym, ale niestety coraz trudniejsze. Bo wszystko robi się skomplikowane, staje się ciągiem złożonych zależności. Świat mówi ci, czemu masz się dziwić, a czemu nie, ale nie z góry, tylko po fakcie, już obrażony. Świat gardzi przemocą, ale szydzi, wyzywa i sprawia, że spory stają się nie tylko jeszcze paskudniejsze, niż były, lecz także nierozstrzygalne. Nie ma krwi, nie ma widocznych ran, są rany w psychice. Samej w sobie skomplikowanej jak szlag.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Luby szeroko rozłożył ręce, jakby chciał nimi objąć cały obóz.

– Ci wszyscy ludzie potrzebowali impulsu, by działać po swojemu. By wrócić do prostych, dziecięcych zasad. Czasem brutalnych, czasem krwawych, ale zawsze prostych. Wielu z nich przyszło tu tak jak ty, zostawiwszy za sobą stłamszone życie, rodziny, problemy, sprawy w sądzie i wszystko inne. Stwierdzali, że mają dość. A ja najpierw przedstawiałem im ten świat, tłumaczyłem jego zasady, w rzeczywistości dobrze im znane, a potem prowadziłem, zanim sami nie nauczyli się działać. Przygotowywałem ich na przyjście Pana.

Wendy uśmiechnęła się drwiąco.

– To brzmi jak jakaś sekta – stwierdziła.

– Bardziej religia, choć to też nie do końca właściwe słowo, Wendy. To ruch zgromadzony wokół wiary. Przeświadczenia, że świat może być prosty. Jak emocje. O, spójrz tam, widzisz ją?

Wskazał ręką na skuloną, częściowo skrytą w mroku postać. Wendy, choć z tej odległości nie mogła jej naprawdę dojrzeć, wiedziała kto to. Właśnie jej dwa dni temu przefasonowała twarz.

– Nienawidzi cię – powiedział Cień.

Wendy wzruszyła ramionami.

– No i?

– No i to jest czysta emocja. Nienawidzi cię, ale również się ciebie boi po tym, co zrobiłaś. Gdy nienawiść wygra ze strachem…

– Tak, domyślam się.

Cień się uśmiechnął.

– Oczywiście, że się domyślasz. Bo to proste. I tu, moja droga Wendy, wszystko da się zredukować do prostych rzeczy. Prostych emocji, instynktownych reakcji. Dawna ty zdecydowanie za dużo myślała, zbyt głęboko tkwiła w matni. Wyzwoliłaś się, ale zostały ci pewne odruchy, zaszłości. Żeby się ich pozbyć, potrzebujesz przewodnika.

– I ty chcesz nim być?

Nie chciała, by zabrzmiało to tak pogardliwie czy buńczucznie, ale cóż, stało się. Wendy nie jest uległa, Wendy nie gnie karku i nie pozwala sobie mówić, co ma robić. Wendy… Zdała sobie sprawę, że mówi o sobie w trzeciej osobie, jak o kimś obcym. Ale w zasadzie w jakimś sensie była obca. Jakby zalano nią nową, już gotową formę i teraz się jej uczyła. Poznawała napisaną już rolę, w której ramach jednak pozwolono jej improwizować.

– Tu nie ma znaczenia to, czego ja chcę – odparł Cień. – Ja nim po prostu będę, aż się nie nauczysz. Bo mogę cię nie lubić, ale wiem, że oboje jesteśmy mu potrzebni. Ty też o tym wiesz.

– Nie mów mi, co wiem, a czego nie…

Odwrócił się gwałtownie. Raz jeszcze na nią spojrzał, ale tym razem zamiast oczu miał czarne, smoliste kule. Cienie na jego twarzy wydłużyły się i rozciągnęły groteskowo, tak że wyglądała, jakby zaczęła się nagle topić. W rozchylonych ustach ziała czarna, bezkresna otchłań.

– Wciąż widzę obrazy, które obudziły nową ciebie – rozległ się głos wenątrz jej głowy. – Mogę je przywołać, przypomnieć ci i już na zawsze zostawić w tobie tamtą skazę. Widzę cienie twojego umysłu, twoje lęki i strachy. Widzę obawy i nadzieje, płoche, rozedrgane jak płomyki świec. Widzę koszmary, z którymi nie chciałabyś się zmagać w ciemności nocy…

Umilkł, opuścił głowę, a gdy znowu ją uniósł, był ponownie sobą, Lubym, w dodatku uśmiechającym się miło i sympatycznie. Wraz

z tą zmianą natychmiast odszedł też lęk, który przed momentem w niej wzbudzał. Zupełnie jakby się rozpłynął w powietrzu.

– Wiesz, dlaczego łatwiej mierzyć się ze strachem w dzień niż w nocy? Bo w dzień nigdy nie jesteś sama. Zawsze jest jeszcze Cień.

Roześmiała się.

– Nie jesteś moim cieniem.

– To też się zgadza. Cień tak naprawdę nie należy do nikogo. Tylko Piotruś czasem nie potrafi tego zrozumieć.

* * *

Było ich czterech, wszyscy w kamizelkach. Gdy zajęli miejsca na stołkach przy barze, z ich grzbietów spoglądały na Bruzdę cztery takie same, opętane twarze mnichów odzianych w maski gazowe, wznoszących zawieszone na łańcuszkach symbole atomu.

Irradiated Prophets, zwani czasem w żartach Promiennymi Chłopakami. Rozrzuceni po całym świecie szurnięci kapłani nieodzownej apokalipsy. Dwóch Bruzda znał z widzenia, trzeci – Rupieć – był stałym klientem BarSakwy, bo mieszkał w przeznaczonej do zburzenia ruderze trzy przecznice dalej. Czwartego – barczystego, łysiejącego gościa ze szczęką porośniętą szczeciną barwy popiołu – Bruzda widział po raz pierwszy.

Barman wstał z kanapy i przeszedł za kontuar. Zamówili po piwie i kolejkę wódki, a potem przyglądali się w milczeniu, jak Bruzda napełnia najpierw kufle, potem kieliszki. Gdy ustawił wszystko przed nimi, wypili wódkę, zapili piwem i zamówili jeszcze raz to samo – oprócz obcego, który tylko odsunął od siebie pełny kieliszek i upił niewielki łyk piwa.

Milczenie się przeciągało. Miny motocyklistów nie wróżyły nic dobrego, a to, w jaki sposób wszyscy czterej wodzili za barmanem wzrokiem, śledząc uważnie każdy jego ruch, było ewidentną prowokacją. Atmosfera gęstniała z każdą chwilą. Coś się ewidentnie kroiło.

„Tylko co?”, zastanawiał się Bruzda. Czym podpadł, co zrobił, albo co im się wydaje, że zrobił? Czy siedzą tak teraz, bo myślą, że się przyzna, a jeśli to nie zadziała, to się na niego rzucą? Bruzda znajdował się już w podobnych sytuacjach. Sam kiedyś jeździł w klubie i wiedział, że zasady są proste, ale ich interpretacje… z tym bywało gorzej, bo każdemu mogło w dowolnej chwili odjebać. Bo źle patrzysz, bo nie tak myślisz, bo jedno słowo za dużo…

Teraz jednak zjawili się tu w czterech, czyli temat był ewidentnie grubszy. Czy ma jakiś związek z tym, o czym mówili w wiadomościach? Napad na więźniarkę, uwolnienie Tańczących Bliźnia… Ej, zaraz!

– Kurwa, Bruzda, lejesz! – zawołał Rupieć.

Bruzda otrząsnął się gwałtownie i uniósł szyjkę butelki.

– A, sorry – sapnął, odstawiając flaszkę na bok i sięgając pod bar po ścierkę. – Zamyśliłem się trochę i…

– Dobra, dobra. – Na pogodnej, choć pomarszczonej twarzy Rupiecia pojawił się uśmiech. – Mówiłem wam, chłopaki, że się wkręci. Mówiłem, że będzie schiza.

Bruzda uniósł brew. Blizna na jego czole przyjęła kształt haka.

– Mówiłeś, że sięgnie po nóż – mruknął ten nowy nisko i chrapliwie.

Dopiero teraz, gdy przestał zasłaniać ją ręką, Bruzda dostrzegł na jego piersi naszywkę SGT AT ARMS.

– No bo by sięgnął, nie, Bruzda? – gorączkował się Rupieć. – Powiedz, sięgnąłbyś?

Barman zamaszystym ruchem szmaty starł resztkę wódki z kontuaru. Wielkie, przezroczyste krople skapywały teraz na tony drobnych rozrzucone na niższym blacie.

– Jeżeli już, to tylko po to, by ci utrwalić ten uroczy uśmiech – zaryzykował żart. – Do twarzy ci.

Rupieć zarechotał i klepnął dłonią o bar, jakby to był najlepszy dowcip, jaki słyszał od dawna. Drugą rękę uniósł i położył na ramieniu sporo młodszego, żylastego chłopaka w okularach. Tego i jego nieco niższego kolegę ogolonego na łyso, za to z wystylizowanym V8 z jednej strony głowy i znakiem atomu

z drugiej, Bruzda kojarzył, ale nie znał imion czy ksyw. Teraz je poznał:

– To Marco, a to Oktan, pewnie się już widzieliście. Gruzina, Bruzda, jeszcze nie poznałeś, bo przyjechał do nas…

– Z Gruzji?

Rupieć znowu zarechotał.

– Ta, kurwa, z Kazachstanu. Spod Przemyśla przyjechał.

Obalili następną kolejkę, a Bruzda dla towarzystwa nalał też sobie.

– Długo zostajecie w okolicy?

– To zależy – mruknął Gruzin, i to takim tonem, jakby wyraźnie nie chciał rozwijać tematu.

Bruzda uznał jednak, że pierdoli sygnały.

– Od czego?

Gruzin postukał palcem we wciąż pełny kieliszek i przesunął go po blacie w stronę barmana. Gdy się uśmiechnął, okazało się, że obie górne dwójki ma srebrne.

– Czy wsadzisz tę wódkę do lodówki, czy każesz im pić, kurwa, ciepłą.

Tym razem roześmiali się wszyscy. Bruzda rozlał, co jeszcze zostało w butelce, i pustą wrzucił do kosza. Ruszając po kolejną w stronę lodówki, wskazał na wyciszony telewizor, gdzie po raz kolejny nadawano informacje z miejsca ataku na więźniarkę.

– Wiecie coś o tym?

– Ten napad? – zapytał nieco piskliwym głosem milczący dotąd Oktan. – Niezły rozpierdol, nie?

– Mówią, że to Chłopcy – dodał Marco. – Podobno te bliźniaki to w ogóle ktoś od nich.

Bruzda się odwrócił.

– Żartujesz. Ci Chłopcy?

– A chuj ich tam wie. – Marco wzruszył ramionami. – Mówię tylko, co gadają.

– A co ty, kurwa, baba jesteś, że plotki powtarzasz? – Rupieć uniósł kieliszek. – No to chlup, panowie, bo się grzeje.

Nie czekając na resztę, wychylił wódkę i zapił piwem. Marco i Oktan podążyli jego śladem, a Bruzda otworzył lodówkę i sięgnął na dolną półkę po flaszkę żubrówki.

Myśli w jego głowie, wciąż jeszcze niezbełtane z wódką, pędziły teraz jak szalone. Czy to wariackie skojarzenie mogło być prawdziwe?

Oczywiście wiedział, kim są Chłopcy. Każdy, kto jeździł, kto bywał w barach dla motocyklistów, coś tam o nich słyszał, w większości albo niestworzone historie, albo drwiny. Nie byli klubem, a przynajmniej żaden inny klub ich za takowy nie uznawał, bo nie trzymali się zasad, a w dodatku dopuszczali do stołu dupy. Więcej, podobno jedna nawet nimi dowodziła, choć w to akurat mało kto naprawdę wierzył.

Podobno zbierało się wokół nich mnóstwo odrzuconych dzieciaków, sierot z domów dziecka, gnojków z ulicy. Jeździli na jakichś składakach, które tylko cudem trzymały się kupy, naszywki umieszczali na kurtkach zamiast kamizelkach, nie bywali na żadnych zlotach oprócz swoich. Mówiono, że handlowali jakimiś prochami dla kierowców, pewnie pochodną amfy. Były jednak zajebiście skuteczne, więc niektóre zagraniczne chaptery poważnych klubów lokalnie – i oczywiście nieoficjalnie – dogadywały się z Chłopcami. Jakiś czas temu krążyły plotki, że brał się do nich BattleSnake, ale dostał solidny łomot.

To wszystko były tylko nic nieznaczące historyjki i legendy, które do tej pory Bruzdę nieszczególnie obchodziły. Czasem go szczerze bawiły i wtedy słuchał, ale zwykle po prostu wpuszczał uchem, mieszał z wódą i wyrzygiwał nad ranem z resztkami kolacji. Ale ta myśl, ten dziwnie znajomy okrzyk, Bliźniaki. Czy to w ogóle możliwe, żeby…

– Ty tam destylujesz tę wódkę czy jaki chuj!? – zawołał donośnie Rupieć. – Kurwa, Bruzda, co dzisiaj z tobą?

Barman wyprostował się, zamknął lodówkę i odkręcił butelkę. Nalał kolejkę, wypił poprzednią i przeprosił ich na moment.

– Idź, idź, poradzimy sobie – powiedział Gruzin. – Tylko ręce potem umyj!

Oktan przechylił się przez bar i sięgnął po flaszkę.

Bruzda nie skomentował. Myśli w jego głowie dopasowywały się teraz z hukiem niczym metalowe klocki tetrisa. Dzwoneczek była niezwykłą dziewczyną, ostrą, twardą i czasem potrafiła skołować tak

dziwaczne dragi, że szok. Jej dzieciaki były sierotami. Nie wiadomo, skąd je wytrzasnęła i dlaczego u niej mieszkały. Czyli to też się zgadzało. Szczeniaki były zaradne, trzymały się razem i często ładowały w kłopoty. Najczęściej… no kurwa! Najczęściej albo bliźniacy, albo niemowa i ten drugi, jak mu było? Kędzior, no właśnie! A jeszcze to białe dziwadło, Stalówka. Miał smykałkę do mechaniki. Gdyby mu się chciało, ze wszystkiego złożyłby motor. Czyli…

– Kurwa mać! – szepnął Bruzda. – Ja pierdolę, kurwa mać!

Zapiął spodnie, wymył ręce, ale nie wrócił na salę, tylko wyszedł przed lokal zapalić. Stał tam na wysokim progu, wpatrując się w parking i mocno zaciągając dymem. Patrzył na zaparkowane jedna obok drugiej maszyny Promiennych Chłopaków. Maszyny, które trochę tu postoją, skoro panowie narzucili sobie takie tempo picia.

Myślał o Dzwoneczku. Jeżeli go pamięć nie myliła, była to jedyna laska, z którą naprawdę chciał sobie to i owo poukładać. Nawet z tą jebaną dzieciarnią, która okazała się całkiem w porządku. A potem wszystko się spierdoliło, on spierdolił, a ona najwyraźniej wsiadła na motocykl i wbrew zasadom założyła klub. Najbardziej wyszydzany, wykpiwany przez prawdziwych bikerów, ale wbrew wszystkim wciąż jeżdżący, co nie każdy mógł o sobie powiedzieć. No i jeszcze teraz ten napad, którym telewizja będzie się obsrywać ze szczęścia przez tydzień albo i dłużej. Ja pierdolę, kurwa mać…

– Bangarang! – mruknął.

Pstryknął niedopałkiem w stronę pobliskiego klombu i powoli wrócił za bar.

* * *

Kościół był nowy, a więc brzydki. Z zewnątrz wyglądał doprawdy pokracznie, jakby ktoś w otynkowany grzyb wbił dwa kątowniki i zawiesił między nimi odpustowy krzyżyk oraz blaszany dzwoneczek. W środku prezentował się nieco lepiej, może dlatego, że postawiono na prostotę. Zwykłe ławki z jasnego drewna,

w prezbiterium ołtarz ozdobiony jedynie złoconymi kłosami wyrastającymi jakby spod obrusa, w głębi tabernakulum, a nad nim drewniany Chrystus na drewnianym krzyżu. I gdyby tylko ktoś nie wpadł na pomysł różowych witraży z zachodu i niebieskich od wschodu…

– Mamusiu, a dlaczego kościółek jest rano chłopczykiem, a wieczorem dziewczynką? – zapytał kiedyś jakiś brzdąc, dając jednocześnie dowód niezwykłej spostrzegawczości i schematycznego wychowania.

Dla Pana Balona było to po prostu zabawne. Ale on również uważał, że kościół jest brzydki. Bo nowy. Ładne to były kościoły stare, wysokie, wielkie i chłodne. Pachnące kurzem i kadzidłem. Pełne ciemnych miejsc i z ponurymi konfesjonałami, by człowiek od razu poczuł skruchę. Bez niej przecież spowiedź jest w ogóle bez sensu. Bez niej, rachunku sumienia, mocnego postanowienia poprawy i – już po wyznaniu grzechów – zadośćuczynienia Bogu i bliźnim.

Bez regularnej spowiedzi i komunii natomiast modlitwa nie mogła być czysta i skuteczna. Taka natomiast była Panu Balonowi koniecznie potrzebna, jeśli chciał dobrze spać. Gdy się modlił w stanie łaski, jeszcze tej samej nocy odchodziły złe sny. Niepokojące, a czasem wręcz straszne obrazy. Rano zostawał po nich tylko żal, niepokój i tęsknotę za mamą, której nie znał, i braćmi, których nigdy nie miał. Tylko tyle, więcej nie pamiętał, serdecznie żałował i prosił o poku…

No, w każdym razie działało. Niczym aspiryna na ból głowy albo syrop na kaszel. Czasem nie trzeba było nawet przychodzić do kościoła, wystarczyło się pomodlić w domu przed obrazkiem albo krzyżykiem i był spokój.

Tym razem jednak modlitwa w domu mogła nie wystarczyć, bo sen, który się zjawił, gdy Pan Balon spróbował odespać nockę, był bardzo konkretny, a w dodatku zostały mu w głowie jego najdrobniejsze szczegóły. Zapewne za sprawą tego, co oglądali z Panem Elegantem w telewizji, zanim się położył. Tym razem jego rzekoma mama i niby-bracia byli motocyklistami, a atakowali ich umarli, smoliste cienie i inni motocykliści. Potem wszyscy dostali

jakąś wodę, której nie powinni pić, i poumierali. A on się obudził… i prawie natychmiast przybiegł tutaj. Nie pamiętał nawet, czy zamknął mieszkanie.

Pół godziny recytowania modlitw na zmianę z prośbami do Jezusa, Marii i świętych przyniosło mu pewną ulgę, ale i tak uznał, że wróci do domu coś zjeść, przebrać się i na pewno zamknąć drzwi, a potem przyjdzie tu jeszcze na mszę. Tak na wszelki wypadek.

Z tym postanowieniem wciągnął brzuch, uniósł się na rękach i spróbował się podnieść z klęczek. Tak, ten kościół miał jeszcze jedną wadę – ciasne ławki. Pan Balon powiedział o tym kiedyś księdzu Zygfrydowi, a ten zaśmiał się i odparł, że to celowe, bo powstrzymuje wiernych przed grzechem obżarstwa. Pan Balon też się wtedy zaśmiał, choć uważał, że nie było to zabawne, a nawet troszkę wredne. On sam był gruby, choć jadł przecież bardzo niewiele.

Ponownie wciągnął brzuch i powoli, wspierając się na rękach, przeszedł do pozycji siedzącej. Tym razem kolana nie skompromitowały go żadnym trzaskiem, który tu, w kościele, poniósłby się echem i skupił na Balonie oburzone spojrzenia współwiernych. Zwłaszcza teraz, gdy było ich wokoło tak niewielu – dwie staruszki w przedostatniej ławce, młody chłopak przy świecach wotywnych i dwie dziewczynki w trzeciej ławce od ołtarza. Ktoś tam się jeszcze spowiadał, ale u księdza Marcina – Pan Balon sprawdził dyskretnie przez szczelinę w fioletowej kotarce, kto siedzi w konfesjonale. Był to już starszy kapłan, który czasem nie dosłyszał i powtarzał cudze grzechy na głos ku uciesze połowy kościoła. Choć teraz, trzeba mu przyznać, siedział całkiem cicho. Może zasnął?

Pan Balon zachichotał odrobinę za głośno, a do tego zupełnie niechcący wyrwało mu się głośne charknięcie. Natychmiast zamarł i wtulił głowę w ramiona, jednocześnie przymykając oczy. Wiedział, że przesadza, i coś mówiło mu, że właśnie zachowuje się jak dzieciak, ale po prostu nie umiał inaczej. Policzki i kark paliły go ze wstydu, czubki uszu też, a do tego z pewnością żarzyły się czerwienią.

Odczekał dłuższą chwilę, po czym, uniósłszy nieco tłuste pośladki, zaczął się przesuwać w stronę wyjścia z ławki. Tuż przy samym jej

końcu wciągnął brzuch i na bezdechu wytarabanił się na środek nawy, prosto przed świecącą z oddali czerwoną lampkę nad tabernakulum. Światełko oznaczało, że w środku, w tej niepozornej złotej skrzynce, znajduje się ciało Chrystusa, więc Pan Balon klęknął pospiesznie – w kolanie strzeliło, a jakże! – i się przeżegnał się szybko. Następnie poderwał się na nogi.

Już miał się odwrócić i ruszyć w stronę wyjścia, gdy nagle z zakrystii wyłonił się ksiądz Zygfryd. Miał na sobie stułę, więc pewnie szedł spowiadać. Byłoby to Panu Balonowi na rękę, bo nie był przecież pewien stanu łaski, a ze spowiedzią jest trochę jak z witaminą C – nie da się przedawkować. W dodatku dawno nie mieli z księdzem okazji zamienić paru słów, dlatego też gruby mężczyzna zmienił zdanie i, zamiast do wyjścia, ruszył w stronę ołtarza. W tym czasie z zakrystii wyłonił się jeszcze jeden kapłan, w podobnym co ksiądz Zygfryd wieku, ale niższy i bardziej krągły. W ręku trzymał futerał na gitarę, który jednak zaraz odstawił, by przyklęknąć na klęczniku i pomodlić się przez chwilę ze zwieszoną głową.

Ksiądz Zygfryd tymczasem dostrzegł już grubego mężczyznę i pozdrowił go gestem. Pan Balon skłonił się lekko i choć dzielący ich dystans wciąż był spory, powiedział:

– Szczęść Boże, proszę księdza. Będzie ksiądz spowiadał?

Kapłan pokręcił głową i popatrzył po sobie, jakby dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę z obecności stuły.

– Szczęść Boże, panie Andrzeju. Nie, już skończyłem. Spowiadałem przed chwilą narzeczonych – wyjaśnił. – Teraz chciałem tylko pokazać księdzu Janowi nasz kościół i zaprezentować akustykę. Ksiądz Jan przyjedzie tu w piątek ze swoją scholą i dadzą koncert.

– Aha – westchnął niepocieszony Pan Balon. – No to pewnie przyjdę posłuchać.

– Warto – zapewnił ksiądz Zygfryd. – To znane piosenki i pieśni, ale w nowych aranżacjach, które ksiądz Jan sam opracował.

Klęczący kapłan przeżegnał się i wstał. Sięgnął do futerału, podniósł go, odwrócił się i zamarł wpatrzony w Pana Balona. Potrząsnął głową, jakby nie dowierzał, po czym rozciągnął usta w promiennym uśmiechu.

– No kogo jak kogo, panie Kruszyna, ale pana to się tu nie spodziewałem!

Pan Balon zamrugał, a potem jak postać z filmu obejrzał się przez ramię, czy to na pewno o nim mowa. Nikt jednak za nim nie stał, a łysawy, pyzaty ksiądz ewidentnie patrzył na niego.

– Nie nazywam się Kruszyna – powiedział wreszcie grubas.

Ksiądz Jan roześmiał się i postąpił do przodu, wyciągając rękę.

– Oczywiście, że nie, nikt by tego panu w urzędzie nie zatwierdził – przyznał. – Ale, zabawna rzecz, nigdy…

Zdał sobie sprawę, że jego uniesiona do uścisku dłoń wciąż tkwi między nimi, a gruby mężczyzna ani myśli wyciągać swojej. Co więcej, z każdą chwilą sprawiał wrażenie coraz bardziej spłoszonego, a jego wzrok wędrował od jednego kapłana do drugiego, jakby Pan Balon oglądał wyjątkowo zacięty mecz ping-ponga.

Wreszcie to ksiądz Zygfryd przełamał impas:

– Mam wrażenie, że twarz pana Andrzeja ostatnio parę razy mignęła księdzu w telewizji i to stąd nieporozumienie. Pan Andrzej jest lokalnym bohaterem.

Ksiądz Jan zmrużył oczy, jakby się zastanawiał, aż wreszcie skinął głową i znowu się uśmiechnął.

– Całkiem możliwe, że ma ksiądz rację – przyznał wesoło i raz jeszcze uniósł rękę. – W takim razie, panie Andrzeju, nazywam się Jan Niżyński i, jak widać, czasem mam bałagan w przegródkach w głowie. Mam nadzieję, że nie wystraszyła pana moja zbytnia poufałość?

Tym razem Pan Balon uścisnął podaną dłoń, odwzajemniając także i uśmiech.

– Nie, proszę księdza. Pracuję w ochronie i nie boję się byle cze… to znaczy…

Obaj księża natychmiast wybuchnęli śmiechem, a gruby mężczyzna znów się spłonił i błyskawicznie cofnął rękę.

– Przepraszam, nie chciałem, to znaczy…

– Rozumiem, panie Andrzeju, naprawdę – powiedział ksiądz Jan. – Żeby pan słyszał, jakie rzeczy zdarza mi się czasem na kazaniu powiedzieć!

– Tak… oczywiście – nieprzekonany Pan Balon powiedział te słowa bardziej do marmurowej posadzki niż do kapłanów, po czym uniósł przedramię, udając, że spogląda na zegarek. – Przepraszam, ale muszę już iść.

– Oczywiście, panie Andrzeju, ale proszę się tak bardzo nie przejmować.

– Pan Andrzej już taki jest – dodał ksiądz Zygfryd. – Skromny i nieśmiały, ale bardzo oddany społeczności.

Speszony Pan Balon na moment poderwał głowę, ale zaraz opuścił ją znowu.

– Bardzo miło było poznać – zapewnił posadzkę. – Szczęść Boże.

– Szczęść Boże, panie Andrzeju – odparł wesoło ksiądz Jan, a ksiądz Zygfryd dodał jeszcze:

– I niech pan pamięta o koncercie.

Pan Balon już w połowie nawy pokiwał głową, co było trudne, zważywszy na to, jak mocno wciskał ją teraz w ramiona. Było mu wstyd, a jednocześnie czuł narastający gniew, że zareagował jak wystraszone dziecko. To nie był on, to było zupełnie jakby ktoś zaprogramował go do takiego zachowania, i ono włączało się samo zawsze w takich właśnie sytuacjach.

Nade wszystko jednak czuł niepokój. Bo też miał przez moment wrażenie, że rozpoznaje twarz księdza Jana. I że widział ją nawet w swoim dzisiejszym śnie.

* * *

Nie miał pojęcia, czy obudził go grzmot za oknem, czy pukanie do drzwi. W jego umyśle oba te zdarzenia nastąpiły w tej samej chwili. A może rzeczywiście tak było?

Otworzył oczy, rozmasował skronie i popatrzył po sobie nieprzytomnym wzrokiem. Siedział w fotelu, gdzie zasnął po wzięciu xanaxu. Zostało mu jeszcze ze starych rezerw, dawno nie musiał z nich korzystać. Teraz widać znowu się na niego uwrażliwił, a może doszła do tego nieodespana nocka, bo padł, nie dopiwszy nawet

herbaty, którą zrobił sobie po powrocie z kościoła. Trzęsły mu się ręce, pewnie porozsypywał cukier po całej kuchni. Gdyby Pan Elegant był normalnym kotem, może by go wylizał, a tak… A właśnie, gdzie jest ten kocur?

Spojrzał na swój wielki kałdun. Jakżeby inaczej, całą koszulkę miał w czarnej kociej sierści. Pewnie zwierzak spał tu razem z nim, ale potem się znudził i wyszedł przez wciąż otwarte drzwi na balkon. Możliwe, że wcześniej wyłączył telewizor, bo Pan Balon był niemal pewien, że włączał go przed zaśnięciem. Pilot zresztą wciąż był w zasięgu ręki i…

Na zewnątrz błysnęło, a do drzwi znowu ktoś zapukał. Tym razem głośniej. Ostatnie uderzenie przeszło w grzmot za oknem.

– Już, moment…

Pan Balon podniósł się z fotela, syknął z powodu nagłego ucisku w czaszce i raz jeszcze przyłożył dłonie do skroni. Pomasował je opuszkami i poszedł otworzyć. Zorientował się, że niepodpięty łańcuch zwisa smętnie, a wewnętrzne drzwi są niedomknięte. Westchnął cicho nad swą nieroztropnością i zerknął przez wizjer.

Na korytarzu stał ksiądz Jan. Rozglądał się to w lewo, to w prawo, ale nie nerwowo, raczej znudzony, a może troszkę zniecierpliwiony. W jednej ręce coś trzymał.

„A ten czego tu chce?”, pomyślał Pan Balon i zaraz się skarcił za tę niemiłą myśl. Przecież może on tutaj chodzi do wszystkich, jak na kolędzie. Może zaprasza każdego z osobna na ten cały koncert.

Pan Balon podrapał się po potylicy, wciąż zgięty przy wizjerze. Z jednej strony myśl o tym, że miałby teraz kapłana wpuścić, sprawiała, że natychmiast zaczynały mu się pocić ręce. Z drugiej strony czy nie nadarzała się właśnie okazja, by naprawić pozostawione wcześniej złe wrażenie?

Nagle dostrzegł, że mężczyzna, widocznie odpuszczając, odwrócił się i skierował ku schodom. To ostatecznie pomogło Panu Balonowi podjąć decyzję. Wyprostował się, sięgnął do zamka i przekręcił klucz. Otworzył drzwi i stanął w progu, trąc pięścią oko.

– O, to ksiądz – powiedział, udając zdziwienie. – Przepraszam bardzo, nie słyszałem, bo spałem.

Ksiądz Jan uśmiechnął się, prezentując równe, choć nieco pożółkłe zęby.

– Och, zrozumiałe, jak najbardziej, pewnie nocna zmiana, prawda? Podziwiam, podziwiam, naprawdę. Tym bardziej jest mi głupio prosić o to pana, ale jeśli byłby pan skłonny zaprosić mnie na chwilę i poświęcić dwie minutki… – Mówiąc to, niemal niezauważalnie poruszył stopą, tak by w razie czego wsunąć ją między drzwi a framugę.

Pan Balon dostrzegł to, ale postanowił nie reagować. Tak właśnie uczył go postępować pan Stanisław, który zawsze mówił, że na sklepie widzieć trzeba wszystko, ale reagować tylko na to, co już się stało, a nie co dopiero może.

– Ależ proszę, niech ksiądz wejdzie – powiedział, wciągając brzuch i robiąc miejsce. – Może być trochę ciasno i śmierdzi kotem.

– O, Pan Proper jest tu z pa… – zaczął ksiądz, ale gdy dostrzegł minę gospodarza, natychmiast zmienił temat. – Czy mógłbym liczyć na szklankę czegoś zimnego?

– Woda albo mleko.

– Woda będzie doskonała, dziękuję.

Ksiądz stanął w wąskim przedpokoju, a zachęcony gestem przekroczył próg pokoju dziennego. Rzucił okiem na typową meblościankę z czasów poprzedniego ustroju, na wypoczynkowy zestaw złożony z kanapy, fotela i niepasującego do nich stoliczka, wreszcie z jednej strony na duży telewizor, a z drugiej na wiszącą na ścianie ikonę Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

– Przytulne mieszkanko, panie…

– Andrzej – przypomniał sunący za nim gospodarz. – Ale dzieci nazywają mnie Balonem.

Ksiądz Jan pokiwał głową, jakby się tego domyślał.

– Lubi pan dzieci, prawda? – zapytał, odwracając się.

Dostrzegł, jak błyskawicznie napinają się mięśnie na szyi gospodarza, jak zaciska się szczęka i drgają policzki, więc dodał pospiesznie:

– „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie”, mówił Jezus. Mogę usiąść?

– Proszę. – Pan Balon rozluźnił się odrobinkę. – Już idę po tę wodę.

– Właściwie to już nie trzeba, rozmyśliłem się – machnął ręką ksiądz Jan.

Obszedł kanapę i usiadł na niej, po czym sięgnął do teczki.

– Chciałbym jednak, jeśli pan pozwoli, coś panu pokazać. Proszę…

Wskazał gospodarzowi fotel, a ten posłusznie zajął miejsce i splótł wielkie ręce na brzuchu. Ksiądz tymczasem wsunął rękę do teczki i przez chwilę przekładał w niej jakieś papiery.

– Tak mi się nasunęło po naszym spotkaniu, że przecież ludziom to się różnie plecie i nieważne, jakie mądrości byśmy z ambony wygłaszali, czasem zwyczajnie nie da się szczerze i po prostu. Pomyślałem: „A co, Niżyński, jeśli on nie może powiedzieć, że cię pamięta? Że to zupełnie jak w tych filmach o ukrywających się świadkach, gdzie ludziom całkowicie zmienia się tożsamość dla ich bezpieczeństwa?”. O, mam cię!

Wyciągnął z teczki grubą żółtą kopertę i pchnął ją przez stół w stronę zaskoczonego gospodarza.

– Jeszcze niech pan nie otwiera, panie Andrzeju – poprosił. – I z łaski swojej, niech pan oddycha, bo mi pan zejdzie, zanim skończę.

Pan Balon posłusznie i głośno nabrał powietrza, akurat na tyle, by zapytać:

– Co ksiądz właściwie…?

– Co chcę powiedzieć? – Kapłan wszedł mu w słowo. – Otóż jestem świadom, iż wiódł pan niebezpieczny żywot. Uznałem, że może z jakiegoś powodu, po tej naszej zdumiewającej i przerażającej wspólnej przygodzie albo z innych przyczyn, postanowił pan zmienić swoje życie. I to jest właśnie to nowe, w które ja teraz wchodzę z buciorami. Gdyby tak było, przeprosiłbym i zasugerował grzecznie, by nie przychodził pan na koncert, bo niektóre z dzieci mogłyby pana rozpoznać.

– Dzieci? – to jedyne, co gospodarz był w stanie z siebie wydusić.

– No właśnie. Jest druga możliwość, którą też brałem pod uwagę. – Ksiądz Jan pokiwał głową. – Że pan rzeczywiście

z jakiegoś powodu nie pamięta. I nie ma znaczenia, czy to zwykła amnezja, czy jakaś niezwykłość z rodzaju tych, których, wierzę w to głęboko, doświadczał pan w swoim życiu więcej niż ja. Szczerze mówiąc, to właśnie ta wizja pchnęła mnie, by tutaj przyjść. Myśl, że to może któraś z tych dziwnych sił, podobnych do tych na tamtej drodze, które zbałamuciły pański umysł i…

– Proszę księdza!

Zabrzmiało to ostrzej, niż gospodarz sobie życzył, ale tylko trochę. Kapłan jednak nie dał się zbić z tropu.

– Niech pan teraz zajrzy do koperty – powiedział. – Są tam wydrukowane zdjęcia z życia, którego pan nie pamięta, a w którym się znaliśmy. Uczę religii w szkole, gdzie pan pracował czasem jako woźny, ale jak rozumiem… bo szczerze mówiąc, nigdy nie wchodziłem w szczegóły… bardziej jako wolontariusz. No proszę, niech pan zajrzy…

Pan Balon sięgnął ręką w stronę koperty, ale zamarł w pół gestu, uważnie przyglądając się księdzu. Dopuszczał do siebie myśl, że to żart, może według pomysłu księdza Zygfryda, albo że z tym nowym księdzem jest coś nie tak. Sługa Boży też może dać się opętać złemu.

Pozostawał jednak ten sen, a wrażenie, że jednak się znają, że skądś kojarzy pyzatą twarz księdza, nie tylko go nie opuściło, lecz wręcz jeszcze się nasiliło. Rzeczywiście lubił dzieci, mógłby być woźnym w szkole, mógłby działać tam jako wolontariusz…

Ksiądz Jan nie popędzał, patrzył tylko w milczeniu. Czekał, choć czas mijał, a pulchne palce gospodarza wciąż unosiły się kilka centymetrów nad kopertą. I gdy wydawało się już, że cisza będzie trwać wiecznie, w progu otwartych drzwi balkonowych stanął kot.

Bardziej teatralnego momentu nie mógł sobie wybrać, bowiem z chwilą, gdy przysiadł na tylnych łapach, błyskawica rozjaśniła wszystko poza uformowanym na kształt kota i przyozdobionym w krawat kawałkiem czerni. A potem zwierzak podniósł się, przeciągnął i dumnie wkroczył do pokoju.

– Pan Proper! – zawołał z radością ksiądz Jan, ale nie wyciągnął do zwierzaka ręki, jak wszyscy inni, których zwodził czerwony krawat.

Chyba właśnie dlatego, za sprawą tej właściwej, a przecież nieoczywistej reakcji, Pan Balon nie poprawił kapłana. To znaczy to był jeden z powodów. Drugi był taki, że imię przez niego użyte w jakiś sposób do kota pasowało. No i zwierzak najwyraźniej je zaaprobował, bo podszedł do gościa, wskoczył mu na kolana i trącił go głową w brzuch. Dopiero wtedy ksiądz uniósł dłoń i powoli opuścił ją na koci łebek, palcem sięgając za ucho.

– Zwykle nie lubi obcych – skomentował Pan Balon.

– Jak pan widzi, nie jestem obcy – odparł ksiądz Jan i brodą wskazał kopertę. – Mam to panu zostawić i sobie pójść? Może chce pan w spokoju…

– Chcę wiedzieć, po co ksiądz to wszystko robi!

Kapłan się zamyślił.

– To, co przeżyliśmy w tamtym autobusie… – odezwał się w końcu po dłuższej chwili. Mówił z początku powoli, z rozmysłem, a potem coraz szybciej, jakby jego myśli, a za nimi słowa, nabierały rozpędu. – To wydarzenie, ta droga, stwory i to, jak z tego wyszliśmy, to było najniezwyklejsze przeżycie, jakiego doświadczyłem. Namacalna niezwykłość, na której na nowo zacząłem budować swoją nadwątloną wówczas duchowość. Pamiętam, rozmawialiśmy wtedy dużo o strachu, o dorastaniu. Pan i pańscy bracia…

Na dźwięk tego słowa Pan Balon aż podskoczył.

– Bracia?

– Tak. – Ksiądz Jan pokiwał głową. – Nie wiem, czy rzeczywiście byli pańskimi braćmi. Nie sądzę. Tak samo jak ta młoda kobieta, która jeździła z wami, nie mogła być przecież waszą matką. Pewnie byliście po prostu jakimś motocyklowym bractwem…

Rozległ się huk i dźwięk roztrzaskującego się kubka, gdy gospodarz nagle poderwał się z miejsca. Stał teraz wpatrzony w księdza, dysząc ciężko, na przemian rozluźniając i zaciskając pięści.

– Kim ksiądz jest!? – wycedził. – Kim ksiądz jest i skąd wie o moich snach?

Kapłan ostrożnie zdjął kota ze swoich kolan i również wstał. Dzieliły ich dwa metry i przewrócony stolik.

– Nic nie wiem o żadnych snach, panie Kruszy…

– Nie nazywam się tak! – Pięści gospodarza się zacisnęły, szparki oczu wypełniły się łzami. – Nazywam się Andrzej Zimoń! I pytam, kim ksiądz jest!

Postąpił krok do przodu. Stopa w skarpetce trafiła na skorupy po kubku, ale nawet się nie skrzywił. Nie uszło to uwadze księdza Jana, który w jednej chwili poczuł, że po plecach spływa mu zimny pot. Ale wiedział dobrze, że niezależnie od tego, co teraz czuje i jak bardzo boi się wybuchu rozmówcy, nie wolno mu się cofnąć. Na krok wstecz było już za późno.

Zatem postąpił jeden do przodu.

– Nie wiem nic o snach, ale od niedawna wiem całkiem sporo o siłach Złego i o tym, że czasem używa on paskudnych metod – powiedział, mając nadzieję, że gospodarz nie słyszy drżenia w jego głosie. – Nie mam pojęcia, czy tym, co robię, pomagam panu, czy wręcz przeciwnie, ale ponieważ wierzę, że to Bóg zaaranżował to spotka… au!

Spojrzał w dół i w kolejnym rozbłysku błyskawicy – gdzie, u diabła, są grzmoty? – zauważył, że wzdłuż kantu spodni ciągną się teraz cztery wąskie szpary, przez które przesącza się krew. Pan Proper, wciąż prezentując pazury, przyglądał mu się z dezaprobatą, choć bez gniewu. Jakby tylko skorygował nieścisłość.

Ksiądz Jan nabrał powietrza i podjął przerwany wątek.

– Chodzi o to, panie Kru… Andrzeju, że jeśli mam rację i się znamy, a pan tego nie pamięta, to coś się panu stało i moim obowiązkiem jest panu pomóc. Panu i być może pańskim przyjaciołom, których pan teraz nie pamięta. Bo faktycznie, gdy się zastanowić, nie widziałem ich od dawna w naszej okolicy. A kiedyś słychać was było często, nawet z daleka.

Zapadła cisza przerywana jedynie grzmotami, które najwyraźniej postanowiły nadrobić wcześniejszą nieobecność i teraz tłukły jak oszalałe. W tym czasie z powodu burzy w mieszkaniu wysiadł prąd i pojedyncze rozbłyski błyskawic były teraz jedynym źródłem światła. To za ich sprawą stopniowa zmiana nastroju gospodarza wyglądała dla kapłana jak dokumentowana fotograficznie.

Gniew Andrzeja Zimonia topniał z każdą chwilą. Wielkie pięści zaciskały się coraz rzadziej, ściągnięta twarz przestawała być maską

wściekłości i sekunda po sekundzie na powrót stawała się miłym obliczem osiedlowego grubaska. Aż wreszcie ksiądz odważył się zapytać:

– To, panie Kruszyno, co zrobimy teraz?

– Obejrzę zdjęcia – odparł gospodarz.

Kapłan pokiwał głową.

– Tylko o to proszę.

Naraz poczuł, że nogi się pod nim uginają, więc wymacał palcami oparcie kanapy, usiadł i na moment przymknął oczy. Kot natychmiast skorzystał z okazji, wpakował mu się na kolana i stamtąd przyglądał się uważnie gospodarzowi sięgającemu po mokrą od rozlanej herbaty kopertę.

* * *

– Jadą! – zapiał wartownik. – Kukuuukurwa! Jadą!

Rzeczywiście niemal w tej samej chwili z oddali doszedł ich ryk silników, a potem zza horyzontu wyłoniły się pierwsze maszyny. Skoczna, lekka forpoczta enduro śmigających to w lewo, to w prawo i ciągnących za sobą snopy czerwonego dymu. To właśnie z jego kłębów wkrótce wyjechały dwa szeregi ciężkich, opancerzonych dwu- i trójkołowców, dwa zdezelowane łaziki i wreszcie masywna dwunastokołowa ciężarówka, obita przerdzewiałymi kawałkami karoserii z osobówek. Z dwóch wielkich kolumn zamocowanych po obu stronach kabiny w miejscu bocznych lusterek oraz ze sporego subwoofera na masce dochodziły dźwięki, trudno było jednak rozpoznać konkretną melodię przytłumioną ogólnym gwarem panującym w obozie, coraz głośniejszym rykiem silników i krzykami nadjeżdżających.

Wendy wyłoniła się z namiotu. Miała na sobie białą sukienkę, przerobioną na szybko ze znalezionej ślubnej. Kreacja była w założeniu bardzo skromna, co wciąż było widać po płytkim dekolcie, ale skrócenie jej do połowy uda z miejsca dodało jej pikanterii. Za biżuterię posłużyły Wendy rzeczy, które udało jej się

wypatrzyć w obozie. Drobne zębatki, łańcuchy motocyklowe, strzępki skóry – zrobiła, co mogła, by z jednej strony zaakcentować swoją przynależność do tego szalonego grona, ale z drugiej nie przesadzić i nie dać się ponieść rozbudzonej fantazji.

Rozejrzała się na boki, potem spojrzała w górę. Tam, na palisadzie dostrzegła Lubego, który wydawał polecenia jednemu z chłopaków. Wielu z nich nie znała jeszcze nawet z twarzy, a co dopiero z imienia.

Cień zauważył ją i machnął, a ona uśmiechnęła się, po czym złapała wysoko najbliższą spośród lin-wind i oplotła ją wokół nogi.

– Hej! – zawołała do przebiegającego półnagiego chłystka. – Wciągnij mnie na górę!

Udała, że nie dostrzegła jego zawahania, nie dosłyszała cichego przekleństwa i wyzwiska, nie poczuła ukłucia złości, gdy chłopak, zanim wreszcie złapał za blokadę i zwolnił obciążony drugi koniec liny. Przyjdzie jeszcze czas, by zająć się takimi drobiazgami. Na razie miała sporo do zrobienia. Z tą myślą uniosła się i z nią opadła z gracją na przejście na palisadzie.

Podeszła do Lubego i przyjrzała się trzymanej przez niego skórzanej motocyklowej kurtce.

– To dla niego? – zapytała.

– Zgadza się.

Skrzywiła się lekko i przeniosła wzrok na horyzont oraz ciągnące z oddali pojazdy. Były coraz bliżej, a z mechanicznej symfonii coraz łatwiej dało się dosłyszeć dźwięki The Who i ich *My Generation*.

– Nie będzie chciał tego nosić – powiedziała po chwili. – Uzna, że krępuje mu ruchy.

– Ale też będzie w niej dobrze wyglądał. Zawsze to sobie cenił.

– Od dobrego wyglądania ma teraz mnie, Cieniu. Ale jak tam chcesz. Nie zamierzam się z tobą kłócić.

Luby chciał skinąć, ale powstrzymał się w pół ruchu tchnięty nagłą refleksją. Powoli przechyliwszy głowę, przyjrzał się dziewczynie. Potem odwrócił się na pięcie.

– Hej, ty tam! – zawołał do chłopaka, który wciągnął Wendy, a gdy tamten na niego spojrzał, cisnął w niego kurtką. – Masz, przyda ci się!

– Dla mnie? – zdziwił się chłopak. – Naprawdę!?

– To od niej. Powiedziała, że ci się należy, bo byłeś miły – wyjaśnił Luby.

Znowu się odwrócił i wlepił wzrok w horyzont.

– Czyżbyśmy zaczynali się dogadywać? – zapytała Wendy drwiąco.

– Chyba tak – odparł zupełnie poważnie Cień.

Przez chwilę przyglądali się nadjeżdżającej kolumnie. Wcześniejszy czerwony dym ustąpił teraz miejsca żółtemu, znad którego raz po raz wystrzeliwały pod niebo niebieskie i zielone race. W tym miejscu droga gładko przechodziła w ziemiste bezdroże, więc kolumna zmieniła się w tyralierę, sprawnie rozciągając się na boki. Niezmiennym elementem pozostawała ciężarówka w centralnym jej punkcie. Na dachu kabiny dwóch mężczyzn albo tańczyło, albo uprawiało zapasy.

– Strasznie są głośni – stwierdziła Wendy.

Luby wzruszył ramionami.

– Nie bardziej niż ci za nami.

Jak na zawołanie gdzieś z tyłu coś łupnęło, rozległ się głośny syk i wrzaski oparzonych. A zaraz potem głośny rechot i wesołe piski.

– Tak, to prawda. Ale jesteś pewien, że…

– Że to miejsce jest bezpieczne i nikt go nie znajdzie? – wszedł jej w zdanie. – Tak, jestem. Ale… – Zawahał się. – Ja chyba też chciałbym cię o coś zapytać, Wendy.

Odwrócił się do niej. Choć wciąż sprawiał wrażenie rozluźnionego, a nawet rozbawionego, Wendy po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach coś, czego dostrzec nigdy się tam nie spodziewała. Niepewność.

– Ta kurtka może rzeczywiście nie była dobrym pomysłem – podjął Cień. – Ale za tydzień będziemy mieć niezwykle ważne spotkanie, na które Piotruś powinien pójść ubrany w określony sposób. Inaczej, nawet pomimo sztuczek i środków ostrożności, jakie podjąłem, nikt go nie wysłucha i…

– I nie jesteś pewien, czy się na to zgodzi? Chciałeś dać mu tę kurtkę, by się upewnić, że to, w czym wyruszał, to fanaberia?

Skinął głową.

– Powiedz, skąd wiedziałaś?

Pojazdy były już blisko, na palisadzie robiło się coraz głośniej. Większość stojących na niej ludzi zbrojna w tej chwili w różne kawałki metalu tłukła nimi albo jeden o drugi, albo o zaostrzone drewniane pale. Ci w samochodach i na motocyklach odpowiadali wrzaskami albo podkręcaniem obrotów silników. Rozmowa, także z powodu dymu i podnoszącego się kurzu była, była już bardzo utrudniona.

– Tak napra…

Wendy zadrżała, gdy metr pod nią zaczęła się otwierać brama wjazdowa. Udało jej się jednak złapać równowagę.

– Naprawdę, to nie wiem, skąd u mnie ta pewność. To znaczy ledwie go przecież znam, spędziliśmy razem raptem parę chwil. Nie rozumiem…

– Czyli jednak. – Cień uśmiechnął się smutno. – Ty już naprawdę jesteś Wendy, moja droga. I choć proces jeszcze trwa, stałaś się nią zdecydowanie szybciej i pełniej, niż to się działo kiedykolwiek wcześniej.

– Wcześniej? – zdziwiła się.

– Tak. Nie jesteś pierwszą i możliwe, że nie ostatnią, ale póki nią jesteś, wszyscy inni idą w odstawkę i to ty jesteś mu najbliższą osobą na świecie. Tak to właśnie działa. I to stąd wiesz.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć, zresztą i tak było już na to za późno. Pierwsze motocykle wjechały do obozu, po nich kolejne, a następnie samochody.

Ciężarówka, okryta blachą, strojna w wycięte z niej ludzkie sylwetki, nadtopione gumowe maski i wielokolorowe strzępy proporczyków, zrobiła jeszcze rundę honorową wzdłuż palisady, aby rozgorączkowany tłum mógł się uważnie przyjrzeć tańczącym na dachu dwóm nowym nabytkom obozu – Bliźniakom, a także by mógł powitać Piotrusia rozwalonego na tronie z bagażnika starej warszawy, siedzącego po jego prawicy Stalówki i pokiereszowanych bohaterów ataku na więźniarkę. Ich krew, bandaże, rany i obtłuczenia zapowiadały nielicho dobrą historię.

W pewnej chwili Pan dostrzegł Wendy, więc podniósł się, odgarnął włosy, a potem zasalutował. Wyglądał teraz surrealistycznie na tle

tych wszystkich twardzieli w skórzanych kurtkach, w tej swojej zwiewnej, półprzezroczystej koszuli z jakimś artystycznym bohomazem, w wielkich damskich okularach na nosie, w obcisłych dżinsach i z bosymi stopami. Ale jeszcze dziwniejsza była reakcja tłumu. Spod zwierzęcości wrzasków, przekleństw i szaleńczych, dzikich tańców przebijała orgiastyczna wręcz euforia. Ekstaza w stanie czystym. To było jak…

– Miłość! – zawołał Cień, a może tylko szepnął głośno we wnętrzu jej głowy. – To miłość. Znają go i pamiętają fałszywymi wspomnieniami, ale miłość jest najprawdziwsza.

„Tak – pomyślała Wendy. – Miłość”. A potem wiedziona nagłym, zupełnie irracjonalnym impulsem, gdy tylko ciężarówka zaczęła zawracać dokładnie pod nimi, z gracją wspięła się na palisadę, rozłożyła szeroko ręce i skoczyła.

Piotruś, dostrzegłszy to, natychmiast odbił się od platformy i pomknął w jej stronę, po czym w locie złapał ją w pasie, przycisnął o siebie, obrócił się i… runął na plecy, ledwie parę naście centymetrów od kół ciężarówki.

Na krótką chwilę wrzaski ucichły, a wszyscy zgromadzeni na palisadzie zamarli w bezruchu.

A potem Wendy podniosła się powoli i wyciągnęła rękę do wciąż leżącego Pana.

– Myślałam, że miłość uskrzydla – powiedziała.

Piotruś roześmiał się i zdjął z twarzy połamane okulary.

– A komu potrzebne skrzydła, żeby latać? – zapytał, sięgając po podaną rękę.

Ktoś zapiał głośno, a tłum podjął owo pianie. Poniosło się aż po horyzont.

* * *

Stalówka drgnął jak wszyscy, gdy Piotruś skoczył, ale kiedy razem z Wendy runęli na ziemię, nie wstał, jak jego towarzysze z ciężarówkowej paki, by sprawdzić, czy wszystko z Panem

w porządku. Wiedział, że tak, bo jemu nic się przecież poważnego stać się nie mogło. Zresztą, nawet gdyby…

Tak, Stalówka miał żal. Do Piotrusia, do Cienia, do nich wszystkich. Za to, co wyprawiali przed akcją, za to, że nagle wszystko było źle i to oczywiście była jego wina. Teraz też, gdyby nie on, szlag by trafił całe to odbijanie. Dwóch bliźniaczych pojebów leżałoby pewnie martwych w przewróconym wozie, a co najmniej jeden z tych pierdolonych w dupę kaskaderów roztarłby się na papkę o asfalt. Ale oczywiście co? Problem, bo zepsuł zabawę. Bo się za bardzo wszystkim przejmuje. Więc teraz właśnie przestał i tylko patrzył, jak Piotruś zbiera się z ziemi, otrzepuje z piasku i rusza pod rękę z tą swoją pieprzoną Wendy.

– Szlag, jest niezła – skomentował nagle półleżący parę metrów dalej Musli.

To właśnie on omal nie zginął, a ostatecznie skończył solidnie poharatany, jakby sama jego pryszczata twarz nie uczyniła go dość brzydkim.

– Myślicie, że kiedyś się Piotrusiowi znudzi?

– Cóż pozwala ci dociekać, jakobyś to akurat ty miał do niej wtedy największe powinowactwo? – zapytał znudzonym tonem Edgar, u którego możliwość pogapienia się na nogi wybranki Pana przegrała sromotnie z błogim lenistwem i miękkością rozłożonych na pace poduszek.

– Sam jesteś, kurwa, powinowactwo – burknął Musli. – I jak nie znasz odpowiedzi, to się, kurwa, nie odzywaj. A ty, Tommy Dżi? Jak sądzi…

– Spierdalaj.

– Aha.

Albinos już miał się wtrącić, że przecież Wendy nigdy się nie nudzą, tylko po prostu odchodzą. Tak było zawsze i każdy z nich o tym pamiętał, więc o czym on w ogóle mówi!? Zdał sobie jednak sprawę, że Musli jest przecież nowy. Piotrusia nie znał i dopiero co…

Ej, zaraz, przemknęło mu nagle przez głowę. Myśl zupełnie świeża, choć przecież w jakiś sposób oczywista. Skoro nie zna, to jakim cudem go w ogóle pamięta? Oni wszyscy twierdzą, że pamiętają, a przecie…

– Auu!! – wrzasnął, gdy ciąg jego myśli został gwałtownie przerwany przez nakrętkę wielkości kciuka, która właśnie trafiła go w głowę. – Który, to, kurw…

Z kabiny pomachał do niego jeden z Bliźniaków.

– Kierowca pyta, co teraz robimy, wodzu białych twarzy.

Stalówka zmełł przekleństwo, potarł ręką obolałe miejsce i poprawił okulary przeciwsłoneczne.

– Jak to co, kurwa, robimy…? Niech wjeżdża!

Bliźniak zasalutował, po czym załomotał pięścią w kabinę i zawołał:

– Wjeżdżamy! Dalej!

Ciężarówka znowu ruszyła, tym razem biorąc zapas do wzięcia zakrętu.

Ci, którzy wciąż byli na palisadzie – wielu bowiem zeskoczyło zeń z chwilą, gdy Piotruś z Wendy wkroczyli do obozu – wydali z siebie parę ochrypłych okrzyków.

Stalówka westchnął. Za nieco ponad tydzień, zgodnie z planem Cienia, wezmą udział w ważnym spotkaniu, gdzie powinni się należycie zaprezentować. Na razie nie mieli nic prócz stada małp na motocyklach.

DWA

Najpierw przez pół drogi nie mówiła zupełnie nic. Stroiła tylko te swoje miny, sprawdzała w lusterku, czy dobrze leżą, czy brwi należycie zmarszczone, usta ściągnięte – tak że przypominały zaczerwieniony odbyt – i czy oczy miotają błyskawicami o odpowiednim natężeniu. Wtedy, gdy już była pewna, że wszystko jest jak trzeba, szybkim ruchem głowy posyłała mu tę niewerbalną wiązankę i doprawiała głośnym sapnięciem lub prychnięciem. I to było straszne.

Potem jednak Kędzierski, zmęczony nocą w areszcie, pogadankami i przesłuchaniem, całą tą papierkową robotą przy wyjściu i wreszcie jednostajnym widokiem za oknem samochodu do spółki z prezentowanym mu raz po raz wyrazem niezadowolenia, wreszcie przełamał ciszę.

– Gdzie mały? – zapytał.

Natychmiast zrobiło się jeszcze gorzej.

– Teraz pytasz! – ofuknęła go, zupełnie jakby się jej słowa wplątały niechcący w jedno z tych regularnych sapnięć i wyleciały niezgrabnie razem z nim; kilka kulistych kropelek śliny zostało jej na wardze, ale zlizała je szybko.

Włączyła kierunkowskaz. Skręciła. Dopiero wtedy zerknęła na męża z ukosa.

– Nagle cię zainteresowało, gdzie podziewa się nasz syn, gdy jego ojciec siedzi w więzieniu.

– Areszcie – poprawił ją odruchowo i zupełnie niepotrzebnie.

– No tak – mruknęła. – Jesteś już przecież ekspertem i dla ciebie to różnica. Oczywiście!

Przez krótką chwilę jechali w ciszy i Kędzierski miał nadzieję, że jednak mu się upiekło. Ale nie, skąd! To pewnie naiwność wywołana

zmęczeniem. Przecież dopiero się zaczynało!

– Wiesz, jak się czułam, musząc podać powód zwolnienia w pracy? Jaki to był straszny wstyd, kiedy musiałam poprosić Kryśkę, by odebrała Kubę ze szkoły?

„Wstyd to dopiero będzie”, pomyślał Kędzierski, przecierając ręką twarz. Wstyd i to, kurwa, jaki, dla tego biednego dzieciaka, gdy ta tłusta, wiecznie spocona i zaniedbana baba będzie nieudolnie flirtować z żonatym Panem Stopem, a potem machać na Kubusia i wydawać z siebie dźwięki maltretowanej gumowej kaczki. Kumple mu tego przez lata nie odpuszczą. Za metrowego chuja!

To jednak zachował dla siebie, nie chcąc jej dawać argumentów do rozpoczęcia wściekłej tyrady i potem awantury. Ta druga poruszona przez nią kwestia wydawała mu się jeszcze do obronienia. Jakoś.

– Po pierwsze, nie prosiłem cię, byś po mnie teraz przyjeżdżała – powiedział. – Wpadłaś wtedy po małego i spoko, gra, kurwa, gitara, ale…

– Nie klnij! – stęknęła. – Prosiłam cię już tyle razy, a Kubuś już chodzi i powtarza.

– Kiedy ty go, na pałę Chrystusa, widziałaś przeklinającego!?

Łypnęła na niego nerwowo.

– Nie klnij, prosiłam przecież.

– Pała Chrystusa to nie przekleństwo, a jebane, kurwa w dupę, bluźnienie! – ryknął. – Różnica jak między pierdolonym aresztem a więzieniem i… Miałaś tu skręcić!

Gwałtownie obróciła kierownicą, wbijając się na sąsiedni pas i zajeżdżając drogę masywnej kii. Rozległ się przeciągły dźwięk klaksonu. Monika zaczęła płakać.

Kędzierski zamknął na chwilę oczy, wziął głęboki oddech i już otwierał usta, by przeprosić, ale go ubiegła.

– Jedzie za nami – zakomunikowała, pociągając przy tym nosem. – Ten kierowca.

Kędzierski zerknął w lusterko.

– No i? Pewnie też tu skrę…

Ale zanim dokończył, SUV wyprzedził ich nagle, zajechał im drogę i gwałtownie zahamował, zmuszając Monikę, by zrobiła to samo.

Zaraz potem trzasnęły drzwi i w ich stronę ruszył wściekły kierowca kii.

Był to dość wysoki blondyn, młody, wysportowany i zadbany, w drogich okularach przeciwsłonecznych na opalonym nosie. Ostrzyżony na krótko, po wojskowemu, ale z obowiązkową porcją żelu. Na nogach markowe sportowe buty do markowych dżinsów, na górze koszulka bez nadruków ciasno opinająca umięśnioną klatkę. Kędzierski przyjrzał mu się uważnie, łapiąc za klamkę, dopiero gdy tamten był przy ich samochodzie i już sięgał ręką do drzwi od strony kierowcy.

– Poczekaj, załatwię to – powiedział.

Monika odwróciła się do niego.

– Tylko się w nic znowu nie właduj, na miłość boską…

Kędzierski wysiadł, ale celowo się zgarbił i oparł o dach, by ukryć swój wzrost.

– Pan zostawi te drzwi – powiedział.

– Kurwa, kto was w ogóle na drogę wpuścił!? – wydarł się tamten.

Właściwie bluzgał już wcześniej, ale teraz, gdy trafił wreszcie na odbiorcę, bluzgi przybrały na decybelach.

– Jak się, kurwa, jeździć nie umie, to…

– Przepraszam w imieniu swoim i żony – powiedział Kędzierski.

Spodziewał się, że to nie będzie miało żadnego znaczenia. W zasadzie trochę na to liczył.

– Chuj mi po twoim „przepraszam”, cwelu – warknął tamten.

Wtedy Kędzierski się wyprostował na całe swoje przerośnięte, kudłate dwa metry. A potem, nim mężczyzna zdążył na to w jakikolwiek sposób zareagować, ruszył szybkim krokiem między samochodami, tak by odciąć kierowcy SUV-a drogę ewentualnej ucieczki. Dopiero gdy stanął tuż przed nim, gdy zmierzył go z góry wzrokiem, wyszczerzył się w uśmiechu i powiedział:

– To dobrze, bo w zasadzie nie były szczere. A teraz wsiądziesz w tę swoją koreańską puchę i…

– Myślisz, że się ciebie boję, fiucie? – warknął tamten.

Kędzierski się roześmiał.

– Ja wiem, że jestem wysoki i ledwie wzrokiem tam sięgasz, ale nie mów do niego, tylko do mnie – powiedział. – A najlepiej w ogóle

nie mów, tylko grzecznie i już bez spiny wypierda…

Wtedy padł pierwszy cios. W sumie całkiem rozsądny w tej niedorzecznej sytuacji, bo w brzuch, a w dodatku zadany z taką siłą, że zmusił rudego olbrzyma do cofnięcia się o pół kroku, a nawet stęknięcia. W żaden jednak sposób – na co z pewnością liczył kierowca SUV-a, sądząc po tym, że lewą rękę przygotował do haka – nie miał szans zgiąć Kędzierskiego w pół. Zatem kolejne uderzenie, mimo że wyprowadzone całkiem szybko, nie sięgnęło już celu.

Olbrzym zrobił unik, a jednocześnie wyciągnął lewą rękę i złapał blondyna za nadgarstek. Szarpnął do siebie, zmienił rękę zaciśniętą na przegubie i niczym kulomiot wywinął się w półobrocie. W kluczowym momencie puścił przeciwnika i siłą impetu niemal wprasował go w tył jego samochodu.

To by w zasadzie wystarczyło, ale Kędzierski był wściekły. Minął osuwającego się na ziemię blondyna, otworzył drzwi do jego samochodu, wbił luz i zwolnił ręczny. A potem zaparł się i pchnął. Nie za mocno, ale wystarczająco, by samochód zaczął się powoli toczyć po lekko opadającej powierzchni.

– Teraz przepraszam całkiem szczerze – powiedział do blondyna, który usilnie próbował się podnieść.

Minął go, podszedł do ich sfatygowanego renault od strony kierowcy i otworzył drzwi.

– Przesiądź się – polecił. – Rzeczywiście nie powinnaś prowadzić taka wzburzona.

Monika przesiadła się bez słowa, a on odsunął maksymalnie siedzenie, wcisnął się za kółko, zamknął drzwi i odpalił samochód. Włączył kierunkowskaz i najpierw ostrożnie ominął blondyna, a potem wyprzedził jego toczący się coraz szybciej samochód.

Gdy po kilku minutach znowu zaczęła mu doskwierać cisza, włączył radio.

* * *

Oczywiście to, że nie zatankowała, też okazało się ostatecznie jego winą. Najpierw, bo nerwy – a przez kogo te nerwy, no przez kogo? – upokorzenia i ogólny pośpiech. Potem, bo nerwy, kłótnia i jeszcze to zdarzenie z tym drugim kierowcą. A w ogóle to wskaźnik paliwa nie działał i mówiła mu o tym dawno, a on nie naprawił. Jego wina była oczywista.

Na szczęście samochód odmówił posłuszeństwa niedaleko stacji, więc wystarczyło go trochę dopchnąć. Dla olbrzyma było to wysiłkiem w zasadzie żadnym, a przynajmniej stłumiło w zarodku kolejną kłótnię. Monika znowu zajęła miejsce za kierownicą, Kędzierski natomiast przeszedł na tył i obie ręce oparł na bagażniku. Z prędkością spacerową dotoczyli się do pobliskiego Orlenu.

– Za ile? – zapytał Kędzierski, chwytając za nalewak.

– Dlaczego mnie pytasz?

– Nie masz pieniędzy?

– A ty?

Zamknął oczy i policzył wszystkie te kurwy, które właśnie chciał wycedzić. Gdy doszedł do dziesiątej, włożył nalewak do wlewu i nacisnął spust. Liczby na liczniku dystrybutora zaczęły szybko rosnąć.

Nalał za czterdzieści dziewięć, potem spróbował wyrównać, ale przestrzelił o osiemnaście groszy. Westchnął, mając nadzieję, że w portfelu coś się jeszcze klepie. Proszenie Moniki o dwadzieścia groszy byłoby cudownym dopełnieniem tego jakże zajebistego dnia.

Zakręcił korek wlewu, zamknął klapkę i ruszył do kas.

– Tylko się pospiesz! – zawołała do niego przez uchylone okno. – Kryśka ma za godzinę aerobik.

Parsknął, ale docisnąwszy pięść do ust, udał, że to kaszel, a potem wszedł do sklepu. Wnętrze prezentowało się niemal identycznie jak na jego stacji. To znaczy, poprawił się w myślach, tak jak tam było wcześniej, bo teraz to tylko folia, taśmy i rozpierdol. Kilka regałów ustawiono inaczej, by lepiej wyeksponować promocje. Kędzierski złapał się na tym, że próbuje zapamiętać ten układ. Może tak rzeczywiście jest lepiej i warto byłoby to zastosować?

Przed nim w kolejce do jedynej działającej kasy była jakaś dziewczyna, fajna, ładniutka, choć wyraźnie zmęczona. Obejrzał się

i już wiedział dlaczego – zobaczył stojące przy drugim dystrybutorze kombi, a w nim maluchy w fotelikach. Sądząc po rozdziawionej buzi, jeden z nich właśnie darł japę. Kobieta zapłaciła szybko i pognała do wyjścia, szturchając Kędzierskiego ramieniem.

– Przepraszam – mruknęła.

– Nic się nie stało – odparł, a potem odprowadził ją wzrokiem do drzwi. W sumie z tyłu prezentowała się nawet lepiej…

– Co dla pana? – zapytał zniecierpliwionym tonem śniady chłystek za ladą.

Kędzierski się nie odwrócił.

– Z piątki – powiedział, podając na oślep banknot i monetę. – Nic więcej, nie zbieram punktów. Gdzie macie kible?

– Prosto i w lewo.

Kędzierski ruszył w tamtą stronę, gdy nagle coś go zatrzymało w pół kroku. Akurat wybiła pełna godzina i w radiu, którego słuchał chłopak zza lady, nadawali wiadomości.

„Nadal trwa poszukiwanie zbiegłych Bartosza i Grzegorza W., znanych opinii publicznej jako Tańczące Bliźniaki. Z *Faktów* wiecie już państwo, że obaj mężczyźni, aresztowani za kilkanaście napadów na banki w całej Polsce, zbiegli z więziennego transportu dzisiaj we wczesnych godzinach rannych. W brawurowej i niezwykle brutalnej akcji ich odbicia brało udział co najmniej czterech nieznanych sprawców na motocyklach…”

– No to, kurwa, ładnie – mruknął Kędzierski.

Niespecjalnie znał się na internecie, a wiadomości z telewizji czy gazet wpadały mu do głowy i wypadały, najczęściej nie zostawiając śladu. O tym, że gość, którego walnął na posterunku, jest jednym z rzekomo słynnych bandziorów, dowiedział się już w celi, od współspacza, który był niezwykle podekscytowany tym, że za ścianą mają przymusowy postój takie gwiazdy. Kędzierskiego kusiło nawet, żeby mu powiedzieć, że jednemu z nich dał w ryj, ale po namyśle uznał, że wówczas sam mógłby się stać przypadkowym obiektem kultu, a to mu się nie uśmiechało.

A teraz proszę, goście są na wolności. Gdy go wypuszczali i wypisywał te wszystkie durne papierki, rzeczywiście panowała na posterunku jakaś nerwowość. Ktoś coś krzyczał, ktoś kurwował

w telefon, ale wtedy Kędzierski się nie zainteresował, bo i po co. Większym problemem była dla niego perspektywa spotkania z Moniką, zobaczenie skwaszonej miny na tej w gruncie rzeczy wciąż jeszcze prawie ładnej twarzy.

„Oby tylko nie przyszło im w tym szaleństwie szukać rewanżu”, pomyślał, pchając drzwi do toalet. W męskiej był remont, więc wszedł do damskiej. Stanął nad muszlą, rozpiął spodnie i…

…nagle świat wokoło rozmył się nieco, zawirował, a potem wszystko wokół zdeformowało się jak w gabinecie krzywych luster. Kędzierskiemu przez myśl przemknęło, że to może jakieś omdlenie, osłabienie wywołane stresem albo spóźniona reakcja organizmu. Słyszał, że takie rzeczy się zdarzają. Ale czy musiały…

– Jak, kurwa, leję?

Ostatnie słowa wypowiedział, stojąc w kręgu usypanym z białego proszku na betonowej podłodze ciemnego garażu. Powiedział je, ku swemu zdumieniu, do drobnej rudej ślicznotki i młodo wyglądającego blondyna w motocyklowym wdzianku, któremu właśnie szczał na buty.

* * *

Z początku Dzwoneczek zupełnie nie pamiętała o tej opcji. Wydarzenia związane z potwierdzaniem własnej poczytalności, a potem wszystkie działania, jakie podjęła – jakie musiała podjąć – by odzyskać Milczka, całkowicie zaprzątnęły jej myśli.

Wiedziała, żeby nie sięgać za daleko. Teraz, póki nie odzyska sił, liczyła się zasada dwóch kroków: jeden wykonujesz, myślisz o kolejnym i tak w kółko.

Szczerze mówiąc, gdy odprawiła Paragona i odzyskała Milczka, nie miała w głowie w zasadzie nic. Tylko twarz tej biednej dziewczyny, której jedyną winą było zakochanie się w jednym z jej Chłopców. A właściwie nawet nie to, tylko zaszczepiona w nim, zaprogramowana weń wzajemność. Biedna Rózia musiała zginąć,

i to na oczach Milczka, by ten się obudził. To było jedyne wyjście. Ale czy to cokolwiek tłumaczyło? Cokolwiek usprawiedliwiało?

I jeszcze ta obojętność jej Chłopca, gdy już jako on spojrzał na przywiązane zwłoki. Coś, co ruszyło ją dopiero po chwili, gdy jej zmęczony umysł zaczął powoli przetrawiać otrzymane w nadmiarze informacje.

Nie miała planu, jak odzyskać pozostałych ani nawet jak zacząć ich szukać, co zdecydowanie powinno być następnym krokiem. Wtedy właśnie Milczek przypomniał jej o tym sposobie, o nietypowym zastosowaniu proszku. Praktycznie z niego nie korzystali, a nawet gdyby chcieli, udawało się tylko Bliźniakom oraz właśnie Milczkowi i Kędziorowi. Proszek plus krew. Symbol na ziemi i zestrojenie umysłów. Skrót od Skrótu, a może po prostu teleportacja jak ze starego serialu sci-fi?

Nawet gdy już sobie przypomniała, niespecjalnie wierzyła, że się uda. Ich wyprane i zabarwione nowymi życiami umysły nie mogły być już przecież zgrane, cały trik nie miał więc prawa zadziałać.

A jednak! Stała teraz i patrzyła na wielkiego faceta ściskającego w ogromnej łapie swoją wciąż sikającą fujarę. Gość nie miał co prawda długich rudych kudłów uformowanych w szalone sprężynki ani gęstej, długiej brody, ale poza tym zdecydowanie mógł być Kędziorem.

A potem się odezwał:

– Jak, kurwa, leję?

Wtedy była już pewna. Gąski, gąski do domu – przypomniało jej się nagle nie wiadomo skąd. W tym momencie miała już dwie. Zostały jeszcze cztery.

* * *

Cień stał na moście linowym zawieszonym wysoko między rozłożystymi konarami ogromnego drzewa. Patrząc na kłębiące się pod jego stopami narastające szaleństwo, czekał. Na dole kilku śmiałków urządziło sobie właśnie wyścigi enduro po wciąż jeszcze

pełnych, a w dodatku mało stabilnych stołach, kto inny wydał polecenie szturmu na podwieszoną na kilku metrach scenę, by siłą przekonać muzyków do zmiany repertuaru. Cień stał. Wyprostowany, z rękami zaplecionymi z tyłu. Czekał.

Trochę na lewo, w świetlnym kręgu utworzonym z samochodowych reflektorów, Bliźniacy, wsparci o siebie plecami i uzbrojeni w kije, odpierali ataki wyprowadzane za pomocą podobnej broni. Ktoś piał, inni krzyczeli, ktoś cisnął świecę dymną. Cień czekał.

Nie niecierpliwił się, choć minęło już sporo czasu, odkąd Piotruś i Wendy zniknęli w swoim domku na drzewie za jego plecami. Od dawna nie dochodziły go też jęki i posapywania – oczywisty znak, że pierwsze żądze zostały zaspokojone. Cień wiedział jednak, że relacja między tą dwójką była czymś więcej niż zwierzęcym parzeniem się. Ba, zazwyczaj obywała się nawet bez niego. A ta dziewczyna była dobrą, prawdziwą Wendy. Może najprawdziwszą?

Słyszał ich przyciszoną rozmowę. Słyszał ich śmiech, stanowcze zdanie i mówione ciągiem pospieszne relacje. Nie wsłuchiwał się bardzo uważnie, nie próbował wyłowić konkretnych słów spośród kakofonii dźwięków dochodzących z dołu. Melodia tej rozmowy mówiła wyraźnie, że jest między nimi dobrze, a Piotruś jest zadowolony. To było najważniejsze.

Zwłaszcza że zasłużył. Nie tylko przeprowadzeniem całej akcji mimo niespodziewanych zmian, zaadaptowaniem planu do nowych okoliczności i powstrzymaniem swego narwanego zespołu przed szturmem na tymczasowy areszt, gdy transportowani Bliźniacy mieli tam nadprogramowy, przymusowy postój. W tej ostatniej kwestii spora też była rola jak zwykle spokojnego Stalówki, ale przecież Piotruś mógł go w swym narwaniu nie posłuchać. A tu proszę.

To, jak się zachował, gdy już wrócili, też napawało Cienia niemal ojcowską dumą. Zaraz po tym jak przeszli przez bramę, Piotruś dał im to, czego oczekiwali – szaleństwo i gracje Wiecznego Chłopca. Swoim ekwilibrystycznym popisem na linach – gdy przeskakując i dając się wciągać, skacząc po gałęziach, mostkach i dachach domków, wspiął się właściwie pod sam czubek drzewa, by potem

w równie ekscytującej serii akrobacji opaść, wylądować na scenie i podziękować za przyjęcie – wywołał dziką euforię.

Właśnie ze sceny Piotruś wzniósł pierwszy toast, przedstawił Bliźniaków jako nowych w obozie i przeprosił na jakiś czas, bo – jak powiedział – był głodny, ale jeszcze nie jedzenia. Gdy oboje z Wendy wjeżdżali po chwili na górę, cały obóz darł się, wył i piał. A potem wszyscy zaczęli się bawić.

Tak, Piotruś był tu może od niedawna, mógł nie znać tych konkretnych ludzi tak, jak im się zdawało, że znają jego, ale wciąż wiedział, jak być wodzem zagubionych, wiecznych dzieciaków. Mimo że sam nieco jednak dorósł.

Wreszcie poruszyły się paciorki zasłony i Wendy wyszła z domku. Cień słyszał, jak się przeciąga, a potem jak rusza w jego stronę, ale nie poruszył się, nawet gdy stanęła obok niego.

– I jak tam? Podglądałeś? – zapytała z nutką drwiny.

– Zastanawiałaś się kiedyś, czym, w trakcie gdy ty coś robisz, zajmuje się twój cień?

– Mówiłeś, że nie ma czegoś takiego jak mój cień, bo ten nie należy do nikogo.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Punkt dla ciebie – przyznał. – Jak dzielny zdobywca?

– Ubiera się i jeszcze chwilę mu to zajmie, więc…

Po chwili pauzy dodała ciszej i mniej pewnie:

– Cieniu…

Dopiero teraz na nią spojrzał. Dostrzegł, że ubrana jest zwyczajnie – krótkie szorty, luźna, odsłaniająca ramię bluzka, na stopach sandały. Wyglądała teraz znowu jak zwykła dziewczyna, ta sama, którą zabrali z domku nad jeziorem. Do tego przygryzła dolną wargę.

Nagle ogarnęły go wątpliwości. Skąd ta nagła zmiana tonu, to nazwanie go po imieniu, te pauzy? Czyżby mieli jakiś problem? A raczej: czyżby ona miała? Przecież gdyby to jego sytuacja właśnie się zmieniła, gdyby Piotruś żywił względem niego jakiekolwiek wątpliwości, to raz, że Cień by to poczuł, a dwa, nie komunikowałaby mu tego w taki sposób. Nie z przejęciem, nie z przygryzaniem wargi, bo niby czemu miałoby jej na nim zależeć? Czemu miałaby się

przejmować jego ewentualnym złym losem? Nie byli z Wendy przyjaciółmi. Oboje stanowili po prostu część historii. Mieli swoje role, zadania, a jedyną różnicą między nimi była świadomość. On wiedział, kim i po co są. I dlaczego oboje są istotni.

– Cieniu? Coś się stało?

Otrząsnął się. Zdumiało go, jak mocno i jak szybko zawładnął nim ten niepokój. I jak daleko zdążył zdryfować w te kilka sekund. Natychmiast przywołał się do porządku i pozwolił cieniom na swej twarzy uformować maskę wesołości.

– Nie, nic się nie stało, zamyśliłem się – odparł. – W czym mogę ci pomóc?

– Zastanawiałam się… który z was i kiedy opowie mi wreszcie więcej o Dzwoneczku.

Cień odchylił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

– Z czego się śmiejesz?

– Myślałem, że coś się stało poważnego – przyznał zgodnie z prawdą.

– Poważnego jak co? – zadrwiła. – Że zaszłam w ciążę?

Cień, nie przestając się śmiać, pokiwał głową.

– No na przykład. To, uwierz mi, zdumiałoby mnie jak nic innego w życiu. A co do Dzwoneczka, Piotruś coś ci o niej mówił?

Wyciągnęła przed siebie dłoń wnętrzem w dół i zakołysała nią. Trochę…

– A ty oczywiście chciałabyś wiedzieć o niej wszystko. Jak kobieta o kobiecie?

Wendy wzruszyła ramionami.

– Jest ważna, prawda?

– Owszem. Nawet bardz…

Odwrócił się na dźwięk poruszających się koralików. Za nim stał Piotruś, w samych spodniach i z żółtą chustą na głowie. Na nosie miał różowe lenonki, a do pasa z klamrą w kształcie ptasiej czaszki przypiął długi, niemiecki bagnet z nieudolnie wydrapaną swastyką.

– O proszę, powrócił król balu!

Piotruś skinął mu głową niedbale, jakby od niechcenia, po czym zrobił parę kroków w bok, stanął nad prowizoryczną rynną i rozpiął spodnie.

– Nie zbieramy tam gdzieś deszczówki, prawda? – zapytał, gdy struga moczu zaczęła się już rozbryzgiwać o ściany koryta.

– W tym świecie nie musimy – odparł Cień.

Piotruś pokiwał głową.

– A właśnie. Będę potrzebował, byś wytłumaczył mi dokładniej, czym jest to miejsce, gdzie się teraz znajdujemy i jak dokładnie, zwłaszcza dla ciebie, działa Skrót. Bo po całej tej akcji myślę, że kryje w sobie jeszcze masę możliwych przygód.

„Tak – pomyślał Cień z przekąsem. – W tym także największą z nich”. Na głos jednak powiedział tylko:

– Opowiem ci wszystko, co wiem, ale na razie chyba powoli orientują się, że wciąż cię tam nie ma. – Wskazał ręką na tłum, którego zachowanie bynajmniej nie sugerowało tęsknoty za kimkolwiek. – Ja z kolei, skoro już tu jesteś, pozwolę sobie wziąć ze sobą Stalówkę i pojechać po twój prezent.

Piotruś odwrócił się i przechylił głowę.

– Masz na myśli…

– Tak – potwierdził Cień, po czym zwrócił się też do Wendy: – To prezent także dla ciebie. Odpowiedzi na wszelkie pytania najlepiej zdobywać u samego źródła.

Niczym wzmocnienie tych słów gdzieś na dole rozległ się huk, a sekundę później w górę, niemal na wysokość, na której stali, wleciał wrzeszczący wniebogłosy facet w popękanej drewnianej beczce. Cała trójka w jednej chwili dopadła linowej poręczy. Spojrzeli w dół, skąd obaj Bliźniacy machali do nich spod czegoś, co wyglądało jak wielka armata.

– Chyba chcą zwrócić twoją uwagę, Piotrusiu – powiedziała Wendy.

– Tak, masz rację. – Piotruś potrząsnął grzywą skołtunionych włosów. – No to idę. Do później, Cieniu, i niecierpliwie czekam na twój prezent. A na ciebie, Piękna, czekam na dole.

To powiedziawszy, wziął rozpęd i skoczył prosto na wiszącą swobodnie linę. Worek pełen części samochodowych poszybował w górę, a Piotruś, pieając na całe gardło, pomknął w dół.

* * *

Kędzierski nigdy nie dziwił się łatwo. W najodleglejszych wspomnieniach, gdzieś w zakątku głowy, wciąż miał obrazy z odległej tropikalnej wyspy, gdzie mieszkał z rówieśnikami i wraz z nimi walczył u boku dzikich Indian z bezlitosną bandą piratów. Choć dał się przekonać rozlicznym specjalistom mówiącym mu, że to po prostu jakieś psychiczne zaburzenie wywołane traumą, niezwykle sugestywna projekcja wyobraźni, której obecnym przejawem był jego scenariuszowy talent – tak powiedzieli! – to gdy ma się takie dziwne gówno w umysłowym portfolio, trudno o zaskoczenia. A gdyby tego było mało, miał przecież wydarzenia ostatnich dni i nocy, zombiastycznych szczuroludzi na stacji benzynowej i całe to chore gówno. Przy tym sytuacja, w której znalazł się obecnie, jawiła się jako niemal zwyczajna. No dobra, trochę niezręczna, bo co możesz powiedzieć, stojąc w nieznanym miejscu przed obcymi ludźmi z chujem w garści?

Kędzierski zdecydował się na lekko podkręconego klasyka.

– Co jest, do kurwy w dupę rżniętej nędzy? – zapytał, strząsając z fiuta ostatnie krople. – Odlać się w spokoju nie można?

Blondyn zamachał coś rękami, a dziewucha pokręciła głową.

– Nie sądzę, by cię teraz rozumiał, Milczek, więc możesz sobie darować złośliwości. A co do twojego pytania – zwróciła się do Kędziora – to tym razem ci daruję wulgarny język, bo się stęskniłam. Ale odezwij się tak do mnie lub przy mnie jeszcze raz, to uwierz mi, że popamiętasz.

Kędzierski otworzył usta. Zamrugał. Zamknął usta.

– Przepraszam – powiedział całkowicie zaskoczony. Zaraz potem dodał tym samym tonem: – Możesz mi wyjaśnić, co tu się odpierda… wyrabia znaczy? I kim wy, do diabła, jesteście?

Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem.

– Do diabła jest w porządku, zwłaszcza w tych okolicznościach – stwierdziła. – Co do reszty: ja jestem Dzwoneczek, a to jest Milczek. I to jest ta prosta część opowieści. Reszta będzie trochę jazdą bez trzymanki i chwilę nam zajmie, dlatego może usiądziemy?

Ręką wskazała na skryty w kącie i do tej pory niemal niewidoczny komplet biwakowy złożony z kilku turystycznych krzesełek, rozkładanego stolika i dwóch sfatygowanych leżaków. Na stoliku stał sześciopak piwa, a pod nim jeszcze dwa kolejne. Kuszące, ale…

– Nie da rady – westchnął Kędzierski. – Znaczy, zawsze spoko pobiwakować w środku dnia przy piwku i pogawędzić z fajną dupą, ale moja stara siedzi tam teraz w aucie i pewnie dostaje piany.

Blondyn znowu zamachał łapami, a ruda pokręciła głową.

– Nie, Milczek. Żaden idiota ani pantoflarz, tylko po prostu nie pamięta. Zresztą ty te… – urwała nagle i przygryzła wargę. – Nieważne. Tak czy owak…

Ale Kędzierski w ogóle jej nie słuchał. Kontynuował swój monolog i zapewne przekonując w nim nie ich, a raczej samego siebie.

– Zresztą chuj z nią, ale dzieciak czeka na odebranie od tej głupiej, tłustej cipy i…

– Czekaj: dzieciak? – Ruda zmrużyła oczy. – Jaki dzieciak?

– No mój. – Kędzierski wzruszył ramionami. – Bystry chłopak, czasem to sobie nawet myślę, że mądrzejszy niż jego stary. Ostatnio na przykład…

– Jak ma na imię? – Ruda kolejny raz weszła mu w słowo, co naprawdę przestawało mu się podobać.

Zebrał ślinę, strzyknął nią przez zęby i powoli ruszył do przodu.

– Dobra, dość tego – wycedził. – Chuj ci do tego, cipcia, jak ma na imię mój syn. I tak odpowiedziałem na masę nieważnych pytań, wciąż nie otrzymując odpowiedzi na te dwa, które są teraz najważniejsze.

Mówiąc, zbliżył się do rudej na odległość kroku i zawisł nad nią, zgarbiony tak, by dobrze widzieć jej twarz, a nie tylko czubek głowy. Jeśli jednak chciał w ten sposób wzbudzić jej strach czy niepokój, mocno się przeliczył. Dziewczyna wciąż patrzyła na niego, okazując jedynie delikatne rozbawienie. Mimo to Kędzierski uznał, że nie powinien się teraz wycofywać.

– Moje pytania brzmią: kim wy, kurwa, jesteście i co ja tu, do chuj… Auu!

Jeszcze bardziej się zgiął, a kolejny cios, tym razem w kark, powalił go na ziemię. Ruda cofnęła się o dwa kroki.

– Mówiłam ci, żebyś tak się nie wyrażał, Kędzior – przypomniała. – A teraz, kochany mój, zamknij się i słuchaj, bo jak mówiłam, historia jest długa i… o dziękuję, Milczek.

Blondyn skinął głową i zajął drugie z przyniesionych krzesełek.

Ruda usiadła, założyła nogę na nogę i zaczęła:

– Zacznijmy od twoich pytań. Jak już mówiłam, ja nazywam się Dzwoneczek i w pewnym sensie jestem twoją mamą. Ten tu gaduła to Milczek, twój brat. A jeśli chodzi o to, gdzie jesteś, to… Tak, kochanie, wygląda czarna, głęboka dupa.

* * *

Myślała wcześniej, że będą musieli go związać, była na to nawet przygotowana, ale gdy był już w stanie się podnieść, usiadł tylko i słuchał w milczeniu, wpatrując się w nią ze skupioną miną. Wciąż tak samo patrzył, nawet gdy już skończyła opowieść, a potem powiódł za nią spojrzeniem, gdy wstała, bez słowa podeszła do jednej ze ścian i odsunęła metalowy regał pełen śmieci. Za nim kryły się obite blachą boczne drzwi.

– Milczek, daj bratu wody i coś do zjedzenia – powiedziała. – Ja zaraz wrócę.

Nie wiedziała, czy cokolwiek mignął w odpowiedzi. Otworzyła drzwi. Popołudniowy blask wdarł się do pomieszczenia niczym wielki pies warujący na wycieraczce. Wpadł z impetem i zatrzymał się parę metrów za progiem, na resztę pomieszczenia tylko łypiąc. Dzwoneczek wyszła, zamknęła za sobą i dopiero wtedy sięgnęła po papierosy.

To była długa i momentami dość chaotyczna opowieść, w dodatku trudno było powiedzieć, czy cokolwiek dała. Ile w tym Kędziorowym milczeniu było słuchania, a ile zastanawiania się po cichu nad sposobami, jak mógłby się stąd wyrwać i wrócić do rodziny?

Zaciągnęła się dymem wpatrzona w garaże i pomieszczenia socjalne opuszczonej fabryki. Niskie budynki o powybijanych

szybach, obtłuczonym tynku i pordzewiałych bramach, obsmarowane od ziemi po dach paskudnymi graffiti.

No właśnie, rodzina, myślała Dzwoneczek. Jeżeli ten skurwiel Cień zrobił z Kędziorem to samo co wcześniej z Milczkiem, to wiedziała już, że ma sposób, drogę na skróty. Wystarczyło przeszukać olbrzymowi kieszenie, znaleźć dokument tożsamości i przywieźć tu jego fałszywych bliskich. Łzy zostaną wyparte, dawna świadomość wróci, a…

– Ludzie pozostaną martwi – szepnęła.

Przed oczami znowu stanął jej Milczek patrzący na martwą Różię. Chwilę temu, nieważne, że jako ktoś inny, kochał ją nad życie, wił się i łkał, gdy umierała, a potem zwyczajnie, obojętnie stanął nad zwłokami i zapytał, czy to ona. Wciąż nie miała pewności, czy wraz z fałszywymi wspomnieniami, wraz z syrenimi łzami nie wypłukała z niego czegoś jeszcze. Dlatego nie odważyłaby się ryzykować z Kędziorem. Wtedy to była próba w ciemno, podyktowana desperacją. Teraz wiedziała już, przynajmniej częściowo, na co się pisze. I jak wiele bólu kosztuje ten sposób. A poza tym czy on powiedział…

Ręka z papierosem zadrżała, filtr uderzył o usta, niestrząśnięty wcześniej popiół posypał się na dekolt. Dzieciak, chłopiec mądrzejszy od swojego rzekomego ojca. Czyżby Kubuś? Nie miała pojęcia, według jakiego klucza Cień układał chłopcom nowe życie, ale fakt, że żoną Milczka została akurat Rózia, mógł sugerować, iż nie sięgał daleko po statystów. A przecież i z Kubusiem musiał coś zrobić, gdzieś go upchnąć, znaleźć mu jakąś rolę w tym całym pierdolonym wariactwie. Albo to, albo…

Potrząsnęła głową i cisnęła niedopałek do kratki. Odwróciła się na pięcie i wtedy właśnie usłyszała dochodzący z wewnątrz ryk silnika.

W jej głowie natychmiast pojawiły się obrazy – Milczek z rozwaloną głową, Kędzior na jednej ze skrytych pod płachtą maszyn. Musiał dostrzec ukrytą bramę i rampę, a teraz szykował się do ucieczki. Z tymi myślami szarpnęła za klamkę, wpadła do środka i…

W zasadzie wszystko się zgadzało. Brama była odkryta i otwarta, na środku magazynu stała maszyna, a na niej Kędzior. Tyle tylko, że

on siedział z tyłu, a kierownicę trzymał głupkowato wyszczerzony Milczek. Gdy zobaczył Dzwoneczka, zamigał do niej energicznie.

– Tak, wiem, że wciąż nie wierzy, ale Milczek, co do kurwy…

Blondyn znowu coś zamigał, tym razem nieco dłużej, całym, złożonym zdaniem. Ale i to nie rozwiało zdumienia ani tym bardziej wątpliwości Dzwoneczka.

– Jaka przejażdżka? Jak przekona!? Milczek, co ty, do kurwy nędzy, odpierdalasz!?

Wtedy, po raz pierwszy od chwili, gdy padł na ziemię, odezwał się Kędzior:

– Wiesz, jeśli nie chcesz, by ktoś przy tobie klął, to zacznij, kurwa, świecić bardziej przykładem niż cyckami.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo nagle silnik ryknął, tylne koło zabuksowało, wzniecając kurz, i maszyna z Chłopcami na grzbiecie wyrwała do przodu.

– Oby to coś dało – westchnęła Dzwoneczek.

Odwróciła się powoli i wtedy go dostrzegła. Siedział rozpostarty na jej motocyklu i lizał się po nodze. Gdy jednak zwróciła na niego uwagę, wstał, wyprężył się i zeskoczył z maszyny, by na chwilę usiąść na jednym z kanistrów wypełnionych antyłzami. Przechylił głowę, a potem równie szybko wrócił na motocykl.

– Co pan znowu kombinuje, Panie Proper?

Podeszła pewnym krokiem do kanistra, złapała go i śladem kota ruszyła w stronę maszyny. Pojemnik pasował akurat do torby na tył, więc wepchnęła go tam, usiadła i włożyła kask.

– Na Skrót, jak rozumiem? – zapytała.

Kot nie odpowiedział.

* * *

– Ta, co tak popiskuje w tle, to Mysza – powiedział ksiądz Jan, na moment przyciszając radio. – Strasznie fajna dziewczyna, choć tak pyskata, że czasem to uchowaj Boże!

Gruby mężczyzna lekko skinął głową, ale poza tym wciąż siedział tak samo. Wyprostowany tak, że plecy nie dotykały oparcia fotela, z kopertą ze zdjęciami na kolanach i dłońmi na kopercie, wpatrzony w drogę przed sobą.

– Lubicie się… To znaczy lubiliście – spróbował jeszcze raz ksiądz Jan.

Znowu skinienie i nic więcej. Kapłan podkręcił więc muzykę i wrócił do podśpiewywania oraz wybijania rytmu palcami na kierownicy.

W sumie nawet nie dziwił się swojemu pasażerowi. Cokolwiek się z nim stało, cokolwiek wywołało tę amnezję, musiało być prawdziwie traumatyczne. Widział to, patrząc na Kruszynę, gdy ten oglądał zdjęcia siebie i ludzi, których nazywał braćmi, w otoczeniu dzieciaków ze szkoły, podczas gry w piłkę. Był zdziwiony, a jakże, z pewnością również przerażony, ale nade wszystko ksiądz Jan widział w jego oczach jakąś niewypowiedzianą tęsknotę. Jakby właśnie się dowiedział, że jego niezbyt udane, samotne życie – Jan słyszał to od księdza Zygfryda, który był w gruncie rzeczy paskudną, zadufaną w sobie paplą – to być może nie wynik jego wyboru, a dzieło przypadku. Jakiejś niezależnej od niego zmiany, punktu zwrotnego. Czy chciał tego dla niego Bóg? A może ten drugi?

To i tak wielki sukces, myślał kapłan, że odważył się pojechać ze mną, zobaczyć Lunapark, swój dawny dom, skonfrontować się z miejscem, które kiedyś było jego, a teraz jest zupełnie obce. No i właśnie, czy naprawdę będzie, gdy tam dotrą?

Zachciało mu się siku, być może za sprawą znaków wskazujących, że najbliższy postój – a na nim toaleta i bar – już za dwa kilometry.

– Zatrzymamy się na chwilę, dobrze? – zapytał, kolejny raz przyciszając radio. – Muszę skorzystać z łazienki. Moglibyśmy też coś zjeść.

– Nie wiem… Właściwie nie jestem głodny – odparł Kruszyna.

– No to w takim razie tylko siku – zadecydował ksiądz i nieco przyspieszył, by po dwóch kilometrach zorientować się, że na parkingu nie ma już baru, tylko jego zwęglone resztki. Mimo to

postanowił się na chwilę zatrzymać. Wysiadł, przeprosił i pognał w kierunku krzaków.

Gdy wrócił, Kruszyna stał przed samochodem i przyglądał się zgliszczom z niewyraźną miną.

– Coś się stało? – zapytał ksiądz Jan.

– Nie wiem – odparł Kruszyna. – Byłem tu – dodał po chwili.

– Całkiem możliwe – przyznał kapłan. – To popularna droga i…

Kruszyna popatrzył na niego z dezaprobatą, jakby zawiedziony, że ksiądz nie rozumie.

– Byłem tu, kiedy to płonęło – powiedział.

Ksiądz zmarszczył czoło. Rozejrzał się wokoło, a nawet zrobił parę kroków w stronę resztek przydrożnego baru, z którego teraz zostały tylko kawałki stelaża, resztki nadpalonych płyt, poskręcane kawałki krzeseł i brudny, częściowo zwęglony kontuar. Czy to możliwe, że to domniemane wydarzenie, ta trauma, która zdaniem kapłana mogła wywołać amnezję, miała miejsce właśnie tutaj? Czy tu, w tym pożarze zginął ktoś mu bliski?

Zapytał o to, ale Kruszyna tylko potrząsnął głową.

– Nie wiem – odparł. – Pamiętam tylko to miejsce. I szczury.

Nie wiedzieć czemu na dźwięk ostatniego słowa ksiądz Jan dostał dreszczy. Przed oczami stanął mu nagle obraz tamtej Drogi, a potem pól przemierzanych szkolnym autobusem. Te stwory, zjawy, które ich wtedy zaatakowały, nie miały nic wspólnego ze szczurami, ale…

„Nie – skarcił w myśli sam siebie – nie daj się zwariować, nie dodawaj tu, na litość, własnych paranoi. Tylko ich tu jeszcze brakuje”.

Wypuścił głośno powietrze i podrapał się po potylicy.

– Powinniśmy już chyba jechać, panie Kruszyno. To jeszcze kawałek jest.

Grubas skinął głową. Tym razem już nawet nie zaoponował, gdy kapłan nazwał go w ten sposób. Może nie zwrócił uwagi, a może zwyczajnie przestało mu to przeszkadzać?

Ksiądz Jan chciał wierzyć, że to była – oprócz tego parkingu i związanego z nim wrażenia – jeszcze jedna z oznak wracającej pamięci. Subtelniejsza, mniej oczywista, ale, jako krok w dobrą stronę, bardzo pożądana.

* * *

Wyjechali z terenu zabudowanego prosto na wąską krajówkę, z obu stron porośniętą równymi rzędami starych drzew. Droga była pełna dziur i łat nałożonych na łaty, a w dodatku dziesiątki jeżdżących tędy ciężarówek wygniotły w asfalcie głębokie i niebezpieczne koleiny. Milczek, pozornie nie zważając na dziury, mknął pomiędzy tymi wgłębieniami, samym grzbietem powstałego w ich wyniku wybrzuszenia, z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Zwolnił tylko raz, by płynnie zjechać do środka i wyprzedzić eleganckiego passata.

Jechali już dobry kwadrans i Kędzierski powoli zaczynał się nudzić. Nie miał pojęcia, dokąd jadą, jak to jest daleko i co mieliby tam robić, ale gdy po całej tej niewiarygodnej opowieści Milczek pokazał mu, by usiadł na maszynie, a potem na jakimś starym paragonie napisał: „Pokażę ci”, olbrzym założył, że zaraz zobaczy coś spektakularnego. A tu tylko pęd we włosach, drzewa w smugi, drżenie pod jajami… Cholera, gdyby spojrzeć na to w ten sposób, to w zasadzie mógłby to polubić!

No ale i tak, mimo wszystko oczekiwał czegoś więcej. Cholera, miał prawo!

Już miał nawet zamiar klepnąć Milczka i coś mu na ten temat powiedzieć, ale wtedy dojechali niemal pod zderzak jakiemuś matizowi. Motocykl znowu zwolnił, śmignął nad koleiną i przekroczył podwójną ciągłą tuż przed zakrętem. W dodatku takim z mocno ograniczoną widocznością, bo skrytym za porośniętym pagórkiem. Kędzierski, który nie należał do ludzi szczególnie strachliwych, docisnął kolana do boków maszyny i odruchowo napiął mięśnie. To było szarżowanie, bezsensowne szarżowanie, a w dodatku…

Zza zakrętu wypadło stare czarne volvo, też jadące zdecydowanie za szybko, ale przecież, kurwa, po swoim pasie! Jego kierowca już dostrzegł zagrożenie, odbił w lewo, zajeżdżając na moment drogę matizowi, i natychmiast spróbował uciec, wrócić na swój pas. Wszystko to w ułamkach sekund, wszystko za późno, bo motocykl już był tuż-tuż, tylko metry dzieliły go od maski.

Kędzior zdał sobie sprawę, że coś krzyczy. Jakieś niezrozumiałe słowo wyrywające się z głębi umysłu, relikt tych nieprawdziwych, ale szalonych wspomnień, które odżyły dziś, gdy słuchał dziwacznej historii Dzwoneczka. On jako dziecko, wyspa, a teraz z ułamek sekundy wypadek, ból i śmierć. Największa z przygód. Tak właśnie.

– Banga…

I nagle tuż przed rozpędzonym samochodem powietrze zafalowało jak nad ogniskiem. Motocykl wpadł w nie z impetem, a wtedy przestrzeń naprężyła się niczym stawiająca opór niewidzialna membrana. Odkształciła się maska samochodu, a nawet kierowca volvo, który w tej chwili wyglądał jak swoje własne karykaturalne odbicie w gabinecie krzywych luster. Trwało to może ćwierć sekundy, bo zaraz potem motocykl przebił rzeczywistość i wdarł się w przestrzeń pod nią, a niewidzialna membrana natychmiast się zasklepiła. I wszystko było jak wcześniej, z wyjątkiem motocykla i wypadku.

* * *

– …raaang!

Kędzierski dokończył swój pożegnalny okrzyk już w zupełnie innym miejscu. Nabuzowany i nakręcony pomyślał, że właśnie umarł, a to jest droga do zaświatów. Dopiero po chwili do jego umysłu dotarło, że to Skrót. Miejsce, o którym opowiadała Dzwoneczek. To, z którego najpewniej przybyli tamci szczuroludzie ze stacji.

„Czyli żyję – stwierdził z ulgą. – I najpewniej będę żyć jeszcze dość długo, by zajebać tego milczącego skurwiela”.

Powoli, z trudem rozwarł palce zaciśnięte na uchwytach, rozluźnił nieco kolana i dopiero wtedy rozejrzał wokoło. Droga po tej stronie w pewnym sensie podobna była do tamtej. Też wąska, połatana, też obramowana równymi rzędami drzew. Tu jednak było znacznie ciemniej, zupełnie jakby w jednej chwili nadeszła noc, a wraz z nią księżycowa pełnia. Świat skąpany w srebrzysto-grafitowych szarościach. Na drodze walało się też mnóstwo śmieci. Od

porzuconych zabawek, opakowań po jedzeniu i prezerwatywach, po części rowerów, motocykli, samochodów. Tu i tam stały także opuszczone wraki, z których z sykiem wysączały się kłęby czarnego, tłustego dymu. Kędzierski miał przez moment wrażenie, że widzi w tym dymie twarze szczuroludzi ze stacji i słyszy ciche skwierczenie brzmiące, jakby ktoś szeptał: „Cieeeepło, cieeepło”.

Co, jak pomyślał Kędzierski, było trącącym chujem żartem, bo po tej stronie zimno było jak sam skurwysyn.

Milczek zwolnił i jechał teraz sześćdziesiątką, a może nawet wolniej. Na pewno we właściwym tempie, by olbrzym mógł zobaczyć oddychające drzewa i ich pękającą skórę, spod której wysączała się krew i żółtozielona maź. Gałęzie nad ich głowami klekotały złowieszczo lub skrzypiały, gdy zdeformowane kształty wbiegały po nich bez gracji, aby lepiej się przyjrzeć jadącym. Między drzewami pojawiali się też ludzie. Trzymali się za ręce, patrzyli. A potem przestawali być ludźmi, ale nie przestawali patrzeć. Wreszcie znowu były tam tylko krzaki o wijących się gałęziach…

Milczek znowu zwolnił i teraz po prostu się wlekli. Minęli wrak, w którym dwójka umorusanych krwią dzieci, wciąż w fotelikach, wyjadała łapczywie wnętrzności rozpłatanego na pół psa. Zwierzakowi musiało się to podobać, bo ogon wciąż merdał, a wielki jęzor lizał jedno z dzieci po nogach.

W tym momencie żołądek Kędzierskiego powiedział dość. Mężczyzna wygiął się w bok i zwymiotował, po czym wyprostował się gwałtownie, bo ledwie jego treść żołądkowa dotknęła asfaltu, wychynęły z niej śliskie białe czerwie i rozpełzły się na wszystkie strony. Zaraz potem z rowów wybiegły szczury i wyłapały wszystkie, co do jednego.

Milczek prawie się zatrzymał. Motocykl ledwie się toczył, a niemowa już wystawiał nogę, by się podeprzeć…

– Zwariowałeś!? Nie stawaj na Skró… – wyrwało się Kędzierskiemu.

Urwał, gdy zdał sobie sprawę, co właśnie powiedział. Skąd mu to przyszło do głowy? Skąd ten opór? Czyżby jakieś ukryte w podświadomości wspomnienie? Czyżby…

Milczek przyspieszył. Uniósł gwałtownie lewą rękę i wykonał ruch, jakby rozkręcał lasso. A potem nagle zerknął gdzieś w bok i gwałtownie skręcił, najpierw na wąską drewnianą kładkę nad rowem, a potem na ścieżkę między drzewa.

Znowu coś wrzasnęło w głowie Kędzierskiego, a on sam wykrzyczał to na głos:

– Nie zjeżdżaj z Drogi, pojebie!

Ale było już za późno, bo właśnie mknęli ugniecioną, przysypaną wyściółką ścieżką pomiędzy tymi oślizłymi drzewami.

Skrót natychmiast przypuścił atak. Najpierw szpony gałęzi i odnóża niczym korzenie wystające z gleby. Ściółka zaczęła się przesypywać tysiącem szkieletowych pancerzyków, by zaraz, pod wpływem refleksu księżyca, który ją odmienił, wić się już i kłębić tysiącem tłustych białych pędraków. Koła motocykla ślizgały się na nich, maszyną zarzucało na boki i tylko zsynchronizowane ruchy kierowcy i pasażera utrzymywały pojazd w pionie.

Coś szarpnęło Kędzierskiego za ramię, więc odwinął się łokciem. Rozległ się chrzęst i skowyt, a po ramieniu rozlała mu się fala piekącego bólu. Miał wrażenie, jakby włożył rękę w ogień, nawet słyszał skwierczenie, a wraz z nim owo: „Cieeeepło, cieeeepło”. Tysiące twarzy ułożonych z ociekających maziowatą czernią macek szeptały to teraz, wyjękiwały w mieszaninie cierpienia i ekstazy, a z ich obrzydliwych ust wydobywał się gęsty czarny dym. Spowijał już niemal wszystko, oblepiał niczym pajęczyna tkana ze skwaru i upału, z rozgrzanego, ciekłego lateksu. Ciągnął się, kleił i wdzierał do ust, nosa, uszu. Jednocześnie trupie szpony drzew, pazury krzewów chlastały ich niemiłosiernie, rozcinały niemal do kości ciało na rękach i nogach.

„Tym razem na pewno nas nie wypuści”, przyszło do głowy Kędzierskiemu. Nie zastanawiał się już skąd, nie dumał, czyja to myśl, bo wiedział, że jest jego. Kędziora, nie żadnego, kurwa, Kędzierskiego. Jebanego, kurwa, kudłacza z bandy Zaginionych, który co prawda lada moment zdechnie, ale przynajmniej świadomy i w towarzystwie brata. A skąd pewność, że umrze? Cóż, Skrót nigdy nie wybaczył nikomu zjechania z Drog…

Nagle przyszło mu do głowy, że to przecież nieprawda. Że raz się udało, a tym, co zrobił wtedy Kruszyna wraz z autobusem pełnym dzieciaków, by się wyrwać, było…

– Kukuryyykuuu!! – wrzasnął nagle na całe gardło odchylając głowę. Jedna z gałęzi natychmiast wykorzystała okazję, by wystrzelić w jego stronę i chlasnąć go przez gardło, na szczęście płytko. – Kukuryku, pierdolony w asfalt, jebany Skrócie! Kukukurwaryku!!!

A potem nagle pochylił się do przodu, przywarł z całej siły do Milczka, i zasłoniwszy mu oczy, wrzasnął:

– Gazu, Milczek! Po największą z przygód! Kukuryyk…

Nie skończył, bo nagle jeden z korzeni wystrzelił spod ziemi niczym trupia ręka w tanim filmie grozy i błyskawicznie oplótł przednie koło. Obaj, kierowca i pasażer, wyrwani z siedzisk przelecieli nad kierownicą i poszybowali prosto na porośnięty ludzką skórą rozłożysty dąb.

* * *

Decyzją Cienia wzięli tylko samochód, co zdaniem Stalówki było w tych okolicznościach całkiem rozsądne. Niewątpliwie tam, w realnym świecie, każdy motocykl był teraz podejrzany i miał niemal gwarantowaną kontrolę. A kto wie, może i zatrzymanie? Nie było sensu prowokować policji, nawet jeśli większość trasy planowali pokonać Skrótem, a wyłonić się dopiero na miejscu.

Co zresztą zaraz spaliło na panewce, bo ledwie pokonali kilkaset metrów piaszczystego pogranicza i wbili się na grafitowoszarą drogę, Cień zaraz wyprostował się gwałtownie i syknął:

– Spadamy stąd! Natychmiast!

Błyskawicznie przedarli się więc do rzeczywistości, zjawiając się na mało ruchliwej, krętej drodze tuż przed zakrętem. Stalówka wszedł w niego gładko, wbił wyższy bieg i dopiero wtedy zapytał:

– Co się stało?

– Nie wiem – odparł Cień, ściskając dwoma palcami nasadę nosa, jakby bolała go głowa. – Skrót był z jakiegoś powodu rozdrażniony, a może nawet wściekły i… Znasz te okolice?

Wskazał ręką na zielony drogowskaz z nazwami kilku miejscowości i odległością, jaka ich od nich dzieliła. Albinos skinął głową.

– Byłem tutaj raz czy dwa.

– Daleko stąd do Miasteczka?

Stalówka zmarszczył czoło.

– A skąd niby mam wiedzieć? Zresztą wkręcasz mnie teraz, nie? Nie ma miasta, które by się tak nazywało.

Cień spojrzał na niego wyraźnie zaskoczony, co zaraz ukrył za połowicznym uśmiechem.

– Tak, wkręcam cię – powiedział. – Dobra, nieważne. Po prostu jedź.

Stalówka skinął głową, ale jeszcze przez dłuższą chwilę raz po raz łypał niespokojnie na Cienia. O co mu naprawdę chodziło z tym Miasteczkiem? To jakiś test czy co? Włączył radio, usłyszał pierwsze takty przeboju, wyłączył radio. Raz jeszcze zerknął na Cienia.

– Bardzo się zmieniła? – zapytał.

Cień potrząsnął głową, jakby się właśnie wybudził.

– Kto?

– No a dokąd jedziemy?

– Bardzo – odparł Cień. – Zdradziła Piotrusia.

– Ale ja pytam o…

– O później, wiem – wszedł mu w zdanie Cień. – Ale później nie ma żadnego znaczenia, zwłaszcza dla niej. Bo nie ma już życia po takim akcie zdrady. Jest wegetacja.

Stalówka znowu pokiwał głową i przez dłuższą chwilę się nie odzywał. Raz jeszcze dał szansę radiu, ale znowu ją zaprzepaściło kolejnym hitem. Za oknami zalesiony, górzysty krajobraz łypał na nich raz po raz a to serpentyną rzeki, a to ceglastymi dachami ukrytych między drzewami domków.

– Pytałeś ją, dlaczego to zrobiła?

Cień pokręcił głową.

– To pytanie powinien jej zadać Piotruś, nie sądzisz?

– On także – odparł albinos. – Ale przecież nie tylko on ma prawo do ciekawości, co nie?

Luby nie odpowiedział i przez chwilę znowu jechali w milczeniu. A potem ta chwila przeszła w kolejną i jeszcze jedną, wjechali do miasta, wyjechali z niego i Stalówka po raz trzeci sięgnął do radia. Tym razem jednak Cień powstrzymał go przed przekręceniem gałki.

– Czy między nami wszystko w porządku, Stalówka? – zapytał.

Albinos spojrzał na niego całkowicie zaskoczony.

– Co masz na myśli? – zapytał. – Jakie, kurwa, między nami?

Cień się roześmiał.

– No tak, faktycznie głupio zabrzmiało. Pytam, bo wczoraj minę miałeś jak zbity pies. Coś jest nie tak?

– Sam nie wiem. – Stalówka podrapał się po brodzie. – Znaczy… czekaj.

Dojechał do wlokącego się przed nimi fiata, włączył kierunkowskaz, zredukował bieg i zjechał na lewy pas. Tylko odrobinę, by zaraz się schować przed wyłaniającym się zza zakrętu busem, ale gdy tylko droga była wolna, zjechał na lewo, wyprzedził i wrócił na swój pas. Dopiero wtedy podjął wątek.

– Chodzi mi o to, że…

– Dlaczego przerwałeś? – zdziwił się Cień. – Nie umiesz wyprzedzać i mówić?

– Obie rzeczy wymagają uwagi – odparł albinos – której nie mam aż tyle. A wracając do…

– Dziwne trochę – skwitował Cień, kręcąc głową. – Takie dorosłe i… No ale dobra, przepraszam. Mówiłeś.

Tym razem Stalówka potrzebował dłuższej chwili, by znaleźć wcześniejszą myśl.

– Chodzi mi o to, że szykujemy się do dużej sprawy – podjął. – Ta operacja za tydzień to będzie coś wielkiego i wiem, że pracowałeś nad tym od dawna. Rozumiem, że teraz, gdy pojawiła się akcja z uwolnieniem Piotrusia, to on nagle zyskał priorytet, to oczywiste.

Cień nie przerwał mu, choć ewidentnie miał na to ochotę, gdy padły słowa: „Pojawiła się akcja”. Pojawiła się. Sama się, kurwa, pojawiła…

– Rozumiem zabranie mu nowej Wendy, bo tak już jest – kontynuował swój wywód Stalówka. – Ale Bliźniaki? Teraz? Kto będzie chciał z nami rozmawiać, gdy wszystkie oczy są skupione na motocyklistach? Kto będzie chciał ryzykować spotkanie z bandą…

– A kto ci powiedział, że to spotkanie jest z nami? – zaśmiał się Cień. – Oni nie spotykają się z nami, a ze sobą, wedle swoich zasad, w dodatku teraz pewnie trochę przeciwko nam. My tylko musimy się tam zjawić, by nakłonić ich do zmiany zdania.

Widząc niezrozumienie na twarzy albinosa, westchnął i szybko wprowadził go w kluczowe punkty planu.

– I wierz mi, całe to zamieszanie z Bliźniakami tylko nam pomogło – zakończył myśl. – A poza tym…

Odwrócił się i spojrzał na Stalówkę.

– Powiedz, że źle się bawiłeś.

Albinos wzruszył ramionami.

– Nie no, zabawa przednia, tyle że…

– Nie ma „tyle że”, Stalówka. Tu zawsze chodziło właśnie o zabawę. I przygody, pamiętasz?

To powiedziawszy, pochylił się i włączył radio. Samochód wypełniły dźwięki *Fortunate Son* Creedence Clearwater Revival.

* * *

Ocknął się, czując, że ktoś klepie go po twarzy i polewa wodą. Powoli otworzył oko. Gdy tylko obraz poskładał się w jedno, gdy wszystko przestało wyglądać jak prześwietlone zdjęcie, dostrzegł przestraszonego, na oko może dwudziestoletniego chłopaka z cieniem wąsa pod nosem i butelką wody w ręce. Na widok otwierającego się oka olbrzyma dzieciak tak się przejął, że stracił równowagę i wylądował na tyłku.

– Budzi się! – zawołał.

– Ten tutaj też! – odkrzyknął ktoś, sądząc po głosie, w podobnym wieku. – Ale chyba jest niemową.

Kędzior się poruszył. Całe ciało piekło go jak wszyscy diabli, wszędzie czuł płytkie i głębokie rany, do których teraz wchodziły drobne igiełki, zbrązowiałe, zeszłoroczne liście i pewnie wiele innego syfu. W głowie go ćmiło, bark napierdalał żywym ogniem, a wszędzie wokoło czuć było zapach spalonej gumy, benzyny i metalu. Albo krwi.

„Ale żyję – pomyślał olbrzym. – I to nie na Skrócie. Wyrwaliśmy się!”

Wyciągnął w stronę dzieciaka prawą rękę.

– Pomożesz m… – zaczął, ale dostrzegł, że dwa palce odstają mu pod dziwnym kątem.

Popatrzył na nie, przechylając lekko głowę, po czym złapał je drugą ręką i nastawił mocnym szarpnięciem. Rozległ się trzask, cichy syk Kędziora i prawie natychmiast głuchy łoskot padającego na glebę dzieciaka, dla którego to było już najwyraźniej zbyt wiele.

Olbrzym westchnął. Spróbował zerknąć w lewo, ale zdał sobie sprawę, że wciąż patrzy na świat tylko jednym okiem. Sięgnął do drugiego i wyczuł wielką, nabrzmiałą bułę napierającą z góry na powiekę. Zacisnął zęby i spróbował otworzyć oko siłą, zamykając na chwilę drugie, ale gdy się udało, świat nagle zrobił się czerwony i nieostry, więc odpuścił. Ale przynajmniej oko działało.

– E, ty tam! – zawołał do drugiego chłopaka, krępego bruneta w koszulce Black Sabbath. – Mój brat da sobie radę, ale twój kolega chyba miał dosyć wrażeń.

Szczeniak poderwał się i podbiegł do wąsatego. Tymczasem gdzieś z oddali dobiegł ich cichy, acz narastający sygnał karetki. A może policji? Kędzior obmacał lewą rękę, a gdy uznał, że uniesie jego ciężar, oparł się na niej i spróbował wstać.

– Niech pan siedzi, karetka zaraz będzie – powiedział ten od Sabbathów.

– Tego się właśnie obawiam, mały – odparł olbrzym.

Kuśtykając powoli i wyraźnie odciążając lewą nogę, doczłapał do Milczka. Wyciągnął do niego zdrową rękę i pomógł mu wstać, a następnie odwrócił się, by spojrzeć na to, co zostało z motocykla, a zwłaszcza na przednie koło, niemal do połowy zagłębione w rozłożystym drzewie.

– Niby się udało – mruknął Kędzior – i wyrwaliśmy się z jebanego Skrótu po złamaniu zasady, co jest kozak. Ale pozwól, że zapytam, bo nie daje mi to spokoju.

Odwrócił się do Milczka, by spojrzeć mu w twarz, a potem ryknął:

– Co cię i jak wielkim chujem wyjebało w mózg, niedorżnięta niemoto, że wpadłeś na taki pokurwiony pomysł!?

Milczek cofnął się o krok i uniósł ręce, by zamigać. O dziwo, tym razem Kędzior zrozumiał. A przynajmniej dotarł do niego sens znaków, bo już nie samej idei.

– Jaka, kurwa, terapia szokiem!? Znalazł się pierdolony psycholog! Jak ja ci zaraz…

Milczek znowu coś zamigał, a Kędzior urwał w pół zdania i przyłożył prawą rękę do brody, jakby się zastanawiał.

– No w sumie fakt, jakoś tam zadziałało.

Rozejrzał się i dostrzegł matiza stojącego przy drodze na światłach awaryjnych. Sygnał karetki, a może policji, był coraz głośniejszy. Lada chwila sanitariusze lub mundurowi mogli wypaść zza zakrętu, co znacznie skomplikowałoby sprawy. Potrząsnął głową i strzyknął czerwoną śliną, co przyszło mu jakoś za łatwo. Przejechał palcami po zębach.

– Kurwa! – zaklął. – Poharatał mnie Skrót, zaraz odwalę prawdziwą chujowiznę, a tu jeszcze ząb mi się złamał!? I to pierdolona dwójka!

Milczek uniósł brew i zamigał coś krótko, na co Kędzior tylko ciężko westchnął.

– No jak to jaką chujowiznę, Milczek? Potrzebujemy samochodu, tak?

Niemowa klepnął się w czoło i pokiwał głową ze smutkiem. A potem równocześnie spojrzeli na dzieciaka w koszulce Black Sabbath.

* * *

Chcieli, żeby to Piotruś opowiadał, ale on najwyraźniej miał inne plany. Gdy przyszedł czas, by wszyscy się zebrali pod sceną, wspiął się na nią wraz z Tommym Dżi i Egonem. Pierwszy z tych dwóch niósł na rękach poturbowanego Musliego, drugi miał przerzucony przez plecy sporych rozmiarów worek.

Ledwie stanęli na deskach platformy, ta uniosła się i pojechała w górę, poruszana pracą czterech ekip stojących przy linach. Gdy już znalazła się na odpowiedniej wysokości, z przeciwka odpalono wielkie reflektory i zgromadzone na scenie postacie stały teraz w pełnym świetle. Co, rzecz jasna, natychmiast wywołało wielką wrzawę.

Piotruś pozwolił się wszystkim wykrzyczeć, wypiać i wyskowyczeć. Dla zachęty nawet przespacerował się kawałek na rękach i na moment zwiesił z platformy, by zaraz dziarsko na nią wskoczyć. W końcu jednak uniósł ręce na znak, że chce, by wszyscy się uciszyli. I tak się w jednej chwili stało.

Chwycił podany mu mikrofon.

– Wiecie, co lubię? – zapytał.

– Cipki! – ryknął ktoś, wzbudzając powszechny rechot.

Piotruś też się roześmiał.

– Nie wiesz nic o cipkach, jeśli nigdy nie szukałeś jej u syreny, bracie – odparł, a potem znowu dał się wszystkim wyśmiać i wykrzyczeć, zanim podjął wątek. – Przygody – powiedział. – Uwielbiam przygody. Swoje nade wszystko, ale także cudze, bo one mówią ci czasem, co chcesz, a czego na pewno nie chcesz przeżyć. Dlatego też lubię słuchać o przygodach, także tych, w których sam brałem udział. Przeżywać je na nowo, poznawać różne wersje. Bo czy kanapka smakuje inaczej, gdy zaczniesz ją z drugiej strony?

Zawieszenie głosu w tym miejscu skonfundowało wielu słuchaczy. Niektórzy poczuli się wywołani do odpowiedzi i coś próbowali krzyczeć. Inni zdali się na już przećwiczone i sprawdzone wcześniej okrzyki i odgłosy. Gdzieś ryknął odpalony silnik, buchnął ogień, rozsyczała się kolejna porcja mięsa wrzucona na rozgrzane do czerwoności kraty grilla.

– Dzisiejszą historię, przygodę, o której z pewnością każdy z was chciałby bardzo usłyszeć, opowiedzą wam dwie osoby, tak byście

i wy poznali ją możliwie najszerzej. Drugim opowiadającym będzie znany wam Musli, którego rany mówią bardzo dobrze, że oddał się tej sprawie cały, gotów nawet, gdyby trzeba było, ruszyć prosto z niej na szlaki największej z przygód. Mało zresztą brakowało!

Musli rozpromienił się i uniósł ręce, przyjmując na poturbowaną klatę szereg toastów i żywiołowe owacje. Chłonął je, karmił się nimi i wyglądał, jakby z każdym klaśnięciem nieco bardziej wracał do sił. A gdy Piotruś uniósł ręce, by uciszyć tłum, był wyraźnie zawiedziony, że to już. Zupełnie jak dziecko po skończonej właśnie zapierającej dech w piersiach przejażdżce na kolejce górskiej.

– Pierwszym opowiadaczem będzie nasz dzisiejszy gość. – Pan wskazał na worek, który Egon zrzucił uprzednio na ziemię i nad którym pochylał się teraz z nożem, by go rozciąć. – Człowiek siedzący w środku nie był specjalnie chętny, by tu do nas przyjechać, ale z pewnością zmieni zdanie, gdy go przywitamy, prawda? Oto, moje Koguty Rozpierdolu, Bardowie Oktanu i Piewcy Bangarangu, jest pan… strażnik z więźniarki!

Egon dźgnął worek i rozpruł go, a następnie niczym lekarz przyjmujący poród przez cesarskie cięcie, wyłowił zeń oblepionego krwią, brudnego i odrętwiałego mężczyznę. Trudno było powiedzieć w pierwszej chwili, jakiej postury jest strażnik, sprawiał bowiem wrażenie przerośniętego płodu, a może zdeformowanego karła, któremu kolana wyrastały spod piersi, a wokół nich owijały się nienaturalnie długie ręce. Mokre od posoki i potu włosy lepiły się do głowy, podbródek drżał mimowolnie, a oczy porażone nagłym rozbłyskiem światła zmieniły się w maleńkie szparki.

Tłum pod sceną zaczął wyć, ale ucichł, gdy Piotruś przykucnął przy mężczyźnie i pogładził go po głowie.

– Wszystko w porządku, przyjacielu – zapewnił. – Chcemy tylko, byś opowiedział nam swoją historię, naszą historię, byśmy wiedzieli, czy robisz to dobrze. By wszyscy tu mogli jej zasmakować. Zrobisz to dla nas, zanim puścimy cię wolno? Opowiesz?

Sięgnął ręką pod pachę mężczyzny, by go podnieść, ale ten tylko szarpnął się lekko, więc Piotruś cofnął dłoń.

– W porządku, przyjacielu. Nie musisz wstawać, by wszyscy cię widzieli. Ale to ci się z pewnością przyda – wcisnął mu do ręki

mikrofon. – No już, zaczynaj, bo nie chcesz nam przecież kazać czekać. Przedstaw się i opowiedz nam o największej ze swoich dotychczasowych przygód.

Tłum znowu podniósł rwetes, a Piotruś pochylił się nieznacznie i dyskretnie szepnął przerażonemu strażnikowi do ucha:

– Nie schlebiaj i nie kłam. Mów, jak było. Kłamstwo przyjdzie samo do ich głów, bo takie już są opowieści. Gotowy?

Strażnik potrząsnął głową, że nie. Piotruś położył rękę na jego ramieniu.

– Możesz być tu tylko strażnikiem lub bajarzem. A strażnik w miejscu, gdzie wszyscy są i pozostaną wolni, jest zupełnie zbędny. Bajarz to co innego. Bajarz może prosić, o co tylko chce, i będzie mu dane. Zapytam więc jeszcze raz: jesteś gotowy?

Tym razem strażnik powoli pokiwał głową.

– Mog… mogę prosić o wodę?

– Jasne! – rozpromienił się Pan i skinął na Egona. – Daj tu trochę wody, co?

Egon pobiegł za jedną z kolumn i po chwili wrócił z plastikową butelką. Strażnik potrzebował pomocy przy jej odkręceniu, a potem wypił ją niemal duszkiem. Przy ostatnich łykach zakrztusił się i zaniósł kaszlem.

– Spokojnie – roześmiał się Piotruś. – I jak, jesteś gotowy? Wybacz to poganianie, ale strasznie jesteśmy ciekawi, jak to wszystko, co się wydarzyło, wyglądało z twojej perspektywy.

Strażnik odetchnął jeszcze chwilę, wziął głęboki oddech i skinął głową. Uniósł mikrofon.

– Nazywam się… – zaczął, ale głośne sprzężenie zastąpiło słowa.

Piotruś spojrzał gniewnie w stronę akustyków, a ci szybko przestawili kilka suwaków na konsoli.

– Nazywam się Sławomir Dudziak… – ponowił strażnik, po czym zamilkł i zerknął ukradkiem na Piotrusia. Ten zachęcił go gestem.

– I oto moja historia – podpowiedział.

Strażnik skinął głową.

– I oto moja historia!

Szalony, zdziczały tłum oszalał i zdziczał jeszcze bardziej.

* * *

Starszy szeregowy Służby Więziennej Sławomir Dudziak stał wsparty o więźniarkę i palił. Patrzył w zakratowane okno posterunku na zadupiu. Właśnie stąd mieli odebrać tych dwóch pojebów zwanych Tańczącymi Bliźniakami, którzy dzień wcześniej wylądowali tu na przymusowym postoju z powodu awarii transportującego ich wozu. Choć awaria to chyba za mało powiedziane, bo wszystko wskazywało na to, że reanimowany obecnie w pobliskim warsztacie wysłużony lublin, możliwe, że ostatni wciąż jeszcze na chodzie i niezastąpiony fiatem, zaliczył ostateczny zgon i trafił do samochodowego nieba.

„Dobrze, że chociaż teraz zdecydowali się na duży wóz – pomyślał Dudziak – bo te były od Mercedesa, a jednak co niemiec, to niemiec”. Cisnął niedopałek i sięgnął do wozu po czapkę. Zawsze ją zdejmował, gdy palił, właściwie nie wiedział dlaczego.

Za zakratowanym oknem jego dobry kolega, a dziś bezpośredni przełożony plutonowy SW Paweł Grabiszewski właśnie podpisywał dokumenty przejęcia więźniów. Szeregowi Tomczak, Biedroń i Kazimierski pewnie czekali już w progu z Bliźniakami, by ich wyprowadzić. A potem już tylko godzinka jazdy i na dziś fajrant. Może w drodze powrotnej zatrzymają się w tym zajeździe z węgierskim żarciem, które Paweł tak chwalił? Podobno nigdzie nie dawali takiego gulaszu jak tam, a słowu i wciąż rosnącemu bębnowi plutonowego Grabiszewskiego można było w kwestii żarcia ufać…

* * *

Strażnik przerwał na moment i zerknął w stronę Piotrusia. Ten zachęcił go gestem.

– Jest dobrze – szepnął przy tym. – Rozkręcasz się.

Dudziak pokiwał głową. Łypnął jeszcze na Musliego, który z niecierpliwości, aż przyjdzie jego kolej, aż przebierał nogami. Teraz sobie przypomniał, skojarzył jego twarz, jego wściekły grymas, gdy on…

„Nie – warknął na siebie w myślach. – Nie pozwól sobie na to, Dudziak. Stłum emocje, bo cię zabiją. Te dzikie zwierzęta, wiszące na linach i łańcuchach, siedzące na dachach samochodów i wpatrzone w ciebie znad osmalonej karkówki zajebią cię jak psa, jeśli teraz dasz się ponieść. Mów, mów jak chce ten kudłaty wariat, jak chcą oni wszyscy. Mów!”

– W końcu ich wyprowadzili…

* * *

Wyprowadzili ich jakieś dwa papierosy później. Najpierw na parking wyszło dwóch policjantów i trzech strażników z wczorajszego transportu, których Dudziak nie znał, potem Grabiszewski, pierwszy więzień trzymany za ramię przez Biedronia, drugi przez Kazimierskiego, wreszcie Tomczak i kolejny lokalny policjant. Idąc placem, aktualna eskorta zmieniła szyk i teraz szli w dwóch rzędach. Na pierwszy składali się Grabiszewski, pierwszy i drugi więzień oraz Tomczak. Za nimi podążali Biedroń i Kazimierski. Poprzednia zmiana starała się zwyczajnie nie przeszkadzać, a policjantów żaden szyk nie obowiązywał, więc po prostu szli, jak chcieli, rozglądając się, jakby byli co najmniej agentami amerykańskiego Secret Service.

Dudziak cisnął niedopałek na ziemię, obszedł wóz i otworzył na oścież tylne drzwi samochodu. Potem poczekał, aż koledzy wprowadzą więźniów do środka, zabezpieczą i sami zajmą miejsca. Następnie zamknął i ruszył w stronę kabiny. Wsiadł, odpalił silnik i czekał, aż Grabiszewski pożegna się z komendantem posterunku.

– Dobra – powiedział wreszcie plutonowy.

Wgramolił się do kabiny, otarł wąs z kropelek kawy i cisnął teczkę z dokumentami przewozu do schowka.

– Jedziemy.

Dudziak skinął głową, zawrócił na placu i ostrożnie wyjechał na drogę, włączając sygnał świetlny. Dźwiękowego nie potrzebowali, przynajmniej jeszcze nie teraz, a całą drogę jechać z tym wyciem nie zamierzali, bo można było ocipieć. Zamiast tego, dopóki nie opuścili terenu zabudowanego, Dudziak prowadził w milczeniu, obserwując sytuację na drodze. Odezwał się, dopiero gdy wjechali na ekspresówkę.

– Myślisz, że to, co o nich mówili, to prawda? – zapytał.

– W sensie?

Grabiszewski sięgnął do termosu umieszczonego pod siedzeniem. Najwyraźniej mało mu było posterunkowej kawy.

– No, że pracowali na zlecenie dawnego Prószkowa czy tam Wołomina.

Plutonowy się roześmiał.

– Tak mówią? Gdzie?

– No wszędzie. W *Wiadomościach* po tym jak ich złapali, w komentarzach pod ich filmikami.

Grabiszewski spojrzał na kierowcę szczerze zdumiony.

– Oglądałeś to!?

– Dobra, nieważne – warknął Dudziak.

Wkurzało go to, bo doskonale wiedział, że filmiki bliźniaków oglądali wszyscy w biurze, jeśli nie wcześniej, to przynajmniej od chwili ich schwytania. A już wczoraj wieczorem, gdy rozkraczył się ten zjebany lublin, którego puścił w drogę chyba jakiś skończony kretyn, to chyba nie było nikogo, kto by nie monitorował wieści na ten temat. Jakim cudem ta kompromitacja nie wyciekła do prasy i udało się ją jakoś zatuszować, tego chyba nawet ich rzecznik nie wiedział. No ale w sieć i telewizory patrzyli wszyscy. Grabiszewski też.

– Kawy chcesz? – zapytał plutonowy.

– Nie, dzięki.

– To nie. – Grabiszewski wypił duszkiem zawartość termosowego kubka, wytarł go papierowym ręcznikiem i zakręcił całość. – A co do tej mafii…

– Mówiłem już, nieważne – burknął Dudziak.

– Ej no, jeszcze tego brakowało, żebyś się teraz boczył? Wiesz, przecież, że…

– Co jest, kurwa? – mruknął kierowca.

Zerknął w lewe lusterko, a potem w prawe.

Plutonowy poprawił się na siedzeniu.

– Co?

– Nie wiem. – Dudziak nie przestawał się wpatrywać w lusterka. – Miałem wrażenie, że mi się z tyłu pojawił motocykl, ale zniknął. Albo jakimś cudem jedzie za nami, ale tak, że mi wylazł z pola widzenia, albo…

– Albo co?

Dudziak wzruszył ramionami.

– Dobra, jebać to – warknął.

Zredukował bieg i docisnął gaz. Więźniarka szarpnęła lekko i wyrwała do przodu.

– Ej, Sławek, co ty, kurw… – chciał zaprotestować Grabiszewski, ale wtedy nagle tajemniczy motocykl pojawił się znowu…

* * *

Musli nie wytrzymał. Nie bacząc na rany, podczołgał się w stronę strażnika, wyrwał mu mikrofon z ręki, uniósł go, na pół charcząc, na pół rycząc:

– Teraz ja!

Zaraz jednak stęknął złapany za włoski na karku przez Piotrusia – ku szalonej radości tłumu – i grzecznie oddał, co zabrał.

Przez chwilę publika mogła obserwować, jak Piotruś tłumaczy coś Musliemu, a potem zachęca strażnika do podjęcia opowieści. Ten pokiwał głową. Była w tym geście rezygnacja, była niechęć, ale przecież dobrze wiedział, że nie ma wyboru. Dlatego…

* * *

– Włączę syrenę – powiedział Dudziak.
– Po co?
– Żeby mnie nie wyprzedzał.

Grabiszewski uśmiechnął się drwiąco.

– Ty, kierowca, poza zabudowanym jesteś. Tu może…

Dudziak skinął głową.

– Ty to wiesz, ja wiem, ale ludzie… Ej, co on robi?

– Nie widzę, ty masz lusterko.

Dudziak spojrzał w nie teraz i lekko odbił w prawo, najeżdżając na linię. Koło zachrobotało na nierówno położonej farbie.

– No wyprzedza, ale tak jakoś strasznie blisk… Ej, no kurwa, koleś!

Grabiszewski poprawił się na siedzeniu.

– Co się dzieje?

– No wjeżdża mi skurwiel w burt…

Nie skończył, bo nagle kilka rzeczy wokół niego zaczęło się dziać jednocześnie. Wyprzedzająca więźniarkę maszyna przyspieszyła i zrównała się z kabiną, a pasażer motocyklisty, wspierając się dłonią o plecy kolegi, stanął na siedzeniu i zakołysał się na ugiętych nogach niczym surfer na fali.

W tym samym momencie znikąd, a właściwie z rozedrganego powietrza parę metrów przed maską samochodu, pojawił się drugi motocykl, a na nim podobny duet – kierowca i stojący pasażer, który dla odmiany kręcił nad głową kawałkiem sznurka obciążonego kamieniem.

Czas zwolnił. Grabiszewski coś krzyknął. Dudziak odbił bardziej w prawo na pas awaryjny. A potem gdzieś z góry rozległ się głośny, nienaturalnie rozciągnięty krzyk.

– Baaangaaaraaang!

I gdy wybrzmiała ostatnia głoska, zaakcentowana uderzeniem czegoś o dach kabiny, czas postanowił nadrobić całe spowolnienie.

Motocykl jadący z naprzeciwka zniknął tak nagle, jak się pojawił, ale pocisk z rozkręconej procy uderzył w przednią szybę i rozprysnął się w fioletową, gęstą maź. Metalowa pałka roztrzaskała szybę w drzwiach kierowcy, raniąc go odłamkami.

„To napad! Zabiją nas!”, przemknęło przez głowę Dudziakowi. Nie pomyślał tego jednak ze strachem, ot, niemal obojętnie stwierdził fakt. Skutek i przyczyna, akcja i reakcja. Jeśli nic nie zrobię, zaraz nas zabiją.

Więc zrobił. Szarpnął kierownicą w lewo, zmieniając pas i taranując jadący obok motocykl. Maszyna zakołysała się, a jej kierowca, próbując nad nią zapanować, pojechał wprost na barierki. Pasażer, który rozbił boczną szybę samochodu, zdążył uczepić się drzwi. Trzymał się ich jedną ręką i usiłował złapać kierowcę za twarz.

– Zajeb go! Zajeb skurwsysyna! – darł się Dudziak, prowadząc niemal na oślep, za to coraz szybciej.

Ale Grabiszewskiego zamurowało i ani drgnął. Gapił się tylko tępo, w dziwnym stuporze poruszając ustami, jakby coś mówił.

– Paweł, błagam cię, Pawe… argh!

Wiszący na drzwiach pasażer dźgnął go palcem w oko i przez moment Dudziak nabrał przerażającego przeświadczenia, że właśnie je stracił. Jakimś cudem ta myśl sprawiła, że coś w nim przeskoczyło. Puścił kierownicę i odwrócił się do uwieszonego na drzwiach motocyklisty. W jego gębie, wytatuowanej i wygolonej, dostrzegł bezkompromisową zawziętość, dzikość. Wyzwanie: „Albo ty, albo ja”. I Dudziak wybrał.

Na oślep wypiął się z pasa, odchylił do tyłu, a potem z całym impetem wyrżnął czołem w twarz motocyklisty. Cofnął się trochę, złapał za klamkę i otworzył drzwi, popychając je ramieniem. Bandzior zawisł ponad barierkami, bo więźniarka zdążyła zjechać niebezpiecznie blisko krawędzi prawego pasa.

Dudziak znowu złapał oburącz za kierownicę i spróbował wyrównać, choć przez tę fioletową maź prawie nic nie widział.

– Paweł, kurwa, wezwij pomoc! – zawołał.

A potem zerknął na kolegę i zamarł. Drzwi od strony pasażera były otwarte, a na jego miejscu siedział kudłaty facet, celując w Dudziaka ze strzelby. Uśmiechał się.

– No już, już, wystarczy – powiedział gość. – Puść kierownicę.

Starszy szeregowy Dudziak zawahał się tylko na krótki moment, a potem puścił kierownicę i nacisnął lekko pedał hamulca.

– Nie – polecił tamten. – Nie hamuj.

Dudziak cofnął nogę, a wtedy jego pasażer położył rękę na kierownicy i szarpnął w prawo. Wozem zarzuciło, drzwi od strony kierowcy zamknęły się z wciąż wiszącym na nich drabem. Więźniarka zatoczyła się w stronę przeciwległych barierek.

I nagle stało się coś niezwykłego. Rozległ się dźwięk jakby pękającej naciągniętej membrany, a potem przez krótki moment samochód toczył się po innej drodze, skąpanej w grafitowoszarym półmroku. Nad popękaną jezdnią pochylały się groteskowo powyginane drzewa o wijących się konarach, z których zerkały małe, paskudnie umorusane dzieci.

To była tylko chwila, a potem więźniarka wjechała w pole już za barierką i wyhamowała powoli w łanie zboża.

Tajemniczy gość uśmiechnął się jeszcze szerzej i zamachał strzelbą.

– Wysiadaj – polecił.

Dudziak skinął głową i posłusznie odwrócił się, by złapać za klamkę.

W ostatniej chwili mignęła mu jeszcze przed twarzą pięść uwieszonego na drzwiach bandziora. Powalony ciosem zapadł w błogą ciemność.

* * *

Strażnik umilkł. Nie miał już nic więcej do dodania, a zresztą nawet gdyby tak było, to jego głos nie miał już szans przebić się przez potępieńcze jęki i wycie, przez wrzaski, piski i głośny łomot metalowych prętów uderzających o puste baki, kawałki nadwozia, resory. Jazgot rozrywał bębenki, tętnił w całym ciele, przyprawiał Dudziaka o obłęd.

Piotruś pochylił się nad nim i odebrał mu mikrofon.

– Dobrze się spisałeś! – wykrzyknął. – Tak właśnie było!

Dudziak pokiwał głową zrezygnowany. Nie miał pojęcia, co się teraz stanie, i nagle zrobiło mu się to zupełnie obojętne. Słyszał jazgot, widział szaleńców na linach, łańcuchach, maskach i dachach

wozów i nie łudził się, że wyjdzie stąd żywy. Wszędzie buchał ogień, świeciły reflektory, migały kolorowe koguty i błyskały stroboskopy, a on miał świadomość, że to koniec. I tak samo jak wtedy, w samochodzie, myśl ta przyszła doń z obojętnością, bez śladu emocji. Ot, stanie się.

Ale się nie stało.

Piotruś bowiem uciszył tłum i zapowiedział poturbowanego Musliego z jego wersją wydarzeń. Zważywszy, że to on siedział na maszynie, którą staranowała więźniarka, jego historia powinna być krótsza, ale, pomyślał Dudziak, wszystko zależało od tego, gdzie ją zacznie.

Ktoś podał mu szklankę wody. Strażnik podniósł głowę i dostrzegł śliczną dziewczynę w obcisłej bluzce i szortach. Uśmiechała się, więc i on się uśmiechnął, a potem wypił łapczywie do ostatniej kropli. Wtedy podszedł Piotruś i podał mu rękę. Oboje z dziewczyną pomogli mu wstać i doprowadzili na bok sceny, do wielkiego kosza służącego za windę. W trójkę zjechali na dół i powędrowali przez rozstępujący się tłum w stronę głównych wrót.

– Świetna opowieść! – zawołał ktoś.

– Bangarang dla bohatera! – krzyknął ktoś inny.

Jakaś dziewczyna doskoczyła do Dudziaka i wpiła się ustami w jego usta. W końcu ją odciągnięto. To samo próbował zrobić rosły brodacz, ale Piotruś pokręcił głową ze śmiechem.

– Nasz gość zrobił swoje – powiedział. – Dajcie mu odejść w spokoju.

Dudziak drgnął lekko, słysząc te słowa. Czy nie to właśnie mówią na pogrzebach? „Odszedł w spokoju…”

Ale zamiast noża między żebrami wbitego ukradkiem poczuł chłodny powiew powietrza zza otwierającej się bramy.

– Idź przed siebie, strażniku – powiedział Piotruś, wskazując Dudziakowi piaszczystą drogę. – Jeszcze raz dziękuję za to, że wziąłeś udział w naszej zabawie.

Dudziak pokiwał głową. Pomyślał o Grabiszewskim, Tomczaku, Biedroniu i Kazimierskim. Ten pierwszy zginął na pewno, ale co się stało z pozostałą trójką?

Obejrzał się i dostrzegł w tłumie jednego z Bliźniaków. Machał mu, jakby byli dobrymi przyjaciółmi, bez śladu gniewu, zawiści czy choćby mściwej satysfakcji. Dudziak, zanim się zorientował, uniósł rękę.

– No widzisz. – Piotruś roześmiał się na ten widok. – Cieszę się, że nie żywisz urazy. Idź, a z naszej strony nic złego cię nie spotka. Masz moje słowo.

Wykonał palcem iks na wysokości serca, drugą ręką przygarniając do siebie tę śliczną dziewczynę.

Strażnik westchnął. Pomyślał, że mógłby po raz ostatni poprosić o wodę, bo strasznie chciało mu się pić, ale uznał, że nie będzie przeciągał struny. Zagra w tę ich grę do końca i zobaczy, kiedy im się znudzi.

Ruszył. Krok, potem następny i kolejny, aż wreszcie uwierzył, że może jednak rzeczywiście darują mu życie. Drgnął, gdy za jego plecami rozległ się głośny huk.

To zamknęła się brama.

* * *

Wendy odczekała, aż gapie odsuną się od nich, i dopiero wtedy zapytała:

– Myślisz, że znajdzie drogę do domu?

Piotruś wzruszył ramionami.

– Droga jest zawsze ta sama. Ale jeśli pytasz, czy wróci tam, skąd przyszedł, to nie wiem. Cień nie odpowiedział mi jeszcze na moje pytania ani o to miejsce, ani o naturę Skrótu. Pokazał mi tylko parę sztuczek.

Powoli ruszyli w kierunku sceny, wciąż objęci. Potem wspięli się na zwolniony specjalnie dla nich dach półciężarówki w pierwszym rzędzie widowni i przez chwilę słuchali opowieści Musliego. A przynajmniej takie sprawiali wrażenie.

– Coś cię martwi, prawda? – zapytała po chwili Wendy.

Piotruś potrząsnął głową, a potem ten gest płynnie przeszedł w potaknięcie.

– Sam nie wiem, Piękna – powiedział. – Ale przeczuwam najgorsze.

Zmarszczyła czoło i oburącz ścisnęła jego rękę.

– To znaczy?

Piotruś westchnął.

– To nie miało nastąpić tak szybko – stwierdził. – Sam się tego nie spodziewałem, ale… chyba zaczyna mnie to wszystko nudzić.

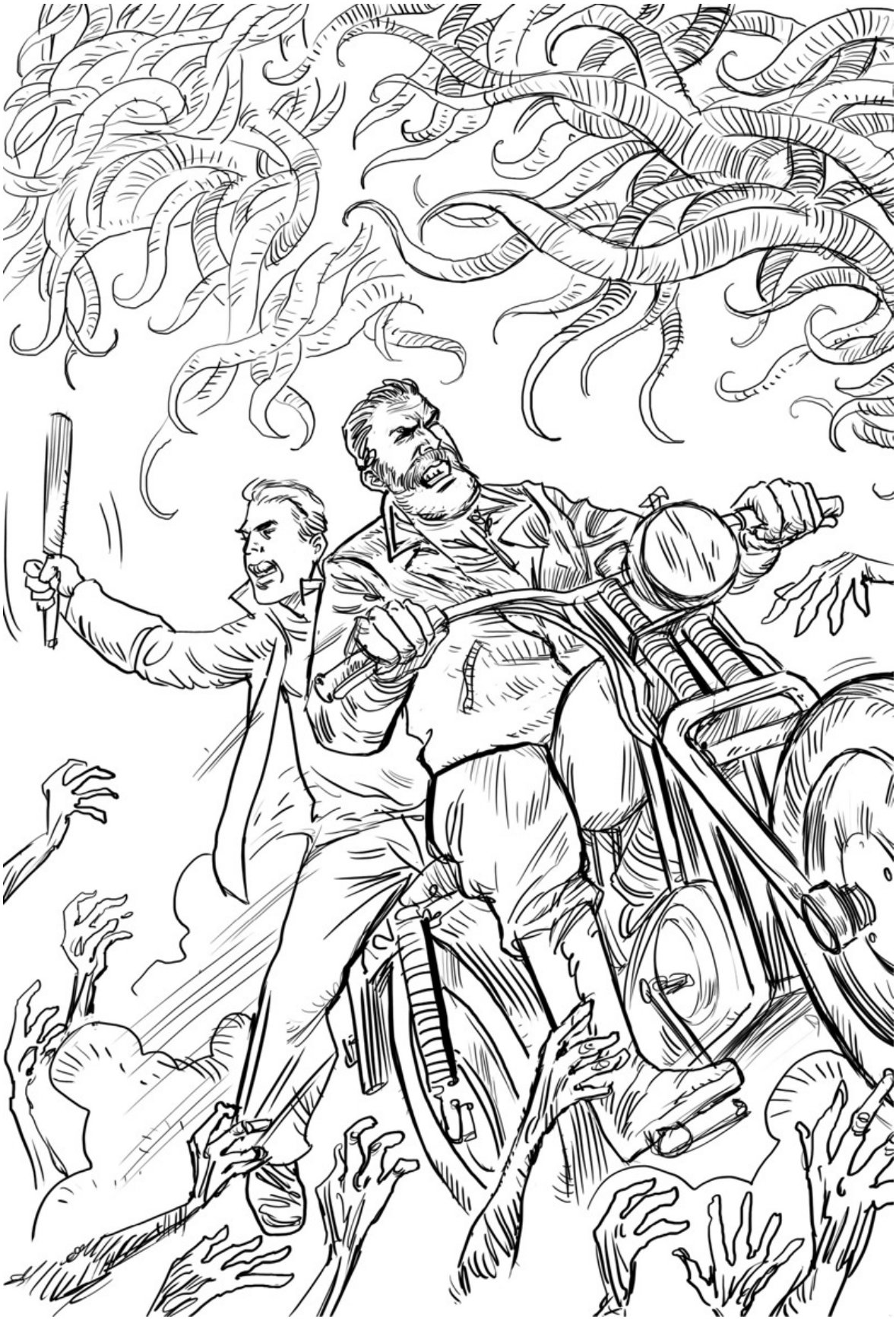

TRZY

Matiza prowadził Milczek. Kędzior, który potrzebował wyrwać siedzenie pasażera, by w ogóle wcisnąć się do maleńkiego pojazdu, rozlokował się na tylnej kanapie i powykrzywiany jak paragraf posykiwał na każdym wyboju. Ale choć bolało go wszystko jak szlag, fizyczne dolegliwości nie mogły się nawet równać z tym, co fundowało mu teraz wnętrze jego głowy.

Wspomnienia dawne i nowe, prawdziwe i fałszywe, a to splatały się w ciasny warkocz, a to znowu odpychały gwałtownie niczym dwa magnesy zwrócone do siebie takimi samymi biegunami. Każdy moment jego życia, każda chwila aż do pół roku temu miała dwa warianty. Najgorsze było to, że nieważne, czy pasowały do siebie emocjami, sprawiały wrażenie podobnych, czy różniły się od siebie skrajnie, każdy z nich wydawał się jedynym słusznym, właściwym. Jego życiem. A to, że w sercu czuł teraz, jaka jest prawda, wcale nie pomagało.

– To posrane gówno w głowie… – jęknął wreszcie. – Też tak masz?

Milczek wykorzystał moment, że zatrzymali się właśnie na światłach, by odwrócić się i zamigać obiema rękami.

Kędzior prychnął.

– Strasznie, kurwa, śmieszne, parchaty wesołku. Żebym ja ci nie powiedział, co jest twoją cechą szczególną.

Milczek zachęcił go gestem dłoni, ale rudy olbrzym sapnął tylko – płytko, by jeszcze bardziej nie urazić połamanych żeber.

– Zielone masz już chyba.

Milczek ruszył. Wbił po kolei kilka biegów, a potem wolną ręką pokazał na migi trzy litery: T, N, D. Kędzior wiedział doskonale, co to

znaczy. Kiedyś tak właśnie się komunikowali, gdy jego brat z jakiegoś powodu nie mógł używać obu rąk do migania. „Tak”, „Nie”, „Diabli wiedzą” – czyli w grę wchodziły tylko pytania z prostą odpowiedzią.

Kędzior musiał się chwilę zastanowić nad pierwszym.

– Czy ty też miałeś inne życie?

„Tak”.

W sumie to akurat Kędzior wiedział już z opowieści Dzwoneczka, ale był to idealny wstęp do kolejnego, ważniejszego pytania.

– Byłeś szczęśliwy?

„Tak”.

Szybko i bez wahania, co trochę zdziwiło olbrzyma. Oczekiwał pauzy, chwili na zastanowienie, jakiej sam niewątpliwie by potrzebował, gdyby spytać go o to samo. Bo przecież mimo tych wszystkich spin z Moniką nie mógł określić swojego fałszywego życia tak jednoznacznie. Miał w końcu Kubusia, syna, na którego teraz nakładał się obraz tego małego, pyskatego szczeniaka znalezionego i przygarniętego przez Chłopców, po tym jak okazało się, że mały mieszkał przez pół roku sam, bez rodziców. Miał Tinkę… Tak czy owak jakoś mu się to nowe życie układało, lepiej lub gorzej, fortunniej lub nie, ale na pewno nie jednoznacznie dobrze lub źle.

Milczek natomiast był swojego drugiego życia całkiem pewien. Ot, po prostu. I Kędzior poczuł, że za wszelką cenę chce go o tę pewność zapytać. Choć może jeszcze nie w tym momencie, może potem, gdy wreszcie gdzieś dojadą. Teraz mruknął tylko, mrużąc jedno zdrowe oko:

– Czy potem też miałeś napierdalający mętlik w głowie? Też ci się tak wszystko ze sobą mieszało? Oba życia?

„Nie”.

Trzy pytania, jedna zdawkowa odpowiedź.

Krótką chwilę później jednak, gdy po raz kolejny złapały ich światła, Milczek odwrócił się po raz drugi i doprecyzował:

„Inna metoda. Gorsza. Skuteczniejsza”.

– Gorsza!?

Kędzior szybko zdał sobie sprawę, że ekscytacja nie była teraz dobrym pomysłem, ale nie mógł się powstrzymać. Co mogło być gorsze od próby popełnienia samobójstwa na jebanym Skrócie?

Milczek mignął:

„Tak”.

Potem, już nie czekając na żadne światła, zatrzymał się nagle na środku drogi. Nie bacząc na klakson tych za sobą, odwrócił się raz jeszcze do Kędziora, spojrzał mu w oczy i powiedział ochrypłym szeptem:

– Nie mów mamie, że pamiętam. Nigdy.

A potem włączył światła awaryjne, wysiadł z samochodu i ruszył, kuśtykając, w stronę wciąż trąbiącego za nimi kierowcy. Kędziora dobiegły jakieś krzyki, potem odgłosy szarpaniny. Klakson ucichł, a Milczek przyczłapał z powrotem, rozmasowując pięść. Usiadł za kierownicą. Ruszył.

Kędzior dał sobie i jemu chwilę, zanim zadał następne pytanie:

– Czy to znaczy, że teraz znowu będziesz mówił? Jak za dawnych czasów?

Ręka blondyna uniosła się i ułożyła w literę N.

Olbrzym westchnął.

– Dobra, zatrzymaj się gdzieś, muszę się napić i wysrać, a poza tym powinniśmy porządnie pogadać. Nawet jeśli masz mi tylko łapami machać przed nosem.

Milczek skinął głową i skręcił w najbliższy zjazd po lewej, na niewielki betonowy parking. Pokraczny mały Matiz zaparkował tuż obok równego rządku motocykli stojących przed obskurnym barem.

Według odrapanego szyldu lokal nazywał się BarSakwa.

* * *

Z kranu trysnęła piana. Bruzda puścił dźwignię i wzruszył ramionami.

– Keg się skończył, chwila – wyjaśnił łysemu kurduplowi po drugiej stronie baru.

Chłopak miał na sobie kamizelkę w barwach Bękartów Kaina, ale, jak przystało na prospecta, jeszcze bez logo. Tacy zawsze są najgorsi, nadgorliwcy jebani.

Gość rzeczywiście zmrużył świńskie oczka, jakby upatrywał kłamstwa w usłyszanych przed momentem słowach. Jakby piana zamiast żółtego strumienia na ściance pokala nie była dostatecznym ich potwierdzeniem.

– Przed chwilą zmieniałeś – mruknął, wyrażając głośno swoje wątpliwości.

– Tak, ale od tamtej pory nalewam. Więc się skończył.

– Akurat teraz?

Bruzda skubnął się w nos, raz, potem drugi. Wreszcie, gdy w katalogu słów, jakich mógłby teraz użyć, wypatrzył pierwsze cenzuralne, powiedział, siląc się na spokój:

– Masz tu już cztery nalane, to lepiej zanieś chłopakom, póki zimne. Ja tymczasem skoczę na zaplecze po nowego kega i podepnę, zanim się obejrzysz, OK?

Kainowy prospect nie wydawał się przekonany, ale Bruzda miał go gdzieś. Dzisiejszy ruch zaskoczył go całkowicie i nie dość, że ręce bolały go tak, jakby każdemu z klientów oferował ręczną robótkę na wejściu, to jeszcze powoli zaczęły mu się kończyć zapasy. A choć na razie było kulturalnie i bez zadym, to obecność w lokalu w tym samym czasie członków trzech różnych klubów była beczką prochu z krótkim lontem. A koniec alkoholu zapaloną zapałką.

Dlatego, nie zwlekając dłużej, Bruzda odpiął pustego kega, przewrócił go i kopniakami wytoczył na zaplecze. Tam postawił na innych pustych i wziął przedostatni wciąż pełny.

„W tym tempie – pomyślał – całe piwo, włącznie z butelkowym, zejdzie za godzinę, a mocniejsze rzeczy pół godziny później. Zdecydowanie za wcześnie dla wszystkich zebranych, przywykłych do siedzenia po świt. Gdyby tylko…”

– Ej, ja cię znam! – rozległo się nagle gdzieś z sali.

Zdanie, które rzadko zwiastowało coś dobrego, zwłaszcza powiedziane takim tonem. Bruzda natychmiast rozejrzał się za krótką, drewnianą pałką, tak na wszelki wypadek.

– Kurwa, chłopaki! – ten sam głos entuzjazmował się coraz bardziej. – To te cipy od napadu na więźniarkę. Chłopcy!

Na dźwięk ostatniego słowa Bruzda drgnął. Czy rzeczywiście miał za moment zobaczyć swoich niegdysiejszych… he, he… wychowanków? I czy rzeczywiście kilku spośród garstki najbardziej obecnie poszukiwanych ludzi w tym kraju weszło właśnie do jego baru? Na to, co mogło to zwiastować, pałka mogła nie wystarczyć, dlatego zaparł się przy regale, odsunął go i odchylił ściankę z dykty.

Tymczasem sytuacja na sali wyraźnie się zaogniła. Nie było już słychać gwaru, tylko przyciszoną muzykę i pojedyncze głosy. Teraz najwyraźniej odezwał się jeden z przybyłych.

– Kogo nazywasz cipą, pierdolona szmato…? – zapytał niskim, głębokim głosem. – Nie, Milczek, nie wyzywam go, tylko nie znam imienia i stosuję ten, no… Właśnie, zamiennik. No więc kogo?

Bruzda zamarł, wstrzymując oddech. Jeżeli rzeczywiście to byli ci sami chłopcy, te same małe, bezczelne gnojki, z którymi kiedyś mieszkał, to była jedna odpowiedź, której w tym momencie nie można było udzielić, choćby nie wiem jak kusiła. Jedna, która…

– Twoją matkę!

Kurwa.

Rozległ się wściekły ryk, szuranie krzeseł i odgłos pękającego szkła. Bruzda zgarnął ze stojaka obrzyna i paczkę z amunicją i rzucił się w stronę baru.

Pierwszym, co zobaczył, gdy wyskoczył zza brudnej zasłonki oddzielającej zaplecze od baru, był wielki, rudy brodacz wyglądający, jakby ostra bójka zaczęła się dla niego już dobre pół godziny temu. Twarz miał napuchniętą, ręce poharatane, śliwa pod okiem doskonale przypominała ten właśnie owoc – była wielka, nabrzmiała i ciemnofioletowa. Nie było szans, by cokolwiek na to oko widział.

Jedną łapą wielką jak bochen trzymał teraz za tył głowy jednego z Promiennych Chłopaków, drugą wykręcał mu rękę na plecach. Kompan wielkoluda przywarł plecami do jego pleców i celował w półkole motocyklistów tulipanem z butelki po piwie.

– Teraz przeprosisz, prawda? – zapytał olbrzym trzymanego napastnika.

– Pierdol się – wycedził Promienny Chłopak.

Zaraz potem wrzasnął przeraźliwie, gdy szarpnięta wykręcona ręka pękła z suchym trzaskiem. Krzyk urwał się jednak niemal natychmiast po kolejnym trzasku, tym razem łamiącego się nosa. Olbrzym puścił osuwający się bezwładnie zezwłok i złapał za kran od piwa. Wyrwał go jednym szarpnięciem i tak uzbrojony odwrócił się do reszty.

– Może tego teraz nie widać – powiedział – ale przybywamy w pokoju. Chcieliśmy się tylko napić pi…

Wtedy się zaczęło.

Najpierw z dzikim krzykiem rzucił się na Milczka wytatuowany kudłacz z nożem wielkim jak jego przedramię. Niemowa sprawnie zbił jego cios, ale stanął na osłabionej nodze. Zatoczył się i zachwiał, co zaraz wykorzystało dwóch kolejnych motocyklistów. Jeden zaszedł blondyna od tyłu i pochwycił, drugi uderzył sprawnie dwa razy w brzuch i raz w podbródek. Gdyby zdążył wyjąć nóż, gdyby nawet o tym pomyślał, Milczek nie miałby już najmniejszych szans, zwłaszcza że w tej samej niemal chwili chmara bikerów, nie bacząc na barwy, zjednoczona przeciw wspólnemu wrogowi, obsiadła Kędziora, zasypując go gradem ciosów. Urwana rurka z kranem poleciała gdzieś w dal, w przytłumionym świetle błysnęły noże, któryś nawet sięgnął celu.

Nagle rozległ się ogłuszający huk, a zaraz potem z sufitu posypał się tynk. Nie wystarczyło to, by bójka ustała, ale kilka głów odwróciło się w stronę baru i stojącego za nim Bruzdy. Ten potrząsnął obrzynem.

– Dobra, wystarczy – powiedział barman, postępując krok do przodu. – Zabijecie ich.

– Tym się akurat nie przejmuj, Bruzda. Posprzątamy – mruknął Spoon.

Żylasty facecik był przedstawicielem trzeciego z obecnych w lokalu klubów, The Tribe. Miał śniadą skórę, wąsy sięgające linii szczęki i gęste czarne włosy splecione w warkocz pełen ozdób jak małe piórka czy drobne dzwoneczki. Mówiąc, nie przestawał kopać leżącego mu u stóp Milczka, a robił to z takim zawzięciem, że ręką trzymał się krawędzi kontuaru, by utrzymać równowagę.

I właśnie w te rozcapierzone, zaciśnięte na blacie palce Bruzda grzmotnął teraz kolbą obrzyna. A gdy biker spojrzał na niego z mieszaniną zdumienia i narastającej wraz z bólem wściekłości, barman grzmotnął go jeszcze lufą w twarz, z takim impetem, że gruchnęła szczęka.

– Powiedziałem: wystarczy! – warknął.

Motocykliści popatrzyli po sobie. Jeden z Promiennych, chcąc pewnie pokazać, że wcale się nie boi, ostentacyjnie kopnął Kędziora w nerki, ale to był ostatni cios, jaki padł na leżących Chłopców. Przynajmniej na razie.

– Zjebałeś, Bruzda – wycedził Rupieć.

Stał teraz na czele ściśniętych w ciasną grupę i wyraźnie wściekłych Irradiated Prophets. Za jego plecami znajdowali się wyżsi klubową szarżą, ale to właśnie on zabrał głos. Czyżby dlatego, że ściągnął tu swoich, powiedział im, że to w porządku lokal i że jego właściciel także jest OK? Czyżby, myślał Bruzda, w ten sposób Rupieć informował go, że on wie, że i on sromotnie zjebał, i teraz będzie się musiał w oczach klubu odkupić?

A właściwie jebać to, uznał barman. Teraz już i tak za późno!

– Dobra, dobra, Rupieć – mruknął. – Chujowo wyszło, wszyscy wiemy, ale Sakwa jest neutralna i nie dam tu nakurwiać mi klientów.

– Spoon był klientem, chuju – warknął ktoś.

Bruzda powoli, z rozmysłem kiwnął głową.

– Był, aż mnie olał, i wtedy stał się problemem.

Zrobił pauzę, rozejrzał się po lokalu, patrząc po wszystkich zebranych. Spróbował się uśmiechnąć półgębkiem, ale z nerwów szczęki miał tak ściśnięte, że pewnie wyglądał teraz, bardziej jakby miał zatwardzenie.

– Panowie, znacie mnie, a przynajmniej zna mnie większość z was. Wiecie, że szanuję zasady i wasze kluby. No ale kurwa mać! To jest legalny biznes. Ja z tego żyję, a ostatnio wiodło się tak źle, że dziś wypiliście więcej, niż sprzedałem w cały zeszły miesiąc! Zabicie tych dwóch nam nie pomoże, zwłaszcza kiedy można ich legalnie oddać psom teraz, jeśli to faktycznie oni.

– Pierdolić psy! – krzyknął ktoś i słowa te poniosły się po lokalu niczym muzyk rockowy na wzniesionych rękach szalejącego tłumu.

– Może i tak – odparł Bruzda. – Ale jeśli to tylko okrzyk, a tak naprawdę nie masz na to ochoty, to pora najwyższa się stąd zbierać. Lokal ma w cholerę zalet, ale sąsiedztwo to upierdliwe dziady i pewnie już zadzwonili.

Jakby na potwierdzenie tych słów, gdzieś w oddali rozległy się dźwięki syreny. To ostatecznie przeważyło szale na korzyść Bruzdy i leżących na ziemi, poturbowanych Chłopców. Jeden po drugim bikerzy zaczęli się rozchodzić i – niby nonszalancko, jakby obojętnie, choć trochę za szybko – zbierać rzeczy. Tych, którzy nie byli w stanie iść sami, wsparli kumple. Oprzytomniałego Spoona trzeba było przytrzymać, by się nie rzucił na Bruzdę.

W końcu lokal opustoszał, a w środku pozostali już tylko właściciel oraz poobijani Kędzior i Milczek. Barman położył obrzyna na kontuarze, obszedł bar i z trudem przykucnął przy rudym olbrzymie.

Wyciągnął do niego rękę.

– Nie wiem, czy dam radę cię podnieść – powiedział – ale nie powinieneś tak tu leżeć… Kędzior.

Olbrzym zamrugał jednym okiem.

– Skąd… – zaczął, ale przerwał, obrócił się na bok i strzyknął krwią przez szczelinę po niedawno ułamanym zębie. – Skąd mnie znasz?

– Stare dzieje, szczylu. Jestem Bruzda, ale kiedyś mówili na mnie…

– Mat – skojarzył Kędzior.

– Zgadza się, szczylu. – Bruzda uśmiechnął się smutno.

* * *

Skrót drżał, wyraźnie poruszony, a to, z czego się składał, rozpadało się na maleńkie cząsteczki, ziarnka szarego popiołu. Część drobin pozostawała na swoim miejscu, inne falowały, poruszając się to w górę, to w dół i w bok niczym linie zakłóceń na śnieżącym ekranie telewizora.

Po asfalcie pełzali, zdzierając skórę z nóg, z brzucha, z piersi uwięzieni na Skrócie opętańcy. Cokolwiek kryło się w przydrożnych rowach, wiło się w konwulsjach, a drzewa trzęsły się jak w febrze, podczas gdy skóra porastająca ich pnie pękała setkami zajadów, z których sączyła się ropa lśniąca w blasku wiecznej nocy.

Skrót sapał i dyszał, jednocześnie zmęczony i wściekły do granic możliwości, wyprowadzony z równowagi jak być może nigdy wcześniej. Istoty ukryte pośród drzew i krzewów zadzierały głowy i wydawały z siebie wszelkie możliwe okrzyki od pisków po warkot – i one wszystkie gdzieś tam były, dawały się wyczuć, choć żadnego nie było słychać – po czym nagle stawały w ogniu. Łuszczyły się albo topiły niczym wosk, strzaskała skóra, skwierczał tłuszcz. A potem nagle gasły, stygły, gniły i rozpadały się w tysiące czerwi i pędraków, by zaraz, niechętnie, ale koniecznie, odrodzić się z ziemi w nowej, jeszcze bardziej upiornej postaci złożonej z maleńkich szarych punktów.

Dzwoneczek jechała środkiem jezdni, tam gdzie powinna znajdować się linia. Czasem droga nagle przeskakiwała, niczym na taśmie z brakującymi klatkami, i wtedy nagle okazywało się, że motocykl jedzie poboczem, a potem pstryk, przeskok i znowu znajduje się w miejscu linii.

Na siedzisku za nią siedział kot i wcale się nie krępował, patrząc uważnie, acz bez większych emocji na miotający się Skrót.

„Coś go musiało rozwścieczyć”, pomyślała Dzwoneczek, a Kot usłyszał tę myśl, zupełnie jakby powiedziała ją na głos. Polizał się po łapie, a potem zeskoczył na asfalt i pognał gdzieś w las, między wijące się w agonii stwory. Zniknął, by może chwilę, a może całą wieczność później pojawić się tuż przed motocyklem Dzwoneczka. Przechylił głowę i pazurem skrobnął o asfalt.

Wróżka zamknęła oczy.

Gdy je otworzyła, znajdowała się na trawie obok wielkiej sadzawki. Niedaleko przed nią wznosiło się koło lunaparkowego diabelskiego młyna.

* * *

Bruzda wszedł do BarSakwy i zamknął za sobą drzwi. Przysiadł na skraju kanapy, starając się nie dotknąć poturbowanej nogi Milczka.

– Dobra, pozbyłem się waszej trefnej bryki, a nowy transport będzie do godziny – powiedział. – Wytrzymacie jeszcze trochę, co?

Pokiwali głowami, choć wyglądali, jakby miało im się to nie udać. Mieli na sobie niemal całe wyposażenie sporej apteczki, jaką Bruzda na wszelki wypadek trzymał na zapleczu. Woda utleniona, spirytus, bandaże zwykłe i elastyczne, gaza i plastry, środki przeciwbólowe, temblaki. Nie zużyli tylko węgla w tabletkach i folii termicznej.

No ale żyli, a to już było coś. Żyli i pozostawali przytomni, choć, wedle skromnej w tym zakresie wiedzy barmana, dawno już powinni odpłynąć. Połamane żebra i przynajmniej dwie kończyny, opóźnienie reakcji i tępy wzrok, czyli pewnie wstrząśnienia mózgów, cała ta krew, która wsiąkała teraz w podłogę…

Kolejne wspomnienie napłynęło do głowy barmana, a w nim ci sami dwaj, ale sporo młodsi, na sąsiednich łóżkach szpitala dziecięcego. Skakali z piętnastometrowej tamy, po tym jak zobaczyli podobną scenę w *Ściganym*. Wtedy też wydawało się, że nie przeżyją, a skończyło się miesiącem na wyciągach i kilkoma wizytami opieki społecznej. Działo się wtedy, oj działo, a ci dwaj po dziś dzień są po prostu niezniszczalni! „Swoją drogą jak to możliwe – pomyślał Bruzda – że wcześniej o tym wszystkim zapomniałem? Taki przecież kawał życia!”

Kędzior poruszył się na kanapie i syknął.

– Nie powinieneś się ruszać – skomentował to Bruzda.

– Kiedy… mnie to pierdolstwo… w dupę uwiera – mruknął z wysiłkiem olbrzym.

Wziął kilka płytkich oddechów i podciągnął się na lewej ręce nieco wyżej, do pozycji półsiedzącej. Po raz kolejny tego dnia strzyknął śliną przez dziurę po złamanej górnej dwójce.

– Swoją drogą, czy mi się… zdawało, że wcześniej jechały tu gliny?

Bruzda pokręcił głową.

– Nie tu i nie gliny. To chyba była karetka. Ale kupiło nam to chwilę, zanim bikerzy zmienią zdanie. Bo że je zmienią, to pewniak. Zwłaszcza Plemię się dojebie.

– Plemię?

– Tak – westchnął Bruzda. – The Tribe. Ten koleś, któremu przestawiłem szczękę, to mściwy dupek. Wrócą tu…

Milczek spróbował zamigać, ale wyjątkowo mu nie szło z unieruchomioną jedną ręką.

– Po prostu to, kurwa, powiedz – warknął Kędzior. – Przecież potrafisz.

Milczek pokazał mu środkowy palec i ostrożnie wyjął rękę z temblaka. Powoli i zniezgrabnie wymigał kilka znaków.

– Mówi, że…

– Chyba łapię – stwierdził ze zdumieniem Bruzda.

Faktycznie, choć nie pamiętał, by kiedykolwiek uczył się migowego, ani też nie miał pojęcia, czy to naprawdę jest migowy, rozumiał to całe machanie rękami.

– Nie, Milczek, nie masz powodu, by czuć się jak kutas z powodu baru. To po prostu Droga dała znać, że sflaczałem tu jak fujara impotenta i że trzeba znowu ruszyć w trasę. Mówiła to już jakiś czas, ale wiecie, jak to jest: gdy raz zakosztujesz stabilizacji…

Pokiwali głowami, bo faktycznie coś tam już o tym wiedzieli.

– No a skoro już przy temacie jesteśmy, to co tam, chłopaki, u waszej mamy?

Bruzda rzucił to mimochodem, a przynajmniej taki miał zamiar, ale głos mu zadrżał i do zdradził. Kędzior podłapał to natychmiast.

– Mat, stary, ratujesz nam dupy i to super, ale to nie tak, że znowu jesteśmy ziomami.

– Wiem – skinął głową barman; teraz, gdy wróciła mu pamięć, wiedział także dlaczego. – Po prostu chcę wiedzieć, czy u niej w porządku.

– Właściwie to nie – westchnął Kędzior i znowu splunął. – Wszyscy mamy teraz trochę jakby przepierdolone, a ona to już najbardziej.

– Co się stało?

– Długa historia.

– To poczekaj.

Bruzda wstał i poszedł za bar. Po chwili wrócił z kanciastą butelką whisky i trzema szklankami. Usiadł, nalał chłopakom i sobie, upił łyk.

– Teraz mów. Jeszcze mamy chwilę.

– W sumie to Milczek powinien, on więcej pamięta…

Środkowy palec blondyna wzniesiony po raz kolejny uzmysłowił Kędziorowi, że ten numer raczej nie przejdzie. Westchnął więc, skrzywił się z bólu i po raz trzeci splunął na podłogę.

– No dobra, więc zacznijmy od tego, Mat…

– Bruzda – poprawił go barman. – Teraz tak na mnie mówią.

– Niech ci będzie, Bruzda. Więc zacznijmy od tego, czego o nas nie wiesz, a co sprawi, że resztę tej butelki wyżłopiesz sam.

* * *

– No to jesteśmy – powiedział ksiądz Jan, ale jakoś tak bez przekonania.

Dawno tu nie był, ale miał wrażenie, że w jego wspomnieniach to miejsce, nawet już po remoncie, wyglądało jednak inaczej. No i z pewnością inaczej się nazywało. Wcześniejsza nazwa, której teraz nie mógł sobie przypomnieć, była bardziej wymyślna niż po prostu Lunapark.

Spojrzał na swojego pasażera. On również nie sprawiał wrażenia, jakby coś sobie przypominał. Przyglądał się wszystkiemu z uwagą, ale w jego oczach nie było tego błysku, jaki pojawił się wtedy na parkingu, błysku zrozumienia, światełka powracających wspomnień. Zamiast tego ściągnięte brwi i usta, zmarszczone czoło – niecierpliwe wyczekiwanie na coś, co wedle obietnicy powinno się wydarzyć już zaraz, za moment.

Podjechali pod główną bramę. Sporo miejsc było tu zajętych, ale nie mieli większych trudności z zaparkowaniem ledwie parę metrów od wejścia. Zważywszy na to, że teoretycznie jeszcze trwał sezon, pomyślał ksiądz Jan, nie wyglądało to najlepiej dla tego wciąż młodego biznesu, w który niewątpliwie zainwestowano sporo nerwów i – zapewne pożyczonych – pieniędzy.

Czy to mogło mieć związek z tym, jaki teraz był pan Kruszyna i co stało się z jego bliskimi? Źle idące interesy? Finansowe przekręty?

A jeśli tak, to czy było to bardziej skutkiem, czy przyczyną? Obejrzał się na towarzysza.

– Coś świta? – zapytał.

Grubas pokręcił głową.

– Nie, ale to miłe miejsce. Lubię wesołe miasteczka.

„No, to zdecydowanie nie jest teraz wesołe”, pomyślał ksiądz Jan. Minął tabliczkę z napisem „Parking bezpłatny dla gości Lunaparku” i wszedł na chodnik z żółtego, betonowego bruku.

– „Goodbye, yellow brick road…” – zanucił cichutko, zastanawiając się przez moment, czy ten kolor dla ścieżki prowadzącej do parku został wybrany z rozmysłem. Jeśli nie, to wyszło całkiem zabawnie.

– Znam tę piosenkę – powiedział idący za nim pan Kruszyna.

Ksiądz Jan skinął głową.

– Tak, jest świetna. Elton John ma ich zresztą sporo na koncie, bo to bardzo…

– Mama ją lubiła – Grubas wszedł mu w zdanie. – I czasem tak mówiła, gdy coś nie szło według planu.

Kapłan odwrócił się, marszcząc czoło.

– Mama? Ma pan na myśli…

Kruszyna wzruszył ramionami.

– No mamę, moją mamę – powiedział i zaraz spojrzał gdzieś w bok. – Tak mi się przypomniało z czasów, kiedy byłem mały.

– Coś jeszcze się panu przypomniało? Może pana… bracia?

Gruby mężczyzna zmarszczył czoło i złapał się za podbródek, jakby to miało mu pomóc w myśleniu, ale po chwili tylko potrząsnął głową.

– Niestety. To tylko taka, wie ksiądz, luźna myśl.

– Jasne.

Podeszli do budki z kasą i ksiądz Jan kupił dwa bilety. Pan Kruszyna zaczął nieśmiało protestować, ale urwał w pół zdania, uważnie przyglądając się chłopakowi w okienku.

– Miałem wrażenie, że skądś go znam – szepnął do księdza, gdy już weszli na teren Lunaparku.

– Tego z kasy?

– Noo. Znaczy tak. Ale nie wiem skąd ani czy na pewno – zawahał się. – Może za bardzo się staram i sobie wmawiam?

Kapłan pokiwał głową. Tak, to niestety też było możliwe, dlatego nie należało za mocno naciskać. Cokolwiek bowiem spowodowało uraz…

Za ich plecami rozległ się ryk samochodowego silnika na za wysokich obrotach. Obejrzeli się równocześnie.

* * *

– To, kurwa, niemożliwe! – warknął Cień. – Niemożliwe!
Stalówka rozejrzał się na boki.

– Co takiego? – zapytał.

Przed chwilą wjechali na przestronny parking przed Lunaparkiem. Był niemal pusty, jeśli nie liczyć dwóch czy trzech sektorów najbliżej głównego wejścia, gdzie stało kilkanaście samochodów. Jechali teraz na skos przez oznaczone liniami miejsca prosto do głównej bramy. Przy kasie stało właśnie dwóch mężczyzn, z których jeden…

„Niemożliwe – skarcił się w myślach Cień. – Co miałby tu niby robić? Skąd się wziąć!? Przecież nie mógł tak po prostu tutaj przyjechać, nie z tymi zaszczepionymi mu wspomnieniami, z blokadami i niepewnością…”

– Cieniu, co się stało? – ponowił pytanie Stalówka.

Zwolnił i chciał zmienić bieg, ale przez pomyłkę zamiast o jeden, zredukował o dwa. Silnik zawył.

– Ożeż, kurwa! Przepraszam.

– Nie ma za co – odparł Luby, zamknął oczy i wziął głębszy oddech. – I nic się nie stało, zapomniałem o czymś.

– Coś ważnego?

– Teraz już nie – odparł Cień. – Zaparkuj tutaj.

– Przecież mieliśmy wjechać na ter…

– Zaparkuj, mówię!

Stalówka wzruszył ramionami, ale przyhamował i zaparkował w poprzek linii. Zaciągnął ręczny, wyłączył światła i silnik.

– Nie wiem, co się stało… – zaczął, ale Luby nie dał mu dokończyć.

– Nie musisz rozumieć nic więcej poza powodem, dla którego tu jesteśmy – warknął.

Dostrzegł jednak minę albinosa, który już otwierał usta, by odpowiedzieć. Dodał więc w nieco bardziej pojednawczym tonie:

– Dobra, trochę dałem ciała ciała i jestem zły na siebie. Zróbmy, co mamy zrobić, i spadajmy stąd.

Stalówka wyciągnął z kieszeni pogniecioną paczkę lucky strike'ów. Wsadził jednego do ust, odpalił i otworzył drzwi samochodu.

– Znaczy: wsadźmy Dzwoneczka do wozu i zawieźmy do Piotrusia, tak?

– Tak.

Albinos machnął ręką, wskazując na wolną przestrzeń parkingową między nimi a bramą.

– A jak chcesz to zrobić bez podjeżdżania bliżej i zwracania czyjejkolwiek uwagi?

Luby uśmiechnął się półgębkiem, trochę wymuszenie, bo myśli zaprzątał mu widziany przed chwilą Kruszyna. Choć może to nie był on? Mało jest na tym świecie zwalistych grubasów o kaczym chodzie lubiących lunaparki? A zresztą nawet jeśli, to przecież tłuścioch nadal nie miał prawa pamiętać ani kim jest, ani co go z tym miejscem łączy.

– Stary, serio, kurwa, co z tobą? – zaniepokoił się Stalówka.

Cień potrząsnął głową.

– Nie, nic, w porządku – stwierdził. – A co do Dzwoneczka, to po prostu zaproszę ją do samochodu. Czasem wystarczy być miłym i uprzejmym.

Wysiadł i ruszył powoli w stronę bramy.

Stalówka, paląc, patrzył za nim przez chwilę. W końcu cisnął niedopałek na asfalt i także wyszedł z auta. Rozgniótł butem żarzącą się jeszcze końcówkę i zamknął drzwi.

– Chuja tam uprzejmym – mruknął, ruszając w ślad za Cieniem.

* * *

– Pewnie dzieciaki – powiedział pan Kruszyna.

Ksiądz Jan pokiwał głową, uznając, że to najbardziej prawdopodobne. Tak ogromny, pusty parking kusił wręcz, żeby trochę się wyżyć za kierownicą w podwędzonym rodzicom samochodzie. Popalić gumę, poćwiczyć drifty, skręcanie na ręcznym i co tam tylko smarkateria widziała na filmach czy w grach.

– W sumie dobrze, że wygłupiać się przyjechali tu, a nie próbują tych sztuczek na drodze – stwierdził pan Kruszyna, odwracając się i ruszając dalej ścieżką.

Ksiądz Jan znowu ograniczył się do pokiwania głową. Bo i cóż mógł więcej powiedzieć, skoro zgadzał się w zupełności? Wychowanie dziecka to jakże często jedynie przygotowanie mu możliwie bezpiecznych warunków do popełniania jego własnych błędów. I tylko się cieszyć, jeśli któreś, choćby przypadkiem, oszczędzało dorosłym roboty.

Szli szeroką lunaparkową alejką, nie rozglądając się na boki. Czasem tylko Kruszyna przystawał, żeby przyjrzeć się ławce lub napisowi na mosiężnej tabliczce przytwierdzonej do latarni albo w skupieniu przeanalizować obrazek na bocznej ścianie tej czy innej atrakcji.

Ksiądz Jan, dla którego grafiki były wcześniej po prostu pstrokatymi ozdobami na gładkich ścianach, również przyglądał się im uważniej niż w dawnych czasach. W pewnej chwili stanął jak wryty.

Klaun, na którego wystającym języku dzieci kręciły się na wielkich cukierkach, rozpędzone stado koni pędzących prosto na naostrzone pale wyglądające jak cukrowe laski z choinek, dzieci w wagonikach przypominających wozy dawnych osadników strzelające do ściśniętej w kręgu rodzinki Indian… Nic z tego nie wydawało mu się wcześniej straszne, bo wszyscy – dzieci, konie, Indianie, klaun – uśmiechali się wesoło, jakby to była najlepsza zabawa na świecie. No i wszystko było uroczo kolorowe, a więc pozostawało w jak najlepszym porządku, czyż nie?

Kapłan poczuł, że jeżą mu się włoski na karku, a w brzuchu rośnie nieprzyjemna, włochata kula, rwąca się w stronę gardła. Znowu, jak wiele razy wcześniej, miał wrażenie, że oto słońce blednie, szarzeje,

a on znów znalazł się na tej przeklętej drodze otoczonej polami pełnymi wyszczerzonych strachów, które zniechęcić do ataku mogło tylko pianie i gorąca wiara…

Potrząsnął głową gwałtownie i głośno przełknął ślinę, by zaraz potem usłyszeć swój głos jakby z dna studni.

– Rozpoznaje pan coś?

Kruszyna, stojący właśnie przy karuzeli łańcuchowej, na której namalowano masę wściekle wesołych czerwonych diabłów pętających niemal nagich grzeszników, uśmiechniętych, choć skutych i pozginanych w pół, rozłożył ręce.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Znaczy, widzę to wszystko pierwszy raz, ale jednocześnie mam takie wrażenie, jakby już kiedyś…

– Kruszyna?

Obaj mężczyźni obrócili się w stronę podłużnego pawilonu, w którym mieścił się tunel strachu. U jego wejścia stała, trzymając w ręku biały kanister, drobna rudowłosa kobieta.

Ksiądz Jan skłonił się jej lekko.

– Witam, pani Dzwoneczek – powiedział.

Ale ona zupełnie nie zwróciła na niego uwagi, tylko postawiła kanister na ziemi i rzuciła się biegiem w stronę Kruszyny. Gdy już była blisko, skoczyła na niego i uwiesiła się jego szyi, zasypując go gradem pocałunków.

Gruby mężczyzna, w pierwszej chwili zaskoczony, objął ją powoli i delikatnie przytulił. Za zmarszczonym czołem pojawiła się myśl, potem wspomnienie, a wreszcie do ściągniętych ust napłynęły słowa.

– Mama? – zapytał. – To ty?

* * *

Cień podszedł do budki z kasą od tyłu i bezceremonialnie otworzył drzwi. Siedzący w środku pyzaty dzieciak odwrócił się gwałtownie.

– Co jest, kurw… – zaczął, ale rozpoznawszy szefa, umilkł natychmiast i skłonił się tylko, próbując niczym żółw wtulić głowę w ramiona.

Luby sprawiał wrażenie, jakby w ogóle go nie dostrzegł. Stanął przy biurku i odwrócił bardziej w swoją stronę płaski dwudziestojednocalowy ekran z obrazem podzielonym na cztery części. Każdy fragment wyświetlał widok z innej kamery skierowanej na jakąś część parku. Żaden nie pokazywał jednak tego, co Cień chciał zobaczyć.

– Da się jakoś zmienić obraz? – warknął.

– Jasne, szefie. – Chłopak wskazał ręką na leżącą na biurku małą klawiaturę numeryczną. – Kamery idą po kolei, numery od jeden do siedemdziesiąt dw…

– Tych dwóch, co weszło tu przed chwilą. Grubas i…

– Ksiądz?

– Ksiądz? – zdziwił się Cień, ale zaraz machnął ręką.

Może i, kurwa, ksiądz, nawet by pasowało do tego, co powinno Kruszynie siedzieć w głowie.

– Niech będzie ksiądz. Gdzie ich szukać?

– Teraz to powinni być przy tunelu stra…

– Kamera która, do kurwy nędzy!?

– Aaaa… trzynastka albo czter… Jezu!

Dzieciak aż podskoczył, gdy po drugiej stronie okienka zobaczył Stalówkę. Jego biała skóra, brwi i broda, czerwone oczy i tatuaż zawsze robiły wrażenie, ale w tym momencie mężczyzna dodatkowo pojawił się niczym zjawa.

Albinos wsunął do ust kolejnego papierosa, odpalił go i zaciągnął się dymem. Jego mina w żaden sposób nie zdradzała, jak bardzo rozbawiła go reakcja szczeniaka.

– Normalny poproszę, z karnetem na wszystko – wycharczał, wypuszczając z ust siwoszary kłąb. – I jeszcze twoją duszę…

– Mam! – krzyknął zza pleców dzieciaka Cień. – To oni i… Ożeż kurwa! Jak!? Przecież ona nie może go… Kurwa! Oni się, kurwa, nie znają!!!

Stalówka zmarszczył czoło. Jeszcze nigdy nie widział Cienia wyprowadzonego z równowagi, tak wściekłego, a może także w jakiś

sposób… przestraszonego? Nie, gorzej, to bardziej wyglądało na panikę. Wiedziony odruchem sięgnął po broń, odbezpieczył ją i przeładował.

Zupełnie jakby ten dźwięk był umówionym sekretnym sygnałem, Cień spojrzał na albinosa, po czym warknął:

– Idziemy!

Wypadł ze stróżówki i rzucił się pędem lunaparkową alejką. W biegu on również wyciągnął broń z kabury pod prawą pachą.

Pędził ile sił w nogach, mijał otwarte budki z łakociami, strzelnicę i karuzelę kucykową, a potem taką z samolotami. Ale choć gnał rzeczywiście szybko, Stalówka i tak dogonił go na wysokości pierwszej łańcuchowej i skrętu w stronę Młyna.

– Kogo tam widziałeś? – wysapał albinos. – Co się dzieje?

– Jak dobiegniemy, strzelaj do każdego, kto nie jest Dzwoneczkiem, słyszysz? Strzelaj, żeby zabić.

– Ale kto z nią jest!?

– Pierdoleni piraci!

Cień gwałtownie skręcił w lewo, Stalówka popędził na wprost. Przez chwilę oddzielał ich wysoki żywopłot, a potem niemal równocześnie wypadli zza zakrętu prosto przed tunel strachu.

Tych przed nimi było troje. Krępy, pyzaty człowieczek, postawny grubas i wtulona w niego ona, Dzwoneczek. Gdy Stalówka z Lubym wyłonili się zza przesłaniających zakręt drzewek, cała trójka natychmiast odwróciła się w ich stronę, ale chyba tylko Dzwoneczek wiedziała, co się święci. Gdy tylko krępy facecik na widok Stalówki uśmiechnął się i chciał go pozdrowić gestem, wrzasnęła:

– Nie!!!

Ale było za późno. Albinos, widząc unoszącą się rękę, zareagował błyskawicznie. Złożył się do strzału. Huknęło. Kula uderzyła zaskoczonego kapłana w ramię. Druga oderwała mu kawałek głowy.

Dzwoneczek krzyknęła, doskakując do lecącego na ziemię ciała. Złapała je w locie i zgięła się pod jego ciężarem. Niemal w tym samym momencie rozległy się strzały z pistoletu Cienia – bum, bum, bum – z których przynajmniej jeden sięgnął celu i wbił się w brzuch Kruszyny. Tłuścioch ryknął wściekle i rzucił się do przodu, ale kolejne dwa strzały Stalówki trafiły go w pierś i powstrzymały dziką szarżę.

Grubas zachwiał się, zamachnął ręką, jakby próbował sięgnąć napastnika, i łapiąc oddech ustami jak wyciągnięta z wody ryba, runął z łoskotem na ziemię.

W tym czasie Dzwoneczek wyswobodziła się spod ciała księdza, ale nie wstała, tylko zgięta w pół pochwyciła kanister i cisnęła nim przed siebie. Następnie rzuciła się na trawnik, przetoczyła metr i poderwała na nogi dopiero za szerokim koszem na śmieci. Zaryzykowała zerknięcie, by ocenić sytuację, choć i bez tego wiedziała, że jest źle. Cholernie źle.

Napastników było dwóch i obu znała. Jeden mógł być nieśmiertelny, a drugiego nie chciała skrzywdzić, choć najwyraźniej on chwilowo nie odwzajemniał tej wspaniałomyślności. Mieli broń, ona nie, a w dodatku zależało jej na czasie jak nigdy. Kruszyna ruszał się jeszcze i nie wyglądało to na agonalne drgawki, ale w jego sytuacji zdecydowanie liczyła się teraz każda minuta. Ba, sekunda!

„Myśl, Dzwonku, myśl”, poganiała się. Widziała, jak Cień przystanął, pokazał coś Stalówce, po czym ruszył w kierunku Kruszyny, opuszczając broń. Przestąpił ciało księdza Jana, prawie pośliznął się na kałuży krwi rozlewającej się wokół głowy kapłana niczym szkarłatna aureola i stanął nad grubasem. To nie do niego jednak skierował swe ociekające jadem słowa.

– Musiałaś to zepsuć, nie? Musiałaś znaleźć sposób, jak spierdolić mój świetny plan.

Trącił butem opasłe cielsko Kruszyny, a gdy ten jęknął cicho, z satysfakcją postawił stopę na jego piersi. Z ust grubasa z sykiem pociekła ciemnoróżowa piana.

– To oczywiście niczego nie zmienia, po prostu małe utrudnienie, ale zapewniam cię, że jemu się to nie spodoba.

– Jebie mnie, co mu się podoba! – odkrzyknęła Dzwoneczek.

Kątem oka uważnie obserwowała Stalówkę, który powoli, szerokim łukiem próbował zajść ją z boku. Jeżeli miała cokolwiek zrobić, powinna zacząć działać teraz. Właśnie w tym cholernym momencie!

Z pomocą znowu przyszedł jej Pan Proper. Za jej plecami rozległo się nagle miauknięcie, a gdy się odwróciła, dostrzegła kota u wejścia

do tunelu strachów. Gdy zobaczył, że go zauważyła, zadarł ogon i powoli wszedł do środka.

Zrozumiała. Pospiesznie złapała za kanister, odliczyła w myśli do trzech i rzuciła się biegiem w stronę ciemnego prostokąta wiodącego do krainy wykreowanych lęków.

Gdzieś z boku śmignęła kula, potem kolejna. Dźwięk wystrzału zlał się z krzykiem Lubego, żeby strzelać w nogi, bo potrzebna jest żywcem. Uśmiechnęła się mimowolnie – jej szanse minimalnie wzrosły. Z tym uśmiechem wpadła do tunelu.

Potrzebowała chwili, by przyzwyczaić oczy do ciemności, i kolejnej, by zorientować się, że tunel – będący w rzeczywistości drugim, nieprzeznaczonym dla najmłodszych tunelem strachu w lunaparku – w środku wygląda właściwie tak samo jak za czasów Drugiej Nibylandii, gdy to ona czuwała nad projektami większości atrakcji. Jak w przypadku Chłopców Cień zmienił tylko fasadę, a wnętrze pozostawił takie samo. To z kolei podsunęło jej pewien pomysł…

Dotknęła opuszkami ściany i powoli ruszyła przed siebie. Po prawej minęła rodzinę kanibali siedzącą w ciemności przy posiłku. Gdyby przejeżdżała tu wagonikiem, właśnie w tym momencie upiorna, potężna matka, szkielet pokryty nadmiarem skóry układającej się w fałdy, uniosłaby pokrywkę, a potem zdzieliła chochlą rękę wyskakującą z wnętrza garnka.

Tłuste dzieci kanibalki i jej przerażający mąż wyglądający jak koszmarny strach na wróble zanieśliby się przeraźliwym śmiechem, zwracając swe głowy i świecące na czerwono oczy ku pasażerce wagonika. Potem z drugiej strony, przy towarzyszącym temu warkocie piły spalinowej, wyskoczyłby potwór o masce ze skrawków ludzkiej skóry w upiornym rozbłysku czerwonego światła.

O ile pamiętała, ta scenka była pomysłem Milczka, który uparł się, by atrakcja miała też walor edukacyjny i kształciła gości w klasykach horroru. Z tego samego powodu parę metrów dalej, z woli Kędziora, para licealistów całująca się na starym grobie dawała się rozerwać wyłażącym spod ziemi żywym trupom.

Dzwoneczek minęła i ten odcinek, zerkając w stronę nieruchomych, gumowych sylwetek. Wiedziała, że to tylko kukły, ale

mimo wszystko mijała je jak najdalej, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że teraz nawet one są na usługach Cienia. Mrok, to była domena tego skurwiela! A zagrożenie i strach były w gruncie rzeczy całkiem realne.

No i jeszcze, jak za dawnych czasów, tik-tak, tik-tak – tyle że tym razem to nie Hakowi odmierzały czas bezlitosne sekundy. Ile jeszcze go zostało Kruszynie? Czy w ogóle?

Gdzieś za jej plecami rozległo się stuknięcie, a potem Stalówka szepnął przekleństwo. Dobrze. Znaczyło to, że – jak myślała – on szedł pierwszy. Cień ruszył pewnie od drugiej strony albo po prostu stał na końcu tunelu, szykując jakąś mroczną niespodziankę.

„Nie myśl teraz o tym – skarciła się. – Masz pomysł, nie?”

Rzeczywiście miała, choć – zważywszy na to, że podążał za nią Stalówka, jej Chłopiec, i to on miał paść ofiarą – wydawał się nie tylko ryzykowny i trudny w realizacji, lecz także okrutny, groteskowo przerażający i… jakby wzięty żywcem z dawnych dni na wyspie? Wtedy wszystkie wróżki miały swoje sekrety, a żaden z nich bynajmniej nie był uroczy jak tęczowe skrzydełka i złoty pyłek…

Ale choć sumienie ją gryzło, nie miała zbyt dużego wyboru, dlatego brnęła dalej, ręką odgarniając zwisające z sufitu kruczoczarne włosy. Jadąc, widziałaby w rozbłyskach stroboskopu pojawiające się tu i tam małe azjatyckie brzdące o czarnych oczach, unoszące główki i czasem wyciągające ku niej rączki. Teraz prawie potknęła się o jednego ze zwieszoną główką, ale chłopiec zakołysał się tylko. Dzwoneczek spojrzała w górę, prosto w wykrzywioną w demonicznym grymasie twarz właścicielki tych wszystkich włosów i w sercu ucieszyła się, że ta tym razem nie opuści się z paskudnym terkotem.

Potem minęła zakręt i dotarła tam, gdzie chciała, do atrakcji, która – o święta dziwko ironio! – była wyjątkowo prawdziwym urządzeniem, a nie atrapą na specjalną prośbę… właśnie Stalówki. Wtedy była temu przeciwna, ale uległa namowom i koronnemu argumentowi, że przecież i tak nie da się opuścić wagonika w czasie jazdy, wszystko jest zsynchronizowane, a mechanizm bujnie tam, z powrotem i włączy blokadę, więc nikt się nawet nie zorientuje, że

to autentyk. A nie można nie oddać hołdu klasykowi Poego i Cormana…

„No to oddasz”, pomyślała gorzko wróżka.

* * *

„To wszystko dzieje się, kurwa, za szybko”, myślał Stalówka, sunąc powoli ciemnym tunelem. Najpierw ta strzelanina – mógłby przysiąc, że gdzieś już widział tych dwóch gości i że to wcale nie był Wesoły Roger Kapitana Haka dawno temu na wyspie – a teraz jeszcze ten niedorzeczny pościg. Bał się, nie zamierzał tego ukrywać. Ale nie gumowych stworów czy ciemności. Bał się wróżki, która była gdzieś przed nim, która…

Noga ześliznęła mu się z podkładu i zatoczył się, próbując złapać równowagę.

Zmełł przekleństwo i na moment przywarł do ściany, z lufą uniesioną pionowo. Odczekał moment, po czym znowu wyciągnąwszy uzbrojoną prawą rękę przed siebie, powoli ruszył do przodu.

Wiedział, jak się skradać, wiedział, jak być możliwie bezgłośnym. Oddychał przez lekko rozchylone usta, a stopy stawił ostrożnie na podkładach i cały czas balansował ciałem, przenosząc ciężar z jednej nogi na drugą. Gdyby jeszcze tylko cokolwiek, kurwa, widział.

Przed sobą usłyszał jakiś dźwięk, potem kilka kolejnych, całkiem niedaleko. Zgrzyt, szuranie, kilka cichych, stłumionych stęknięć, a wszystko nie dalej jak za zakrętem, może dwoma.

Mimo to nie przyspieszył, tylko w tym samym tempie sunął, odgarniając uzbrojoną dłonią kłęby włosów. Najłatwiej jest spieprzyć właśnie pod koniec, a pewność zwycięstwa to najlepszy przyjaciel porażki – czyż nie tak mawiał kiedyś wielki wódz, jeszcze na wyspie, gdy wszyscy razem bawili się z Indianami…

Nagle z lewej rozległ się głośny świst. Zanim Stalówka zdążył zareagować, coś dużego i ciężkiego śmignęło mu przed twarzą tam

i z powrotem. Wielkie wahadło przypominające ostrze topora. Niemal w tej samej chwili pistolet uderzył o ziemię, huknął wystrzał, a Stalówka wrzasnął.

W nagłym rozbłysku wylotowego ognia dostrzegł jeszcze własną dłoń wciąż zaciśniętą na chwycie broni leżącej teraz między podkładami, a potem precyzyjny kopniak wymierzony od tyłu w zgięcie kolana powalił go na klęczki.

Szarpnął się, gdy ktoś złapał go za głowę i brutalnie odchylił do tyłu, ale na nic się to nie zdało. Potem na jego twarz polała się woda.

– Przepraszam, kochanie, wiem, że boli – szeptała Dzwoneczek, lejąc mu do wciąż rozdziawionych ust zawartość kanistra. – Przepraszam i obiecuję, że za parę chwil to naprawimy, ale teraz musisz, kurwa, płakać!

* * *

Cień szedł pewnie środkiem tunelu, z radością chłonąc ciemność i każdy kształt w nią obleczony. Tak jak podejrzewała Dzwoneczek, on ruszył od końca, chcąc zajść wróżkę z drugiej strony. Miał nadzieję, że to jemu właśnie uda się pochwycić tę zdzirę i wyrządzić jej jakąś dodatkową krzywdę za pokrzyżowanie mu tak świetnego planu. Szlag, spuścił ją z oczu tylko na moment. To nie mogło się wydarzyć tak samo z siebie, nie byłaby w stanie się pozbierać. Ktoś musiał jej pomóc i teraz Kruszyna zdychał, a ona sama plątała się tu w ciemności, gorączkowo szukając jakiegoś rozwiązania. Nie umiał czytać jej w myślach, ale niemal je słyszał – te obracające się w głowie tryby, zgrzytające, gdy ząb zachodził za ząb. Ktokolwiek jej pomógł, teraz go tu nie było, a tunel był ciemny i pełen…

Padł strzał, a potem rozległ się głośny wrzask. I to nie jej, a Stalówki. Cień rzucił się gwałtownie przed siebie, właściwie popędził na złamanie karku. Wzniesienie, zakręt, zakręt, jeszcze jedno wzniesienie i slalomem między fosforyzującymi zbłąkanymi

duszami. Krzyk Stalówki, jego ból wibrował mu w uszach i w jakiś sposób wywoływał nie tylko gniew, lecz także niepokój. Skrzywdziła go? Miała świadomość, kim jest, i skrzywdziła jednego z Chłopców? Do czego ta dziwka jest jeszcze zdolna!?

Było jednak jeszcze coś. Coś, co czuł z każdą chwilą coraz bardziej, w głębi głowy i zaraz pod skórą, w całym swym mrocznym, smolistym jestestwie. Tracił go. Tracił Stalówkę, swoją w nim opowieść, swoje w nim kłamstwa i jego bezwzględne posłuszeństwo. Nie miał tego wrażenia nigdy wcześniej, a już na pewno nie w takim natężeniu. Zupełnie jakby ktoś go wypłukiwał, jakby wypędzał cień kolejnymi snopami światła. Wreszcie…

Stało się. Cień przystanął. Zacisnął zęby i przez krótką chwilę dyszał, poświstując. W końcu potrząsnął głową. Mógł teraz zaatakować, a jakże. Rozlać się w ciemności, stać się nią i przypuścić atak na wróżkę i Chłopca, zmieść ich w jednej chwili. Udałoby się prawie na pewno. Prawie… No właśnie – to „prawie” wwiercało mu się w głowę. Jeszcze przed chwilą go nie było, a teraz jej szanse wzrosły, a jego zmalały. Minimalna zmiana, ale w niewłaściwą stronę. Niezgodnie z planem.

– Weź sobie swojego pierdolonego Chłopca i to małe zwycięstwo, suko – wycedził cicho. – Niech będzie, że ta runda jest dla ciebie.

Powoli zawrócił i po cichu ruszył w ciemność, zastanawiając się, jak powie o tej porażce Piotrusiowi. I jak Wieczny Chłopiec na nią zareaguje.

* * *

Bruzda obejrzał się przez ramię. Milczek i Kędzior leżeli teraz na wyłożonej kocami podłodze furgonetki i wyglądali, jakby spali. W zasadzie po tym wszystkim, co dostali, powinni – ten syf zazwyczaj służył Leo do usypiania koni.

„No właśnie, Leo”, pomyślał Bruzda, zerkając w stronę kierowcy furgonu. Niby się kumplowali, niby weterynarz wisiał barmanowi parę przysług, ale czy to na pewno był dobry pomysł, by go w to mieszać?

I czy rzeczywiście mógł im pomóc? Poskładanie kolesi z pewnie niejednym krwotokiem wewnętrznym to jednak nie to samo co urżnięcie jaj wilczurowi, który robił dobrze nodze swojej pani.

No ale szczerze – tak, jak to jest możliwe tylko przed samym sobą, gdy już wiesz, że nikogo innego nie obchodzisz – musiał to stwierdzić: nie miał nikogo innego, kto mógłby dać tym chłopakom choć cień szansy. I to nawet jeśli rzeczywiście wierzył w ich wyjątkowość i w ich opowieść.

„A wierzysz? – zapytał drwiąco sam siebie. – Naprawdę dopuszczasz w tej swojej starej, obtłuczonej łepetynie myśl, że ta dzieciarnia przybyła tu z magicznej krainy, gdzie napierdalała się z piratami, trzymała sztamę z Indiańcami i gapiła się na gołe cycki syren!? Że panna, którą obracałeś, z którą żyłeś i która opierdalała cię za brudne gacie i skarpety na środku pokoju, miała kiedyś ćwierć metra i jebane skrzydełka!?”

Ale z drugiej strony jak mógł nie wierzyć po tym, co pokazał mu Milczek? Wystarczyła drobinka proszku z maleńkiego woreczka w kieszeni, by uniósł się jak balon i lewitował pod sufitem. Czy to mogło być złudzenie? Pijany wid? Przecież Bruzda nie wypił aż tyle. No i jeszcze ta pierwsza reakcja Leo. „Jakim cudem oni się jeszcze ruszają!?”, zapytał szczerze zaskoczony, pobieżnie tylko obejrzawszy Kędziora. Rudy olbrzym odpowiedział mu wtedy, żeby lepiej ponastawiał ich teraz, bo zanim dojadą, to i owo już się pewnie zacznie zrastać albo zasklepiać. Czy byłoby to możliwe, gdyby byli zwyczajni?

– Za pięć minut będziemy.

Głos Leo wyrwał Bruzdę z zamyślenia. Weterynarz nie odzywał się przez większość drogi, więc teraz jego skrzek nieprzyjemnie zazgrzytał barmanowi w uszach.

– Jasne – odparł Bruzda.

– Przy lecznicy jest podjazd. Ale i tak będziesz mi musiał pomóc ich wtargać do środka. A wszystko, co bezwładne, jest dwa razy cięższe.

Bruzda uśmiechnął się krzywo.

– A, to dlatego ostatnio odlewanie się jest takim wysiłkiem…

Jego myśli pędzące od jednego zatartego wcześniej wspomnienia do drugiego błyskawicznie skoczyły teraz w stronę obrazu Dzwoneczka. Niby oczywiste skojarzenie, ale kontekst jednak zupełnie inny niż erotyczne żarciki czy wspomnienia dawnego ruchanka. Wizja, która teraz przesłoniła mu wzrok, przedstawiała jego samego, gdy przychodził wycieńczony, przywalony kolejnymi pierdołami, które namnażały się w jego krwi niczym pasożyt i zmuszały go a to do wypełniania papierów, a to dławiły sprawami, których nie rozumiał, których nie chciał rozumieć, bo nie miały pierdolonego sensu! Widząc go takim, odsyłała chłopców, a sama siadała, zwykle w jego T-shircie, którego używała jako sukienki, kazała mu się położyć i brała jego głowę na kolana. A potem wplatała mu palce we włosy i mówiła: „Śpij, tam pomogę ci bardziej”.

Czy ta kobieta mogła być magiczną wróżką z bajki?

Bruzda westchnął. Właściwe pytanie brzmiało: jak mógł wcześniej tego nie widzieć!?

* * *

Ujęła jego spłakaną twarz w dłonie i spojrzała prosto w oczy.

– Stalówka, to ty?

Nie odpowiedział. Patrzył tylko na nią ze ściągniętą twarzą, wstrząsany raz po raz spazmami bólu. Dygotał, przyciskając kikut do ciała. Fontanna krwi, w tym świetle smoliście czarnej, zupełnie jakby wylewał się z niego płynny lateks, przestała tryskać w rytm uderzeń, gdy Dzwoneczek założyła albinosowi prowizoryczną opaskę powyżej łokcia.

– Stalówka?

– Ujebałaś mi dłoń – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Ujebałaś mi pierdoloną dłoń! Co z ciebie za matka!?

W jej oczach błysnął ognik. Puściła jego twarz i podniosła się z klęczek.

– Nie wychowałam cię, byś do mnie strzelał! – odparowała. – Poza tym zaraz się tym zajmę, ale na razie musimy stąd wyjść. Tam

gdzieś jest Cień i Kruszyna, z którym jest źle.

Stalówka wyglądał, jakby nie zrozumiał. Patrzył na nią, mimowolnie gładząc kikut drugą ręką. Odcięta dłoń, wciąż zaciśnięta na pistolecie, leżała między podkładami kolejki w niewielkiej kałuży czerni.

– Ujebałaś mi rękę – jęknął jeszcze raz. – Ujebałaś…

– Tak, tak, wypłacz mi tu rzekę – warknęła Dzwoneczek. – Powiedziałam, że zaraz się tym zajmę, ale teraz idę zobaczyć, co z Kruszyną. Jak dasz radę, to weź dłoń i chodź za mną.

Rzuciła się w gąszcz zwisających z sufitu włosów w stronę wyjścia, mając nadzieję, że nie jest za późno. Kruszyna mógł znieść naprawdę wiele, więcej nawet niż reszta jej Chłopców, ale wyglądało na to, że oberwał całkiem srogo. No i jeszcze zostawiła go sam na sam z Cieniem, który najwyraźniej nie wszedł do tunelu. Mógł zabrać jej Chłopca w zamian za Stalówkę, mógł go dobić… Czyżby, jak w tym filmie z Meryl Streep, tym o Holokauście, na którym wszyscy ryczeli, właśnie dokonała swojego wyboru? Jedno dziecko zamiast innego?

Przyspieszyła i po chwili, mrużąc oczy, wypadła na alejkę. Opcję z porwaniem wykluczyła od razu, bo na chodniku wciąż leżeli zarówno ksiądz, jak i Kruszyna. Pozostawało pytanie, czy ten drugi wciąż jeszcze żyje. Wystarczyło jednak kilka uderzeń serca, kilka kroków, by minąć żywopłot częściowo przysłaniający jej obraz, i aż pisnęła z radości.

Na delikatnie unoszącej się i opadającej piersi grubasa siedział Pan Proper i z godnością nieosiągalną dla żadnego psa na świecie lizał Kruszynę po twarzy.

– Pilnowałeś go – powiedziała na głos.

Wyniosła mina kota, który na moment uniósł głowę, tylko po to, by ją zaprezentować, mówiła wyraźnie, że zwierzak wygłaszanie takich oczywistości ma za godne pogardy.

Dzwoneczek nic sobie jednak z jego grymasów nie robiła. Dobiegła do Kruszyny i zbadała mu puls. Był słaby i walka o grubasa zdecydowanie jeszcze się nie skończyła. Szybko przeszukała jego kieszenie, a potem kieszenie martwego księdza, gdzie znalazła telefon. Wybrała numer ratunkowy, zgłosiła strzelaninę w Lunaparku

i potrzebę przysłania karetki, a potem niecierpliwie podała wszystkie dane, jakie w swoim zawiłym planie wymyślił dla niej Cień. Równocześnie cały czas dociskała rękę do wciąż krwawiącej rany na brzuchu grubasa. Jego ciemna krew wysączała jej się spomiędzy palców. Drugą ręką gładziła go po pulchnej dłoni.

– To nie ja, prawda?

Obejrzała się i zobaczyła za sobą mrużącego oczy Stalówkę. W lewej ręce trzymał swoją prawą dłoń wciąż zaciśniętą na pistolecie i stał lekko zgarbiony, a wypełnione łzami oczy skrzyły się rubinowo w blasku dnia.

Wiedziała, o co pyta. W pierwszej chwili chciała zaprzeczyć, ale przecież nie miała pojęcia. Z pewnością nie był wtedy sobą, ale czy to cokolwiek tłumaczyło? Czy w jakikolwiek sposób usprawiedliwiało to, że strzelał do brata?

– Nie wiem, kochanie – odparła. – Pomożesz mi?

Skinął głową i podszedł bliżej. Przyklęknął, położył dłoń na chodniku.

– Co mam robić?

– Uciskaj tutaj. – Wskazała mu miejsce. – I mów do niego.

Zmarszczył czoło.

– Co mam mówić?

– Co chcesz… Na wypadek gdyby to była ostatnia okazja.

Albinos patrzył na nią przez moment, po czym pochylił się i szepnął do ucha Kruszyny:

– Nie bój się, braciszku. To najważniejsze, żebyś się teraz nie bał.

Pogładził go po policzku, zostawiając czerwone ślady.

– Jeżeli dasz radę, zostań, a jeśli nie – idź, ale nie za szybko. Musimy cię mieć jak dogonić, a tam nikt z nas nie zna jeszcze dróg.

Dzwoneczek pociągnęła nosem. Z oddali dobiegł ją dźwięk syreny; widać jej zgłoszenie nie było pierwsze. Dobrze, to dawało Chłopcu większe szanse. Zresztą, skoro przeżył już tyle, skoro ten przeklęty magiczny kocur, który wyrwał ją z lepkiej pajęczyny Cienia, a potem wskazał drogę do tego miejsca i jej Chłopców, opiekował się nim i nie pozwolił Lubemu go dobić, to musi być dobrz…

„Zaraz. – Rozejrzała się. – Gdzie on zniknął? Gdzie jest Proper?”

– Nie bój się, braciszku – powtarzał raz za razem Stalówka tym samym tonem, niczym mantrę, aż do przyjazdu karetki, która zjawiła się chwilę po tym jak serce Kruszyny przestało bić.

* * *

Teraz już nic nie zależało od niego. Bruzda siedział na plastikowym krzesełku w poczekalni, gapiąc się na reklamy przysmaków dentystycznych i tabelki z przeliczeniem wieku psiego na ludzki, cokolwiek to, kurwa, znaczyło. Z radia dobiegały ciche dźwięki Katy Perry śpiewającej komuś, że jest prawdziwą petardą. Wcześniej Perfect zasugerował, że warto jednak wiedzieć, kiedy zejść ze sceny. A jeszcze wcześniej…

Drzwi gabinetu uchyliły się i wychynęła zza nich głowa Leo. W specjalnym, zielonkawym czepku wyglądał w zasadzie jak normalny chirurg.

– Chodź tu – powiedział.

Bruzda posłusznie wstał i podszedł do drzwi. W środku było nienaturalnie jasno, śmierdziało krwią, psią karmą i środkami odkażającymi. Na dwóch stołach operacyjnych leżeli rozebrani do naga Kędzior i Milczek. Stopy blondyna wystawały poza blat. Nogi olbrzyma, zgięte w kolanach, zwisały smętnie znad krawędzi. Obaj poznaczeni dziesiątkami świeżych szwów i bladzi w nienaturalnym świetle lamp przypominali trupy po sekcji zwłok. Ich klatki piersiowe unosiły się jednak i opadały rytmicznie, a świszczący oddech z przestawionego nosa Kędziora dało się słyszeć nawet od drzwi.

– Chyba wyżyją – powiedział Leo. – Zrobiłem, co mogłem.

Bruzda skinął głową.

– Dzięki.

– Jedź odpocząć. – Weterynarz nacisnął pedał śmietnika i wyrzucił zakrwawione niebieskie rękawiczki. – Dam ci znać, jak się obudzą i będziesz mógł ich zabrać.

– Jasne. Naprawdę dziękuję, Leo. Za wszystko.

Weterynarz machnął ręką, ale w połowie gestu coś sobie przypomniał. Sięgnął do kieszeni na piersi.

– Jeszcze jedno – powiedział, wyciągając małą żółtą karteczkę. – Duży, zanim usnął, chciał, żebym coś dla ciebie zapisał. To jakiś adres, miejsce, do którego rzekomo powinieneś pojechać i dać znać ich mamie. Tak powiedział.

Bruzda sięgnął po kartkę, ale weterynarz cofnął rękę.

– Jak ci to dam, nie pojedziesz spać, prawda?

– No… pewnie nie – przyznał Bruzda.

Leo westchnął.

– Dobra, dam ci ją, tylko jeśli obiecasz, że pojedziesz tam taksówką albo że kto inny cię zawiezie. Do domu doszedłbyś stąd pieszo, ale tam…

– Masz moje słowo. – Bruzda uśmiechnął się szczerze. Nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś się o niego troszczył.

Przed oczami znowu zobaczył Dzwoneczek, poczuł jej palce między swymi rzednącymi włosami, usłyszał jej cichy szept…

Wziął kartkę i przeczytał zapisany na niej adres. Chyba kojarzył to miejsce.

– Dbaj o nich – powiedział, ściskając rękę Leo.

„Dbaj o moich Chłopców”, dopowiedziała – choć tylko w jego głowie – Dzwoneczek.

CZTERY

Choć ta myśl brzmiała niepokojąco, Wendy uważała, że natura Wiecznego Chłopca ujawniała się u Piotrusia najbardziej, gdy uprawiali seks. Zawsze zaczynał od tego, z czym – jak mu się wydawało – radził sobie najlepiej, co już opanował, ale szybko się tym nudził i szukał nowych wrażeń. Pozwalał sobą kierować, wskazywać mu najlepszą drogę, ale przerywał w połowie, bo on już wie, już umie. Zawstydzał się, gdy okazywało się, że jednak nie, i niecierpliwił podczas kolejnych wskazówek…

Raz bywał władczy, innym razem całkowicie potulny i gotowy spełnić każdą zachciankę, raz gniewny, innym razem nostalgiczny albo szaleńczo wesoły – wszystko przestawiało się niczym w kalejdoskopie. Wystarczyło zmienić pozycję albo wziąć chwilę na oddech czy otarcie z twarzy perlących się – i łaskoczących – kropli potu.

Bała się tej zmienności, skrajnej i całkowitej nieprzewidywalności, oblicza, które mogło się objawić w każdej chwili twarzą, jakiej jeszcze nie znała i jakiej przypuszczała, że nigdy nie chce zobaczyć. Bała się, ale jednocześnie to właśnie sprawiało, że czuła się tak fantastycznie, jej ciało reagowało jak nigdy wcześniej, a wraz ze spełnieniem przychodziła też ulga. Cokolwiek czaiło się tuż za krawędzią poznania, nie objawiło się i tym razem.

Tak jak teraz. On wysunął się z niej, ona zsunęła z niego i opadła na posłanie, dysząc ciężko. Spocone ciało natychmiast pokryło się gęsią skórką, drżenie wywołane orgazmem zlało się z tym spowodowanym przez pocałunki chłodnego wiatru.

Poczuła, że sięga dłonią do jej dłoni. Ich palce splotły się w uścisku, oddechy zaczęły się wyrównywać, jakby i teraz próbowali się dostroić, złapać wspólny rytm…

Aż w jednej chwili znów pojawiły się odganiane dotąd myśli.

– Piotrusiu?

– Hmmm – nie odwrócił głowy, by na nią spojrzeć. Może to i lepiej?

– Co będzie, jeśli pewnego dnia się mną znudzisz?

– Powiem ci o tym – zapewnił.

Parsknęła. Mogła się, cholera, spodziewać!

– To nie był żart – powiedział wciąż wpatrzony w gwiazdy.

Nad ich obozowiskiem, w tym niezwykłym miejscu poza światem, były inne niż w normalnym świecie. Wiedziała o tym, choć nie potrafiłaby wskazać konkretnych różnic.

– Wiem, że nie był, Piotrusiu – odparła. – Po prostu… Ten moment, chwila tuż po seksie, to zwykle czas, gdy usprawiedliwione jest każde kłamstwo i dlatego to je najczęściej słychać. Wszystkie te „byłeś wspaniały”, „och, jeszcze nigdy nie było mi tak dobrze” czy „kocham cię”…

Odwrócił się tym razem; sądząc po uśmiechu, również rozbawiony.

– Nie wiedziałem o tej zasadzie – powiedział. – Nigdy o niej nie słyszałem.

– Bo nikt o niej nie mówi – odparła, wzruszając ramionami. – Ale wszyscy stosują. To znaczy wszyscy oprócz ciebie.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, aż w końcu zapytał:

– Ty też?

Roześmiała się. No tak, tego pytania też mogła się spodziewać.

– Och, oczywiście. Ale nawet nie myśl, że powiem ci kiedy.

Poderwał się z posłania i przysiadł w kucki. Zadrżała na myśl, że takim właśnie widziała go po raz pierwszy. Zamrugała, chcąc pozbyć się tego obrazu spod powiek.

– Nawet jak zgadnę? – zapytał, wyraźnie podekscytowany.

– Nawet.

Sapnął niezadowolony, ale zaraz przechylił głowę niczym sroka. Uśmiechając się przekornie, spróbował jeszcze raz:

– Nawet jeśli odpowiem na dowolne twoje pytanie?

Chciała powiedzieć, że i tak odpowiada, ale przecież nie chciała tego zmieniać. Zresztą takie postawienie sprawy brzmiało całkiem

uczciwie i chyba mogła na to przystać.

– Dobrze, ale ja pierwsza – stwierdziła w końcu.

Zmarszczył czoło, przejechał ręką po brodzie. Westchnął.

– No dobrze.

– Co sprawiło, że to wszystko wkoło zaczęło cię tak nagle nudzić?

Zadała to pytanie już wcześniej, zaraz po tym gdy to stwierdził tam, przy bramie, gdy odprawili już strażnika, ale wtedy nie odpowiedział. Może nie dosłyszał, może zbył, uznając, że to była tylko luźna myśl, niewarta rozwinięcia. Dla niej jednak zabrzmiała jak coś, co w niedługim czasie mogło wszystko zmienić. Może przesadzała, może był to przejaw jakiegoś paranoicznego „skoro jest dobrze, to uważaj na wszystko, co może się spierdolić", ale czuła, że musi to wiedzieć.

Piotruś klapnął tyłkiem o posłanie, skrzyżował nogi i położył dłonie na kolanach.

– Naprawdę to chcesz wiedzieć najbardziej ze wszystkiego?

– Nie, ale to chcę wiedzieć właśnie teraz – odparła spokojnie.

Wyszczerzył się i pokiwał głową z aprobatą.

– Podoba mi się ta odpowiedź – stwierdził. – A więc… jak myślisz, co trzyma tu tych wszystkich ludzi?

– Ty?

Potrząsnął głową.

– Wspólne podejście do życia? – spróbowała z tym, co wcześniej mówił jej Cień, ale to też nie o to chodziło Piotrusiowi.

– Są tutaj, bo mój Cień namieszał im w głowach. Zdałem sobie z tego sprawę tam, na scenie. On sprawił, że mnie uwielbiają i słuchają. Wszyscy, nawet Stalówka, który kiedyś ode mnie uciekł. Kochają mnie i gotowi są klaskać na pierdnięcie.

Również się podniosła. Sięgnęła po leżący obok koc, ale zrezygnowała i tylko objęła się rękami.

– Sądzisz, że to wszystko nie jest prawdziwe?

– Nie, twierdzę, że jest przewidywalne – rozłożył ręce na podobieństwo wagi. – Widzisz, z prawdą jest trochę tak, że składa się na nią to, co jest, i to, jaki jesteś, albo jaki byłbyś, gdyby coś się zmieniło. I jedno, i drugie to prawda. Cień tylko zmienił okoliczności i wyraźnie dał im do zrozumienia, kto stoi za tą zmianą. Oni więc są

prawdziwi – ich zachowanie, uwielbienie też. Są też w tym swoim uwielbieniu jednakowi, bo wyselekcjonowani. No i ja jako ich bohater… nie jestem prawdziwy.

– Ależ… – zaczęła, ale nie dał jej dokończyć.

– Nie chodzi o to, że nie mógłbym być. Że nie mógłbym ich pociągnąć za sobą. Po prostu nie było mnie tutaj, a tymczasem Cień wszystko przygotował. Z Nibylandii, gdzie tkwiłem w przewidywalności, której nie dało się uniknąć, wpadłem w kolejną. Zmieniły się dekoracje, ale znowu jestem w miejscu, gdzie role zostały już rozpisane. Także moja. Tam próbowałem dokonać zmiany. Skończyło się to ucieczką Dzwoneczka i moich chłopców, a także… no cóż, wieloma błędami, jakie popełniłem. A potem i tak wpadłem w kolejną pułapkę rutyny, bo wszyscy znali swoje role.

Przechylił głowę w drugą stronę i zmrużył oczy, jakby chciał się upewnić, że zrozumiała. Był to tak wymowny gest, że poczuła się w obowiązku pokazać, że faktycznie wie, o co mu chodzi.

– A ty chcesz niespodzianki, tak? Zaskoczeń?

– No właśnie! – ucieszył się. – To, co na dniach szykuje Cień, uczyni mnie kimś wielkim, ustawi. Cwany drań już dawno obmyślił, jak to się potoczy, już zna lęki i mroczne pragnienia wszystkich, z którymi przyjdzie się nam spotkać. Myślał, planował, rozmieścił pionki i figury i tylko czeka na kolejne ruchy. A ja głupi sam się w to pcham, właśnie jego pytając o to czy tamto, jak dzisiaj z tym Skrótem. Figura, rozumiesz? Figura w grze. Ale wiesz, czego nigdy nie możesz się spodziewać w szachach?

Odczekał chwilę, wiedząc, że nie odpowie, a przynajmniej nie prawidłowo.

– Że twój własny król upierdoli cię w palec!

A potem nagle wybuchnął śmiechem tak szalonym i dziwacznym, że znowu nie miała pojęcia, czy właśnie z niej zadrwił, czy też z jego perspektywy świat jest właśnie taki pokręcony, że to była jedyna słuszna reakcja.

Mijały chwile, a śmiech nie ustawał, a wręcz przybierał, aż stał się trzecim powodem jej gęsiej skórki, zdecydowanie mniej przyjemnym niż dwa poprzednie. Jego oczy zaszkliły się bowiem łzami, w kącikach ust zebrały się drobinki piany, a policzki i czoło

zaczerwieniły. Dźwięk z każdą chwilą upodabniał się do nieprzyjemnego skrzeku.

Gdy wreszcie na nią spojrzał, gdy na moment skupił wzrok na jej twarzy, zebrała się w sobie, by zapanować nad mimiką, przyłożyła do ust palec wskazujący i uśmiechnęła się tajemniczo.

Przestał się śmiać niemal w jednej chwili, wyraźnie zaciekawiony.

– Czas na twoją odpowiedź, Piotrusiu. Pamiętasz, co ci powiedziałam, gdy pierwszy raz lizałeś mi cipkę?

Zmarszczył czoło, a potem nagle uniósł brwi. Pokiwała głową.

– Ale już jest lepiej, jeśli chcesz wiedzieć – dodała, a on znowu się roześmiał, tym razem zdecydowanie normalniej.

Ten śmiech okazał się zaraźliwy.

* * *

Nie był. Nie było też miejsca, w którym nie był. Czuł to każdą cząsteczką, z jakiej kiedykolwiek się składał, każdą rozedrganą drobinką z każdego ułamka przeszłości, jaki się zdarzył lub mógł się zdarzyć, gdyby coś, cokolwiek potoczyło się inaczej. Kiedyś. Kiedykolwiek. Zawsze…

Nie był, ale ledwie od chwili. A to, co wcześniej go stanowiło, niosło się w pustkę, tańczyło, wirowało, skrzyło w blasku. Bo choć nie było też tego miejsca, nicość wypełniało światło. Odległe jak gwiazda.

„Druga na prawo”, pomyślał.

Czyli był? A może to tylko kilka wirujących cząsteczek zderzyło się i zaiskrzyło wspomnieniem z dawnych dni, strzępkiem, powidokiem myśli? Ale czyż nie z tego właśnie bierze się życie? Z przypadkowego zderzenia, jednego, potem drugiego, a potem to już tylko ciekawość…

Ciekawość, która zabiła kota, jak mawiają.

„Ale to nieprawda, kota nie da się zabić”, pomyślał. Więc znowu był i tym razem to już na pewno nieprzypadkowo. W zlepku drobinek

lśniły następne wspomnienia, jedno za drugim, a kolejne wirujące płatki przylegały do wciąż rosnącej świetlistej kuli.

Obrazy, obrazy, a w nich przeszłość i kot, radość i kot. Smutki i kot. Ten jeden kot, ten, który…

Obok pierwszej gwiazdy pojawiła się wreszcie druga. Drobinki zaczęły skrzyć i kula przyciągnęła resztę niczym magnes…

Błysk!

Gwiazdy zazieleniły się, a potem wzdłuż każdej z nich pojawiła się czarna pionowa kreska.

Błysk!

Drobinki uformowały się w kształt, sylwetkę unoszącą się w nicości, wyciągającą rozmigotaną rękę w stronę wielkich kocich oczu, które nagle zmalały, aż stały się prawie niewidoczne. A potem z ciemności, gdzie były wcześniej, nadszedł on. Jego czerwony krawat lśnił niczym krew, po futrze przeskakiwały błękitne iskry. Kot przystanął przed sylwetką, a potem skłonił się, jakby się żegnał… i skoczył, wystawiając pazury, prosto na pierś postaci. Krucha materia wspomnień i myśli, z której utkana była postać, rozdarła się niczym papier i zwierzę bez trudu wniknęło do środka.

– Teraz! – krzyknął ktoś. Prąd defibrylatora kolejny raz szarpnął ciałem Kruszyny, tym razem skutecznie. Grubas otworzył oczy i zachłysnął się świeżym, chłodnym powietrzem.

Zadarł głowę i zobaczył stojących nad sobą mamę i lekarza, oboje skąpanych w czerwono-niebieskich światłach koguta ambulansu.

* * *

– Proszę się odsunąć! – huknął sanitariusz, podjeżdżając z rozłożonymi noszami.

Musiał krzyczeć bardzo głośno, bo powietrze drgało dźwiękami syreny zbliżającego się radiowozu. I być może dlatego, że nie słyszała – choć pewnie raczej dlatego, że nic się teraz nie liczyło prócz tych otwartych, przestraszonych oczu jej pulchnego Chłopca – Dzwoneczek nie zareagowała w pierwszej chwili. Wciąż ściskała

rękę Kruszyny i szeptała cicho zapewnienia, że wszystko będzie dobrze. Łzy ciekły jej po twarzy, żłobiąc linie w warstwie brudu.

– Proszę pani, naprawdę musimy go zabrać!

Sanitariusz chwycił ją za ramię i stanowczo odciągnął na bok. Pozwoliła na to. Puściła dłoń Kruszyny i cofnęła się o dwa kroki, obejmując się rękami. Drugi sanitariusz odciągnął też Stalówkę, co było o tyle łatwe, że poważnie osłabiony albinos ledwo trzymał się na nogach. Bez przeszkód dał się więc poprowadzić do karetki i usadzić na krześle. Opór stawiał tylko przy próbie odebrania mu odciętej dłoni, ale w końcu ustąpił, gdy zobaczył, że ta wędruje do worka z lodem i specjalnej lodówki.

Na alejkę wjechał wreszcie policyjny furgon i wyskoczyło z niego jeden po drugim pięciu policjantów z bronią i w kamizelkach. Zaraz potem z szoferki wysiadł postawny, siwy wąsacz. Niespiesznie wcisnął na głowę policyjną bejzbolówkę i rozkołysanym, westernowym krokiem dotoczył się do sanitariuszy pochylonych nad Kruszyną. Rzucił przelotne spojrzenie na zakryte prześcieradłem zwłoki księdza i wyciągnął paczkę papierosów.

– Powinniście czekać, Krzysiu – zwrócił się do lekarza. – A jakby ci, co strzelali, ciągle tu byli?

Doktor zadarł głowę.

– Nie pal tu – odparł. – I to wy powinniście być wcześniej. A teraz daj tu ze dwóch twoich, niech pomogą.

Wąsacz potrząsnął głową i mimo wszystko odpalił papierosa.

– Musimy najpierw zabezpieczyć ter…

– Mariusz, kurwa. Człowiek mi tu umiera. Właśnie go przywróciliśmy!

Policjant zaciągnął się dymem i dopiero wtedy zauważył stojącą na uboczu Dzwoneczek.

– A pani to…

– Rodzina.

– Denata czy…

– Mariusz – jęknął lekarz, ale Dzwoneczek tylko pokręciła głową.

– Na szczęście jeszcze nie – odparła najsłodszym z głosów, na jaki było ją teraz stać. – Czy mogą panowie pomóc? Poprosiłabym… kuzyna… – Wskazała ręką na Stalówkę, który siedział już w karetce

otępiały i podpięty do kroplówki, wpatrując się w lodówkę z własną dłonią – ale on też jest, jakby, poszkodowany.

Wąsacz przejechał ręką po twarzy, ale wreszcie westchnął i przywołał do siebie dwóch podwładnych. Wspólnymi siłami udało im się przenieść Kruszynę na nosze, które zaskrzypiały pod jego ciężarem, a następnie umieścić go w ambulansie.

– Pojadę z nimi – powiedziała Dzwoneczek. Zanim Wąsacz czy lekarz zdążyli się odezwać, dodała: – Nie mam jak pojechać za wami, a chcę przy nim być. Będę do dyspozycji policji jako świadek w szpitalu.

Policjant i lekarz wymienili spojrzenia, ale widać podjęli jednomyślną decyzję, bo wąsacz powiedział:

– Może pani jechać. Pojedzie z wami jeden mój człowiek, a po drodze dołączy jeszcze jeden patrol. – Nagle wziął się pod boki i głosem rasowego gliny rodem z filmów dodał: – W zamian liczę na pełną współpracę.

– Oczywiście – odparła Dzwoneczek i usiadła naprzeciw Stalówki.

– Co z moją ręką? – zapytał albinos.

– Zajmę się tym – zapewniła go Dzwoneczek. – Już za chwilę, tylko…

Lekarz zaryglował tylne drzwi i wsiadł bocznymi, na tył.

– … no właśnie – westchnęła Dzwoneczek. – Później.

* * *

Jechali oczywiście na sygnale, szybko, ale pewnie, bez gwałtownych zakrętów, slalomów, hamowań. Kierowca znał się na swojej robocie, a Droga wyraźnie sprzyjała. Choć oczywiście Skrótem mogłoby być szybciej. Gdyby tylko Skrót nie zachowywał się tak… dziko, tak wściekle. I gdyby to ona prowadziła.

Lekarz właśnie skończył rozmawiać przez telefon ze szpitalem. Mówił o konieczności przygotowania dwóch sal operacyjnej i stosownych zespołów, precyzując obrażenia obu Chłopców. W trakcie rozmowy używał technicznych zwrotów i co chwila

ukradkiem zerkał na wróżkę, by się upewnić, czy jego słowa nie budzą w niej paniki.

Budziły, ale walczyła, by tego po sobie nie pokazać. To nie na niej powinna się teraz skupiać lekarska uwaga. Dlatego uśmiechała się, choć twarz miała tak napiętą, że sprawiało jej to fizyczny ból.

Siedzący naprzeciw niej Stalówka ocknął się z drzemki, zauważył, że nadal ma odciętą prawą dłoń, i jęknął. Spojrzał na Dzwoneczka.

– Ale zrobisz coś z tym, prawda? – zapytał.

Dzwoneczek zerknęła na lekarza, ale ten akurat pochylał się nad Kruszyną.

– Pamiętasz, jak Kędzior w dzieciństwie stracił dwa palce od zbyt ostrego kątownika? – zapytała szeptem.

– Nie – odparł albinos.

– No właśnie.

– Aha.

Albinos pokiwał głową i przez chwilę siedział otumaniony, ale widać ostatecznie uznał, że odpowiedź go nie satysfakcjonuje, bo zapytał jeszcze raz:

– Czyli zrobisz?

– Tak, Stalówka, zrobię.

– Aha. To dzięki.

Zaraz potem samochód się zatrzymał, trzasnęły najpierw drzwi szoferki, a potem odryglowane tylne. Dzwoneczek wyskoczyła na zewnątrz i pozwoliła sanitariuszom pracować.

* * *

– Miasto takie, że nie za duże specjalnie, ale ma miejskie autobusy, więc pewnie tak z pięćdziesiąt tysięcy luda. Może więcej. Bank niby w samym centrum, ale boczna ulica od rynku jakaś, a wiecie, jak to jest w takich lokacjach. Ryneczek odpicują, jebną pastele, bruk i nawet torebeczki na psie gówno obok równiutkich trawników, ale skręć tylko między kamienice, a smród, szczury i gówniarze grający w butelkę flaszką po wódzie zajebaną staremu. No dobra, może nie

aż tak źle, ale… O czym to ja? A, no więc bank. Wchodzę, ciuchy takie bardziej *daily casual*, garniaki od razu zwracają uwagę, a tak marynareczka, dżinsy, mokasyny, dołóż teczkę i wejdziesz wszędzie. No więc wchodzę. Patrzę na okienka, za jednym gruba baba, za drugim laseczka niczego sobie, trzecie nieczynne. Na dwóch ławkach petenci w miasteczkowym przekroju, mamuśka z dzieciakiem, dziadek po emeryturę, cycaty koleś z obwisłym wąsem, studenciak… Gapią się wszyscy albo na mnie albo w wyświetlacz numerków, czekają na swój kolej. I wtedy… wtedy nagle słyszę pierwsze takty *Learn to Fly*. Gładkie, rytmiczne, ostre wejście ekipy Grohla. Drugiego jeszcze nie widać, ale już wiem, że… się zaczęło. Zaczynam tańczyć i w tańcu, jeb, otwieram walizkę, ona na ziemię, spluwa w ręce i… Dobra, chuj, nie mogę się skupić!

Korpulentna brunetka uniosła głowę znad jego krocza i mrugnęła. Pierwszy pogładził ją po głowie.

– Znaczy nie, nie przerywaj. Skończę jak… skończysz. O tak…

Publiczność zgromadzona w ciasnym kółku wyrozumiale ograniczyła się do kilku śmiechów i rechotów. Brunetka znowu opuściła głowę, by wrócić do przerwanej czynności. Najwyraźniej ona też była ciekawa finału opowieści, bo od tego momentu potrzebowała tylko chwili, by Pierwszy docisnął jej głowę do swojego krocza, sam odchylił się i przymknął oczy, wyprężając na krótki moment. Ktoś zaklaskał, kto inny zawył głośno, a zaraz potem jakaś dziewczyna wrzasnęła na poły z bólu, na poły z zaskoczenia.

– Zamknij się, ty cholerna dziwko! – ryknął schrypiały głos.

– Kogo nazywasz… – ktoś najwyraźniej spróbował stanąć w obronie dziewczyny, ale uderzenie – dość silne, sądząc po odgłosie – wybiło mu rycerskość z głowy.

Pierwszy otworzył oczy.

Przed nim znajdował się niemal dwumetrowy gigant z wojskowym irokezem i blizną ciągnącą się od czoła, przez lewe, pokryte bielmem oko, aż brodę. Facet stał na szeroko rozstawionych nogach, dysząc ciężko, i patrzył to na bliźniaka, to na klęczącą między jego nogami dziewczynę. Z jej ruchów i wyraźnego zbierania się w sobie przed konfrontacją wynikało, że się znali, i to całkiem nieźle. Zaraz zresztą potwierdziły to jego słowa.

– Co ty odpierdalasz, kurwo!? Monokla się nie zdradza!

Pierwszy parsknął. Olbrzym przeniósł na niego wściekłe spojrzenie prawego oka.

– Coś cię śmieszy, pierdolusiu?

Pierwszy otworzył już usta, by odpowiedzieć, ale uprzedziła go dziewczyna.

– Pierdol się, Monokl. Czasem się ruchamy, tak, ale to nie znaczy, że jestem twoja. Zresztą bym nie wyrobiła, gdybym miała tylko na tobie polegać. Żebyś ty tak szybko na maszynie jeździł, tobyś z Piotrusiem na rajdy… No, no uderz!

– Dołączam do wyzwania – rzekł Pierwszy.

Dopiął spodnie i wstał powoli, nie spuszczając wzroku z olbrzyma zastygłego teraz z uniesioną ręką i obnażonymi wściekle zębami.

– Mirabelka wyświadczyła mi właśnie uprzejmość i nie pozwolę, by spotkało ją za to coś złego.

Dziewczyna wzięła się pod krągłe boki i przeniosła wzrok na Bliźniaka.

– A czy ktoś, przepraszam, w ogóle cię o cokolwiek pytał!? Znaleźli się, kurwa, panowie jeden z drugim! Zrób takiemu laskę, daj dupy i już, kurwa, król na włościach!

Splunęła na ziemię i zaczęła się przeciskać przez rozbawiony tłumek, zostawiając obu mężczyzn sam na sam z ich bezbrzeżnym zdumieniem. Dopiero gdy zniknęła za rogiem pierwszej chaty, Monokl otrząsnął się na tyle, by opuścić rękę. Zębów jednak nie schował, wciąż szczerząc się jak wielka, wściekła małpa.

– Zostaliśmy sami.

Pierwszy pokręcił głową.

– Jest tu w pizdu luda. – Pokazał ręką zebranych. – Poza tym zapomnij, nie zamierzam ci zastępować Mirabelki, cokolwiek…

Monokl ruszył gwałtownie, a Pierwszy cofnął się o pół kroku i uniósł dłoń. Ten gest tak zdziwił olbrzyma, że na moment zeszła z niego złość.

– Co to niby ma…

Wtedy Pierwszy pstryknął palcami, a sekundę później wielka metalowa kulka grzmotnęła Monokla w lewą skroń.

– Takie tam, rodzinne – odparł Pierwszy, patrząc, jak wielkolud osuwa się przed nim na kolana. Pokręcił głową. – Nie, dzięki. Mirabelka spisała się naprawdę cudnie.

To powiedziawszy, obszedł olbrzyma łukiem, skinął głową bratu i zajął swoje miejsce na przyciętej samochodowej kanapie wciśniętej w bagażnik starej warszawy.

– Na czym to ja? A, no właśnie. Więc tańczę ze spluwą, a tu nagle Drugi zaczyna śpiewać…

* * *

– Widziałaś to? – Piotruś, który wraz z Wendy obserwował całe zajście z wysokości balkonu, pokręcił głową z rozbawieniem. – To zawsze był ich popisowy numer! Jeszcze na Wyspie robili go raz za razem. Każdy się nabierał, podobnie jak na sztuczkę z fałszywym lustrem. Rany, jak mogliśmy być wszyscy tak naiwni.

– Byliście dziećmi – stwierdziła Wendy.

– To nie jest żadna wymówka. No i nie tylko dzieciaki się nabierały, mówię przecież. Piraci też, raz za razem. Nawet sam Hak. Kiedyś Pierwszy dla zakładu poszedł do niego w nocy z nietoperzem. Potem ugryzł kapitana w szyję, wypuścił gacka i schował się pod łóżkiem. Stary idiota się nie zorientował, że ślady zębów nie pasują, że za duże. Dostał ataku paniki i kazał sobie przynieść wszystkie książki o ugryzieniach nietoperza. No to dostał *Drakulę*. A potem Pierwszy niby dał się złapać i wtedy zrobili z Drugim ten numer z lustrem, że niby Hak nie ma odbicia!

– Żartujesz! – wyrzuciła z siebie Wendy.

Śmiała się teraz tak, że straciła równowagę na wąskim balkonie. Zatoczyła i pewnie by spadła, gdyby Piotruś jej nie przytrzymał.

– No serio, tak było! – odparł, również zanosząc się śmiechem. – Potem była cała akcja, bo Hak wymarzył sobie wampirzą załogę, więc pogryzł wszystkich swoich piratów, nawieźli chyba z dziesięć ton ziemi pod pokład i nie wychodzili w ciągu dnia. Wykopał nawet

starą trumnę gdzieś z cmentarza i spał w niej obok szkieletu jakiejś cyganki. Bliźniaki chodziły dumne miesiącami!

– Nie dziwię się… wcale a wcale. Cudowne!

– No!

Śmiali się jeszcze długo, aż rozbolały ich brzuchy, a po policzkach pociekły grochy łez. Dopiero wtedy Wendy, próbując się jednocześnie wyprostować i otrzeć twarz, zapytała:

– Tęskniłeś za nimi, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Wciąż tęsknię. To nie są już moi Chłopcy, dłużej się nie znamy, niż znamy.

– No tak!

Podrapał się po głowie, jakby to miało mu pomóc zebrać myśli.

– Nadal widzę w nich to, co było, ale to już wspomnienie. A na tym wspomnieniu jest wiele innych, nowszych i kładących się cieniem… A właśnie, gdzie on jest? Nie wrócił jeszcze?

– Cień?

Wendy się rozejrzała. Sprawiała wrażenie, że spodziewa się go zobaczyć zaraz obok, czającego się w ciemności i gotowego zjawić na byle skinienie. Ale nie, nie było go nigdzie w okolicy.

– Jak go zobaczysz, powiedz, że go szukam – rzekł Piotruś, ruszając wzdłuż podestu.

– Gdzie idziesz?

Odwrócił i spojrzał na nią z wyraźnym zdziwieniem. A potem skoczył na pierwszą z brzegu linę i poszybował na niej w stronę najbliższego drzewa.

* * *

Luby wjechał do Miasteczka i zatrzymał samochód na dużym parkingu lokalnego marketu. Stamtąd spacerem przeszedł do swojego biura, gdzie nakazał, by mu nie przeszkadzano, i udał się do swojego gabinetu. Na wszelki wypadek zamknął drzwi na klucz i zostawił go w zamku, zasłonił szczelnie okna, odłączył telefon

i listwę, której świecąca dioda była teraz jedynym źródłem światła. Dopiero wtedy, w całkowitym mroku, przybrał swoją prawdziwą formę, wypełniając sobą cały pokój.

Nie pomogło. Jego nerwy nadal były rozedrgane, myśli chaotyczne, a wściekłość wszechogarniająca. Bo jak to się mogło tak potoczyć!? Jakim cudem jego znakomity plan mógł się tak bardzo posypać? I to w zasadzie jednej chwili!

Najpierw nie wiadomo skąd Kruszyna z powracającą pamięcią, a z nim ta przeklęta Dzwoneczek też w znakomitej, kurwa, formie! Zupełnie jakby nic się nie stało, jakby nie wyrzekła się samej siebie i swojego rodu, nie dała się omamić i spętać wizją innego życia! Potem Stalówka, którego Cień utracił nagle i wynikiem tylko jednego taktycznego błędu. A właściwie powtórki już parę razy popełnionego. Wszystko bowiem sprowadzało się do tego, że zlekceważył tę przeklętą dziwkę!

Oczywiście chcąc uniknąć tego błędu po raz trzeci, natychmiast pognał pod dom Milczka, ale i tam trafił za późno, o czym uświadomiły go policyjne taśmy. Krótka wizyta w lokalnym sklepie i już miał pełną historię o brutalnie zamordowanej żonie i terapeucie uciekającym na motocyklu ze swoją seksowną pacjentką. Więc już nie dwa, a trzy punkty dla Dzwoneczka.

O czwartym dowiedział się, gdy zadzwonił do domu Kędziora, podając się za jego wydawcę. Z potoku bluzgów, żali i jęków wyłowił tyle, że kudłaty rudzielec spędził niedawno noc w więzieniu, a teraz po prostu odszedł, nie oglądając się na żonę i dziecko. Zwłaszcza to ostatnie było dziwne, zważywszy na to, jak misternie i kompleksowo Cień uplótł akurat ojcowsko-synowską relację Kędziora i Kubusia. Zresztą niewiele tam było do roboty, bo głęboka więź istniała między tymi dwoma już wcześniej. Cień rozważał nawet, czy w razie czego nie użyć tej relacji jako zabezpieczenia, gdyby coś poszło nie tak, gdyby musiał się zjawić w domu Kędzierskich i krzywdą wyrządzoną chłopcu postawić olbrzyma do pionu. Jak teraz, z tym że w owym „w razie czego” nie założył nawet, że Milczek i Kędzior tak po prostu odejdą, porzucając wszystko, co dotąd mieli, całą prawdziwość uczuć fałszywego życia.

Zamyślił się. Czyli obecnie Dzwoneczek miała u siebie wszystkich z wyjątkiem Bliźniaków. No i może Kruszyny, choć na to specjalnie nie liczył, bo pewnie się tłuścioch wykaraska. Gdyby tylko mógł, dobiłby grubasa, ot, dla samej satysfakcji, ale ten przeklęty kot nie dał mu się do niego zbliżyć.

No właśnie, pieprzony zwierzak. Jego też Cień zlekceważył, choć bardziej prawdziwe będzie stwierdzenie, że w ogóle nie brał go pod uwagę, nie widział. Dopiero teraz zobaczył w tych żółtozielonkawych ślepiach coś, czego tam zdecydowanie być nie powinno. Coś, czego się przestraszył, bo było w zasadzie takie jak on… tylko starsze. Dużo starsze.

Cień poruszył się w mroku, zmniejszył się, przemknął po ścianach, przyparł do blatu biurka, wcisnął się w szczelinę między oparcie a siedzisko kanapy, w te wszystkie paprochy i kłaki kurzu. Musiał się skupić, skondensować, sprężyć…

Oczywiście, że mógł się w tej chwili udać do wojewódzkiego szpitala, gdzie na pewno trafili Stalówka i Kruszyna, mógł szepnąć znajomym policjantom to i owo o Dzwoneczku, być może nawet wsadzić ją za kraty. Prawda była jednak taka, że… czuł strach. Nie wyszło mu, gdy ich wszystkich rozdzielił i podchodził podstępem każdego z osobna. Działać teraz z grupą, w dodatku przygotowaną na atak? Gdy jeszcze mieli po swojej stronie kota? Nie, zdecydowanie wolał tego nie robić.

Zamiast tego zajął się rzeczą niewiele prostszą. Pilnie szukał w myślach sposobu, jak powiedzieć Piotrusiowi, że gdy jego Chłopcy zjawią się u niego, a zrobią to z pewnością, to tylko w jednym celu: by posłać Pana, a wraz z nim jego Cień, ku tej przeklętej największej z przygód!

* * *

Taksówka zatrzymała się nieopodal magazynów, przy popękanym chodniku z obłupanym krawężnikiem. Pulchny, szpakowaty kierowca odczytał kwotę z taksometru. Gdy Bruzda podał mu stówę, zapytał,

czy nie da się drobniej, choć różnica wynosiła jakąś dychę. Innym razem barman wkurzyłby się na takie zagranie, ale teraz tylko zgodnie z oczekiwaniem taksówkarza powiedział, że reszty nie trzeba, i otworzył drzwi.

Stanął na chyboczącej, złamanej na pół betonowej płycie i poczekał, aż samochód zniknie z pola widzenia. Dopiero wtedy wyciągnął z kieszeni kartkę i porównał zapisane na niej numery z tymi na ścianach budynków. Gdy zauważył właściwy, energicznie ruszył w jego stronę. Zgrzytający pod nogami piach i żwir, jakiego pełno było na chodniku, potęgowały jeszcze zdenerwowanie Bruzdy wywołane piętrzącymi się kaskadami myśli.

Co będzie, jeśli nadal żywi urazę? Albo po prostu go wyśmieje? Jaka jest? Czy się zmieniła? Co jej powie i co zrobi, gdy nastanie ta niezręczna cisza jak między obcymi ludźmi, którym, choć oboje byli pełni dobrej woli, błyskawicznie skończyły się tematy i teraz tylko udają, że wcale nie zerkają ukradkiem na zegarki i nie odliczają w myślach sekund, aż będą mogli pójść swoją drogą. I czy on miał jeszcze swoją drogę? Czy nie dała mu ona właśnie wyraźnego sygnału, nie pokazała kierunku?

Przystanął przy uchylonej bramie i spojrzał pod nogi. Niewątpliwie były to motocyklowe ślady. Wszystko wskazywało na to, że trafił pod właściwy adres. Zastukał w uchylone metalowe drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Zastukał jeszcze raz, głośniej.

– Dzwoneczku? Przychodzę w imieniu Kędziora i Milczka! – zawołał, po czym rozejrzał się na boki, upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu. Dopiero gdy wypowiedział te imiona na głos, sam, zdał sobie sprawę, jak wariacko może to brzmieć dla kogoś z boku.

Z wnętrza nadal nikt nie odpowiadał, więc barman powoli wszedł do środka i rozejrzał po skąpanym w półmroku magazynie, ale nic ze skromnego piknikowego wyposażenia nie zwróciło jego szczególnej uwagi. Było trochę resztek jedzenia i kilka kanistrów, ale w nich, jak sprawdził, znajdowała się tylko woda.

– Może się przydać, jeśli będę musiał tu siedzieć – mruknął do samego siebie.

Wiedział przecież, a właściwie czuł całym sobą, że nigdzie stąd nie pójdzie, póki nie zobaczy się z Dzwoneczkiem. Droga Drogą, ale

od tego dziwacznego olśnienia, przypomnienia sobie jej i Chłopców wtedy w barze, przez nieprawdopodobne spotkanie z Kędziorem i Milczkiem, po przyjazd tutaj, Bruzda z każdą chwilą czuł coraz mocniej, że Dzwoneczek stanie się dla niego albo szansą, albo zgubą. Zasadnicze pytanie, jakie kołatało mu się z tyłu głowy, nie brzmiało wcale: „Którym z dwojga?”, ale dotyczyło tego, czego on bardziej by dziś tak naprawdę, naprawdę pragnął.

Dlatego też zamiast się wkurzać, że jechał taki kawał drogi na próżno, złapał za pustą plastikową skrzynkę, wyniósł przed bramę, usiadł na niej i zapalił. Miał czas, miał papierosy. Tylko do jedzenia na tym pierdolonym odludziu nic sobie, kurwa, nie kupił!

* * *

– Czy to już wszystko, panowie? – zapytała Dzwoneczek zmęczonym głosem. Od ponad czterech godzin odpowiadała na pytania młodego prokuratora o twarzy licealisty oraz towarzyszącego mu komisarza policji, kompletnie siwego, wąsatego chudzielca z nieodłącznym, choć niezapalonym papierosem w ustach. Pytania zadawali jej na zmianę, czasem nawet wchodząc sobie w słowo, co zdaniem wróżki nie było standardową procedurą ani nie zgadzało się z jakimkolwiek protokołem, ale nikomu nie przeszkadzało.

Panowie najwyraźniej dobrze się znali, a ona po prostu chciała mieć to wszystko jak najszybciej za sobą, by móc usiąść pod salą operacyjną i czekać, aż wywiozą z niej Kruszynę. Dlatego właśnie odpowiadała zgodnie z wymyślonym dla niej życiorysem, który przynajmniej teraz okazał się całkiem wygodny i upraszczający sprawę. Nie, nie znała zastrzelonego księdza. Tak, jest współwłaścicielką parku, ale chwilowo na urlopie zdrowotnym. Tak, był tam również jej partner w biznesie, Grzegorz Luby. Nie łączy ich relacja intymna i nie, nie wie, gdzie się udał po zajściu, wszystko potoczyło się tak szybko. Jedyną trudnością było wytłumaczenie w tym wszystkim obecności Stalówki – niepokojącego w swoim wyglądzie motocyklisty bez dłoni, za to z tatuażem na twarzy. Ci

dwaj jednak nie słyszeli, że nazwała go kuzynem, więc zrobienie z niego kochanka, z którym baraszkowała w tunelu strachów, wpasowało się całkiem gładko. No a ręka? Nie wiedziała o tym wahadle, pewnie powstało, gdy ona była na leczeniu. Tak, oczywiście, adres kliniki podadzą w Lunaparku, ona nie pamięta.

Wreszcie Prokurator przekartkował trzymany w ręku notes, sprawdzając, czy między sklejonymi kartkami nie zapodziało się jakieś kluczowe pytanie. Gdy się upewnił, że jednak nie, zamknął notes i spojrzał na Dzwoneczka.

– Wydaje mi się, że na tę chwilę to wszystko – powiedział. – Ale byłoby dobrze, gdyby podała pani funkcjonariuszom…

– Adres? – wtrąciła się Dzwoneczek. – Już mają.

Była to ledwie część prawdy, bo choć rzeczywiście podała funkcjonariuszom adres i personalia, to jednak, biorąc pod uwagę, że Matylda Blaszka mogła być już na przykład ścigana jako chora psychicznie i niebezpieczna, a Dzwoneczek pod swoimi dawnymi danymi pewnie nie figurowała w żadnej bazie – o jedno i drugie mógł zadbać ten skurwiel, Luby – informacje były fałszywe, a brak możliwości ich zweryfikowania zrzuciła na napastników, którzy rzekomo ukradli jej torebkę z portfelem. Chwilowo zadziałało, choć pewnie nie na długo.

Młody prokurator uniósł głowę i zerknął na stojącego w kącie komisarza, jakby na coś czekał. Czyżby na aprobatę dla zamknięcia przesłuchania? W sumie, czemu nie. Gdyby się tak przyjrzeć, oczy, uszy, nos… w zasadzie spokojnie mogli to być ojciec z synem, nawet mimo różnych nazwisk. Wiele by to w zasadzie tłumaczyło.

Komisarz skinął głową, lekko, niemal niezauważalnie.

– W takim razie jeszcze raz, na razie to wszystko. – Prokurator wstał i wyciągnął rękę. – Mam nadzieję, że operacja brata się powiedzie i, ekhem, pozostaniemy w kontakcie.

– Oczywiście, panie prokuratorze – uścisnęła podaną dłoń, skinęła głową policjantowi. – Komisarzu…

Gdy wyszli, odczekała jeszcze chwilę, po czym sama również opuściła gabinet pielęgniarek, gdzie rozmawiali, i udała się w stronę chirurgii. Wszystkie krzesła były wolne, ale i tak przycupnęła na skraju i przyłożyła głowę do baniaka dystrybutora z wodą.

– Będzie dobrze – usłyszała nad sobą charakterystyczny, chrapliwy głos.

Uniosła głowę.

– Stalówka? A ty nie miałeś…

– Być operowany? – Albinos przesunął stelaż na kroplówkę, z którym był połączony cienką, przezroczystą rurką, i usiadł koło niej. – W sumie powinienem, bo wiesz, ujebałaś mi rękę i wypadałoby ją przyszyć, ale tak się składa, że ta moja dłoń to już się do niczego nie nadawała. Coś tam się stało, coś mówili, a potem były jakieś krzyki i tyle z tego wyszło. Mam czekać na przeszczep cudzej, podobno robią już takie rzeczy.

Dzwoneczek spojrzała na niego, ale nie dostrzegła, by jakoś specjalnie się tym wszystkim przejął. Gdy mu to powiedziała, wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej wpompowali we mnie krew jakiegoś spokojnego gościa – odparł. – Środki przeciwbólowe też są tu pewnie nie od rzeczy. No i sprawa z Kruszyną. Powiedz mi tylko… – Odwrócił się do niej, by móc spojrzeć jej prosto w oczy. – Powiedz, czy w chwili, gdy wpadłaś na ten pomysł z jebanym wahadłem, czy…

– Tak, Stalówka – odparła. – Naprawdę miałam plan i zakładał on przywrócenie twojej odrąbanej ręki do pełnej sprawności. Kiedyś tak umiałam.

Westchnął ponownie, kierując wzrok na przeciwległą ścianę.

– Może nadal potrafisz, ale tu już się nie przekonamy – stwierdził. – Ale wiesz co? Od jakiejś godziny wracają do mnie wspomnienia, skąd się tam wziąłem, w tym tunelu, co robiłem. Po pierwsze, chyba mi się należało, a po drugie… wkrótce możemy mieć większe zmartwienia. Pan…

Nie dokończył, bo nagle otworzyły się drzwi i wyszedł zza nich lekarz w fartuchu i czepku. Zauważywszy Stalówkę, aż przystanął.

– Co pan tu robi!? Proszę natychmiast wracać… co ja mówię, proszę tu poczekać, zaraz wezwę kogoś, kto pana zawiezie do pokoju!

Stalówka się uśmiechnął.

– No przecież czekam, prawda?

Lekarz jednak albo nie zrozumiał żartu, albo nie uznał go za zabawny.

– A pani – zwrócił się do Dzwoneczka – pani tak tu siedzi, widzi, że z kroplówką, że blady, oko takie podbite, że aż poczerniało… i tak nic, zupełnie nic pani nie…

Najwyraźniej zorientował się, do kogo mówi, bo urwał i spąsowiał. Dzwoneczek wykorzystała ten moment, by zapytać:

– Panie doktorze, czy wiadomo, co z moim bratem? To ten duży, rany postrzałowe.

– Tak, wiem. – Lekarz uniósł rękę i poskrobał się pod czepkiem. – Operacja się udała, choć to chyba tylko opatrzność boska. Obrażenia były poważne.

– Tak, doktorze – powiedziała i zaraz dodała: – Oczywiście rozumiem.

Ale chirurg pokręcił głową.

– No widzi pani, a ja nie – stwierdził. – Z takimi ranami pacjent nie powinien żywy dojechać do szpita… to znaczy…

Dzwoneczek uśmiechnęła się smutno.

– To też zrozumiałam, panie doktorze. Kiedy będę mogła go zobaczyć?

– Nie wcześniej niż za parę godzin, a i wtedy tylko przez szybę. A teraz wybaczy pani, ale…

Skinęła głową, wciąż z tym samym uśmiechem.

– Oczywiście, panie doktorze. Dziękuję – powiedziała i dostrzegła, że spojrzenie lekarza znowu zwędrowało na Stalówkę. – I zaraz kogoś poproszę, żeby go odwieźli do sali.

Lekarz łypnął jeszcze raz nieufnie, ale ostatecznie podziękował i ruszył dalej korytarzem. Dzwoneczek odczekała, aż zniknie za rogiem.

– Dobra, Stalówka. Będę musiała was na chwilę zostawić, bo tam czekają na mnie Milczek i Kędzior.

Przez myśl przemknęło jej, że to pobożne życzenie. Bardziej prawdopodobne było, że jeżeli czekał tam ktokolwiek, to raczej Milczek z niejakim Kędzierskim. Na razie nie było jednak czasu na takie detale. W razie czego coś wymyśli, a tymczasem…

– Musisz tu czuwać nad Kruszyną i uważać, bo prawie na pewno lada chwila zjawi się tu Cień, w dodatku może mieć towarzystwo.

– Nie może, bo są za daleko. – Albinos potrząsnął głową. – Jeśli się zjawi, to sam, ale w to też wątpię. Miał lepsze okazje niż ten oświetlony hall, choćby tam, w tunelu. Na wszelki wypadek będę się jednak przyglądał wszystkim zacienionym miejscom. Tylko wracaj szybko. Na ciebie gliniarz i prokurator nie łypali tak jak na mnie. Ja dostałem *full service*, z badaniami na obecność prochu i odciskami.

Pokazał fioletowe opuszki palców lewej dłoni.

– Nie wiem, ile im zajmie połączenie wszystkich tych kropek, więc wiesz… pędź jak wiatr.

Pochyliła się i ucałowała go w czoło, a w zdrową dłoń wcisnęła małą torebkę ze złotym pyłem.

– Jakby co, masz tu proszek, choć Skrót może nie być teraz najbezpieczniejszym miejscem. A, no i dziękuję, kochanie.

– Nie podlizuj się teraz – odparł, uśmiechając się krzywo. – Leki lekami, ale nadal… ujebałaś mi rękę.

* * *

Kędzior ocknął się jako pierwszy. Otworzył oczy i zaraz je zmrużył, krzywiąc się od zbyt jasnego światła zawieszonych nad stołem jarzeniówek. Ostrożnie poruszył głową, potem zwisającymi ze stołu nogami. Wreszcie uniósł rękę.

– Ostrożnie – odezwał się Leo. – Szwy są świeże.

– Jasne – wycharczał olbrzym.

W gardle miał sucho, więc poprosił o wodę. Dostał ją w małym plastikowym kubeczku wypełnionym w trzech czwartych. Za mało, by zaspokoić pragnienie, ale nie narzekał. Ponownie opadł na posłanie i odetchnął parę razy.

W głowie miał kompletny mętlik. Niby wiedział, gdzie jest i co tu robi, ale jednak po tym wszystkim, czego ostatnio doświadczył, pobudka na stole operacyjnym w klinice dla zwierząt była… no, zdeczka pojebana. W dodatku cały czas, niczym maleńka dioda

w telefonie przypominająca o nieodebranym połączeniu, dawała mu o sobie znać myśl, że o czymś zapomniał i powinien zrobić to już naprawdę dawno. Coś ważnego, coś…

– Kurwajapierdolęmać – sapnął na jednym tchu, po czym znowu ostrożnie podniósł się na łokciach. – Panie psiłapiduch, ma pan może telefon?

Leo odwrócił się i posłał olbrzymowi wymowne spojrzenie.

– Niespecjalnie wiesz, co to wdzięczność i szacunek dla człowieka, który uratował ci życie, co? – zapytał. – Psiłapiduch, dobre sobie.

Kędzior westchnął. No tak, nie był to może najfortunniejszy start, ale co miał poradzić, że właśnie tak miał? Ludzie, którzy go lubili, jako powód sympatii wskazywali właśnie ową dziwaczną szczerość i skłonność do ubierania rzeczywistości w dość… nietypowe określenia. W sumie i tak było to lepsze niż sposób, w jaki komunikował się Milczek, który coś tam machnął łapami raz i drugi, i teraz proszę, bądź fiutowi dobrym bratem i przetłumacz jakiemuś kolesiowi, że niemowa właśnie nazwał go jebanym w dupę skurwielem. Olbrzym przynajmniej od początku do końca brał odpowiedzialność za swoje słowa. Przyjmował wszystko na swoją ogromną, umięśnioną i poznaczoną bliznami klatę.

Teraz jednak sprawa była pilna i nie mógł sobie pozwolić na dyskusję czy tłumaczenia, dlatego spróbował jeszcze raz.

– Przepraszam pana, po prostu nie usłyszałem imienia i tak mi samo przyszło. To pewnie jeszcze zamroczenie – wyjaśnił. – Czy mógłby mi pan użyczyć telefonu? Muszę pilnie zadzwonić do żony.

– Do żony, mówisz? – Ton głosu Leo dość jasno wyrażał powątpiewanie, ale Kędzior zmełł cisnącą mu się na usta ripostę i tylko poruszył lekko głową w górę i w dół.

– Jeżeli mam rację, ona i mój syn mogą być teraz w strasznym niebezpieczeństwie.

To ostatecznie przekonało weterynarza, który podszedł do wiszącej na wieszaku lekkiej kurtki, wyjął z niej smartfona, odblokował i podał olbrzymowi. Ten pospiesznie wpisał numer i nerwowo przyłożył aparat do ucha.

– To ja – powiedział, gdy usłyszał z drugiej strony „halo” żony. Czy też nieżony, chuj jeden ją tam w zasadzie wiedział i nie o nią chodziło. – Słuchaj…

Ale oczywiście nie słuchała. W sumie nie było się co dziwić. Wiedział przecież, że jego telefon będzie niczym dwa granaty w przepełnione szambo. Odsunął więc aparat od ucha, przymknął oczy i czekał, aż ostatnie rozbryzgi słownego gówna spłyną mu z ucha.

Trzeba jej było przyznać, uczyła się. Szlag też trafił zarzut, jakoby nigdy go nie słuchała. Warstwowe wulgaryzmy, którymi Kędzierska wyrażała swoje niezadowolenie z faktu, że oto została porzucona bez pieniędzy na stacji benzynowej, a jej mąż zaginął bez wieści, choć poszedł niby tylko do kibla, przypominały jego własne słowa, nagrane i zmiksowane tak, by brzmiały jak irytujący, zgrzytliwy falset. W jakiś sposób był dumny i poczuł do niej coś na kształt sympatii. Na moment. Bo potem powiedziała coś kretyńskiego o jego komiksach i znowu wskoczyła do szufladki denerwującej, zgorzkniałej i – co najgorsze – nudnej baby.

Wreszcie po kilku minutach porządnie zaczerpnęła tchu, co dało Kędziorowi jakieś dziesięć sekund. Przez cały ten czas spędzony z nią, nieważne czy prawdziwy, czy wymyślony, nauczył się, jak sprawić, by to wystarczało. Jego zdanie musiało być po prostu kompaktowe.

– To teraz zamknij się i słuchaj. Bierz Kubę i jedź do matki. Natychmiast, bo grozi wam niebezpieczeństwo jak chuj. Rozumiesz? Jak chuj!

– Marek, co ty… – wyraźnie spuściła z tonu, a w jej głosie gniew nieznacznie ustąpił miejsca strachowi.

Dobrze! Tego potrzebował.

– Właśnie uciekłem złym ludziom, bardzo, bardzo złym. I mogą wiedzieć, gdzie mieszkam…

Właściwie to Cień mógł wiedzieć także, gdzie mieszkała matka Kędzierskiej, ale to temat na za chwilę. Zanim tam dojadą, minie trochę czasu, coś zdąży wymyślić.

– Tylko jedź jakąś nieoczywistą drogą, słyszysz? – polecił. – Jakoś naokoło. I nie dzwoń nigdzie. Zrób mamusi niespodziankę, taką w jej

stylu.

– Marek, przerażasz mnie – szepnęła teatralnie.

„I dobrze – pomyślał. – O to właśnie chodziło”.

– Olej pakowanie. Bierz Kubę i jedźcie! – polecił. A potem, by jeszcze podkreślić przerażającą powagę chwili dodał: – Kocham cię.

Rozłączył się.

– No dobra, to powinno… auu!

Obrócił gwałtownie głowę i dostrzegł Leo wbijającego igłę strzykawki i dociskającego tłok. Weterynarz musiał skorzystać z momentu, gdy Kędzior przymykał oczy, by go obejść.

– Co mi zrobiłeś? Lekarz cofnął się poza zasięg i rozłożył ręce.

– Uratowałem ci życie – powiedział. – Gdybyś teraz ruszył, szwy pootwierałyby się i…

Reszty Kędzior już nie słyszał, bo opadł na stół bez przytomności.

* * *

W pierwszej chwili pomyślał, że mógłby przejść w Skrót prosto z gabinetu, ale wtedy przypomniał sobie, jak wjechali na ciemną drogę ze Stalówką, i zmienił zdanie. Skrót wciąż mógł być wytrącony z równowagi i jeżeli Cień miał się teraz znaleźć na jego terenie, musiał to zrobić jako jego część, nie zaś jako intruz. Dlatego ponownie przybrał ludzką postać, wyjął z szafy odpowiednie spodnie, koszulę z krótkim rękawem i sportowe buty, a potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Poinformował, że go nie będzie, i to dla zupełnie nikogo, a potem opuścił budynek. Jednak zamiast skierować się na parking, gdzie zostawił samochód, ruszył chodnikiem w przeciwnym kierunku. Potrzebował kwadransa, by wydostać się z Miasteczka, a potem kolejnych dwóch na dotarcie poboczem drogi do lasu. Tam przystanął, rozejrzał się, czy nikt go nie widzi, a potem rozchylił chaszcze i wszedł między drzewa.

Znowu wędrował przez jakiś kwadrans, a w zasadzie brnął, rozgarniając gałęzie i unikając rozmokłych fragmentów leśnej ściółki. Wreszcie, gdy nie mógł za sobą dojrzeć ani drogi, ani nawet żadnej

pobliskiej ścieżki, stanął i zaczął się rozbierać. Zdjął z siebie zupełnie wszystko, złożył ubranie w kostkę i wsunął je do foliowej torby ze strunowym zapięciem. Nie miał w planie tu kiedykolwiek po nie wracać, ale ostatnio jego plany niespecjalnie pokrywały się z rzeczywistością. Wolał więc dmuchać na zimne.

Zapiął worek i zagrzebał go w ściółce pod krzakiem, a następnie zadarł głowę, rozłożył ręce i zamknął oczy. Najpierw powoli objął go i otulił cień pobliskiego drzewa, potem kolejne, a on sam zaczął migotać, rozmywać się, wyostrzać, z każdym kolejnym mignięciem coraz bardziej nierealny, nieprawdziwy. Niczym miraż, złudzenie. Cień.

Jednocześnie świat wokół niego tracił barwy i blask. Opadały liście, ściółka budziła się do życia, kora drzew zaczęła pękać, ukazując znajdujące się pod spodem żywe, pulsujące mięso. Zza pni i spomiędzy krzewów zaczęły łypać w stronę Cienia zaciekawione oczy i ślepia, ale gdy tylko patrzący zorientowali się, kto przyszedł, natychmiast stracili zainteresowanie.

Luby tymczasem zaniknął już niemal zupełnie, zostało po nim tylko człowiecze, hologramowe widmo, które nagle rozpękło się na pół, by uwolnić istotę dużo większą, wyższą, jakby rozciągniętą, uformowaną niemal w całości z czarnego smolistego dymu. Istota przez chwilę stała nieruchomo, po czym powoli, na swych długich jak szczudła nogach, ruszyła między drzewami w sobie tylko znanym kierunku.

Skrót nie zwracał na niego uwagi. Wciąż zajęty był żywieniem urazy, od której drgało tu powietrze, która niosła się w szeptach i jękach jego mieszkańców, skwierczała, syczała i łypała gniewnie na wszystkie strony. To miejsce zdecydowanie też właśnie czegoś lub kogoś szukało, ale na pewno nie był to Cień Piotrusia Pana.

* * *

Dzwoneczek nie zdecydowała się na drogę na skróty, choć ta kusiła, zwłaszcza teraz, gdy naprawdę liczył się czas. Wciąż jednak miała

w pamięci swoją ostatnią wizytę, wtedy jeszcze w obecności kota, który przecież czuł się tam jak u siebie. A nawet on wydawał się wówczas… zaniepokojony. Gdzie on się właściwie podział? Ostatni raz widziała go wtedy, gdy siedział na piersi Kruszyny, a potem…

– Poszedł swoją drogą – powiedziała na głos.

– Słucham? – odezwał się kierowca taksówki.

– Nie, nic, do siebie mówiłam – zapewniła.

Zmierzali z powrotem do Lunaparku, gdzie ukryła motocykl. Choć taksówkarz jechał naprawdę szybko, może nawet szybciej niż kierowca karetki, to jednak dla Dzwoneczka zdecydowanie za wolno. Miała wrażenie, że to wszystko, co tera zrobi, jest jakimś przeklętym układaniem domku z kart, w dodatku w kilku różnych miejscach naraz. Nie sposób było uchronić ich przed upadkiem, nie miała pomysłu, jak połączyć dwa zbudowane osobno piętra, zanim zjawi się ten rozbestwiony wieczny dzieciak i…

„Nie – skarciła się w myśli. – To już nie jest dzieciak. Gdyby wciąż nim był, być może nigdy nie opuścilibyśmy Nibylandii”. Przecież Wiecznego Chłopca, nawet gdy bywał okrutny i głupi, Dzwoneczek kochała. To tego, czym się, stał nie mogła znieść. Podobnie jak myśli, że to samo zrobi z resztą Chłopców. A przecież tak mało brakowało…

„Prawdziwa zabawa to taka, którą przeżywasz raz, a ona potem zostaje w tobie”, powiedział wtedy, zanim jeszcze przyznał się do popełnienia zbrodni. „Prawdziwa zabawa to taka, gdzie wszystko, co czujesz i robisz, jest prawdziwe, a ty na chwilę jesteś kimś innym”, dodał jeszcze. I oni się zgodzili. A choć potem, widząc, co się stało, czego Piotruś z kamratami się dopuścili, Chłopcy płakali, wymiotowali z obrzydzenia i zanosili się drgawkami, a nocami budzili z krzykiem, Dzwoneczek nie miała wątpliwości, że w końcu by ich przekonał.

Dlatego ich porwała. Dlatego podała im łzy i serwowała kłamstwa, a potem latami obrzydzała Pana, jak tylko mogła. By nigdy nie przekonali się na własnej skórze, co to znaczy, gdy ktoś nie dorasta, a jednocześnie przestaje być dzieckiem.

Zauważyła, że się zbliżają, więc pochyliła się do przodu.

– Pan podjedzie od strony lasku, tam powinien być taki mały parking… Nie, nie tutaj, z drugiej strony, już jak pan minie zjazd na bramę.

Kierowca pokiwał głową i posłał jej zaciekawione spojrzenie w lusterko. „Co taka ślicznotka miała zamiar robić o tej porze na parkingu przy drodze?”, pytało to spojrzenie. A może wcale nie pytało? Pewnie miało już gotową odpowiedź i teraz tylko taksowało pasażerkę i przeliczało, czy warta jest tego, by tak drogi kurs rozliczyć w naturze.

– O, to tutaj – powiedziała Dzwoneczek, pokazując parking.

Z kieszeni spodni wyciągnęła dwa banknoty, grubo powyżej stawki za kurs.

– Dziękuję, reszty nie trzeba.

Kierowca zatrzymał się, wziął pieniądze i mimo wszystko postanowił zagadać, ale ona już złapała za klamkę, wypadła na zewnątrz i pognała w las. Kilka metrów dalej sprawnie przeskoczyła wysokie ogrodzenie i popędziła przez teren parku.

Dopadła maszyny, sprawdziła, czy wszystko jest na miejscu, wsiadła i odpaliła. Dopiero wtedy zorientowała się, że i tak będzie musiała przeskoczyć na Skrót choć na sekundę, by minąć zamkniętą bramę Lunaparku. A skoro tak…

– Nie! – rzuciła na głos.

Słowa stłumione przez kask brzmiały jej w uszach, jakby mówiła przez knebel.

Musiała się spieszyć, to prawda, ale przede wszystkim musiała dotrzeć bezpiecznie do każdego celu, który sobie obrała. A magia nie była jej teraz przyjacielem.

Dlatego powoli wycofała, po czym ruszyła prosto na bramę, błyskawicznie nabierając prędkości. Przeskoczyła w Skrót tuż przed przeszkodą i po głośnym „raz” natychmiast wróciła do rzeczywistości, od razu płynnie wchodząc w ostry zakręt.

* * *

Dwie godziny wcześniej skończyły mu się fajki. Choć nie, jego własne skończyły się nawet wcześniej, ale udało mu się wysępić trzy viceroye od grupki gimnazjalistów, która przywędrowała aż tutaj, na totalne odludzie, z zapasem pasty do zębów i gum do żucia, by ukradkiem wypalić po szlugu i łyknąć ciepłego piwa. Prawie się posrali, gdy go zobaczyli, ale obiecał dyskrecję za papierosy i dwie puszki wojaka. Schłodził je sobie potem trochę między kanistrami, ale i tak smakowały jak szczyny. Choć po namyśle uznał, że lepsze takie chmielowe szczyny niż woda, a tylko taki miał wybór na tym zadupiu.

Z nastaniem mroku zaczęły go ogarniać wątpliwości. A jeśli Dzwoneczek się nie zjawi? Jeśli zmieniła plany albo, co gorsza, ktoś je jej zmienił? Była przecież teraz jedynie drobną laską pod pięćdziesiątkę, gdzie jej tam do tych dwóch wariatów ze stołu operacyjnego w klinice weterynaryjnej? A jednak oni zebrali wpierdol, nawet nie tykając środka gówna, w które wdepnęli, przynajmniej zgodnie z opowieścią, jaką mu zafundowali. Więc co dopiero ona? Nawet jeśli faktycznie była wróżką, w co Bruzda wciąż nie mógł do końca uwierzyć, to skurwiel, z którym się mierzyła, i tak podobno wygrywał na dzień dobry w tym starciu kutaśnie mrocznych modżo. Czy może jednak nie? Czy on, stary mechanik, barman, człowiek pierdolonej Drogi, niezbyt mądry, ale i nie głupi, za to solidnie doprawiony wszystkim, co wpadło mu życiu w łapska, po prostu czegoś nie rozumiał? Nie byłby to przecież pierwszy raz.

I tak, pomyślał, może faktycznie Dzwoneczek nie przyjedzie. Może zginęła, zmieniła plany, stało się coś innego. Może nie powinien tu siedzieć i na nią czekać. Ale co jeszcze miał niby do roboty? Chujowo przyznać to przed samym sobą, ale odgniatanie starej dupy na plastikowej skrzynce i tak było najmądrzejszym, co mógł teraz robić. Najbardziej… o, właśnie! Potencjalnie perspektywicznym!

Zaśmiał się na głos i w tym momencie usłyszał dźwięk silnika. Dochodził z oddali, ale zbliżał się z każdą chwilą. Serce zabiło Bruździe szybciej, włoski na rękach zaczęły łaskotać, a w ustach w jednej chwili wyschło. Wstał, wycierając spocone dłonie o spodnie. Czuł się jak pierdolony gówniarz przed pierwszą randką. Wytężył wzrok, zastanawiając się, jak ona teraz wygląda. Jak zmieniły się jej

twarz i ciało. Jak zmienił się głos i czy wciąż jeszcze w oczach i kącikach ust czai się ta psotna, przekorna wiara w to, że świat nie musi być tak całkiem do dupy.

Motocykl wyłonił się zza budynków i nagle gwałtownie się zatrzymał. Siedząca na nim dziewczyna – wciąż tak samo drobna i zgrabna, jak ją zapamiętał – stanęła na obu nogach, puściła kierownicę i powoli ściągnęła rękawice. Nie było wątpliwości, zauważyła go.

Wziął głęboki oddech i zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Zamachał powoli.

Nie odmachała, ale kierując w jego stronę czarną, szklistą i wciąż opuszczoną przesłonę kasku, zgrabnie zsiadła z maszyny i sięgnęła ręką za plecy. Pewnie po broń.

– Witaj, Dzwoneczku – zaczął Bruzda, robiąc krok w jej stronę, ale powstrzymała go gestem lewej ręki.

– Stój tam, gdzie stoisz! – krzyknęła.

Jej głos był przytłumiony kaskiem i bardziej domyślił się słów, niż naprawdę je usłyszał. Ale i tak się zatrzymał, wyciągając obie dłonie przed siebie. Uspokajająco, pojednawczo.

– Dzwoneczku, możesz mnie nie poznawać, ale to ja, Br… – w porę się zorientował, odkaszlnął i poprawił: to ja, Mat. Byliśmy kiedyś ra…

– Pamiętam Mata – przerwała mu.

Wyciągnęła rękę zza pleców, wciąż pustą, więc pewnie, doszedł do wniosku Bruzda, tylko blefowała. Sięgnęła do kasku i zdjęła go powoli, a potem powiesiła na kierownicy.

Dopiero wtedy spojrzała na Bruzdę, a ten aż się cofnął. Oczywiście mogło to być wrażenie wywołane półmrokiem, grą cieni, wspomnieniami, słońcem, piwem czy czym tam jeszcze, ale, Jezu Pierdolony Chryste, wyglądała tak samo! Tak, kurwa, samo jak przed pierdolonymi dwudziestoma laty! On zdziadział, wyłysiał, dorobił się nowych blizn i ukrył parę starych pod wałkami zwiotczałego ciała, a ona nic, wyglądała identycznie. No, może troszkę schudła…

Nawet głowę przechyliła tak samo, w takim samym jak kiedyś geście powątpiewania.

– Nie wyglądasz jak on – powiedziała. – Zresztą nie wyobrażam sobie, co ten pierdolony damski bokser miałby robić w tym miejscu.

Zabolało. Kiedyś zapaliłoby jeszcze czerwoną lampkę wściekłości, ale już nie dziś. Tłumaczenie, że zdarzyło się tylko raz, dawno przestało być tłumaczeniem właściwym nawet przed samym sobą, bo przecież zdarzyło się ten jeden raz za dużo. Dlatego teraz przełknął te słowa, krzywiąc się tylko lekko na gorycz, jaka na chwilę wypełniła mu usta.

– Ja w sumie też nie wiem, Dzwoneczku – stwierdził Bruzda. – To chyba najbardziej pojebana rzecz, jaką Droga mogła mi zafundować, takie spotkanie z tobą. I ty nie zmieniłaś się nic a nic. Ale to sama wiesz, prawda?

Wzruszyła ramionami, co mogło oznaczać w zasadzie wszystko. Jej ręka znowu powędrowała za plecy.

– Nie masz tam broni. – Bruzda splótł ręce na piersi. – A ja nie jestem Cieniem, co pewnie podejrzewasz. I słusznie, ja bym podejrzewał, zważywszy na to, co ci zrobił.

Zmrużyła oczy i cofnęła się o krok.

– Skąd wiesz? – zapytała, raz jeszcze wyciągając rękę zza pleców, i zaczęła się rozglądać nieco uważniej.

– Kędzior mi powiedział – odparł Bruzda. Widząc, że wróżka otwiera usta, by to skomentować, doprecyzował: – Właściwie to mówili obaj z Milczkiem, bo Kędzior jeszcze niewiele wiedział i plątało mu się, co jest prawdziwe, a co nie, ale on tłumaczył. Niezłe gówno.

Wróżka przejechała ręką po karku, wyraźnie zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszała. W końcu zapytała:

– Gdzie teraz są?

– U mojego kumpla weterynarza. Trzeba ich było poskładać, bo najpierw Skrót nieźle ich wytarmosił, a potem jeszcze zaliczyli wpierdol od paru klubów za akcję z Tańczącymi Bliźniakami.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

Bruzda obejrzał się przez ramię, namierzył skrzynkę, cofnął się i usiadł.

– Mogę ci powiedzieć albo od razu dać adres do Milczka i Kędziora – stwierdził. – Nic im nie jest i łapią resztkę snu, która

pewnie im się bardzo przyda, zważywszy na to, co się szykuje. Jak dla mnie masz chwilę, by mnie posłuchać. Ale to twój wybór.

Lekko skinęła głową, przyznając mu rację. Jej mina dopowiadała, że to w dodatku wybór niełatwy. W końcu jednak, rozejrzawszy się na boki i upewniwszy, że nikt nie czai się w gęstniejącym mroku, podeszła bliżej, po drodze chwytając ułamanego pustaka. Usiadła na nim w bezpiecznej odległości od Bruzdy, podciągnęła nogi pod brodę i objęła je rękami.

– Mów, byle składnie.

Bruzda skinął głową, splunął na bok i wziął głębszy oddech.

– Powiem ci wszystko, co wiem w tej sprawie, a potem pojedziesz – powiedział ostrożnie, próbując na bieżąco przypomnieć sobie ułożone zawczasu słowa. – A gdy się przekonasz, że mówię prawdę, sama zadecydujesz, czy zechcesz po mnie wrócić, żebym ci pomógł, czy nie. Bo ja chcę ci pomóc i myślę, że to wszystko to po prostu Droga, która każdemu daje to, czego mu, kurwa, trzeba.

Znowu chciała coś powiedzieć, ale jej nie pozwolił. Pięścią, jak dzieciak, otarł łzę cisnącą się do oka.

– Już mówię, ale jeszcze zanim, to… Dzwoneczku, to wiedz, że… przepraszam za tamto. Wtedy, gdy cię…

– Nie mówmy o tym teraz.

– Nie była to najgorsza rzecz, jaką zrobiłem, ale jedyna, jakiej naprawdę żałuję.

Skinęła głową, a on już bez dygresji opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło, od skojarzenia Tańczących Bliźniaków z Chłopcami i wizyty Milczka z Kędziorem w jego barze. Gdy skończył, zapytała tylko, czy widział ostatnio kota z czerwonym krawatem, a kiedy zaprzeczył, poprosiła o adres lecznicy. Dał jej go i jeszcze raz zapewnił, że będzie tu czekał na jakiś sygnał, a ona znowu pokiwała głową i wsiadła na motocykl, po czym odjechała w noc.

Bruzda długo za nią patrzył. W końcu, przetarłszy zaczerwienione oczy i po raz kolejny splunąwszy gęstą, białą śliną, ruszył w stronę pobliskich domów. Obietnica obietnicą, ale skoro miał już tu siedzieć w przypływie pierdolonego, nieracjonalnego romantyzmu, na pewno miał dość czasu, by kupić przynajmniej papierosy i coś do żarcia.

* * *

– Dzień dobry, mogę przeszkodzić?

Stalówka uniósł głowę i dostrzegł mężczyznę pod trzydziestkę w grubej wełnianej marynarce założonej na koszulkę polo, z chudą buzią i nieproporcjonalnie wielkim brzuchem. Nie wyglądał kogoś z policji ani z prokuratury, które mogłyby mieć jakieś dodatkowe pytania, ani na nikogo z personelu szpitala, kto po raz kolejny miałby wielki problem z tym, że albinos siedzi sobie w poczekalni obok oddziału, zamiast leżeć w łóżku w swojej sali. Kimś od Cienia gość też raczej nie był, a to zamykało wąską grupę ludzi, z którymi albinos był teraz gotowy rozmawiać. Mimo to zapytał:

– Ktoś ty?

– Krystian Koziebski z redakcji…

– Aaa, no tak, jeszcze prasa. – Stalówka dokończył na głos swój myślowy wywód.

Opuścił głowę, ponownie skupiając się na trzymanej na kolanach gazecie plotkarskiej. Pożyczył ją od starszej pani, która oddawała się zawziętemu szydełkowaniu, czekając na wynik operacji trzeciego męża, ale na wszelki wypadek, jak to ujęła, wzięła też coś do poczytania. Musiała brać pod uwagę co najmniej kilka poważnych wypadków, bo na ową prasówkę składała się cała reklamówka kolorowych pism.

– Mogę zająć panu chwilę? – Dziennikarz przysiadł na wolnym krzesełku, tak że od Stalówki dzieliły go teraz centymetry i stojak na kroplówkę. – Chciałbym zapytać o…

– Spierdalaj.

Stalówka tym razem nawet nie podniósł wzroku. Przewrócił kartkę i przyjrzał się fatalnie rozmieszczonym zdjęciom gwiazd w wersji z make-upem i bez niego.

Dziennikarz popatrzył na albinosa z wyrzutem.

– Dlaczego zaraz tak ostro? Chciałem tylko zadać kilka pytań.

Zaszeleściła kolejna odwracana strona.

– Tak – powiedział po chwili Stalówka. – A ja chcę, byś spierdalał. To nam robi konflikt interesów.

– No właśnie – Koziebski mylnie wziął wspomniany impas za podstawę do kompromisu.

Albinos jednak postanowił szybko wyprowadzić go z błędu.

– Ten konflikt wygrywam ja, bo jestem silniejszy, wściekły, a w dodatku to mnie w razie czego obecna tu pani pożyczy szydełko, żebym mógł wbić ci je w gardło lub oko, zależy, jak mi wyjdzie.

Nadal nie zaszczycając dziennikarza spojrzeniem, uniósł lekko prawe ramię, pozbawione dłoni, za to ozdobione wpiętym w nie wężykiem kroplówki.

– Prawą miałbym pewność, ale lewa bywa trochę nieprzewidywalna, stąd zastrzeżenie.

Dziennikarz potrzebował chwili, by to przetrawić. Jeszcze bardziej potrzebował się upewnić, że te słowa, ta paskudna groźba, jaką do niego skierowano, rzeczywiście padła i nie była tylko ponurym żartem. Pewność znalazł u staruszki – drobnej pogodnej kobiety w za dużych okularach na małym nosie – choć chyba nie do końca w formie, jakiej oczekiwał.

– Służę, białasku, mam zapasowe – powiedziała staruszka z uśmiechem. – A ci z gazet to zawsze padalce są straszliwe.

Albinos uniósł głowę i puścił do niej oko, a ona zrewanżowała się tym samym, uroczo nieporadnie. Dopiero na ten widok dziennikarz ostatecznie uznał swoją porażkę. Podniósł się z krzesła i wcisnął do kieszeni trzymany w dłoni cyfrowy dyktafon.

– Dobra, trudno – mruknął. – Ludzie się potem dziwią, że relacje w prasie jednostronne, że nikt ich nie chce wysłuchać i tylko suche fakty, a jak człowiek przychodzi i grzecznie pyta, to nie.

Stalówka przewrócił kolejną stronę, a staruszka sięgnęła do płóciennej torby leżącej na krześle obok i rzeczywiście wyjęła z niej zapasowe szydełko.

– Dobra, dobra, zrozumiałem – dziennikarz potrząsnął głową. – Ustali się prawdę z taśm.

Tylko siła woli powstrzymała Stalówkę przed gwałtownym zadarciem głowy czy zapytaniem, o jakie taśmy chodzi. Zaraz jednak dotarło do niego coś, o czym wcześniej zupełnie nie pomyślał. Czyżby chodziło o nagrania ochrony Lunaparku? Cholera! No przecież pamiętał, że mają monitoring – to właśnie dzięki niemu

wypatrzyli Dzwoneczka – więc na pewno były też i taśmy. A jeśli tak, to przecież on będzie na nich… kurwa, będzie napastnikiem! A może i głównym podejrzanym! I to szybciej, niż po tych wszystkich badaniach, o których myślał, a które przecież trwały.

– Naprawdę jesteś tak naiwny, koleś, że wierzysz w taśmy z monitoringu? – zapytał, siląc się na obojętność. – Pewnie nawet jeśli są, gówno na nich widać.

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– To się okaże. Policja już je zabezpieczyła i jest… – przerwał na moment, szukając w głowie odpowiedniego cytatu – … są dobrej myśli, zwłaszcza że mają dokładne miejsce i przybliżony czas zdarzenia.

„No tak – pomyślał Stalówka. – Wszystko na tacy i nawet jełop by się z tym uporał. Aż dziw, że tyle im to zajęło, wszak od zdarzenia minęło już przecież parę godzin. Kurwa! Kurwa! Kurwa! Pewnie zaraz tu będą”. Przymknął oczy i policzył do czterech. Chciał do dziesięciu, ale nagle usłyszał tupot ciężkich buciorów po szpitalnym korytarzu. „Co za zgranie”, pomyślał. Jakby ich przywołał.

Wstał spokojnie, by nie zakręciło mu się w głowie, i powoli wypiął kroplówkę z wenflonu. Tupot robił się coraz głośniejszy, co znaczyło, że dranie są już pewnie niemal za rogiem. A tak w ogóle, dzięki ci, Drogo, za ich brak profesjonalizmu!

– Pani pozwoli jednak to szydełko – zwrócił się do staruszki.

– Nie rozumiem, po co… – chciała wiedzieć kobieta, ale Stalówka wyjął je z jej drobnej, pomarszczonej dłoni.

W dwóch susach był przy dziennikarzu. Zanim tamten zdążył jakkolwiek zareagować, albinos już ustawił się za nim, obejmując go pozbawioną dłoni prawą ręką za szyję i dociskając trzymane w lewej szydełko do tętnicy.

– Powoli do tyłu – polecił akurat w chwili, gdy zza rogu wyłonili się uzbrojeni policjanci. – Ani kroku, bo go załatwię!

– Rzuć to! – krzyknął w odpowiedzi ogolony na łyso mięśniak w policyjnej kamizelce, ale ani drgnął. Stalówka z dziennikarzem cofnęli się jeszcze o parę kroków, aż dotarli do przeszklonych drzwi OIOM-u.

„I co teraz, spryciarzu? – pomyślał Stalówka. – Co teraz, pierdolony, jednoręki bandyto? Nie umiesz nawet otworzyć jebanych drzwi!”

– Wypuść go! Wypuść go! Poddaj się! – krzyczeli na przemian policjanci jak na amerykańskim filmie. Jakby to rzeczywiście miało go przekonać. Po to właśnie kilka sekund temu wziął jebanego zakładnika, żeby teraz go wypuścić i tylko dołożyć sobie do ewentualnego wyroku? Kurwa, dlaczego wcześniej nie pomyśleli o taśmach? Dlaczego…

„Bo straciłeś jebaną rękę, a twój brat wykrwawiał się na chodniku – odpowiedział sobie w myślach. – A potem dostałeś jeszcze leki i…”

– Dobra – mruknął, uciszając głosy w głowie.

Zerknął na staruszkę przyglądającą mu się w skupieniu, ale wcale nie gniewnie. Jakby to wszystko, co właśnie się stało, wcale nie pozbawiło go jej sympatii. Właściwie to wyglądała nawet trochę tak, jakby była dumna, że to jej szydełko odgrywało w całym zamieszaniu tak ważną rolę. Uśmiechnął się do niej smutno.

– Dobra – powtórzył, tym razem głośniej, do policjantów. – Opuście broń, to go puszczę.

Rzeczywiście opuścili lufy, choć nieznacznie. Stalówka wiedział jednak, że to wystarczy. Zabrał ranną rękę z szyi dziennikarza, a potem powoli również tę z szydełkiem.

– Jeden ruch i dźgnę cię w nerkę – szepnął, próbując wymacać uchwyt drzwi za sobą. – Jeden ruch…

W końcu za niego złapał i pociągnął lekko. Lufy pistoletów znowu się uniosły.

– Ej, nie kombinuj! – krzyknął łysy policjant.

Ale Stalówka już uchylił drzwi, wsunął w nie nogę i ustawił się częściowo bokiem tak, by móc otworzyć je szerzej już barkiem. Teraz czekała go najgorsza część jego porąbanego planu. Planu, do którego bardzo potrzebował dwóch rąk. A przynajmniej…

Chwycił mocniej szydełko i zaciskając z całej siły zęby, wbił jeden koniec w sam środek swojego pozszywanego, zabandażowanego kikuta.

Łzy stanęły mu w oczach, a krzyk w gardle. Ugięły się pod nim nogi i miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Fala gorąca, zimna

i potwornego bólu pomknęła od utraconej dłoni aż do mózgu, skąd rozlała się po całej prawej stronie ciała.

Ktoś coś krzyknął, a potem inni poszli w jego ślady. Staruszka wciąż wpatrywała się w Stalówkę, w tym momencie z przestrachem, ale wciąż bez odrazy. To się jednak zaraz zmieni, gdy tylko…

– Dociskaj palcem. Kciukiem – szepnął Stalówka do dziennikarza.

– Co?

Tamten spróbował obrócić głowę, ale wtedy Stalówka jednocześnie dźgnął go szydełkiem w szyję i lewą ręką pociągnął mocno na drzwi. Trysnęła krew, a dziennikarz poleciał do tyłu, na moment przygniatając stojącego w progu albinosa. Ten jednak, zacisnąwszy zęby, przecisnął się na OIOM. Upewniwszy się, że ranny dziennikarz osunął się na podłogę, blokując przejście, pognał dalej korytarzem, szukając sali pooperacyjnej.

Kupił sobie chwilę, może dwie. Policjanci zawahają się pewnie, zanim przesuną kogoś tak ciężko rannego; powinni najpierw udzielić pomocy. A jeśli nawet nie, to miotający się wściekle i krwawiący koleś w rosnącej kałuży własnej posoki zdecydowanie utrudni im przejście dalej. Nie mogło to wystarczyć na długo, ale modyfikowany na bieżąco plan Stalówki nie sięgał dalej.

W końcu znalazł właściwą salę, a w środku Kruszynę posapującego równomiernie w rytm pikania aparatury. „No cóż, braciszku – pomyślał albinos, odpinając kabelki i rurki – miejmy nadzieję, że się bez tego wszystkiego obejdziesz”.

Rozejrzał się za wózkiem inwalidzkim, ale go nie dostrzegł. Zamiast tego zauważył, i to ucieszyło go o wiele bardziej, że łóżko, na którym leżał Kruszyna, miało kółka. Wystarczyło tylko zwolnić blokady, a potem pchnąć.

Łóżko powoli wytoczyło się na korytarz, gdzie niemałym wysiłkiem udało się Stalówce ustawić je równolegle do ścian. To dawało mu dwadzieścia, może trzydzieści metrów rozpędu. Powinno wystarczyć. Sięgnął do kieszeni po proszek, odruchowo prawą ręką, ale zreflektował się, zanim wepchnął wciąż uzbrojony w szydełko kikut do kieszeni. Lewą nie radził sobie tak sprawnie, wystarczyło jednak, by woreczek wyciągnąć, otworzyć, a nawet wysypać większość zawartości na prawe przedramię. Zaciągnął się pyłem.

Metry przed nim za przeszklonymi drzwiami właśnie odsuwano na bok bezwładnego dziennikarza. Możliwe, że po prostu zemdlał, ale mógł się też wykrwawić. Zresztą kto to wiedział, kogo to, kurwa, obchodziło!? Ważne, że już pierwsi policjanci łapali za klamkę.

„Sekundy – pomyślał Stalówka, napierając na wózek i biorąc rozpęd. – Potrzeba mi sekund". Drzwi otworzyły się, ktoś coś krzyknął, a potem padł pierwszy strzał, nieco powyżej głowy Stalówki. Drugi, w sekundę po pierwszym, musnął mu ramię.

Wózek pędził już wystarczająco szybko, prosto na policjantów. Z każdą kolejną chwilą strzały były więc groźniejsze i rosło ryzyko, że się nie uda. Stalówka zamknął oczy i wskoczył na wózek.

Niemal natychmiast ogarnął go chłód Skrótu. Albinos otworzył oczy i zobaczył tę samą co zwykle drogę – szarą, spękaną, prostą po horyzont i z obu stron porośniętą piekłem. Tym razem jednak znajdowała się nisko pod nim, a on i Kruszyna szybowali na szpitalnym łóżku ponad linią obrzydliwych, oślizłych drzew, które już rozchylały swoje gałęzie, tworząc nad jezdnią wolną przestrzeń. Czekały, aż się rozbiją. Aż się na niej zatrzymają i staną częścią tego okropnego miejsca.

Stalówka odliczył do dwóch, ponownie przymknął oczy i spróbował równie szybko, jak znalazł się tutaj, wrócić do rzeczywistości, ale tym razem nie zadziałało. Czasem to się zdarzało. Czasem Skrót był po prostu wrednym skurwielem. Zaraz potem łóżko uderzyło o asfalt…

* * *

Wyglądali na wyluzowanych. Cały czas w centrum uwagi, zwłaszcza od akcji z Monoklem. Śmiali się, opowiadali kolejne historie, obalali kolejne browary. Siedzieli w pewnym oddaleniu od siebie, każdy z osobną widownią, tak że w powietrzu mieszały się co najwyżej wybuchy śmiechu, ale nie same opowieści. Bez dwóch zdań sprawiali wrażenie, jakby odnaleźli się tu do końca i całkowicie zaufali całej tej zbieraninie.

Wystarczyło jednak przyjrzeć się uważnie, by dostrzec, że to wszystko jedynie pozory. Ich fotele ustawione były bowiem tak, by mogli się nieustannie widzieć i obserwować wzajemnie swoje otoczenie. Nikt nie zauważył, że kolejne butelki i puszki lecące do kosza były opróżnione ledwie do połowy, a liny i wyciągi zupełnym przypadkiem znalazły się akurat w takim położeniu, by wystarczyło stanąć na fotelu i skoczyć. W jedną lub drugą stronę…

Piotruś się uśmiechnął. Miał nadzieję, że tak właśnie będzie. Że cokolwiek Cień zrobił im w głowach, nie pozbawił bliźniaków tego, co stanowiło o ich sile. Byli jednym umysłem w dwóch ciałach. W dodatku cholernie bystrym.

Odczekał, aż znudzi im się brylowanie w tłumie i ruszą każdy w swoim kierunku w niewielkim odstępie czasu. To również była zmyłka. Piotruś wiedział, że nie ma znaczenia, w którą stronę i za którym z Bliźniaków pójdzie, bo i tak za moment spotka się z obydwoma. W miejscu jak to, którego jeszcze nie byli pewni, w którym mogli mieć potencjalnych wrogów, z pewnością nie chcieli spuszczać się nawzajem z oczu.

Wybrał Drugiego i poszedł za nim, pilnując, by trzymać odpowiedni dystans i wybierać odpowiednio zacienione miejsca. Bliźniak bowiem, co Piotruś zauważył i przyjął z prawdziwą dumą, zachowywał się jak zawodowiec, nie przepuszczając żadnej okazji, by zerknąć dyskretnie w zawieszone na drzewie lusterko czy wypolerowany kawałek metalu. Gdy przystanął przy grillu po kawałek karkówki, zaoferował za nią krótki taniec tylko po to, by móc się bezkarnie rozejrzeć.

„Mistrz pozorów”, pomyślał Piotruś. Gotów był się założyć, że obserwowałby co najmniej równie dobre widowisko, gdyby zamiast za Drugim poszedł za Pierwszym. Jeden umysł, dwa ciała.

Oczywiście mógłby ich po prostu do siebie wezwać. Przyszliby, a jakże, byli mu to winni. Ale wtedy nie wiedziałby tego, co potwierdził sobie właśnie teraz – że nadal są sobą, że to nie tylko marionetki Cienia zaprogramowane, by wielbić bezkrytycznie człowieka znikąd zwanego Piotrusiem Panem, ale… no właśnie, Chłopcy, z którymi kiedyś się bawił. Zwierzał się im, ratował ich z opresji i dawał się ratować. Tłukł ich, gdy był zły, a oni potem mścili

się na nim, gdy spał albo jak dureń dawał się złapać w jedną z ich wymyślnych pułapek. Bo tak, on mógł być sobie Panem, ale wciąż był tylko jeden.

Bliźniacy zeszli się wreszcie pod prowizorycznym zadaszeniem ze starej, wojskowej plandeki. Pierwszy dotarł tam wcześniej i teraz siedział na stole z drewnianych palet obciągniętych grubą folią malarską, paląc papierosa. Drugi oparł się plecami o słup telefoniczny – jeden ze wsporników konstrukcji – i założył ręce na piersi.

– Śledzili cię – stwierdził Pierwszy.

Drugi skinął głową i obejrzał się przez ramię, by spojrzeć Panu prosto w oczy. Zachęcił go do podejścia ruchem dłoni.

Piotruś potrząsnął głową, siląc się na uśmiech. Wyłonił się z półmroku, minął wrak starej nysy przerobiony na koczowisko i dołączył do braci.

– Zestarzałem się – stwierdził.

Wciąż szczerzył się w uśmiechu, widać jednak było, że przychodzi mu to z trudem. Tak uśmiechali się ludzie, którzy co prawda odebrali kiedyś lekcję, jak godnie przegrywać, nawet zdali egzamin, ale nie chwalili się za bardzo zdobytym stopniem.

Usiadł na blacie stołu w pewnym oddaleniu od Pierwszego i podciągnął nogi pod brodę. Przez chwilę cała trójka milczała, mierząc się wzrokiem. W końcu Drugi nie wytrzymał.

– Dobra, brachu, o chuj ci chodzi? – zapytał Piotrusia. – Bo wiesz, wszystko ładnie, wszystko spoko, ale chyba ci się nie zamarzyło pedalskie dymanie Bliźniaków, co?

– Bo trochę taką masz minę – dodał Pierwszy.

Piotruś parsknął, tym razem zupełnie szczerze. Zdecydowanie byli sobą w stopniu, jakiego oczekiwał.

– Gdyby mi się to zamarzyło, tobym was nie pytał, tylko stalibyście na scenie w dybach, wypięci do reflektorów – powiedział. – Skoro jednak nie stoicie, to rozważmy przez moment inne opcje, co?

– Na przykład? – Pierwszy wypalił niedopałkiem dziurę w foli.

– Na przykład to, że chcę pogadać.

Bracia wymienili ponad głową Pana spojrzenia, a pewnie też myśli.

– Dawaj – rzekł w końcu Drugi.

Pan podrapał się po nodze, marszcząc czoło, jakby się nad czymś mocno zastanawiał.

– Jak myślicie, dlaczego zrobiliśmy dla was tę całą akcję?

Pierwszy się wyszczerzył.

– Wiedziałem, kurwa! – zawołał do brata. – Widzisz? Mówiłem ci, że to całe „zrobiliśmy to, bo mogliśmy. Bo Pan mógł. I miał taki kaprys” to tylko takie pierdolenie. Zawsze o coś chodzi. Zawsze!

– Cień wam tak powiedział? – zaciekawił się Piotruś.

Drugi odbił się plecami od ściany, podszedł i wyciągnął papierosa z leżącej na stole paczki. Wsunął go do ust, ale nie zapalił.

– Masz na myśli Lubego, tak? – zapytał. – Bo tak, właśnie on. Powiedział, że gromadzisz wokół siebie wariatów i nie będziesz chciał żadnego rewanżu za tę akcję. Ot, jak będziemy chcieli, to tutaj zostaniemy, a jak nie…

– To pójdziemy w pizdu – dokończył jego brat.

Piotruś się zamyślił.

– W sumie to dokładnie to, co chciałem wam zaproponować – stwierdził w końcu. – Z jednym tylko pytaniem dodatkowym.

Obaj bracia spojrzeli na niego niemal równocześnie, a byli do siebie tak podobni, że odróżniał ich tylko ten niezapalony papieros w ustach Drugiego.

– No? Jakie to pytanie? – chciał wiedzieć Pierwszy.

Piotruś znowu podrapał się po nodze, zeskubał też z niej dorodnego strupa. Jego łydką popłynęła cienka strużka krwi.

– Podziwiam wasz styl i zastanawiam się, czy – ot tak, bez zobowiązań, rewanżu, tylko dla czystego wygłupu – pomożecie mi wyciąć tu, w obozie, pewien naprawdę duży numer?

PIĘĆ

Kółka grzmotnęły o asfalt. Łóżko zakołysało się, podskoczyło na wyboju i natychmiast przechyliło się mocno w prawo. Kółka po lewej stronie straciły kontakt z podłożem i wyglądało na to, że łóżko zaraz się przewróci.

Stalówka instynktownie szarpnął się w drugą stronę, zaciskając palce zdrowej ręki na stelażu łóżka. Pomogło, przynajmniej na chwilę, bo dla prowizorycznego, pozbawionego jakiejkolwiek amortyzacji pojazdu, pędzącego w dodatku stanowczo za szybko, każda szczelina spękanej drogi, każde wgłębienie czy pofałdowanie oznaczały potencjalny wypadek.

Stalówka łypnął na boki. Tak jak się spodziewał, zobaczył dziesiątki szarych sylwetek o nienaturalnie białych oczach. Niektóre ludzkie lub zwierzęce, inne w kształtach i formach wychodzących poza wyobrażenie ledwie o pół kroku, ale wystarczająco, by ich widok budził grozę. Tym razem nie straszyły, nie prowokowały, tylko stały w cieniu upiornych, oślizłych drzew i obserwowały uważnie. Czekały. Pierdolony skrótowy komitet powitalny, gotowy, by przyjąć ich do swojej wielkiej, upiornej rodziny, jeśli tylko wózek się zatrzyma.

„Poprawka – przemknęło Stalówce przez głowę. – Nie jeśli, lecz kiedy”.

Jakby dla potwierdzenia tej myśli wózek energicznie podskoczył na wyboju, a ręka Kruszyny zsunęła się z pościeli i zwisała teraz swobodnie. Albinos spojrzał na nią, ale wiedział, że nie ma jak wciągnąć jej z powrotem. Musiałby ją nabić na to przeklęte szydełko sterczące mu wciąż z łapy, ryzykując, że przyszywający ból odbierze mu resztkę sił, a może nawet pozbawi przytomności.

Przed łóżkiem pojawiło się dziecko z pluszowym misiem. Miś patrzył błagalnie, poruszał czarnymi nitkami ust, spojrzenie dziecka pozbawione było wyrazu. Dwa czarne koraliki. Sylwetki rozwiały się w mgłę, zanim się przez nie przetoczyli.

Stalówka raz jeszcze przymknął oczy, ale tym razem Skrót nie ograniczył się do zwykłego zlekceważenia jego starań, tylko naprężył się mocno, stawiając opór, a potem nagle coś szarpnęło łóżkiem i cisnęło nim na bok, na poszarpane pobocze. Albinosem majtnęło jak szmacianą lalką. Nie wystarczył już uchwyt lewej ręki – poszybował nad drogą prosto w stronę czekających na niego upiorów. Prosto w szponiaste gałęzie i wijące się jak węże konary, w łypiące ślepia w rozpękniętej korze. Prosto w…

– Szczęśliwa myśl! – rozległ się nagle stanowczy, donośny głos Kruszyny.

Choć nie miało prawa… zadziałało. I to jak! Natychmiast, niczym w wyćwiczonym, wypracowanym odruchu, w głowie Stalówki zawirowało od miłych i dobrych wspomnień i marzeń. Większość obracała się wokół chwil spędzonych z braćmi i z Dzwoneczkiem, chwil, gdy byli razem, gdy ze wszystkiego, nawet jebanego gapienia się w ścianę potrafili zrobić świetną zabawę…

Nagle nie leciał już w stronę pobocza, a w górę, wznosząc ku niebu kaleką rękę. Wysypany na nią wcześniej wróżkowy proszek skrzył się i mienił, a nade wszystko przyjemnie łaskotał. Stalówka parsknął śmiechem.

– O kurwa! – zawołał. – O kurwa! Na koniec świata i jeszcze dalej!

Jakaś gałąź wypuściła pnącze, które próbowało owinąć się wokół jego kostki, ale kopnął je i skierował rękę lekko w prawo. Natychmiast poleciał w tamtą stronę.

– I co teraz, jebany Skrótwielu? Wierzę we wróżki, jebańcze! I co teraz!?

Powietrze zafalowało gniewem Skrótu, ale Stalówka przepełniony szczęśliwymi myślami nic sobie z tego nie robił. Zupełnie jakby w jego głowie puściła jakaś blokada, pękła tama i zalała jego rozsądek, dorosłość, obawy. Szybował po grafitowym niebie Skrótu wpatrzony w swoją kaleką rękę, z której, niczym środkowy palec, sterczało ubabrane krwią szydełko.

– Kapitan Szydełko! – wydarł się z całych sił.

Zapikował w stronę wciąż toczącego się po drodze szpitalnego łóżka. Ucieszył się, gdy zobaczył, że Kruszyna nie leży już na nim, a siedzi i wpatruje się w niego z tajemniczym uśmiechem.

– Widzisz mnie, grubasku? Widzisz?

Kruszyna skinął głową.

– Widzę – odparł. – Ale teraz możesz mi się przydać tu, na dole. Ten wózek zaraz stanie.

Rzeczywiście łóżko ledwie się już toczyło, a dziur i wybrzuszeń na drodze z każdą chwilą przybywało. Skrót najwyraźniej w ten sposób postanowił zemścić się za zniewagę.

Ale rozpromieniony, naładowany pozytywną energią Stalówka ani myślał się tym przejmować. Znowu uniknął gałęzi, zrobił w powietrzu pętlę i zapikował, by ustawić się za łóżkiem. Naparł na nie zdrową ręką i pchnął.

– Nie powinniśmy się za bardzo oddalać od szpitala – powiedział. – Dzwoneczek będzie nas szukać.

Kruszyna znowu się uśmiechnął i dopiero wtedy Stalówka zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak z tym grymasem. To nie była jego mina. Ktoś tkwił w nim teraz i przemawiał jego ustami. Tylko kto? Czyżby Cień próbujący odzyskać jego zaufanie? Albo sam Piotruś drwiący z niego w ten paskudny sposób?

– Stalówka, tracisz miłe myśli – upomniał go Kruszyna.

Rzeczywiście, albinos opadł nagle tak nisko, że stopami niemal szurał po asfalcie. Natychmiast odszukał w głowie radosne, rodzinne wspomnienia, ale pomogły tylko odrobinę. Uniósł się może parę centymetrów.

– Kim jesteś? I co zrobiłeś z Kruszyną?

Grubas się roześmiał.

– Ja? Ja zrobiłem? – powiedział. – Spokojnie, wciąż tu jest. Wróci, obudzi się, gdy będzie bezpieczniej.

– Nie rozumiem.

– I nie musisz – stwierdził Kruszyna. – Masz tylko utrzymać tajemnicę. Zwłaszcza przed wróżką, bo ona by zrozumiała.

Stalówka zmarszczył brwi.

– Chyba „nie zrozumiała”? – zapytał.

– Naprawdę chcesz poprawiać… mnie?

Stalówka nie odpowiedział. Mocniej pchnął łóżko i wysiłkiem woli uniósł się odrobinę, by zaraz opaść na pościel i skryte pod nią nogi brata. Nie był już w stanie myśleć pozytywnie, więc zrobił to w zasadzie w ostatniej chwili. Jeszcze moment i złamałby najważniejszą zasadę Skrótu, dając mu jednocześnie prawo do działania.

Zamiast tego osiadł więc naprzeciw Kruszyny i przez chwilę wpatrywał się w jego pogodną, pyzatą twarz. Teraz była jedynie maską, za którą krył się…

Grubas uśmiechnął się i przejechał ręką po szyi.

– Nie poznajesz mnie bez krawata, co? – zapytał. – Przygotuj się teraz. Jeżeli chcemy trafić tam, gdzie jest wróżka, to zaraz powinniśmy się wynurzyć.

– Skrót nas nie puści.

– Puści. – Kruszyna uśmiechnął się po raz trzeci, a jego oczy błysnęły zielenią. – Mnie nie jest w stanie powstrzymać.

* * *

Leo musiał zostać uprzedzony, bo drzwi lecznicy były otwarte, podobnie jak te do sali zabiegowej, a gdy Dzwoneczek wpadła z impetem do środka, pierwsze słowa, jakie usłyszała, brzmiały:

– Wszystko z nimi w porządku. Proszę się nie martwić.

Spojrzała na niego jak na wariata.

– Co znaczy, kurwa, nie martwić? Jestem matką…

Weterynarz, do tej pory stojący do niej tyłem, odwrócił się powoli, wycierając ręce w szmatkę. Nad czymkolwiek pracował jeszcze przed momentem nad metalowym blatem, przysłonił to teraz, zupełnie jakby była to tajemnica, której strzec musiał własnym ciałem. Na widok młodej dziewczyny uśmiechnął się półgębkiem, acz bez drwiny.

– No to proszę się nie martwić, niezależnie od tego, który z nich jest ojcem pani dziecka. Jeszcze pogra z brzdącem w piłkę.

– Co pan… – Dzwoneczek, zorientowawszy się, co ma na myśli weterynarz, tylko pokręciła głową z rezygnacją. Za długo by tłumaczyć. Zamiast tego rozejrzała się po pomieszczeniu i zapytała: – Czy ma pan tu sprzęt do transfuzji?

Prawa brew weterynarza uniosła się w zdumieniu.

– Co ma pani na myśli?

Dzwoneczek westchnęła zniecierpliwiona.

– Czy ma pan sprzęt, za pomocą którego część mojej krwi znajdzie się zaraz w żyłach moich Chłopców? – doprecyzowała.

Weterynarz uśmiechnął się, odłożył ściereczkę i wyciągnął przed siebie ręce w uspokajającym geście. Uśmiechnął się przy tym najpogodniej, jak tylko potrafił.

– Spokojnie, droga pani – powiedział. – Naprawdę stan pani… chłopców jest stabilny i nie ma potrzeby…

Ale Dzwoneczek już odsłoniła przedramię, usiadła na metalowym stołku i podniosła rękę tak, by zaprezentować żyły w zgięciu łokcia.

– Ja pana nie pytam, co pana zdaniem jest, a co nie jest im potrzebne – odparowała. – Pytam, czy może im pan zaaplikować moją krew. Wystarczy taka duża strzykawka, jeśli pan ma… O taka jak tam, w gablocie.

Wskazała palcem lewej ręki na strzykawki o pojemności dwudziestu mililitrów. Każda z nich była zapakowana osobno w folię, a opakowania połączono tak, że przypominały pas amunicji.

Leo odruchowo powiódł wzrokiem za wskazaniem palca, zaraz się jednak się zreflektował i z powrotem skupił wzrok na Dzwoneczku.

– Proszę pani, rozumiem poświęcenie i chęć pomocy, ale…

– Jeszcze jedno „ale” i złamię panu szczękę.

– Proszę pani… – zaczął znowu, ale przerwał mu rozbawiony głos z jednego ze stołów.

– Potraktowałbym to serio. Jak się mamuśka podkurwi, to gotowa nie tylko złamać, ale i potem nastawić.

Oboje, weterynarz i wróżka, natychmiast spojrzeli w tamtą stronę. Poharatany Kędzior uniósł się na łokciach. Ledwo patrzył na jedno oko, usta opuchnięte miał jak po botoksie, a jego wielkie łapy drżały z wysiłku. Mimo to sprawiał wrażenie kogoś w całkiem niezłym humorze.

Widząc go przytomnym, Dzwoneczek uśmiechnęła się mimowolnie. Zaraz jednak przybrała najbardziej surową ze swoich min.

– To miło, że już mnie pamiętasz, Kędzior – stwierdziła – ale zanim zapytam, jak to się stało, możesz mi łaskawie powiedzieć, co wam się, do kurwy nędzy, stało!?

Słysząc ten nagle podniesiony głos, Kędzior odruchowo obejrzał się na drugie posłanie, gdzie leżał jego brat. Prawe oko Milczka drgało zmrużone, lewe zamknęło się, gdy tylko niemowa się zorientował, że brat na niego patrzy. Jak się okazało, o ułamek sekundy za późno.

– No nie udawaj teraz, że śpisz, pierdolona niemoto – warknął olbrzym – tylko weź się wytłumacz. To był twój pomysł.

Milczek przez chwilę nie reagował, ale w końcu podniósł ręce i zamigał coś jakby do sufitu. Dzwoneczek jednak odczytała jego gesty bezbłędnie.

– Co to, kurwa, znaczy, terapia szokowa!? Co wyście zrobili!?

Milczek opuścił ręce bezwładnie, jakby znowu zapadł w sen. Widząc to, Kędzior westchnął i ostrożnie pokręcił głową.

– No my, trochę tak jakby… – zaczął wyjaśniać. – No jakby ci to tak najprościej…

– Co zrobiliście, Kędzior!?

– No… wleźliśmy na Skrót, żeby mu pokazać faka wielkiego jak chuj, a potem jeszcze go nim zerżnąć w tę jego zaciśniętą dupę.

Dzwoneczek przejechała rękami po twarzy.

– To twoim zdaniem było najprościej? – zapytała.

Kędzior spróbował wzruszyć ramionami, ale tylko syknął przy tym z bólu.

– No, w tym innym życiu byłem artystą – wycedził – to mi została… ta no, fraza.

– O rżnięciu w dupę?

– Prawdziwa sztuka nie pierdoli się z pruderią – mruknął.

Opadł na stół i wziął kilka głębokich oddechów, zanim znowu się podniósł.

– Dobra, tak czy siak, wróciłem. Co teraz robimy? I gdzie jest reszta?

– Kruszyna i Stalówka wkrótce do nas dołączą, Bliźniacy… nie jestem pewna. – Dzwoneczek znowu spojrzała na weterynarza. – Pobierze mi pan wreszcie tę krew czy nie?

Gospodarz lecznicy, dotąd w milczeniu przysłuchujący się rozmowie, teraz powoli, z wahaniem pokiwał głową.

– W sumie, cholera, co mi tam – stwierdził, ruszając w stronę szafki. – Dziwniejsze to wszystko już raczej nie będzie.

Wziął strzykawki, dobrał igły i pobrał krew od Dzwoneczka, by następnie zaaplikować ją obu Chłopcom. Wszystkie czynności wykonywał metodycznie, starając się nie słuchać i nie patrzeć, o czym cała trójka w tym czasie rozmawia zarówno słowami, jak i plątaniną gestów. Wszystkie te bzdury o jakimś Skrócie, o morderczych cieniach, nadprzyrodzonych kotach nie mówiły mu zupełnie nic. Bardzo oględne fragmenty o bijatyce w barze, strzelaninie i szpitalnym OIOM-ie, gdzie trafił jeden z ich towarzyszy, przemawiały doń z kolei zbyt sugestywnie, uświadamiając mu, że dał się wplątać w jakąś zagmatwaną i cholernie niebezpieczną intrygę.

Ale oczywiście nie dało się nie słuchać, zwłaszcza że wciąż był z nimi w tym samym pomieszczeniu. Dlatego gdy tylko skończył, podniósł się z krzesełka i ruszył w stronę wyjścia.

– Zostawię was samych – stwierdził ledwie słyszalnie.

– Super – odparła Dzwoneczek – A jakby pan mógł jeszcze zadzwonić po Mata…

– Kogo? – zdziwił się Leo.

– Bruzdę – wyjaśnił mu Kędzior, po czym spojrzał na Dzwoneczka. – Staruszek zmienił ksywę, jak mu kolejny raz mordę oszpecili.

Weterynarz zapewnił, że zadzwoni, i wyszedł, a wtedy Kędzior, zapewne czując w żyłach wróżkową krew, najpierw usiadł, a potem ostrożnie opuścił nogi ze stołu. Natychmiast miejsca wokół szwów zaczerwieniły się, zupełnie jakby każda z jego ran oblała się rumieńcem. Olbrzym potrzebował też kilku głębszych oddechów, zanim się odezwał.

– Wiesz co, mamo? – powiedział. – Jak tak słucham tego wszystkiego, to, wybacz kolejną analną metaforę artysty, ale…

chyba tkwimy w najgłębszej dupie, w jakiej byliśmy kiedykolwiek, nie?

Dzwoneczek powoli pokiwała głową, ale zaraz zmieniła zdanie i potrząsnęła nią, uśmiechając się smutno.

– Tkwiliśmy, Kędzior – poprawiła go, wstając z krzesła i przeciągając się. – Tkwiliśmy. Teraz czas, by uświadomić Piotrusiowi i jego Cieniowi coś, o czym najwyraźniej zapomnieli…

Milczek zamigał, a Kędzior plasnął się wielką łapą w pokancerowaną, opuchniętą gębę.

– No przecież i bez pytania by powiedziała, kretynie. Słowo daję, mógłbyś się czasem po prostu zamknąć!

Niemowa pokazał bratu palec i przeniósł wzrok na Dzwoneczka. Dała Chłopcom jeszcze chwilę, nim w końcu dopowiedziała:

– To już nie jest Nibylandia, a oni nie mają więcej monopolu na gry i zabawy.

* * *

– Teraz! – syknął Kruszyna i Stalówka posłusznie zamknął oczy.

Ledwo toczący się wózek zwolnił jeszcze bardziej, lepkie, wilgotne powietrze przywarło do ciała albinosa niczym wielka foliowa torebka pchnięta wiatrem. Ciasno owinęło ręce, nogi, tors i szyję, zalepiło oczodoły, nozdrza, oblepiło usta… A potem ta skrzypiąca, jęcząca membrana, przez którą łóżko próbowało się przebić, zaczęła stawiać stanowczy opór. Napierała coraz mocniej. Zdawało się, że lada chwila pojazd odbije się od niej i popędzi w przeciwnym kierunku. Pewność siebie nie-Kruszyny, gdy mówił, że Skrót nie jest w stanie go zatrzymać, zadawała się teraz jedynie czczą przechwałką. Właśnie nadszedł czas, by ją zweryfikować.

I wtedy z cichym „plop” zapora pękła, a zamiast oblepiającej wilgoci Stalówka poczuł na twarzy chłodne nocne powietrze. Zmieniła się też nawierzchnia pod kołami łóżka, bo natychmiast rozterkotało się, wpadając w wibracje, jakie spowodować mógł tylko nierówno położony polbruk.

Albinos otworzył oczy. Zobaczył przed sobą lecznicę dla zwierząt, w której paliło się światło, i motocykl stojący przed rampą. Szpitalne łóżko rzeczywiście tłukło się teraz po placu wyłożonym tandetną betonową kostką, coraz wolniej, wolniej… Wreszcie zatrzymało się na studzience kanalizacyjnej.

Stalówka zsunął się powoli na ziemię. Patrząc na lecznicę, zupełnie odruchowo spróbował podrapać się prawą ręką po głowie.

– Auu! – krzyknął, gdy dźgnął się szydełkiem, a impuls bólu pomknął przez obolałe ramię.

– Co się stało? – rozległ się za nim zaspany głos.

Stalówka obejrzał się i spojrzał na przebudzonego Kruszynę. Grubas wpatrywał się w albinosa nieco zaspanym wzrokiem, a jego niedawna pewność siebie zniknęła z nalanej, opuchniętej twarzy, podobnie jak zielony błysk z jego oczu. Albinos zrozumiał teraz, co mówił… tamten… – nie, nawet w myślach nie chciał się zgodzić, że chwilę temu rozmawiał z kotem – o tym, że Kruszyna wróci. Oto rzeczywiście, na łóżku był teraz on właśnie. Ciałem i duchem. Dało się to wyczytać z zagubionej twarzy, ze zdumionych, zaspanych oczu…

Niemal w tym samym momencie Stalówka pojął coś jeszcze. Dlaczego tamten nie chciał, by mówić cokolwiek Dzwoneczkowi. Poczuł, jak oczy wypełniają mu się wilgocią, a w gardle rośnie gula nie do przełknięcia.

– O co dokładnie pytasz, grubasku? – Starał się, by jego głos zabrzmiał możliwie pogodnie. – Bo stało się cholernie, cholernie dużo, i to w bardzo krótkim czasie.

Kruszyna rozejrzał się niepewnie, po czym spróbował się obrócić na łóżku. A może podnieść? Cokolwiek planował, nie wyszło. Straciwszy równowagę, runął z łoskotem na ziemię.

Stalówka natychmiast doskoczył do niego, chcąc mu pomóc i niewiele brakowało, a pozbawiłby go oka sterczącym mu z ręki szydełkiem. Już miał je w geście wściekłości wyrwać z kikuta, gdy nagle drzwi lecznicy otworzyły się i zalała ich fala jasnożółtego światła przesłonięta sylwetką jakiegoś mężczyzny.

– Jest tu kto? – Na widok dwóch mężczyzn obok szpitalnego łóżka mężczyzna pokręcił tylko głową, westchnął z rezygnacją, odwrócił

się i zawołał do wnętrza: – Ej, to chyba ktoś od was!

* * *

– Byłbyś strasznie słabym pokerzystą, Piotrusiu – stwierdziła Wendy.

Przed chwilą Wieczny Chłopiec pojawił się tuż za nią i pocałował ją w szyję. Natychmiast się obejrzała i wtedy właśnie dostrzegła uniesione kąciki ust, rozpromienione oczy i dołeczki w policzkach. Pan był niezmiernie z siebie zadowolony.

– No mów, co znowu spsociłeś?

Podobało jej się to słowo. Jakoś tak przewrotnie pasowało do niego, tych ludzi wokoło i miejsca, gdzie nic nie jest do końca na poważnie, gdzie rządzi powszechna zgrywa. Gdy się nad tym zastanowiła, odnosiła wrażenie, że obóz pochmurniał czy też poważniał wyłącznie wtedy, gdy pojawiał się w nim Cień.

„Cień rzuca cień”, pomyślała i zachichotała jak mała dziewczynka.

Piotruś objął ją w pasie, nachylił się i szepnął:

– Jeszcze nic.

A potem liznął płatek jej ucha, by zaraz cmoknąć w nie głośno. Odskoczyła z krzykiem, co oczywiście rozbawiło Pana niepomiernie. Klepnął się w udo i jeszcze bardziej zadowolony z siebie wyciągnął do niej rękę.

– No już, już! – powiedział. – Chciałaś mnie zapytać o Dzwoneczka i inne sprawy, nie?

Pokiwała głową, wciąż trąc ucho. Cholera, żart czy nie żart, to naprawdę zabolało.

– Teraz mi powiesz? – zapytała.

– W ogóle ci nie powiem – stwierdził wesoło. – Sama zobaczysz i zrozumiesz, gdy tylko… Oho, chyba jest!

Wskazał ręką w stronę bramy. Zza uchylonego skrzydła wyłonił się właśnie Luby. W ludzkiej postaci, zupełnie nagi. Ogromne przyrodzenie dyndało mu między nogami, gęsty zarost na szerokiej piersi i wzdłuż brzucha wyglądał trochę jak mroczne drzewo o bujnej, rozbudowanej koronie.

Ktoś coś krzyczał, niektórzy pokazywali go sobie palcami. Wystarczyło jednak, że Cień odwrócił głowę we właściwą stronę i zaraz śmiechy gasły, żarty milkły, wzniesione palce opadały, a obozowicze wracali do spraw, którymi zajmowali się przedtem. On natomiast szedł między nimi z zaciętą miną, zmrużonymi oczami, równie zdeterminowany co wściekły.

Piotruś odwrócił się do Wendy i ponownie wyciągnął do niej rękę, drugą oplatając już wokół najbliżej liny.

– Chodź – powiedział. – Za tą dyndającą gołą pałą musi się kryć nie lada historia, nie sądzisz?

– Na pewno.

Podała mu rękę, a on przyciągnął ją do siebie, szarpnął za linę i powoli zjechali na dół.

Cień tymczasem doszedł do środka obozu, niemal pod samą scenę, i usiadł na stosie posklejanych opon. Tłusty rudzielec, na oko ledwie osiemnastolatek, chciał mu natychmiast ustąpić miejsca na szerokiej samochodowej kanapie, ale Luby go powstrzymał.

– Siedź – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Wyprostował się, położył ręce na kolanach i czekał. Widział, że Piotruś już do niego zmierza, dostrzegł go kątem oka. Gorzej, że szedł z Wendy, ale można się było tego spodziewać.

No cóż, poniósł sromotną porażkę, zasłużył na rozliczne upokorzenia i powinien znieść je dumnie, nieważne, jakie będą. Dlatego siedział bez słowa. Czekał, a skala jego upokorzenia rosła wraz z gęstniejącym tłumem.

Pozornie nie towarzyszył Piotrusiowi nikt prócz Wendy; nie było za nimi żadnego wyraźnego orszaku, tłumu. Wystarczyło się jednak się przyjrzeć, by bez trudu dostrzec wnikliwe spojrzenia, małe i większe grupki gapiów, niby przypadkiem przechodzące akurat tędy, po czym przystające nieopodal, by dokończyć konwersację właśnie tu, skąd miały najlepszy widok. Sylwetki skryte w półmroku niczym mieszkańcy Skrótu. Gasnące ogniska innych wydarzeń w dalszych częściach obozowiska.

Niektórzy obozowicze jeszcze udawali, że są czymś zajęci: naprawiają maszyny, wdają się w sprzeczki i bójki, jedzą, obłapiają… Nie było jednak wątpliwości, że robią to na pokaz, coraz częściej

zerkając w stronę centrum nadchodzących wydarzeń. Gdy tam się zacznie, porzucą wszelkie pozory. Będzie tylko Piotruś, Cień i ogromna widownia bezlitosna w swej cichej – a zresztą kto ich wie, może nawet całkiem głośnej – drwinie.

Pan zatrzymał się nagle w pół kroku i uśmiechnął tak szeroko i drapieżnie, jak tylko mógł. Dzieliło go od Lubego jeszcze kilka metrów, stanowczo zbyt wiele, by Wieczny Chłopiec i jego Cień mogli sobie normalnie porozmawiać, ale przecież Piotruś zdawał sobie sprawę ze zbierającej się publiki. By krzyknąć lub powiedzieć coś donośnie, dystans był – jak się zaraz miało okazać – w sam raz.

– Jeśli to żart – Pan gestem wskazał na nagość Cienia – to nie mogę się doczekać puenty. Popadamy tu wszyscy ze śmiechu.

Lewy kącik ust Cienia uniósł się odrobinę, zadrżał i zaraz opadł smutno.

– Nie, Piotrusiu – odparł Luby. – To nie żart. Mój plan…

– Aaa… – Piotruś teatralnym gestem przyłożył do twarzy obie dłonie, jakby wstydził się, że o tym nie pomyślał. – No tak, twój plan. Gdybyś od razu mi powiedział, że ma on takie zaskakujące elementy… Wiesz co? Czekaj.

Szybkim gestem zdjął przez głowę zwiewną pastelową koszulę, rozwiązał i opuścił płócienne spodnie wraz z gaciami. Zachwiał się zsuwając buty noga o nogę, ale nim ktokolwiek zdążył zareagować inaczej niż śmiechem, również i on stał przed zebranymi nagi.

Ręce uniósł do głowy, wsunął palce między skołtunione włosy i wypiął brzuch do przodu. Jego majtające do przodu i tyłu przyrodzenie nie było nawet w połowie tak imponujące jak to Cienia, co ktoś w tłumie nieopatrznie i nieco za głośno skomentował.

Piotruś przyjrzał się najpierw swojemu kutasowi, a potem przeniósł wzrok na kutasa Lubego. Pokręcił głową z udawanym zaskoczeniem.

– To przez słońce, prawda? – zapytał. – Przy odpowiednim świetle cień zawsze wydaje się dłuższy.

A potem klepnął się w udo i roześmiał, odchylając głowę do tyłu. Obejrzał się na Wendy.

– Cholera, ten jego plan może nie być taki nudny – stwierdził. – Może się pospieszyłem?

Słysząc to, Cień błyskawicznie się naprężył i zmarszczył czoło.

– Pospieszyłeś z czym? – zapytał, nawet nie kryjąc nagłego podenerwowania.

Piotruś jednak uspokoił go gestem.

– Spokojnie – dodał. – Nie szamocz się jak syrena w sieci, bo się wszystkim udzieli. Gdzie Stalówka? I co ważniejsze, gdzie Dzwoneczek, po którą pojechałeś?

Cień westchnął i powiódł wzrokiem po zebranym dookoła tłumie. Miał rację, nikt się już nawet nie krył, że jest tutaj dla widowiska. W światłach rozmigotanych lamp i reflektorów lśniły ciekawskie oczy, spocone bicepsy, wymuskane łysiny i gołe cycki. Włochate i gładkie klaty wznosiły się i opadały płytko, rozdziawione gęby cicho wciągały i wydychały powietrze, nogi przestępowały w miejscu w nerwowym tańcu. Czekali na kolejną opowieść. Kto wie, może lepszą niż wszystkie poprzednie?

– Nie ma jej tutaj – rzekł w końcu Cień, przenosząc wzrok na Piotrusia. Uniósł też rękę, widząc, że ten zamierza rzucić żartobliwym komentarzem. – Co więcej, nie doceniłem jej i wygląda na to, że nie tylko ona mi uciekła, ale też… uwolniła innych.

A potem, początkowo robiąc długie pauzy i zbierając słowa – wszak porażka wciąż paliła go w gardle niczym niezapity bimber – z czasem jednak coraz szybciej i składniej, opowiedział Piotrusiowi i zebranym, co zaszło w Lunaparku.

Mówił to oczywiście tak, by pominąć kwestię łez, manipulacji umysłami Chłopców czy rzeczywistej roli Dzwoneczka, ale z reakcji publiki łatwo można było wywnioskować, że i bez tego historia brzmiała emocjonująco.

Tym bardziej, że wieńczyła ją porażka, a takie opowieści są najlepsze. Zwycięstwa są proste i zawsze takie same. Jeśli jednak wiesz, że na końcu jest porażka, może się ona zdarzyć w każdej chwili i na miliony sposobów.

Gdy Cień skończył wreszcie mówić, Piotruś, który zajął wraz z Wendy miejsce na kanapie, pochylił się do przodu, skubiąc zarośnięty podbródek. Przez dłuższą chwilę milczał, wpatrując się w Cienia, aż wreszcie powoli, z rozmysłem pokiwał głową.

– Tak, Piękna – zwrócił się do Wendy. – Właściwie to ten cały plan nie brzmi już tak nudno. Może mógłbym…

– Co? – zapytali jednocześnie dziewczyna i Cień. Zamyślony Piotruś potrząsnął grzywą, poderwał się z miejsca i klasnął w dłonie.

– Nie, nie mógłbym, bo już postanowiłem! – zawołał wesoło. – No i w tych okolicznościach to wszystko może być jeszcze ciekawsze. Jeszcze lepsze i warte swojej ceny. Cieniu…

– Tak?

– Dziękuję ci – powiedział Pan. – Wiernie mi służyłeś.

A potem, nim ktokolwiek zdążył zareagować, stała się jasność… a Piotruś wybił się z obu nóg i skoczył do przodu.

* * *

Szpitalne łóżko, na którym ponownie usadowiono Kruszynę, wtoczyło się z impetem do sali zabiegowej. Prawe skrzydło drzwi zatrzymało się na gumowym odbojniku, ale lewe, rzadko otwierane, nie miało podobnego zabezpieczenia, więc teraz z hukiem podobnym wystrzałowi uderzyło o ścianę. Wrażenie spotęgował ślad pozostawiony przez gałkę drzwi w grubej warstwie olejnej farby – niewielki, ot, okrągłe wgłębienie otoczone siatką pęknięć niczym dziura po pocisku.

Kędzior podskoczył nerwowo, a jego ciało, oburzone taką nagłą i intensywną aktywnością, zaprotestowało falą bólu. Olbrzym syknął, zmarszczył czoło i zmrużył oczy, ale mimo wszystko starał się trzymać fason.

– No i proszę – wycedził z wysilonym uśmiechem. – Komuś się wyrwało „dupa blada”? Bo oto przylazła właś… Oż ty kurwia macierzy chujem chłostana!! Stalówka, gdzie twoja ręka!?

Albinos obejrzał się przez ramię na pchającą łóżko Dzwoneczek i posłał jej pytające spojrzenie, a ta wzruszyła ramionami. „I tak się wyda”, zdawał się mówić ten gest.

– To było potrzebne, by wrócić mi pamięć… – zaczął Stalówka, ale Kędzior nie dał mu dokończyć.

– Czekaj, kurwa! Chcesz powiedzieć, że… że ona ci to zrobiła!? – wrzasnął i spojrzał z wyrzutem na Dzwoneczka. – No o tym, kurwa, w swojej całej jebanej opowieści jakoś nie raczyłaś nam wspomnieć. Ujebałaś mu pierdoloną koniotrzepkę!?

Spróbował wstać ze stołu, ale kolejny impuls bólu skutecznie go powstrzymał. Zamiast tego walnął więc zaciśniętą pięścią w blat, odciskając knykcie w prześcieradle, a pewnie i metalu pod nim.

– Kurwa, ja naprawdę rozumiem, że sytuacja trąciła szambem, że te wszystkie utraty pamięci, nowe życia, strzelanina, ranny Kruszyna, ale serio? Ujebałaś mu rękę!? Żeby, kurwa, co!? Żeby sobie przypomniał!? Serio, Dzwoneczku, to już, kurwa, supełek na chusteczce nie wystarczy!? Co to za metoda w ogól… Chuja, Milczek! Nie przekrzykuj mnie teraz, bo ci te łapy w dupę wsadzę. Ty też nie jesteś lepszy, mało nas na tym Skrócie nie zabiłeś! Tak, tak, wiem… terapia szokowa. No ale, kurwa, są granice! Ludzie, na chuj nam Cień i Piotruś, zaraz się sami porozpierdalamy, jak tylko komuś ze łba wyleci, gdzie zostawił klucze!

Zrobił pauzę, by wziąć kilka głębszych oddechów. Leo stojący obok Dzwoneczka wykorzystał ten moment, by pochylić się do niej i szepnąć:

– To naprawdę pani? Ta ręka w sensie?

Wróżka posłała mu lodowate spojrzenie.

– Teraz to niech pan się nie wtrąca – odparła.

Powiedziała to szeptem, ale wyraźnie za głośno, bo wściekły Kędzior nie tylko usłyszał, lecz także natychmiast podłapał jej słowa:

– Co się nie wtrąca, co się nie wtrąca!? Ten facet to teraz jak rodzina jest, nie, Waldemar?

– Właściwie to nazywam się… – zaczął weterynarz, ale Kędzior machnął ręką, że nieważne. – Gość wie teraz o naszych wnętrzach więcej niż ty – kontynuował – i trochę, kurwa, wdzięczności i szacunku. To co, powiesz mi, dlaczego po tym wszystkim, co zrobiłaś Rózi… Nie, Milczek, nie zamknę się. Niech, do cholery, wie, że pamiętasz! No, Dzwoneczku, powiesz mi może teraz, co planowałaś dla mnie, gdyby niemota nie wyjebał tej akcji ze Skrótem?

Dzwoneczek przygryzła wargę i na moment zamknęła oczy, by odgonić łzy. Widząc to, Stalówka sapnął głośno i z rezygnacją przejechał ręką po twarzy.

– Zrobiła to, żeby…

– Nie, Stalówka – szepnęła Dzwoneczek.

– Co, kurwa, nie!? – ryknął Kędzior. – Twoim zdaniem nie zasługujemy na odpowiedź? Nie należy nam się?

Wróżka nie odpowiedziała od razu. Powoli cofnęła dłonie z uchwytu, otarła cisnące się do oczu łzy, obeszła łóżko i Stalówkę. Zrobiła jeszcze kilka kroków w stronę stołu zabiegowego i stanęła dokładnie przed siedzącym na blacie olbrzymem. Zadarła nieco głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Tak, Kędzior – stwierdziła spokojnym głosem. – Właśnie tak, jak powiedziałeś. Nie należy ci się żadna odpowiedź i na żadną nie zasługujesz. Bo niby czym? Gdzie ta praca, za którą przysługuje ci zapłata? Daliście się podejść jak dzieci. Wszyscy. Ja też. Wpadliśmy w pierdoloną pułapkę. I co, to twoim zdaniem wystarczy, żeby coś ci się teraz należało?

Uniosła rękę, siłą woli próbując zapanować nad jej drżeniem, i płynnym ruchem wskazała po kolei każdego ze znajdujących się w pomieszczeniu Chłopców.

– Patrzę teraz na was, takich poturbowanych, złamanych, oszukanych… – podjęła. – Pytasz, co ze mnie za matka? Też się nad tym zastanawiam. Chociaż nie, właściwie to myślę o tym przez ostatnie pierdolone dwadzieścia lat za każdym razem, gdy coś idzie nie tak. Bo w sumie to wcale się o to nie prosiłam. Po prostu tamtego dnia na Wyspie uznałam, że to dla was jedyny ratunek. Że dla niego jest już za późno, ale wy… A przecież byliśmy przyjaciółmi. Od tamtej pory było różnie. Czasem fajnie, czasem bardzo źle i wtedy nie brakowało łez. Podobno tak właśnie to wygląda w rodzinach, nie wiem. Ale jednego jestem pewna…

Przerwała. Przełknęła ślinę i nabrała powietrza, prostując się jednocześnie, tak by następne słowa wybrzmiały odpowiednio.

– Wychowaliśmy się wzajemnie na takich, jakimi jesteśmy. A w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, zrobiłam wszystko, byśmy znowu byli rodziną. Mogłam przegiąć, przesadzić, jak w przypadku

Rózi. Żałuję, naprawdę, bo jak pokazuje twój przykład, Kędzior, są inne sposoby na przywrócenie pamięci. Tyle że ja ich nie znałam. Improwizowałam i teraz będę z tym żyć. Ale zrobiłam to dla nas, dla rodziny. Więc nie wiem, na co ci się wydaje, że zasługujesz, Kędzior, ale ja z pewnością nie zasługuję, byś tak się do mnie odzywał, rudy gnoju! Zrób to jeszcze raz, a tym razem nawet prawdziwy doktor cię nie pozszywa. Bez obrazy…

Leo uniósł przed siebie ręce i pokręcił głową na znak, w żadnym razie nie czuje się urażony.

Przez chwilę w lecznicy panowała całkowita cisza, a wszyscy zebrani tylko patrzyli na siebie niczym w tanim filmie sensacyjnym. Brakowało tylko, by mierzyli do siebie z broni. Kędzior gapił się na Dzwoneczka, mrugając z rzadka, Milczek drapał się z zakłopotaniem po potylicy, a weterynarz wodził wzrokiem od jednej osoby do drugiej, jakby był widzem w jednym z tych współczesnych interaktywnych teatrów. W końcu to Stalówka przełamał ciszę.

– Tak naprawdę to rękę ujebało mi wahadło z Lunaparku. Pamiętacie? Tak, Milczek, właśnie to, które sam chciałem tam wsadzić. Karma to dziwka… Owszem, to Dzwoneczek zastawiła pułapkę, ale ja sam w nią wlazłem, a wcześniej strzelałem do Kruszyny i jego towarzysza.

Grubas posłał mu pełne bólu spojrzenie.

– Ksiądz Jan…

– Nie żyje, kochanie – odparła Dzwoneczek, wciąż nie odrywając wzroku od Kędziora. – Zginął na miejscu. Ale czyjakolwiek to była kula, odpowiedzialny jest Cień, rozumiemy się?

Milczeli, więc powtórzyła pytanie.

– Tak, mamo – szepnął Kruszyna. Po chwili dodał: – To był dobry człowiek. Wolałbym go sobie w ogóle nie przypomnieć.

Dzwoneczek wzięła głęboki oddech i znów zamrugała gwałtownie, by odgonić łzy.

– Ktoś jeszcze uważa podobnie? – zapytała i mało brakowało, by głos jej się załamał. – Ktoś jeszcze uważa, że świat, jaki wymyślił mu Cień, był dla niego lepszy?

Zamknęła oczy. Nie chciała widzieć, czy jej Chłopcy wymieniają teraz porozumiewawcze spojrzenia, czy uzgadniają w ciszy

odpowiedź, jakiej powinni jej teraz udzielić. Milczek, który jednak pamiętał, że zabiła mu żonę; Stalówka, którego okaleczyła, i wbrew obietnicy nie mogła naprawić szkody; Kruszyna, który za sprawą jej pojawienia się stracił przyjaciela i ledwie ocalił życie. No i Kędzior, któremu los dał perspektywę dwóch żyć w pamięci i dystans, by na wszystko spojrzeć z boku. Czy naprawdę chciała znać ich odpowiedzi swoje pytanie? Czy wciąż wierzyła w wyższość celu nad środkami?

Ponownie ciszę przełamał Stalówka.

– Na takie pytanie przyjdzie czas, gdy odzyskamy jeszcze Bliźniaków.

Spróbował sięgnąć pozbawioną dłoni ręką do kieszeni spodni. Gdy się zorientował, spojrzał na weterynarza, a potem na wystającą z kieszeni paczkę lucky strike'ów.

– Mógłbyś?

– Tu się nie… – zaczął weterynarz, ale machnął ręką i sięgnął po paczkę. – Mogę też?

– Jasne. Zapalniczka jest głębiej.

Albinos odczekał, aż gospodarz poda mu odpalonego papierosa. Zaciągnął się i powiedział już do wszystkich:

– A, no i oczywiście musimy powstrzymać jeszcze Chuja Pana. Bo pamiętam tą, wiecie… drugą pamięcią, że Cień ma dla niego gotowy plan.

* * *

Zanim Luby się zorientował, co się właściwie dzieje, zanim jego oczy przyzwyczaiły się do nagłego rozbłysku światła, lecący w jego stronę Piotruś grzmotnął go w pierś, powalił na ziemię i spętał w ciasnym uścisku umięśnionych ramion.

Cień szarpnął się, przymknął oczy, ale zaraz potem wrzasnął z bólu, gdy nagle z całego jego ciała buchnęły kłęby szarego dymu. Na moment spowiły go całego prócz oczu i rozdziawionych ust, ale

zaraz rozwiały się, odsłaniając napięte do ostatniego mięśnia, drgające w konwulsjach ciało.

Piotruś wykorzystał ten moment, by ułożyć się inaczej. Poderwał się błyskawicznie i usiadł na Lubym okrakiem. Złapawszy go za ręce, ustawił je tak, by zablokować je dociskiem kolan. A dłońmi zaciśniętymi w pięści wyrżnął Cieniowi kilka razy w twarz, aż z warg i złamanego nosa popłynęły strużki czarnej krwi. Wtedy dopiero wyprostował się, wyszczerzył i wziął pod boki.

– Nie wiesz, o co chodzi, co? – zapytał z satysfakcją. – Naprawdę nie masz pojęcia…

Cień poruszył się lekko, obrócił głowę, by spojrzeć na zgromadzony wokół tłum, który we wszechobecnym, obezwładniającym blasku jawił mu się wyłącznie jako nierówny ciemny mur. Mrok był zaledwie kilka kroków od niego, być może wystarczyłoby sięgnąć, ruszyć ręką i… Poczuł, jak kolano Pana mocniej wbija mu się w nadgarstek. Przewrócił oczami i musnął końcem języka pulsujące, nabrzmiewające czarną krwią wargi.

– Już wiesz… – wyszeptał.

Piotruś odchylił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

– Co wiem? – zapytał. – Że twój plan nie poszedł po twojej myśli? Pojechałeś ze Stalówką, miałeś przyprowadzić Dzwoneczka, a wracasz sam i dyndasz pytą. Myślisz, że tak trudno się domyślić? Tak trudno?

Ostatnie pytanie zadał tłumowi, a ten wydał z siebie pomruk na poły burzliwy, na poły entuzjastyczny. W rzeczywistości zaś całkowicie bez wyrazu. Piotruś obejrzał się na Wendy i mrugnął do niej, po czym pochylił się nad Cieniem, oparł ręce na ziemi po obu stronach jego głowy i spojrzał mu prosto w oczy.

– Słyszysz ich? Słyszysz ten nieokreślony jęk jednego głosu rozbity na dziesiątki ciał? Tym właśnie są. Dokładnymi kopiami siebie samych. Zapatrzeni we mnie jak w obrazek, wykonujący ślepo polecenie bycia buntownikami, którzy nie słuchają nikogo.

Cień znowu przejechał językiem po puchnącej wardze. Chciał coś powiedzieć, ale Piotruś mu nie dał.

– Pamiętasz te pierwsze dni, gdy zjawiłem się na Wyspie? – szeptał nadal. – Gdy wydawało mi się, że jestem tam tylko ja,

a potem zobaczyłem ciebie i zorientowałem się, że mnie małpujesz? Byłeś ode mnie większy, taki wysoki, a jednak powtarzałeś każdy mój gest. Coś w środku, coś, co pamiętało inne zasady innego świata kazało mi myśleć, że to nie w porządku, że powinno być odwrotnie. Pamiętasz, jak zrobiliśmy z tego zabawę i od tamtej pory to ja zacząłem naśladować ciebie?

Cień zamknął oczy, jego język znowu przesunął się po wardze. Otworzył oczy.

– Byłeś wtedy taki, mały, zagubiony…

– Tak – zgodził się Piotruś. – A ty wręcz przeciwnie. I dlatego ta zabawa od razu ci się spodobała. Pokazywałeś mi, co i jak, ja się uczyłem i tak do czasu, gdy poznaliśmy Dzwoneczka. Potem znowu stałeś się cieniem, często niesfornym, z rzadka posłusznym, ale mniej więcej w roli. Tyle że już nigdy potem nie stałeś się moim cieniem, nie?

Luby się zawahał. Spodziewał się, że odpowiedź, której zamierza udzielić, może się nie spodobać, może go wiele kosztować, ale jednocześnie czuł, że nie może udzielić innej. Przełknął więc ślinę, z trudem nabrał tchu i powiedział:

– Cień nie ma pana. Jest…

– Ciii… – Piotruś wyprostował się gwałtownie i przyłożył palec do ust. – Nie mów mi. To tajemnica, zagadka. Sam odkryję. Podobnie jak cały twój misterny plan, za który naprawdę szczerze cię podziwiam i dziękuję. To wszystko… – omiótł ręką obóz – te wszystkie biznesy, koneksje, podchody i przygotowania, to było naprawdę coś. Coś nudnego i przewidywalnego, przynajmniej dopóki nie zlekceważyłeś Dzwonka, ale zdecydowanie warte prostego „dziękuję”. Widzisz? Uczę się. Umiem też „przepraszam”…

Kolejny raz wyrżnął w twarz Cienia i pozdrowił wiwatujący tłum uniesioną pięścią.

– I teraz właśnie tego słowa zamierzam użyć – zwrócić się ponownie do Cienia. – Przepraszam, ale wszystko to, co robię, ma ci coś pokazać, rozumiesz? Oni zrobią, cokolwiek im każę, bo tak im wpisałeś do głów. Tak ich zmanipulowałeś. To oszustwo, znaczone karty, i na tym opierał się cały twój plan dla mnie. Nawet odzyskiwanie Chłopców, nawet pokonanie Dzwoneczka, wszystko to

nie dawało mi szans na porażkę. Szansy na największą z przygód. Pomyślałeś o tym? Hę? To znowu ty, chcący, bym to ja naśladował twoje ruchy. Mój cień…

Luby zerknął w bok. Przez moment wydawało mu się, że dostrzega wyrwę, nieoświetlony pasek w kręgu światła, w którym uwięził go Piotruś. Blasku, który jakimś cudem nie pozwolił mu się przemienić, przybrać jego własnej postaci i ujść z tego miejsca. Mrok, w którym Cień mógłby się skryć, był blisko, ale jednak nie wystarczająco. Westchnął więc i ponownie spojrzał na siedzącego na nim okrakiem mężczyznę.

– Cień nie ma pana – powtórzył.

– Zgadza się. – Piotruś skinął głową, po czym raz jeszcze pochylił się, tym razem kładąc ręce na ramionach Lubego. – Żaden cień nie ma i nie będzie mieć Pana!

Gdy mówił, jego smukłe palce sunęły po krzywiźnie ramion, aż dotarły do szyi. Tam zacisnęły się nagle wraz z ostatnim, wykrzyczanym słowem.

Luby zareagował natychmiast. Wierzgnął nogami, kopiąc Pana w plecy, a gdy ten się zachwiał, spróbował wyswobodzić rękę. Gdy się nie udało, wyrzucił w górę biodra, skręcił je w jedną, w drugą stronę, znowu kopnął. Nic z tego nie wystarczyło, by zrzucić Piotrusia. Czuł jego kciuki wbijające się w krtań, czuł, jak ją miażdżą, jak wyciskają z niej oddech niczym nabrzmiałego pryszcza.

Przewrócił oczami i raz jeszcze spróbował zmienić formę, ale jego organizm zareagował tak samo jak poprzednio – głośnym skwierczeniem, dymem i straszliwym, paraliżującym bólem. Nigdy w życiu nie czuł czegoś tak potwornego, zupełnie jakby każda cząstka jego jestestwa pojawiała się i znikała raz za razem, tysiące razy w każdym ułamku chwili, zmieniając ułożenie, trąc o inne i rozgrzewając się w ten sposób do białości.

Mimo wszystko to było jednak lepsze niż szamotanie się w przybranym ciele. Dawało jakąś szansę, że może gdzieś za granicą bólu jest znajoma droga, że jeśli wytrzyma, to się wyrwie, ucieknie i już więcej nie wróci. Nie da się schwytać i uwięzić. Nie uwierzy, że jest częścią czegoś wielkiego, że jest ważny, że…

Wtedy w nagłym rozbłysku epifanii dotarło do niego, że to nie jest kwestia wiary. To fakt. Cień nie ma pana. Cień nie ma Pana. Cień jest…

Wyprężył się nagle. Powieki zatrzepotały i zastygły w bezruchu, usztywnione ciało osunęło się bez życia na ziemię. Z ust, oczu, uszu i nosa wylała się smolista czerń, ta sama, która wypełniała teraz wszystkie wyraźnie widoczne siateczki naczyń krwionośnych. Na policzkach i szyi, a potem stopniowo na rękach, torsie i nogach wykwitały czarne pajęczyny, ogromne żyły pulsowały i pęczniały pod skórą niczym tłuste czarne dżdżownice. Tu i ówdzie pojawiały się kleksy krwiaków.

Trzeba było jeszcze paru chwil, zanim czerń przemieniła Cienia ostatecznie na podobieństwo wielkiej lateksowej figury z naderwanym nosem. Dopiero wtedy Piotruś zdjął dłonie z jego szyi i uwolnił mu blokowane ręce. Złapał za ten naderwany nos, urwał go i włożył sobie do ust.

– Tak jak myślałem! – zawołał głośno, wstając i wznosząc nadgryziony nos ku górze. – Zupełnie jak lukrecja.

Ktoś zarechotał niepewnie, ale reszta wpatrywała się w Pana w całkowitym milczeniu. Piotruś wziął jeszcze kęs nosa, który rzeczywiście dawał się odgryzać niczym ciągutka, i odchylił głowę, celebrując smak i wszystko, co szło za nim. Wreszcie, wciąż z zamkniętymi oczami, odwrócił twarz mniej więcej w stronę Wendy i wyciągnął do niej stronę rękę.

– Zobacz, kochana, tyle gadania, tyle ceregieli, a tu co? Właśnie karmię się jego wspomnieniami, osobowością, pomysłami… Wyobrażasz to sobie!? Wystarczyło zjeść jego kawałek i już znam cały plan, wszystkie odpowiedzi, jakich mógł mi udzielić!

Otworzył oczy i uśmiechnął się. Przez krótki moment przerażonej Wendy wydał się jej Piotrusiem, jej Panem, ale potem zdała sobie sprawę, że powtarza w myślach zasłyszane przed chwilą i stosownie zaakcentowane słowa: „Wendy nie ma pana. Wendy nie ma Pana, Wendy… ”.

– Wiesz, jakie było jego ostatnie odkrycie? – zapytał Piotruś, ruszając w jej stronę. – Ostatnia myśl przed śmiercią?

Zatrzymał się tuż przed nią, ujął jej brodę w lewą dłoń i uniósł lekko, tak by spojrzała mu w oczy. Prawą rękę, tą, w której wciąż trzymał nadgryziony nos, uniósł tak, by widziała. Czekał. Czekał, aż zapyta.

– Jaka, Piotrusiu?

Starała się brzmieć pewnie. Nie chciała, by jej głos drżał, choć w środku dygotała, choć czuła na sobie dziesiątki par oczu milczących gapiów, pewnie równie jak ona wstrząśniętych tym, co się właśnie stało. A może wcale nie?

Pan puścił jej podbródek i delikatnie przesunął ręką po jej policzku.

– Że on i ja to jedno – powiedział z tym delikatnym, chłopięcym uśmiechem. – Że jest tą częścią mnie, której nie mogłem mieć w sobie, chcąc jednocześnie zostać Wiecznym Chłopcem. Że to wszystko: plany, ustalenia, długie, cierpliwe wyczekiwanie, on robił to wszystko, żebym ja nie musiał. Bym mógł być takim niekompletnym sobą, jakim byłem zawsze. Myślał…

Zawahał się, po czym z tym samym uśmiechem podsunął jej pod same usta trzymany w palcach kawałek czerni, który rzeczywiście przypominał lukrecję.

– Zresztą skosztuj sama – podjął. – Skosztuj i powiedz, czy już wiesz, co chciałaś wiedzieć, i czy rozumiesz. Skosztuj…

Ugryzła, a on wyszczerzył się i udał, że robi to samo. Kłapnął zębami, oblizał się, a gdy odgryzła już spory kawałek, odwrócił się na pięcie i zawołał do tłumu, wskazując na truchło:

– Wszyscy go skosztujcie! Bierzcie i jedzcie z niego wszyscy! A gdy już zrozumiecie, gdy staniecie się graczami zamiast marionetkami, wtedy dopiero zacznie się zabawa. Zacznie się prawdziwy BANGARANG!

Krzyk odbił się echem od ścian obozu, a gdy wrócił, wzmacniały go już dziesiątki skandujących głosów. Wzniesione pięści akcentowały ostatnią sylabę, a od przytupów drżała ziemia. A potem, nagle ośmieleni, ruszyli na ciało, drąc się opętańczo. Pewnie stratowaliby Piotrusia, gdyby nagle koło niego nie opadła lina.

Pan złapał za nią, objął Wendy w pasie i razem poszybowali w górę.

Na platformie czekały już na nich Bliźniaki. Piotruś skinął im głową.

– Dobra robota z tą pułapką – powiedział z uznaniem. – Te wszystkie lustra, reflektory z góry i dołu na pierwszy rzut oka nieobecne… no świetne po prostu. Jak sztuczka magiczna.

Pierwszy machnął ręką.

– E tam, trochę fizyki, trochę kombinowania. Nic trudnego. Ale stary…

– … ta akcja na dole – wszedł mu w zdanie Drugi. – Ależ to był…

– … przechuj! – dokończył Pierwszy. – Ty naprawdę zamieniłeś go w wielką, kurwa…

– … ciągutę.

Pan wzruszył ramionami, jakby to był drobiazg, jakby to, co się stało, zupełnie nic nie znaczyło.

– A wy nie chcecie skosztować? – zapytał po chwili. – Zrozumielibyście w pełni ten cały jego plan, który po lekkich modyfikacjach może być naprawdę świetny. I koniecznie wprowadzimy go w życie, bo rany, ale on… znaczy my, ja… ale łeb, doprawdy! O, wiem! Zostaniecie moimi współdelegatami! Ty zastępcą, ty, czekaj, jak to było? Tym, sierżantem… Pojedziemy tam razem!

Bracia zwykle wcale nie musieli na siebie patrzeć, by się zrozumieć, ale teraz wymienili spojrzenia, nim Pierwszy się odezwał.

– Wiesz, gościu, to fajnie, że się tak uzewnętrzniasz i chcesz, by wszyscy znali twoje kozackie myśli. To naprawdę spoko, ale jakoś tak mamy opór…

– … żeby wsuwać coś, czego właśnie dotykałeś gołym chujem – dokończył Drugi.

– Ha, ha, ha! – roześmiał się Piotruś.

Zerknął na Wendy, by zobaczyć, czy i ona się śmieje. Dziewczyna była jednak poważna. Bardzo poważna. Miała ściągnięte brwi i usta, zmarszczone czoło…

– Coś się stało, Piękna? – zapytał Pan.

Dopiero po dłuższej chwili przeniosła na niego spojrzenie, a potem powoli, z rozmysłem skinęła głową.

– Tak, chyba tak – odparła. – Chyba zrozumiałam.

* * *

Kiedyś, gdy Chłopcy byli jeszcze mali, Dzwoneczek przyszła raz wieczorem do ich pokoju i zaproponowała grę. Nazwała ją godziną szczerości.

Właściwie nie była to do końca gra, bo nikt w niej ze sobą nie rywalizował. Wygrać mogli w zasadzie wszyscy, wystarczyło trzymać się reguł. Chodziło w niej o to, że nieregularnie, raz na jakiś czas Dzwoneczek zbierała ich wszystkich. Siadali razem i Chłopcy mogli mówić, co przeskrobali, a każde przewinienie, nawet największe, nie mogło zostać obciążone karą, jeżeli zostało w pełni wyjawione właśnie podczas tej godziny. Oczywiście żeby wyznanie mogło zostać odpuszczone, trzeba było mówić całą prawdę, lecz robić to zwięźle – jeżeli ktoś się przyznał po upływie ustalonego czasu, zostawał normalnie ukarany i nie było przebacz. A przecież przewiny innych też czekały na okazję do wyznania.

Chłopcom gra bardzo się spodobała i rzeczywiście zadziałała pięć czy sześć razy, ale potem Kędzior złamał system, specjalnie wyczekując ogłoszenia godziny, by rzucić się na Bliźniaków za jakąś tam dawną zniewagę. Wlał im do spółki z Milczkiem na oczach Dzwoneczka, by zaraz potem, wciąż umorusany krwią braci, za to z miną niewiniątka, przyznać się do spuszczonego Bliźniakom łomotu.

Zasady gry szybko zmieniono, ale to była pierwsza skaza na monolicie. Potem ktoś powiedział, że Milczek się tak naprawdę nie przyznaje, bo przecież nie mówi o swoich winach, tylko macha łapami. Wreszcie wyszło na jaw, że przebaczenie po przyznaniu obowiązuje tylko Dzwoneczka, bo żaden z Chłopców nie odpuszczał braciom wyrządzonej sobie krzywdy, choć udawał, że to robi i że to, co wydarzyło się później – i zostało ujawnione w kolejnej godzinie – nie ma zupełnie związku ze sprawą.

Jednak mimo że godzina szczerości istniała krótko i ostatecznie się nie sprawdziła, tkwiła w głowie Dzwoneczka jako wspomnienie miłe. Teraz, gdy ją sobie przypomniała, uśmiechnęła się do tej myśli. Ostatnia godzina w lecznicy była taką właśnie przeciągającą się

godziną szczerości, gdzie każdy opowiadał o swoim innym życiu, ale i o tym, co się wydarzyło na przestrzeni kilku ostatnich dni czy godzin. Pozostawało pytanie, czy zasada o przebaczeniu obowiązywać będzie także tym razem.

Pod koniec opowieści Kędziora pojawił się Bruzda. Wszedł powoli, a słysząc znaną sobie historię, usiadł w kącie z założonymi rękami. Kruszyna i Stalówka poparzyli na niego, po czym posłali zaciekawione spojrzenia Dzwoneczkowi, ale ta pokręciła głową. „Nie teraz”, mówił ten gest. Chwilowo odpuścili.

Wreszcie, gdy Kędzior skończył, wróżka, która streszczeniem swoich przeżyć rozpoczęła wszystkie wyznania, wstała i podeszła do dystrybutora z wodą. Nalała pół plastikowego kubeczka, wypiła jednym haustem, odkaszlnęła i odwróciła się, by spojrzeć na obecnych. Z tego miejsca widziała dobrze wszystkich prócz Bruzdy.

– No dobra, czyli teraz mniej więcej wiemy już, jak to wszystko wygląda i co się właściwie stało – powiedziała. – Oczywiście nie w szczegółach, bo wciąż nie mam pojęcia, jakim cudem Kędziorowi czy Kruszynie udało się otrząsnąć z łez… no inaczej. Może te łzy Cienia były wybrakowane, może coś nie grało na poziomie jego historii. A może w jakiś sposób wszyscy jesteście odporni i…

Przerwała, by spojrzeć na Milczka.

– … i nie wszystko z tego, co zrobiłam, da się usprawiedliwić – podjęła po chwili. – Ale cokolwiek się stało, niczego już nie cofniemy. Jesteśmy tutaj i tu zadecydujemy, czy nadal jesteśmy rodziną i czy…

– Dobra, kurwa mać, mamo – wtrącił się Kędzior. – Jeszcze trochę tego patosu i mi tu zaraz maszt pod flagę stanie. Może uznajmy, że to, co przed chwilą, to była godzina szczerości i…

– Też sobie przypomniałeś? – uśmiechnął się Kruszyna. – Bo jak tak sobie wszyscy wszystko mówiliśmy, to mnie się właśnie skojarzyło.

– Wtedy nie zadziałało – zauważył Stalówka, ale Milczek pospiesznie zamachał rękami, a Kędzior mu przytaknął.

– Ma rację niemota. Jak nie zadziałało, skoro ciągle tu jesteśmy? Ty zajebałeś grubemu księdza, mamę więcej niż raz poniosło z ostrymi narzędziami, a jednak nikt stąd nie wychodzi. A wiesz dlaczego?

– Bo jesteśmy rodziną? – zapytał albinos drwiącym tonem.

– Chuja tam! – ryknął olbrzym. – Bo tylko cykor i ostatnia faja przerywa grę, bo się wyjebał i zarył o beton. Krew z kolana, gile z nosa, ale nakurwiamy do końca. I dopiero wtedy będziemy sobie myśleć, gdzie jesteśmy i co dalej. A teraz, mamo, weź i przedstaw wszystkim Bruzdę, bo grubas to sobie zaraz kark skręci, tak się na niego gapi.

– Bo to jest Mat, nie? – zapytał Kruszyna, który faktycznie przyglądał się Bruździe od dłuższego czasu. – Tak wygląda. Jak stary, dociorany przez życie Mat.

Barman ze swego kąta uśmiechnął się pod nosem.

– Dobre, dobre – stwierdził. – Lepiej bym się nie opisał.

Stalówka również się obrócił i raz jeszcze zmierzył Bruzdę od stóp po głowę. Skrzywił się z niesmakiem.

– No dobra, fajnie, że to on, ale na chuj on nam teraz?

Dzwoneczek wzruszyła ramionami.

– Bo pomógł i chce bardziej? Bo jakoś nie widzę całej armii stającej teraz za nami? Czy to nie ty wspominałeś chwilę temu w swojej opowieści, że Cień skutecznie dopadł większość Chłopców rozrzuconych po Europie, a przynajmniej tych, którzy od dawna nie mieli nas w dupie?

– No mówiłem, ale…

– Po mojemu to cały nasz ostatni Zjazd był dla niego wielkim poligonem. Sprawdził, kto z kim trzyma i kogo, jak na przykład Mikołaja, trzeba usunąć. Nawet Kościeja najwyraźniej udało mu się dorwać, bo, jak mówił Paragon, kontakt z nim się urwał… I nie, Paragona w to więcej nie mieszamy. Wystarczy mu.

Raz jeszcze napełniła kubeczek, upiła łyk i spojrzała Stalówce w oczy. Przez chwilę wpatrywała się tak w niego, by wreszcie przenieść wzrok na Kruszynę. Uśmiechnęła się.

– Wybaczyłam Matowi, skarbie – powiedziała. – Czy ty, czy wy również moglibyście dać mu szansę?

Stalówka wzruszył ramionami, splunął na ziemię i uniósł kikut.

– Niech będzie, co Kruszyna? W końcu jakby trochę brakuje nam rąk.

Wszyscy, łącznie z Bruzdą, wybuchnęli śmiechem i zanosili się nim dłuższą chwilę, a dźwięk prawdziwej, nieskrępowanej niczym wesołości niósł się echem po sali i korytarzu lecznicy, zacierając niedawne problemy i choć na chwilę rozjaśniając ciemną przyszłość. Znowu byli razem, mieli cel, a nawet kilka, i chociaż zapowiadała się ostra przeprawa, gra o stawce najwyższej z możliwych, do której nie startowali z równego poziomu, to czuli w ustach metaliczny posmak przygody. Smakowała jak pierwsza krew w bójce, jak wściekłość, która zaciska pięści. Jak ten moment, gdy podejmujesz rzucone wyzwanie…

Dopiero gdy śmiech ucichł, Kędzior odwrócił się do Bruzdy i powiedział:

– Dobra, były śmichy-chichy, a teraz powaga. Fajnie, że nam pomagasz, ale jeśli myślisz, że to przyzwolenie, żeby znowu nam dymać matkę…

– Kędzior! – syknęła Dzwoneczek.

Odruchowo zerknęła przy tym na Bruzdę, który nie bez satysfakcji dostrzegł, że wróżka się zarumieniła.

– Nawet tak nie pomyślałem – stwierdził. – Ale gdy przyjdzie czas, zapytam ją o to. Jeśli powie „tak”, to jedyne, co będziesz mógł w tej sprawie zrobić, to przynieść gumy…

Milczek zamigał, a Bruzda pokiwał głową.

– Tak, możliwe, że również viagrę. Ale to chyba naprawdę nie jest kwestia na teraz, prawda?

– Prawda – zgodziła się Dzwoneczek; jej rumieniec zdążył zniknąć równie szybko, jak się pojawił. – Stalówka, chyba powinniśmy pogadać bardziej szczegółowo o tym planie, który częściowo znasz i pamiętasz.

Zgniotła trzymany w ręku kubek i cisnęła nim do kubła na śmieci.

– Pomyślmy, jak go widowiskowo rozpieprzyć.

SZEŚĆ

Bogusława Motek zdjęła palce z klawiatury. Upiła ostatnie łyki zimnej już kawy, odsączając fusy przez szczelinę w zębach. Diastema, tak to się fachowo nazywało. Czterdzieści lat temu, gdy była piękna i młoda, dodawało uroku jej uśmiechowi. Dziś nadawało się jako filtr.

No właśnie, przypomniała sobie i sięgnęła po żółtą karteczkę, na której zanotowała: „Serwis. Ekspres do kawy”. Oderwała kartkę od bloczku i przykleiła na wewnętrznej stronie drzwiczek w biurku obok kilku podobnych notek. Zamknęła szafkę, ale coś nie dawało jej spokoju, więc otworzyła ją jeszcze raz i przyjrzała się żółtym nalepkom.

– Oj, głupia – zaśmiała się do samej siebie, odklejając jedną sprzed tygodnia, z niemal identyczną treścią jak ta dzisiejsza. – Co masz zrobić dziś…

Ale było już za późno. Nie sądziła, by w jakimkolwiek serwisie pracowali dłużej niż do siedemnastej, a raczej nie istniało coś takiego jak całodobowe pogotowie serwisów do kawy. Trudno, zajmie się tym z samego rana.

Dla pewności nakleiła karteczkę na monitorze, tuż obok włącznika. Wylogowała się z sytemu, wyłączyła podświetlony przycisk listwy i dopiero wtedy zdjęła okulary i rozmasowała nasadę nosa. Czuła w kręgosłupie, że to był pracowity dzień, kolejny, odkąd pan Luby zajmował się panią Blaszką. Właściwie od tego całego wypadku zupełnie odpuścił sobie firmę i wszystkie interesy, jakby kompletnie nie miały znaczenia. Wszystko zrzucił na Bogusławę, choć przyznać trzeba, był tego świadom i odpowiednio podkreślił to w kolejnych wypłatach. Tyle z tego dobrego, że będzie dla wnuków na kolonie i komputer. To, że jej córka wyszła za durnia, nie znaczy, że maluchy

mają się smażyć w domu, jak w tym roku, albo chodzić na socjalne półkolonie jak jakaś biedota. Komputer się przyda do szkoły… A jak ich durny tatuś się do niego przykoleguje, to zrobi to, co już dawno sobie obiecała. Poprosi zbirów pana Lubego, tych ze strzałami na szyi, o przysługę. Z pewnością nie odmówią starszej pani. Zwłaszcza tej, która przelewa im wypłaty.

Odwróciła się na fotelu i przeciągnęła, a potem przechyliła głowę najpierw w lewo, potem w prawo, aż chrupnęło. Tak, zdecydowanie się zasiedziała, a w jej wieku to niedobrze. Czytała, że to grozi zakrzepami, które mogą się odkleić i popędzić żyłami do serca. Może, uznała, powinna się dziś umówić z Grażką na to całe nordic walking? Na pewno się ucieszy, codziennie zasuwa z nimi po mieście, podczas gdy kijki Bogusi zdążyły się już zakurzyć w kącie. Tak, zdecydowanie za dużo ostatnio pracowała.

Ponownie odwróciła się do biurka, pochowała wszystkie ważne dokumenty i pozamykała szafki uniwersalnym kluczykiem, który następnie zawiesiła sobie na szyi między piersiami. Wychodząc, upewniła się jeszcze, że i w gabinecie pana Lubego wszystkie listwy są wyłączone, a okna pozamykane. Wtedy zamknęła biuro i zeszła po schodach na ulicę.

Zamykając główne drzwi, zdążyła pomyśleć, że teraz to żaden problem, że zdecydowanie gorzej było zimą, bo wejście do biura znajdowało się w wąskim zaułku, kilka metrów od głównej ulicy, a fotokomórka odpowiedzialna za światło była źle ustawiona i zapalała się dopiero po odejściu od drzwi.

Teraz jest jeszcze bezpiecznie, przemknęło jej przez głowę, zanim usłyszała „przepraszam” wypowiedziane niskim, tubalnym głosem.

Odwróciła się gwałtownie i musiała spojrzeć w górę, by zobaczyć coś więcej niż tylko rozłożystą pierś ubranego na czarno olbrzyma. Mężczyzna miał krótko przystrzyżoną brodę, parę siniaków, podbite oko i opatrunek na nosie. Najgorsze jednak, że był rudy. Bogusława Motek była może staroświecka, ale to przeraziło ją najbardziej.

Mimo to spróbowała zachować rezon. Przełknęła ślinę, odchrząknęła i w myślach powtórzyła sobie to wszystko, co mówił jej pan Luby po wizytach co bardziej krewkich klientów: „Niech pani nigdy nie okazuje strachu. Proszę sobie wyobrazić, że stoi za panią

niczym cień wielka armia ludzi mi życzliwych. Cokolwiek bowiem pani uczynią, zrobią też mnie. A mnie nikt nie odważy się skrzywdzić”.

– Nie wiem, za co pan przeprasza. Nie potrącił mnie pan – stwierdziła. – Chyba że tak pan zaczepia o drobne, ale wtedy muszę powiedzieć, że…

– Za to przepraszam. – Olbrzym nie dał jej dokończyć.

Jego wielka zabandażowana łapa wystrzeliła w stronę jej szyi, zacisnęła się na niej i zdławiła krzyk. Następnie olbrzym poruszył się, niezgrabnie, ale szybko, tak że znalazł się za Bogusławą. Drugą ręką, wielką jak jej głowa, docisnął jej do twarzy jakąś szmatkę pachnącą szpitalem i tak zamarł, odliczając cicho od dziesięciu.

– Siedem – usłyszała Bogusława Motek, zanim straciła przytomność.

* * *

Kędzior odczekał jeszcze krótką chwilę, rozglądając się na boki, aż wreszcie łokciem nacisnął klamkę, piętą otworzył drzwi i tyłem wszedł na schody. Posadził Bogusławę Motek na najniższym schodku, delikatnie opierając jej głowę o poręcz, i wrócił do zaułka. Podszedł do jego wlotu i wyjrzał na ulicę. Dostrzegłszy Milczka siedzącego na ławce naprzeciwko, skinął mu głową. Niemowa wstał, puścił przodem przejeżdżające właśnie zdezelowane punto i przebiegł truchtem przez ulicę.

Gdy obaj znaleźli się w zaułku, zamigał coś nerwowo. Kędzior wzruszył ramionami.

– Co się spóźniłeś, co się spóźniłeś? Załatwić coś musiałem. I ogarnąłem już robotę. Babcia śpi, więc wystarczy „dziękuję”.

Ale Milczek nie zamierzał dziękować. Zamiast tego znowu zamachał wściekle.

– Tak, ja wiem, że teraz to już czekałeś na plan B – zgodził się Kędzior. – Ale ja zamiast tego zrealizowałem plan C. Chuj, że nie

złapaliśmy jej jeszcze w biurze, ale nie będę drałował do niej do chaty i z powrotem jak jakiś debil. Kontuzjowany jestem.

Milczek mignął.

– Tak, niemoto – westchnął. – Kontuzjowany na mózgu. Bardzo, kurwa, elokwentne.

Weszli na schody i Kędzior odwrócił się, by zamknąć za nimi drzwi.

– Musiałem coś załat… uważaj, nie nadepnij na nią… załatwić coś musiałem. Bo wiesz, trochę jest teraz napięta sytuacja z mamą i tym wszystkim, a z tego, co powiedział Stalówka o tym planie, to będzie ostra jazda i uznałem… Ja się, kurwa, nie tłumaczę, ja tylko… A pierdol się! Taka to z tobą rozmowa zawsze.

Szczęknął klucz w kolejnym zamku i znaleźli się w biurze. Milczek natychmiast przeszedł przez pomieszczenie i zasunął żaluzje, a potem skinął głową bratu. Ten upewnił się, że i w gabinecie Lubego okna są zasłonięte, a następnie włączył światło.

– Dobra, to najpierw u niego czy u niej?

Milczek sprawdził kilka szafek i przekonał się, że wszystkie są pozamykane.

– Sprawdź, czy nie ma klucza pod monitorem albo w pojemniku na długopisy.

Milczek sprawdził, od siebie zerknął też pod kalendarz, mały wentylator i zdjęcie w ramce przedstawiające panią Bogusławę z córką i wnukami.

– No to idź obmacaj staruszkę, pewnie ma przy sobie… Jak to: czemu ty? Bo ja się już nadotykałem… Kurwa, Milczek, zawsze musisz tyle gadać? Weźże się wreszcie do roboty…

Niemowa powoli poczłapał w dół schodów. W progu mignął coś jeszcze, a Kędzior pokiwał głową.

– Tak, spoko, zacznę bez ciebie.

Ale gdy Milczek wrócił po kilku minutach, Kędzior, zamiast szukać, siedział w obrotowym fotelu z nogami na biurku, zaczytany w komiksie.

– No co, znalazłem tutaj. – Pokazał koszyk na prasę. – *Makabryczki* sprzed miesiąca. Musiałem przeoczyć zupełnie. Ostatnio mi się zdarza, bo swoje dostaję w autorskich…

Milczek uniósł brew i zamachał ręką.

– No moje, moje – odparł z nieskrywaną dumą Kędzior.

Wstał i podszedł, by pokazać bratu miniatury okładek na przedostaniej stronie komiksu.

– Te dwa są moje. I jeszcze ten. W ciągu ostatniego roku napisałem siedem, w tym wszystkie o Wierzących. I co, mendo, pewnie teraz powiesz, że nie czytasz albo że były słabsze, tak?

Milczek pokręcił głową, po czym wziął od niego komiks i z uwagą przyjrzał się małym okładkom. Coś jednak najwyraźniej nie dawało mu spokoju, bo po podrapał się po skroni, oddał komiks i wymigał pytanie.

– No mówiłem przecież – odparł Kędzior. – Siedem w ciągu roku.

Kolejne wymigane pytanie.

– Nowe życie? No pół rok… A pierdol się, Milczek! Wszystko potrafisz człowiekowi, kurwa, zjebać!

Cisnął komiks w kąt, a Niemowa zaśmiał się bezgłośnie. A potem już bez słowa wzięli się do roboty.

Zajrzeli do wszystkich szafek, teczek i kopert. Było tego sporo i z zupełnie różnych dziedzin, masa dokumentów świadczących tak o udziale w akcjach charytatywnych, jak i o różnych przekrętach, protesty i odpowiedzi na nie, prośby, zapytania, petycje i oczywiście faktury, tysiące faktur na remonty budynków, koszty służbowego paliwa, kolacje i obiady, materiały biurowe za parę tysięcy. Wszystko.

Kilka z nich wydało się Milczkowi interesujących, więc odłożył je sobie na bok, wynotowując pytania na żółtej karteczce. Szczególnie jedna, pasująca datą do zlotu, wydawała się tym, czego szukali, więc pokazał ją Kędziorowi. Ten przyjrzał się uważnie, mrużąc oczy.

– Dwie ciężarówki piwa Dzierżca? Ma skurwiel rozmach! Myślisz, że to na ten cały Zjazd jest? I co znaczy to „80” tutaj? Jakaś odmiana?

Milczek wzruszył ramionami, po czym, wachlując się kwitkiem, podszedł do urządzenia wielofunkcyjnego i włączył je w trybie ksero. Zrobił odbitkę z dwóch stron tej i paru innych faktur, a potem powkładał je na miejsce. Gdy już pozamykał szafki i podniósł z ziemi komiks, zamigał do brata i przeszli do gabinetu Lubego.

Tam dość szybko udało im się odnaleźć skrytkę w szafie, a za nią kolejną kolekcję beżowych teczek. Kędzior sięgnął po jedną z nich na chybił trafił. Opisana była jako Milczek. Zajrzał do środka.

Zawierała suchy raport, streszczenie życia w biurowym formularzu z wyszczególnieniem kilku punktów. Parę dat: koniec studiów, data ślubu, pojedyncze uwagi odnośnie do charakteru, lęków, umiejętności. Przypominało to trochę kartę postaci z gier RPG z dowodowym zdjęciem przypiętym w rogu spinaczem jak na dokumentach w filmach szpiegowskich. Do raportu doklejona była różowa kartka, a na niej, znowu w punktach, rozpiska zadania, jakie Cień stawiał przed Chłopcem. Wynikało z niej wyraźnie, że Milczek miał być dla Dzwoneczka ostatecznym ciosem, dowodem, że wszystko, co do tej pory uważała za normalne, było tylko projekcją.

Pod spodem znajdowały się jeszcze zdjęcia, a na nich Milczek, Rózia, oni razem trzymający się za ręce, spacerujący w letnio-nadmorskich strojach, gdzieś między straganami z turystyczną tandetą.

Kędzior zaśmiał się pod nosem, a potem nagle uniósł wzrok i napotkał spojrzenie Milczka. Zimne, zmrużone oczy nad nosem o rozszerzonych nozdrzach, wąsko ściągnięte usta. Ręce niemowy się poruszyły.

– Spoko, spoko – rzucił pojednawczo olbrzym. – To nie tak, że oceniam. Było wam razem dobrze i w ogóle. A ten nadmorski spacerniak? Kamieniem nie jebnę, bo bym zabił. Moja też mnie ciągała po takich pizdownikach. Jedziesz wypocząć, a tu weź parawan i się okop jak na jakiejś wojnie. A potem na miasto, zjedz rybkę, zapłać grajkom rzępolącym disco polo na akordeonie i kup pierdoloną muszlę jakiegoś ślimaka z rafy w Honolulu, że niby z Bałtyku. Gdyby nie mały, tobym tam ocipiał chyba. On… zresztą musisz kiedyś poznać mojego dzieciaka. Jest…

Milczek zamigał coś, a Kędzior westchnął i pokiwał głową.

– No tak, przecież go znasz. I taki on, kurwa, mój… Dobra, nieważne. Co tu jest jeszcze?

Przejrzeli wszystkie teczki. Robili przerwę tylko dwa razy, by się upewnić, że staruszka na schodach ciągle śpi, i doprawić jej sny

jeszcze kilkoma wdechami chloroformu. Uważnie wertowali akta, czytali artykuły, przeglądali zdjęcia, Milczek czasem coś kserował…

Czego tam nie było! Widzieli zrobione z ukrycia zdjęcia ich samych jako dzieci, a potem nastolatków i już, he, he, dorosłych mężczyzn. Widzieli jak zmieniali się bardzo na tle niezmiennej Dzwoneczek, jak przemianom ulegały ubrania, fryzury, ulubione zespoły i filmy. Były też w tych dokumentach poszczególne etapy puchnącego imperium Cienia. Ludzie – znani i nieznani, wpływowi i maluczcy – oraz rozliczne haki na nich. Projekty – od luźnej uwagi i szkicu po realizację. Raporty policyjne i informacje o klubach motocyklowych, o sieciach dystrybucyjnych narkotyków, a także o firmach spedycyjnych, które nagle, nie wiedzieć jak, potroiły zyski. Nie wszystkie powiązania były oczywiste, ale obaj Chłopcy wiedzieli, że to wszystko zależało od spojrzenia z odpowiedniej perspektywy. Cieniowi zbudowanie tego zajęło lata, a cały ten wysiłek sprowadzał się do tego, by sprawić, że jedna wróżka zwątpi w siebie, a jeden Wieczny Chłopiec będzie się dobrze bawił w układanie puzzli.

– To chore – stwierdził w końcu Kędzior.

Wyszedł do sekretariatu i zerknął na zegarek, ten sam, na który nieco ponad dwie godziny wcześniej patrzyła Bogusława Motek. Widząc, że minęła już dziewiętnasta, zawołał:

– Kończ tam i chodźmy już, bo muszę jeszcze coś odebrać. Nie po to się spóźniłem, że…

Poczuł stuknięcie w łopatkę i się odwrócił. Na widok tego, co trzymał w ręku wyszczerzony w uśmiechu Milczek, parsknął śmiechem.

– O kurwości! Myślisz, że to… ten?

Milczek mignął coś wolną dłonią.

– No tak – zgodził się Kędzior. – Faktycznie jakby to przeniósł… Ale wygląda identyko. Ucieszą się, zwłaszcza w połączeniu z moją niespodzianką… Zaraz zobaczysz, tylko się stąd zbierzmy, mówię ci, czasem to ze mnie wizjoner, że ja pierdolę. A teraz posprzątajmy, żeby nikt się nie zorientował, że tu byliśmy i…

Niemowa znowu zamigał i zamachał trzymanym w ręce przedmiotem.

– W sumie fakt, skoro to zabieramy, to i tak się połapią. Dobra, jebać. Idziemy?

* * *

Trochę go wkurwiały, a trochę bawiły spocone ręce i odnowiony tik, który kazał mu seriami unosić brwi niczym jednemu z braci Marx. Czuł jednocześnie wstyd i złość z powodu suchości w gardle i swędzących łydek. Był na to, kurwa mać, za stary, a ona zdecydowanie za…

„Nie, dobra – skarcił się w myślach – to pojebane!” Nie ma co się zastanawiać, dumać, bo przecież to wszystko, co się właśnie wydarzyło, co wróciło do niego z takim impetem po tych wszystkich pierdolonych latach czyśćca, i tak mu się pod czaszką nie zmieści, nieważne jakby to układał. Po prostu będzie, jak będzie i chuj, a jedyne, co może teraz zrobić, to wysiąść z tego pieprzonego samochodu, wejść do lecznicy i przekazać wszystko, czego się dowiedział. A było tego całkiem sporo i chyba mógł uznać, że się spisał.

Gdy wczoraj po wysłuchaniu, co ma im do powiedzenia Stalówka, podzielili się zadaniami, miał pewne wątpliwości czy rzeczywiście jest sens, by go posyłać do BarSakwy. Nikt nie wiedział, co może tam na niego czekać, jak kluby – te, których członkowie byli obecni w lokalu, i te, które przecież i tak się szybko dowiedzą – zinterpretują najpierw jego zachowanie, a potem chwilową absencję. Czy uznają interwencję ze strzałem i biciem członka Plemienia za zasadną, czy też bezczelną i wartą ukarania? Czy będą dopytywać o dwóch Chłopców, członków tej nieudolnej, uwłaczającej prawdziwym bikersom podróbki klubu, którzy na dodatek ściągnęli teraz światła reflektorów na całe środowisko i jego skryte w cieniu interesy? Możliwe też, że nikt o nic nie zapyta, myślał wtedy. A przynajmniej nie jego samego. Możliwe, że wykorzystali ten czas, by się porozumieć, popytać i pogrzebać, odnaleźć we wspomnieniach niejakiego Mata i parę spraw, o których lepiej, żeby nikt nie pamiętał.

Wtedy całkiem możliwe, że niczego się nie dowie, a to, co już wie, również nie będzie dla nikogo szczególnie istotne. Jeden lub dwóch – ha, ha, dwóch, tak, staruszku, pochlebiaj sobie – młodych zaufanych membersów zjawi się u niego i zasłuży na nową naszywkę, która powie każdemu, że oto ubrudził czy ubrudzili dla swego klubu ręce.

A mimo to gdy zapytała, czy pojedzie, powiedział, że oczywiście. I że dowie się wszystkiego, wszyściuteńkiego, czego się tylko da, a może i nawet uda się… i dalej w tę mańkę, z pomysłami co, jak, gdzie i do kogo, w razie gdyby coś inaczej. Kłapał dziobem jak nie on, jakby to ktoś inny mówił. I brzydził się sobą, że tak się łapie tej swojej niby szansy, że tak ją ściska za nogi, że tak znosi z pokorą pogardliwe spojrzenia albinosa i drwinę w oczach olbrzyma. Wiedział jednak, za co płaci, choć nie był pewien, co chce osiągnąć, na co liczy. Ale co tam, okaże się. Droga, ona zadecyduje, skoro go tu chciała.

Pojechał więc, spędził dzień w barze i paru innych miejscach; pytał i zbierał informacje. Upatrywał okazji i wbijał się w nie klinem, ryzykując, że ktoś z klubów zauważy, że mu zależy, i zapyta dlaczego. Ale nikt nie zapytał.

– Dobra, staruszku – skarcił się wreszcie.

Zdjął rękę z kierownicy i otworzył drzwi. Wysiadł, zamknął samochód. Zapalił i z papierosem w zębach ruszył powoli w stronę wejścia do lecznicy. Dopalił, zanim wszedł, a potem wziął jeszcze kilka głębszych wdechów i odruchowo wytarł ręce w spodnie.

Stała przy łóżku Kruszyny. Było puste, ale materac nie odkształcił się z powrotem i wyglądał tak, jakby wciąż leżał na nim niewidzialny człowiek. Rozłożone kartki z notatkami z wczoraj zsuwały się jedna na drugą i Bruzda pomyślał, że przecież mogła położyć je na blacie któregoś ze stołów zamiast tam.

No ale, uśmiechnął się pod nosem, zrozum kobietę. A do tego jeszcze… wróżkę.

– I co tam, Bruzda? – odezwała się, wciąż stojąc do niego tyłem, zupełnie jakby usłyszała te jego myśli. A jeśli naprawdę to potrafiła?

– W porządku – powiedział. – Chyba. Mam trochę nowych wieści i fajną opcję. Gdzie reszta?

Dopiero wtedy się odwróciła. Wysunęła do przodu nogę, łokciami oparła się o łóżko.

– Kędzior z Milczkiem jeszcze nie wrócili, Stalówka z Kruszyną pojechali pomóc twojemu koledze w jakiejś robocie na wsi.

– Masz na myśli: pilnować go? Jednoręki niewiele może pomóc…

Wzruszyła ramionami.

– Podasz mu łzy, prawda? – zapytał.

Uśmiechnęła się.

– Masz coś przeciwko?

Podszedł bliżej, podsunął sobie stołek i wyregulował wysokość siedziska. Usiadł.

– Myślę, że to jedyne wyjście, zastanawiam się tylko…

Przerwał, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął jednego. Wsunął go do ust, ale nie zapalił.

– Zastanawiam…

– Czy nie zaszkodzi mu to później w pracy? – podsunęła.

Pokręcił głową.

– W dupie to mam, nie kumplujemy się aż tak i nie mnie będzie składał.

Znowu wzruszyła ramionami.

– Jak widać, nigdy nie wiesz – odparła z rozbawieniem. – No ale dalej, Bruzda. Nad czym się tak zastanawiałeś?

– No, myślałem… – Papieros wrócił do paczki, a ta do kieszeni. – Ciekawi mnie, czy kiedyś użyłaś ich na mnie…

– Łez?

Pokiwał głową, a ona się roześmiała. Pięknie, seksownie, ale też cholernie gorzko i smutno.

– Chcesz wiedzieć, czy w ogóle, czy wtedy, gdy… gdy odszedłeś?

Nie odpowiedział, bo przecież nie musiał. Oboje wiedzieli, o co mu teraz chodziło i na jaką odpowiedź liczy. Właściwie gdyby miał trochę dawnego tupetu i bezczelności, pytanie mogłoby brzmieć: „Czy zabrałaś mi, kurwa, szansę, bym cię przeprosił i być może nie czuł się teraz, gdy sobie przypomniałem, tak gównianie?”.

Dzwoneczek odepchnęła się od łóżka, podeszła bliżej i stanęła tuż przed nim. Pochyliła się lekko, musnęła koniuszkami palców jego

pomarszczoną twarz, dotknęła blizny na czole i przejechała po niej czule.

– Sam ich na sobie użyłeś – powiedziała zmysłowym szeptem, patrząc mu prosto w oczy, a drwiący uśmieszek czaił się w kącikach jej zmysłowych ust. – Pewnie nie pamiętasz, ale gdy wychodziłeś, zabrałeś butelkę z zimnym kakao. Awantura wisiała w powietrzu, nie chciałam, by potem Chłopcy coś pamiętali, bo mogliby być na ciebie źli. Oczywiście po tym, co się stało finalnie, było mi już wszystko jedno.

Odsunęła się w samą porę, bo po chwili na korytarzu rozległy się głosy i weszli Stalówka z Kruszyną. Obaj byli osłabieni i poruszali się wolno, choć mieli się znacznie lepiej niż poprzedniego dnia. Najwyraźniej wróżkowa krew działała, jak powinna.

Stalówka zmierzył wzrokiem Bruzdę, wyciągając lewą ręką paczkę lucky strike'ów i podsuwając ją do twarzy. Ustami wyjął papierosa.

– Załatwione – powiedział.

Schował wymiętą paczkę i sięgnął po zapalniczkę. Wszystko lewą ręką, ruchami wciąż nieco niezgrabnymi, acz i tak niebywale wprawnymi jak na kogoś, kto dłoń stracił tak niedawno.

– Obudzi się rano w motelu i pojedzie dalej nad morze, na ten swój dawno zasłużony urlop. Wróci najwcześniej za tydzień.

Odpalił papierosa i zaciągnął się.

Bruzda pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Naprawdę tak możecie? – zapytał. – To jakiś pieprzony Matrix!

Stalówka jeszcze raz zmierzył Bruzdę spojrzeniem i wypuścił kłąb dymu.

– A jak tu u was?

Bruzda otworzył usta, ale uprzedziła go Dzwoneczek.

– Poczekaj na Kędziora i Milczka, żeby się nie powtarzać.

– Jasne. – Barman kiwnął głową, po czym wyciągnął i zapalił papierosa.

* * *

Prowadził Kędzior, bo się uparł. Jechali jakąś boczną drogą, wyboistą i wąską, a z każdą dziurą czy wybrzuszeniem wielki karton, nieproporcjonalnie duży, zważywszy na skromną zawartość, podskakiwał na tylnym siedzeniu. Ostatecznie zdecydowali się na zabranie kilku oryginałów teczek: tych dotyczących ich samych i paru opisanych „Zlot dla P.”, jak się okazało słusznie zakładając, że są one powiązane z tym zlotem.

Jakiś samochód nadjeżdżał właśnie z przeciwka, więc Kędzior zjechał w prawo i zatrzymał się, niemal przytulając auta do rosnących w skrajni drzew. Światła tamtego wlały się do kabiny i na moment oślepiły Chłopców.

– O ty chuju złamany! – zawołał Kędzior, mrużąc oczy i odwrócił się do brata. – Widziałeś skurwiela? Nawet mu się nie chciało… Ej, co ty tam oglądasz? To ja i moja żona, pierdolony perwersie! W naszej, kurwa, sypialni!

Milczek wyszczerzył się i pokazał Kędziorowi zdjęcie, które trzymał pod spodem. Na nim również był Kędzior w podobnej sytuacji, ale ani żony, ani sypialni, za to drobna, śliczna laska i zaplecze stacji benzynowej.

Olbrzym zmieszał się nieco.

– A to moja… Zresztą co się interesujesz? Moja wina, że tobie Cień nie dał opcji poruchać!?

Milczek wzruszył ramionami, ale coś zaintrygowało go nagle w trzymanym w ręku dowodzie małżeńskiej zdrady. Włączył światło i przyjrzał się dziewczynie.

– Jezu, Milczek, jak chcesz sobie na gołą dupę popatrzeć, to sobie internet odpal, a jak chodzi ci o mojego chuja, to poproś, a nie… No co się tak, kurwa, wślepiasz!?

Milczek pokręcił głową i się zaśmiał. Było coś upiornego w jego szeroko rozdziawionych ustach, drgającej krtani, głowie odchylonej do tyłu i jednocześnie niemal absolutnej ciszy, jakby ktoś wyłączył mu fonię. Kędzior jednak widział to w przeszłości i teraz tylko ze zniecierpliwieniem postukał palcami w kierownicę.

– Wytłumaczysz mi ten zajebiście śmieszny dowcip, panie komik, czy mam ci te wszystkie zdjęcia zwinąć w rulon i wepchnąć w dupę?

Milczek, nie przestając się śmiać, pokazał na dziewczynę, a potem zamigał pytanie.

– No jasne, że pamiętam akcję ze szczurami i paleniem baru. Przywołałeś mnie wtedy i wracałem z tą dupą twoim mot… Nie! Pierdolisz, Milczek!

Ale Milczek nie pierdolił, tylko zanosząc się niemym śmiechem, stukał palcem w gołe, rozpikselowane cycki dziewczyny. Kędzior wyrwał mu fotografię i podsunął sobie pod nos. Przez chwilę przyglądał się uważnie, czego Milczek nie omieszkał złośliwie skomentować.

– Pierdol się, niemoto. Sama mi dała tę dupę i cycki, to mogę się gapić, ile… Kurwa, to faktycznie jest ona!

Milczek pokiwał głową, a potem mignął jeszcze parę słów.

– Wal się, chuja tam twoja. Dupa to nie pies przybłęda, że sobie znajdziesz, przygarniesz i nazwiesz, kurwa, Reksio, a on z wdzięczności za karmę wyjebie ci nogę. Mnie i Tinkę wiąże specjalna więź, którą sobie wypracowaliśmy i… Tak, kurwa, Milczek, autentyczna jak moje komiksy, żebyś wiedział! Sam je napisałem, jeszcze jak byliśmy sobą, i pewnie Cień je wtedy zajebał, a potem mi podsunął… Jeszcze raz coś mi tu zamachaj, to ci te łapy… A jeb się!

Ruszył, by już po chwili zobaczyć kolejny wyłaniający się zza zakrętu samochód. Tym razem jednak ani myślał mu ustępować.

– Teraz niech on czeka – warknął pod nosem, a kątem oka dostrzegł, że Milczek unosi rękę. – Nie odzywaj się do mnie, bo jak porno z karłami kocham, wyjebię ci w ryj.

Milczek znowu zaniósł się swym niemym śmiechem, ale posłusznie opuścił rękę, a nawet spakował i odłożył teczkę brata.

Mimo to Kędzior dąsał się jeszcze przez dobry kwadrans, dając temu wyraz podgłośnieniem radia na każdym raniącym uszy przeboju, byleby tylko zagłuszyć potencjalną konwersację. To, że jedynie on mógłby tu być stroną mówiącą, najwyraźniej mu nie przeszkadzało.

W końcu jednak ekscytacja na temat zawartości kartonowego pudła wzięła górę. Gdy wjeżdżali na parking, jak najęty gadał o tym, jak to wszystkim zaraz szczęki walną o podłogę. Milczek zgadzał się

z nim zupełnie, a poza tym nie chciał wszczynać kolejnej zadymy, więc tylko potakiwał.

Oczywiście to olbrzym wziął pudło, on je wniósł do lecznicy i on cisnął na podłogę.

– Zaraz jebniecie – zakomunikował.

Dzwoneczek założyła ręce na piersi.

– A to, po co pojechaliście, też macie? – zapytała.

Kędzior, już pochylony nad pudłem i grzebiący między teczkami, zupełnie ją zlekceważył, więc przeniosła wzrok na Milczka, a ten pokiwał głową. Uśmiechnęła się.

– No to dawaj, co tam znowu wymodziłeś.

– Chodzi o to, że nie możemy się już nazywać Chłopcami, ten rozdział już zamknięty – powiedział olbrzym. – A jakoś musimy. No a że ruszamy na walkę z Piotrusiem…

Wstał i zaprezentował czarną koszulkę z nadrukiem stylizowanym na kamizelkę. Nad lewą kieszenią miał napis „Kędzior”.

– Teraz tylko koszulki, i nawet nie możemy ich wziąć na akcję, bo… no normalne, ale potem będą jak znalazł – zapewnił. – Miałem akurat taką grafikę…

– Pokaż to z drugiej strony! – zniecierpliwił się Kruszyna.

Kędzior skłonił się niczym artysta na scenie i sprawnym ruchem odwrócił T-shirt, pokazując grafikę na plecach. Była to zaprezentowana z profilu czaszka w pirackiej chuście i z jednym wyłupiastym okiem. Wbity był w nią od tyłu pistolet skałkowy, ale tak, że lufa wystawała drugim, pustym oczodołem. Z lufy unosił się dym. Napis – trzy słowa, dwa nad grafiką i jedno pod nią – głosił: PIRACI SŁONEGO WPIERDOLU.

– No brawo – mruknął Stalówka. – Zaklaskałbym w dłonie, ale…

– Aaa, no bo właśnie. – Kędzior klepnął się w czoło. – Zupełnie bym zapomniał, a od tego powinienem zacząć.

Pochylił się i wyciągnął z pudła srebrzysty hak owinięty w paski specjalnej uprzęży.

– Znaleźliśmy u Cienia. Może przymierzysz?

– Pierdol się – odparł albinos, ale już pogodniej, nawet z uśmiechem.

Zaraz też zresztą podszedł i wziął hak od Kędziora.

– Zawsze to lepsze niż szydełko – stwierdziła Dzwoneczek, po czym spojrzała na olbrzyma. – Koszulki zacne. Dla mnie też masz?

Olbrzym pokręcił głową, ale znowu pochylił się nad pudłem.

– Tobie nie wypada – powiedział, podając jej dla odmiany biały T-shirt w damskim kroju. – Jesteś matką.

Dzwoneczek wzięła koszulkę w ręce i patrzyła na nią przez chwilę, pozwalając, by kilka łez popłynęło jej po policzkach. Na materiale wielkie czarne litery nad złamaną różdżką krzyczały: LEPIEJ WE MNIE UWIERZ, DZIWKO!

* * *

Gdy dociągnęli ostatnie rzemienie, okazało się, że hak pasuje idealnie. Stalówka zamachał nim parę razy z wyraźną satysfakcją, ale gdy odwrócił się do wszystkich, minę miał poważną.

– Chwilowo jestem za, ale na przyszłość potrzebuję czegoś, co pozwoli mi ogarniać hamulec i gaz – zakomunikował.

Kędzior prychnął.

– I dogódź tu takiemu.

– Z tym w razie potrzeby poradzę sobie lewą – odparował albinos, siadając na jednym ze stołów. – Dobra, ale chyba mamy coś do zrobienia, nie? A Mat… Bruzda znaczy, ma coś do zakomunikowania.

Wszyscy przenieśli wzrok na starego barmana pochylonego nad dystrybutorem wody. Słysząc swoją ksywę, wyprostował się i uśmiechnął. Trudno powiedzieć, co dokładnie się w nim zmieniło od odbytej ledwie przed chwilą rozmowy, być może było to tylko korzystne światło w miejscu, w którym stał, ale zmiana była wyraźna i zdecydowanie na korzyść. Gdzieś zniknął nieco rozmemłany dziadyga, a w jego miejscu stał teraz ociosany przez życie przeterminowany twardziel z nieco wyblakłymi tatuażami na wciąż umięśnionych rękach, głębokimi rysami zmarszczek i blizn na twarzy, i może nieco za dużym brzuchem. Cień wokół głęboko osadzonych oczu i w uniesionych kącikach ust, krzywy nos, na

którym łamały się promienie światła, i ta zawadiacka poza, jakby rzucał wyzwanie światu… Cokolwiek przemyślał, cokolwiek do niego dotarło, zmieniło go z rozczarowanego życiem w pół do starca w godnego sojusznika być może przegranej sprawy. Kogoś, kto doskonale wie, że nie ma nic do stracenia, a cokolwiek jeszcze się w nim tliło, oszczędzał właśnie dla tej chwili.

– Zacznijmy od tego, co wiemy o zlocie – powiedział. – Wydarzenie nazywa się Mad Moto Fest i pozornie jest eventem otwartym dla wszystkich miłośników jednośladów, ale to tylko ściema dla władz, Kongresu i innych, niezaproszonych klubów. Zorganizowali to zresztą na terenie, na który policja nauczona jest przymykać oko. Ładna okolica, jeziorko, kempingi i wielka murowana chata…

– Gdzie dokładnie? I kto zorga… – zapytał Stalówka, ale Bruzda uniósł rękę na znak, że i do tego dojdzie.

– Z tego, co wiem, inicjatywa wyszła od Dark Passengers…

– Naszywkami mów – wtrącił się Kędzior. – Gubię się w tych wszystkich nazwach.

– Wyszczerzony Cień na motocyklu widziany od przodu – wtrącił się Kruszyna, a gdy spojrzeli na niego ze zdumieniem, wzruszył ramionami. – No co, interesowałem się kiedyś. Kurwa, wszyscy mogliście! Sami byliśmy klubem, wypadało znać innych.

Bruzda skrzywił się i strzyknął śliną.

– Właściwie to nie byliście – doprecyzował. – Samo jeżdżenie na maszynach i noszenie naszywek nie czyni cię klubem. Są zasady… Poza tym wybacz, Dzwoneczku, żaden inny klub nie uznałby ekipy, w której dowódcą jest laska.

Milczek zaprotestował, a Kędzior natychmiast go poparł.

– Nie dowódcą, a mamą! Co, chcesz powiedzieć, że bikerzy nie mają, kurwa, matek!?

Bruzda zaśmiał się, ale gdy zobaczył minę olbrzyma, zaraz się opanował.

– Mają. I nieważne – odparł. – Chodzi o to, że kluby nie uznają was, ale słyszeli o was opowieści, historie…

– Byliśmy legendami? – zapytał Kruszyna.

– Raczej… – Machnął ręką. – Dobra, naprawdę nieistotne. Wróćmy do tematu. Organizatorem są Cienie na motocyklach…

– Jakaś zbieżność z tym Cieniem? – zapytała Dzwoneczek.

Bruzda pokręcił głową.

– Jeżeli faktycznie jest tu od dwudziestu lat, to wątpię. Pasażerowie snują się po tym łez padole od co najmniej trzech dekad. A może dłużej…

– OK.

– Zaproszone są Promienne Chłopaki, czyli Irradiated Prophets… A, sorry… Mnisi z symbolem atomu, których już znacie. – Spojrzał wymownie na Milczka i Kędziora. – Podobnie jak szkielety starego wodza z The Tribe czy pokancerowana morda Bękartów Kaina, swoją drogą jedyny klub z zaproszonych, który nie ma chapterów poza Polską. Oprócz nich polski chapter szwedzkich Vita Vargar, Białych Wilków. Oni mają…

– Dwa miecze – podpowiedział Kruszyna.

– Jak te od Krzyżaków? – zapytał Stalówka.

Kędzior pokiwał głową.

– Brawo! Ktoś tu, kurwa, książki czyta! To już wszyscy?

– Ktoś od ruskich jeszcze będzie, ale już się nie dowiedziałem kto, i oczywiście Battle Snakes.

– Tych znamy – mruknął Stalówka.

– Dlaczego oczywiście? – zapytała Dzwoneczek.

– Bo to o nich chodzi, przynajmniej klubom – wyjaśnił Bruzda; poprawił się na siedzisku i wyłamał palce. – Widzicie, to jest tak, że generalnie to nie są wszystkie ważniejsze kluby, jakie działają w tym kraju, ale na pewno w takim zestawie wystarczające każdemu, kto chce mieć wpływ na… no, wszystko, co nielegalne. Dark Passengers pracują ze Szwedami. Przerzucają do Szwecji lekkie prochy i dziewuchy, bo sami nie mają tam na razie nikogo do dystrybucji. Ruscy robią pewnie ze swoimi władzami lub kimś z góry, bo mają dostęp do broni. Pracują z nimi Propheci, którzy przy okazji rozwożą też ciężkie dragi dla mafii. Tribe są po prostu duzi. Robią wszystkiego po trochu i mają kontakty. A Bękarty… to w większości pojeby i lepiej mieć ich na pasku.

– Nadal nie widzę, gdzie tu miejsce dla Battle Snakes – stwierdziła Dzwoneczek, a Kędzior splunął na ziemię.

– Dwie rzeczy. – Bruzda uniósł palce środkowy i wskazujący, jakby wykonywał gest wiktorii. Zaraz jednak opuścił palec wskazujący. – Po pierwsze, to starcie, co je mieliście u was w Miasteczku, było, według tego, co się mówi, jedynie pierwszą bitwą, i do tego ostatnią przegraną przez Snake'ów. W ciągu minionego półrocza ludzie jakoś z wami związani albo padali, albo znikali, albo, najczęściej, pojawiali się gdzieś w barwach padalców. Przejęli was i tym samym zdjęli ze środowiska haniebne znamię w postaci bluźnierczej ekipy… Znaczy, rozumiecie, to nie moje…

– Mów dalej – poleciła Dzwoneczek. – Jaki jest drugi powód?

– I nie wywijaj tak tym paluchem – dodał Kędzior.

Bruzda spojrzał na swoją dłoń, zupełnie jakby właśnie się zorientował, co pokazuje. Zanim jednak opuścił rękę, skierował ją na chwilę w stronę olbrzyma.

– Drugi powód to dwa nowe dragi, których nie ma nikt inny, a których prawie każdy pożąda. Pierwszym jest Wesołek.

Kędzior z Milczkiem wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Drugim natomiast…

– Jest Proszek – dokończyła za Bruzdę Dzwoneczek. – Który skróci czas dostaw i ułatwi przemyt przez granicę.

– Taki jest, z tego, co sobie poukładałem, powód tego Zlotu – zgodził się Bruzda. – Delegacje, po trzech przedstawicieli każdego klubu, przedyskutują wszystko w chacie, a w tym czasie reszta będzie się bawić na zewnątrz. Będzie klasycznie: alkohol, dupy, trochę szaleństwa. Pewnie zjawią się jakieś kluby supportujące, może bez kamizelek, udające zwykłych, przypadkowych fanów jednośladów. A jeśli trafią się takowi autentyczni, to ktoś będzie czuwał, by nie zobaczyli za wiele.

Dzwoneczek w zamyśleniu postukała paznokciem o zęby.

– No dobra, to jest więc plan klubów, pewnie zaszczepiony im przez Lubego w jakimś mokrym, mrocznym śnie. Teraz pytanie, o co chodzi jemu samemu…

Stalówka spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Naprawdę jeszcze się nie domyśliłaś? – zapytał. – Przecież Mat, znaczy Bruzda…

– Może być Mat – odparł barman.

– …powiedział właśnie, o co chodzi – kontynuował albinos. – To mogą nie być wszystkie ważne kluby w kraju, ale w takim składzie wystarczające, by wszystko kontrolować. Czy Piotruś mógłby dostać lepszy prezent niż parę tysięcy maszyn, w dodatku już strategicznie rozstawionych, do własnej armii?

– Widziałeś go, jaki wojenny poeta? – szepnął Kędzior do Milczka, a tamten odmigał coś w odpowiedzi, czego Stalówka na szczęście nie widział.

– Jeżeli, mając tam ich wszystkich, wpłynie na nich łzami, jak wcześniej na nas, to zmieniając niewiele, zyska… wszystko. Przynajmniej na terenie kraju, bo nie dalej. Ale to też kwestia czasu, gdy będzie miał uzbrojonych świrów śmigających Skrótem, a do tego kontrolujących cipki ze Wschodu i narkotykowy krzyk sezonu.

– Chichot. Chichot sezonu – wtrącił Kędzior i sam zachichotał, czym najwyraźniej przebrał miarkę.

– Skoro nie masz nic mądrego do powiedzenia, to mógłbyś się nie odzywać? – warknął Stalówka.

Kędzior pokazał mu faka.

– Wsadź se hak w dupę, to na bank odbierze mi mowę. Mądrzysz się i cwaniakujesz jak jebany Colombo, a przecież to nie tak, że to właśnie odkryłeś. Byłeś tam, po stronie Cienia i Piotrusia…

Stalówka odwrócił się błyskawicznie na pięcie i rzucił się w stronę Kędziora, zamierzając się na niego kaleką ręką. Ten spróbował odskoczyć, ale odległość między nimi była za mała i po sekundzie naostrzony czubek srebrzystego haka nieomal dotykał gałki ocznej olbrzyma.

– Kwestionujesz moją lojalność? Byłem pod wpływem łez!

Kędzior zmrużył oczy.

– Ja też, ale mnie jakoś Cień nie ustawił po swojej stronie, prawda? I zabieraj ten kikut sprzed mojej twarzy, bo albo zaryzykuję oko i zajebię ci z dyni, albo niemota podziurawi ci nerki. Nie, brachu?

Milczek siedzący kawałek dalej tylko wzruszył ramionami, po czym rozplótł założone na piersi ręce i zamigał.

Kędzior prychnął.

– Co to, kurwa, znaczy: „Zależy, co ci odpowie”? Nie napierdalamy się tu dla twojej, kurwa, rozrywki… nie, Stalówka?

– Przeproś – wycedził albinos, opierając szpic na powiece.

Kędzior drugim okiem powiódł po reszcie zebranych. Gdy zobaczył ich miny, westchnął tylko:

– Dobra, kurwa, żarty takie, przepraszam. Spinam się za dużo ostatnio, ale wiecie, pierwszy wypad bez rodziny, dzieciak u teściów… Dobra, co ja, kurwa, pierdolę!?

Milczek zamigał coś, a reszta się roześmiała. Stalówka cofnął rękę i zrobił krok do tyłu.

– Co, co on pokazał? – zapytał Kędzior.

Ale nikt nie miał zamiaru mu odpowiadać. Zamiast tego Dzwoneczek wstała i zaczęła się przechadzać po pomieszczeniu.

– Podsumujmy. Cień ma plan uczynienia z Piotrusia przestępczego króla motocyklistów. Zrobi to na wielkim zjeździe…

– Zlocie – odruchowo poprawił Bruzda.

– …na zlocie, gdzie będzie masa twardzieli, których łączą motocykle, chęć zysku i pogarda dla nas, a nas jest tu ledwie garstka, w dodatku niespecjalnie sprawnych. Dobrze mówi… A nie, chwila. Może się okazać, że będziemy walczyć przeciwko naszym, bo raz, że pewnie Bliźniacy, a dwa, ci skaperowani do tych przeklętych padalców. Mam tylko nadzieję, że to nie tam wsiąknął Kościej ze swoimi ludźmi, bo już by w ogóle było przesrane…

Milczek poruszył się gwałtownie i równie gorliwie zaprotestował. Dzwoneczek uspokoiła go gestem.

– Spokojnie, Milczek. Po namyśle też nie sądzę, by Cieniowi udało się go dorwać. Kogo jak kogo, ale stepowych trudno jest znaleźć, gdy tego nie chcą. Tak czy siak, jak mówiłam, przesrane. Nawet ten popieprzony kot nas opuścił.

Nie zauważyła ukradkowego spojrzenia, jakie po tych słowach Stalówka posłał Kruszynie, ani zielonkawego błysku w oku tego drugiego.

– Czy są w ogóle jakieś pozytywy?

Kędzior uniósł rękę.

– My chyba mamy jeden. Wiemy, jak Cień chce zaaplikować łzy, nie, Milczek?

Niemowa sięgnął do kieszeni i wyciągnął kserówkę faktury. Podał ją Dzwoneczkowi, a ta przysunęła ją blisko do twarzy.

– Dzierżca 80. To piwo, nie?

– Zgadza się – powiedział Kędzior z dumą, ale mina mu zrzedła, gdy Dzwoneczek pokręciła głową i upuściła kartkę na podłogę.

– Zatem odpada. Łzy nie mieszają się z alkoholem, a przynajmniej nie wcześniej, niż już w organizmie. Nie pytajcie czemu, bo nie wiem, ale zwyczajnie łzy w piwie czy wódzie działają tak słabo, że to zwyczajnie nie przejdzie.

– A jeśli je zmody… znaczy zmienił skład? – zaproponował Kruszyna.

Wróżka wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę, by to było możliwe… Nie, w sumie jestem pewna, że nie jest. Można łzy odtworzyć, ale nie zmienić. Więc ta droga odpada.

– To w sumie dobrze – uśmiechnął się Bruzda – bo nie chciałbym być wtedy tym, który rozdaje ludziom to świństwo.

– Co masz na myśli? – chciał wiedzieć Stalówka.

Bruzda wyciągnął i zapalił papierosa.

– To – powiedział, zaciągając się dymem – że w zamian za trzymanie gęby na kłódkę w sprawie zadymy w barze i takich tam zaproponowali mi czuwanie nad głównym barem zlotu. I tak, mogę wziąć jakieś wsparcie.

Dzwoneczek pokiwała głową z uznaniem. Po chwili uznała, że to najwyraźniej nie wystarczy, więc podeszła i pocałowała Bruzdę w usta. Ledwie muśnięcie, ale wystarczyło, by Kędzior krzyknął:

– Ej, kurwa, nie przy dzieciach!

Zaraz jednak, by nie zbudować wrażenia, jakoby był niewdzięcznym chujem, zwrócił się do Bruzdy:

– Dla ciebie też wziąłem koszulkę, więc wiecie, bosmanie Bruzda… nie spierdolcie tego.

„Po raz drugi – dopowiedział w myślach barman. – Nie, tym razem nie spierdolę”. Na głos jednak rzekł:

– Jeb się, Kędzior, ty i ta twoja koszulka… Ale XL-ka, nie?

* * *

– Dobra… jasne… – Bruzda przechadzał się po podwórku przed lecznicą, trzymając przy uchu telefon z miną tak zaskoczoną, jakby właśnie zobaczył… coś niezwyklejszego od tego, z czym miał do czynienia w ciągu ostatnich kilku dni. – Nie no, pewnie, stary. Koniecznie… Jak tylko wrócisz… Ha, ha, tak, możesz mi ogarnąć jakąś muszelkę… Jak tylko się zgodzi… Nie, nic, nieważne, żart taki. To się trzymaj. Tak, brachu… Tak, ja też. Tak… Cześć.

Rozłączył się i spojrzał z wyrzutem na Stalówkę, który wraz z Milczkiem męczył się z regulowaniem nowo zdobytych maszyn metodą na trzy ręce i hak.

– Kurwa, co wyście mu nagadali!? – zapytał.

– Komu? – zapytał Stalówka i syknął, gdy palce ześliznęły się z nakrętki. – Kurwa, pierdolony Kędzior musiał mieć fantazję, gdy wybierał, co kraść, co?

Milczek, jakby zupełnie pomijając fakt, że kradł maszyny razem z bratem, wzruszył ramionami z miną niewiniątka.

– Jak to komu? Leo – powiedział Bruzda. – Dzwoni, że tęskni, że mi muszelki przywiezie, i w ogóle.

– No trochę tęskni. – Stalówka zacisnął ubrudzone smarem palce na nakrętce i spróbował jeszcze raz. – Kurwa mać! Przecież poluzowałem!

– Daj, przesuń się. – Bruzda przyklęknął przy nim i przyjrzał się silnikowi.

Zaraz się jednak odsunął i zmierzył motocykl wzrokiem.

– Ty, to przecież…

– Złota Gwiazda BSA, tak. Tylko ktoś go oszpecił tą kierownicą i bakiem. Ni chuja nie wiem, jak to tu wcisnęli. Już moje bable dla dzieciaków były lepsze.

– Bable? – nie zrozumiał Bruzda.

– No takie… składaki dla szczeniaków. Składałem ze wszystkiego, co znalazłem. Jeździli na tym, aż ze wstydu ogarniali sobie coś porządnego. Naprawdę, Milczek, jak mogliście uznać, że to jest fajna

maszyna? Ta, kurwa, potencjał. Jakbyś miał porządną kierownicę, bak i… nie no, wszystko co tu się dało spierdolić, to spierdolono.

Bruzda pokiwał głową.

– Zostaw to na razie i zajmijmy się resztą.

– Reszta już gotowa. – Stalówka machnął hakiem. – Tam był spokój, pomijając to, że sobie ukradł jebany kutas Indian Chiefa i trzeba go przemalować, bo taki jebaniec w oryginalnym żółtym to pewnie jeden w kraju był, a i to przejazdem.

– Chuj cię boli, bo sam nie możesz i będziesz w ciężarówce siedział – odezwał się nagle Kędzior, wychodząc z lecznicy.

Dobrze, że to zrobił, bo inaczej by go nie poznali.

Olbrzym nie miał brody, ledwie milimetr zafarbowanych na czarno włosków odcinał się od jasnych policzków. Włosy natomiast, teraz również czarne, przystrzygł na rekruta – wygolone wysoko na trzy milimetry i na górze placek na może dziewięć. Do tego przyciemniane okulary, czarny obcisły T-shirt i ciemne spodnie…

– Potrzebuję twojego ubrania… – zaintonował Bruzda.

– …butów… – dodał Stalówka.

Milczek dokończył, migając, nieśmiertelny cytat z drugiej części *Terminatora*.

– No jego motocykl to akurat, jak mówiłem, tylko problem – westchnął albinos. – Mieliśmy się nie rzucać w oczy…

– Ty miałeś – przypomniał Kędzior. – To ty dźgnąłeś faceta szydełkiem na oczach policji, a wyglądasz z tą bladą gębą, oczami królika i dziarą wokół oka jak mokry sen policyjnego rysownika. Poza tym nowa Ślicznotka nie mogła być tanią Szadołką czy innym pospolictwem.

Stalówka już chciał coś odburknąć, ale Bruzda położył mu rękę na ramieniu.

– Spoko, zaraz się coś poogarnia. Weźmiemy to na znajomy garaż, zdejmiemy to i owo, trochę odsłonimy, przemalujemy i nikt się nie pozna. Tylko łzy jakieś weźcie dla właściciel… o kurwa!

Kędzior uśmiechnął się pod nosem.

– Uważaj sobie, mówisz o naszej matce.

Rzeczywiście o niej mówił Bruzda. Dzwoneczek wyłoniła się właśnie zza Kędziora, ubrana w siatkowe rajstopy na które

naciągnęła króciutkie, obcisłe szorty. Górę stanowiły czarny obcisły top i zwiewna biała koszula zawiązana tak, by odsłaniać idealnie płaski brzuch. Ona również zafarbowała włosy, tyle że na jasny, niemal platynowy blond z pojedynczymi pasemkami różu. Mocny, wyzywający makijaż dopełniał obrazu tej wyuzadnej, nieco prymitywnej, ale niepodważalnej seksowności imprezowej dziuni.

– I jak? – zapytała, wypychając biodro i kładąc na nim rękę.

Bruzda spojrzał w dół na nabrzmiałość w kroku, a potem na nią.

– Ostatni raz tak bryknął, jak pomyliłem ketonal z viagrą – stwierdził.

Zaśmiała się, a potem wskazała palcem na Milczka.

– Dobra, to twoja kolej, bo ciebie też mogą poznać.

– Jest tak pospolity, że chyba po głosie – stwierdził Kędzior, ale zbyt cicho, by ktokolwiek go usłyszał.

Dzwoneczek przywołała Milczka palcem.

– No chodź, chodź, czasu mało…

– No, Milczek, gdyby na mnie tak jakaś laska… – zaczął Bruzda, ale Kędzior pokręcił powoli głową.

– Mówiłem ci, stary: to nasza matka.

* * *

Kilkanaście godzin później Bruzda odłożył aerograf, którym podpisał się dyskretnie na baku nowej Ślicznotki.

– Gotowe – powiedział.

Bardziej gotowi już być nie mogli.

SPRZĄCI
SŁONEGO WPIERDOL

SIEDEM

No to są chyba jakieś jaja! – zawołała Monika Kędzierska. W ciągu ostatnich czterech minut ktoś z nieznanego numeru trzy razy posłał jej sygnał, a potem doprawił esemesem z uśmiechniętą buźką. A gdy wściekła spróbowała oddzwonić, rozłączył się bez słowa po pierwszym sygnale. – Jeszcze raz i słowo daję, dzwonię na policję. To jest nękanie!

Mówiła głośno, ale zdecydowanie do siebie, bo nie zdawała sobie sprawy z obecności Kubusia, który siedział teraz na podłodze za kanapą. Odkąd przyjechali do babci, zjawiał się zawsze w jednej chwili, gdy tylko dzwonił telefon mamy, by się dowiedzieć, z kim rozmawia. Albo, jak w tym przypadku, nie rozmawia.

Teraz miał tylko nadzieję, że mama odłoży telefon na regał, a nie zabierze ze sobą na taras, gdzie siedziały z babcią. Wtedy zdobycie go byłoby skomplikowane. Szczęśliwie aparat powędrował tam, gdzie leżał wcześniej, między paprotkę a zdjęcie dziadka w wędkarskim stroju, a mama, wciąż złorzecząc słowami, jakich z pewnością nie użyłaby świadoma obecności syna, wróciła do niedopitej kawy, sernika i lamentowania, jakim to tata jest złym ojcem.

Kubuś odczekał jeszcze chwilę, po czym wyszedł zza kanapy, zbliżył się do regału i zabrał aparat. Wyszedł z nim do przedpokoju i dopiero stamtąd wysłał esemesa na ten nieznany numer. Średnik i duże P – buźka wystawiająca jęzor.

Po chwili telefon zawibrował. Chłopiec odebrał.

– No cześć, tato – zaczął. – Aż się nie mogę doczekać, co mi teraz powiesz.

– Może tak: cześć, młody, jak się masz? – spróbował Kędzior. Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał pospiesznie: – Sprawy się

trochę popierdoliły. Właściwie to trochę bardzo…

Kubuś wyjrzał zza winkla, by się upewnić, czy mama nie szuka telefonu, po czym przełożył aparat do drugiej ręki.

– Jak bardzo? – zapytał, bo to obchodziło go zdecydowanie bardziej, niż „jakie sprawy”.

– Zgoliłem brodę.

– Aż tak? – wystraszył się chłopiec.

– No… Ale spoko, nie martw się, bo jak wrócę, będę miał niespodziankę. Znaczy, jak już mama pozwoli mi z tobą rozmawiać.

Chłopiec odetchnął z wyraźną ulgą.

– Czyli wrócisz – powiedział.

– No, kurwa, młodociany, weź jeszcze ty mnie nie denerwuj, bo wyjdę z siebie i się zajebię. Myślałeś, że nie!?

„Tak naprawdę to nie – pomyślał Kubuś. – Tylko tak mu się śniło. Co noc”.

– To kiedy wrócisz?

– Teraz to pewnie jak mi broda odrośnie.

– No jasne, bez niej wyglądasz przecież jak pizda kartofla!

– Kuba!

– No co, twoje słowa przecież…

– Mówiłem też, żebyś nie mówił o rzeczach, na których się nie znasz – mruknął Kędzior.

Nie dało się nie usłyszeć pauzy przed tymi słowami, zupełnie jakby gorączkowo szukał w głowie jakiegokolwiek, już nawet niekoniecznie dobrego, argumentu.

– Znam się na kartoflach – odparował chłopiec. Jeszcze raz zerknął za winkiel. Zobaczył, że jego mama właśnie wstała.

– Dobra, tato, muszę lecieć. Kocham cię, wiesz?

– Ja ciebie też. Dlatego dzwonię.

– To przyjedź.

– Przyjadę.

– To cześć.

Kubuś rozłączył rozmowę, skasował ślad po niej i swojego esemesa z wysłanych, a potem ostrożnie wśliznął się do pokoju i zanurkował pod kanapę.

Matka była już w środku i, jak można się było domyślić, pierwsze kroki skierowała w stronę regału.

– No i gdzie jest teraz ten przeklęty telefon!? – zawołała. – Kuba!? Brałeś mój telefon.

Spod kanapy dobiegła ją przyciszona muzyka z *Angry Birds*. Wzięła się pod boki.

– No już, spryciarzu. Wyłaź spod łóżka i oddaj mi telefon. Raz-dwa.

Kubuś posłusznie wypełzł spod kanapy.

– Co ci mówiłam o zabieraniu mi komórki? – zapytała mama, odbierając mu telefon. – Dziś już żadnej telewizji.

Jęknął, ale w gruncie rzeczy nie było mu smutno. *Rocky'ego IV* na Polsacie i tak by mu nie dała obejrzeć, a poza tym jeśli to była cena za nawet tak krótką rozmowę z tatą… to było warto.

Może wreszcie przyśni mu się coś innego…

* * *

Kędzior rozłączył się, upewnił się, że telefon jest wyciszony, i wepchnął go do ciasnej przedniej kieszeni dżinsów. Skorzystał też z okazji i podrapał się po jajach.

Milczek, ogolony niemal na łyso, z krótką jasną brodą ledwie odcinającą się na tle twarzy, patrzył na niego wyczekująco rozparty na motocyklu. Nie musiał migać, bo jego pytanie w zasadzie wisiało w powietrzu.

– Tak, gotowy – powiedział Kędzior. – Jedźmy.

Milczek skinął głową. Odpalił maszynę, powoli wycofał i zawrócił. Zaczekał, aż Kędzior zrobi to samo, i wbił jedynkę. Podkręcił gaz. Ruszył, nie oglądając się więcej na brata.

Zbliżała się szesnasta, więc była najwyższa pora, by zjawili się na miejscu. Na zlocie, który o tej porze już pewnie trwał w najlepsze.

* * *

Dzwoneczek wpatrywała się w laskę na scenie, młodą zmanierowaną siksę katującą kolejny już rockowy klasyk. Czuła, że puszczają jej nerwy.

– No jebnę jej – powtarzała ku uciesze stojących w kolejce bikerów. – Zaraz jej, kurwa, jebnę!

– Zaczekaj na kisiel, mała – powiedział siwawy, żylasty gostek z wąsiskami sięgającymi obojczyka. – A potem już róbcie, co chcecie.

Dzwoneczek zmierzyła go wzrokiem, po czym odwróciła się do stojącego obok Bruzdy i powiedziała głośnym, teatralnym szeptem:

– Jak będziesz nalewał temu, daj znać, to mu napluję do piwa.

Biker oblizał się obleśnie.

– To będzie, kurwa, prawie jak całus z języczkiem – stwierdził i zarechotał, a wraz z nim pół kolejki.

Dzwoneczek również parsknęła, a potem pochyliła się nad kontuarem i złapała go za te wąsy. Przyciągnąwszy go do siebie, docisnęła swoje usta do jego. Wokół rozległy się krzyki i zachęcające gwizdy. Gość w kamizelce Promiennych próbował ją nawet złapać za tyłek i przeciągnąć na drugą stronę baru, ale wtedy siedzący w kącie Kruszyna chrząknął i biker, widząc jego minę, odpuścił.

Dzwoneczek odsunęła się od wąsacza, przetarła usta rękawem, poprawiła koszulę.

– Następny całus dla tego, kto zdejmie tę fałszującą siksę ze sceny. Jak już ma tak jęczeć, to przynajmniej niech ktoś jej da powody.

Jakby na przekór tym słowom dziewczyna ze sceny pochyliła się do przodu i kolejny raz zawyła, że kocha rock and rolla. Wróżka przewróciła oczami.

– Chryste!

* * *

Zlot trwał w najlepsze. Choć uważne oko było w stanie dostrzec, że członkowie poszczególnych klubów trzymają się raczej we własnych grupkach i czasem łypią na innych podejrzliwie, to ogólnie atmosfera była raczej przyjazna. Gdzieś tam ryczały silniki, w niebo niósł się smród palonej gumy, szara chmura mieszała się z dymem znad przenośnych grilli. Garstka zawczasu pijanych próbowała zagłuszyć laskę ze sceny, a gdy nie szło śpiewem, wznosili okrzyki i tłukli szkło.

Przy motorach kręcili się gapie, część pewnie podstawiona, klubowe prospecty w cywilu, może bikerzy z klubów supportujących, ale część autentycznie nie z tego świata, zabłąkane ofiary bez instynktu, za to z dziewczynami, żonami, dziećmi. Snuli się, oglądali motocykle, cmokali ze znawstwem i prężyli wątłe klaty, próbując nie zauważać pogardliwych spojrzeń bikerów i nie słyszeć wygłaszanych zupełnie otwarcie uwag. Pewnie wielu z nich mieliło w głowach wariację na temat zdania: „To otwarte wydarzenie zapowiedziane przez lokalne władze i mam prawo tu być”. Faktycznie, na razie nikt im tego prawa nie odbierał.

– Fajna maszyna, dużo pali?

– Paczkę dziennie. I ekstra szluga po ostrym rżnięciu.

– Tu są dzieci!

– Pierdol się, alfonsie! Dzieci mnie nie kręcą!

I śmiech. Niegłośny, ale wibrujący drwiną tym mocniej, im bardziej na twarzach ojców rodzin, tych domorosłych macho, malowały się bezsilność i frustracja; im bardziej zaciskały się ich pięści, bielały knykcie; im wyraźniej ich kobiety widziały w nich tchórzliwe, niepotrafiące się odszczeknąć pizdy. Pokojowe pieski, którym wydawało się, że są drapieżnikami, póki nie trafiły między wilki…

Zlot trwał. Na scenie zmienił się zespół, ludzie siedzieli przy drewnianych stołach, przechadzali się pomiędzy maszynami, pary obściskiwały się na motocyklach i w cieniu namiotów albo szły na całość trochę na uboczu, sprawiając nie lada uciechę tym, którym śmierdziało w toi-toiach i poszli odlać się na powietrzu, patrząc w pierwsze gwiazdy.

Groźni goście w skórach i ich damulki, twarde babki zaprawione w niejednym boju. Kto wie, czy często nie groźniejsze, bo nauczone walczyć o swoje niczym lwice. Łatwo je było odróżnić od dziuń, które

zjawiły się pierwszy raz. Te miały na sobie ciuchy niczym z wypożyczalni kostiumów, czerwone apaszki, siatkowe rajstopy, obcisłe bluzeczki na ramiączkach, spod których wystawał stanik z push-upem. Brzuszek wyćwiczony fitnessem ze śniadaniówki, w zasnutych pijaną mgłą oczach desperackie pragnienie przeżycia przygody jak z niegrzecznego romansu.

Co odważniejsze dziunie rzucały damulkom wyzywające spojrzenia, ale te nie przejmowały się zbytnio, bo dla nich dziunie były niczym zlotowe piwo. Jasne, że się facet skusi, bo impreza, bo kumple; jasne, że potem musi szybko w krzaki, ale to nie tak, że potem będzie tygodniami rozpamiętywał smak…

Zlot trwał w najlepsze, choć dało się w nim wyczuć odrobinkę fałszu. Niektóre rzeczy były tylko na pokaz, bo każdy wtajemniczony czuwał nad tajemnicą. Ponadklubowe wymiany spojrzeń, gdy ktoś szedł, gdzie nie powinien. Opamiętanie w ostatniej chwili, gdy jedno słowo, które pociągnęło za sobą kolejne, zaczynało grozić ostrzejszym starciem. Nie było potrzeby zwracać uwagi bardziej, niż to zaplanowane. Improwizacja, bywało, szła za daleko, niwecząc całą sztukę.

W takich momentach więc wszyscy, nieważne co mieli na grzbiecie, spoglądali w stronę murowanego domku. Tego, gdzie wąskie paski światła wyciekały zza zasłoniętych okien. Tego, którego dyskretnie pilnowali uzbrojeni, niepijący bikerzy. A potem odwracali wzrok oraz swoją i innych uwagę od tego miejsca, wracali do zabawy. Takiej jak zwykle, choć może nie do końca tak beztroskiej jak zawsze. Ale czy to naprawdę robiło komuś różnicę? Było przecież to, co najważniejsze.

Zlot trwał.

* * *

Dzwoneczek wprawnie wypełniła piwem kolejny plastikowy kubek. W odpowiednim momencie zmieniła ułożenie nadgarstka, tak by złocisty napój ukoronowała gęsta pianka. Wszystko to zrobiła,

patrząc w oczy wytatuowanego kudłacza postury mniej więcej Milczkowej, choć starszego i zdecydowanie brzydszego. Mężczyzna wygłosił przed momentem dosadną uwagę na temat słabości otrzymanego piwa, więc wróżka, zanim mu je podała, upiła łyk, zostawiając na kubku ślad po szmince. Westchnęła błogo i starła pianę z wargi.

– Jak dla mnie jest w porządku, złotko.

Gość chciał się odezwać, ale uprzedziła go stojąca za nim dorodna dziewucha z wydatnym biustem. Z jej ramion zwisały dwie chude łapy wspartego na niej, solidnie już porobionego członka Plemienia.

– Ha, złotko, dobre! Wygląda raczej jak zaschnięte gówno. I tak śmierdzi!

Mężczyzna odwrócił się gwałtownie, zaciskając pięści. A gruba damulka spojrzała na niego hardo.

– No co? No co?

– Ej, daj mu spokój – wtrąciła się Dzwoneczek. – Przecież to istny złoty samorodek, nie, kochaniutki?

Pochyliła się, by podać mu piwo, a że mężczyzna wciąż dyszał, gapiąc się nienawistnie na twarz ponad obfitym cycem, pogładziła go po skołtunionych włosach.

– No już, już. Twoje piwo. Na koszt firmy.

Mężczyzna wziął kubek. Nie spuszczając wzroku z obfitej, zrobił parę kroków. Po drodze wpadł na jednego z Mrocznych Pasażerów, wychlapując na niego część piany. Ten warknął coś, kudłacz odpyskował, a potem podszedł do nich ktoś trzeci z wężem Battle Snakes na kamizelce. Złapał ich za karki i powiedział słowa, po których spojrzeli na chatę, a potem się rozeszli.

– Czy tylko mnie Vita Vargar nieodparcie kojarzy się z waginą? – zapytała obfita, nawiązując do godła Kudłatego.

Wróżka wzruszyła ramionami.

– Mnie się ten koleś zdecydowanie nie kojarzy z cipką – stwierdziła. – Ale to może dlatego, że widuję tylko swoją, a ta jest gładko wygolona.

Mówiąc to spojrzała prowokacyjnie na patykowatego bikera uwieszonego na obfitej, ale ten nawet nie drgnął.

– Niezły ruch, dziunia – zadrwiła damulka. – Ale tym chudym kijkiem w swojej kałuży nie zamieszasz. Za mało masz cyca i dupy. Lej dwa.

Dzwoneczek zaśmiała się i posłusznie wypełniła dwa kubki, po czym skinęła na Bruzdę, że schodzi z posterunku. Ten skinął głową i zawołał głośno, że przez chwilę obowiązuje jedna kolejka. Tłumowi nie spodobało się to specjalnie, co jeden z drugim oznajmił niewybrednymi okrzykami.

Gdy wróżka odeszła od kranu, Kruszyna również podniósł się z krzesełka.

– Coś się stało? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Nie, zmęczona jestem po prostu. Kędzior z Milczkiem już są? Albo dzwonili?

– Nie i nie.

– Dobra, to dawaj znać. Powinni już krążyć i wyglądać…

– Tak, wiem – wszedł jej w słowo Kruszyna i odchylił połę namiotu.

W środku na rozkładanym krześle siedział Stalówka. Gdy weszła, uniósł wzrok, a z jego twarzy wyczytała, że jest mocno zaniepokojony.

– Dobrze, że jesteś. Właśnie miałem cię zawołać.

– Co się stało?

Wstał i obszedł stolik. W dłoni trzymał karteczkę, która okazała się kwitem z biura Lubego.

– Ile sprzedaliśmy piwa?

– Nie wiem – wzruszyła ramionami. – Idzie jak szalone. Sporo, a co?

– Kurwa! – Spojrzał na kartkę. – Kurwa, kurwa, kurwa!

– Stalówka, co się stało!?

– Kędzior i Milczek… – zaczął, ale weszła mu w słowo.

– Jadą. Powiesz mi, o co ci chodzi!?

Albinos uniósł wzrok, by popatrzeć jej w oczy.

– Pamiętasz, jak mówiłaś, dlaczego odpada dostarczenie łez w piwie?

– Bo z alkoholem w żadnym razie nie powinny zadziałać.

– A z drobinką? Taką tyci, tyci?

– Stalówka, do kurwy nędz…

Tym razem to on jej przerwał, podstawiając pod nos trzymany w rękach kwit. Hakiem wskazał wypisaną ręcznie linijkę z nazwą produktu. Dzierżca 80.

– Widzisz to? Te cyfry na końcu?

– Widzę… – powiedziała ostrożnie. – To nie są cyfry, tylko…

– …litery – dokończył za nią Stalówka. – BO. Bezalkoholowe.

* * *

Wyszła z namiotu. Zmuszała się, by nie podbiec do Bruzdy, by nie zrobić żadnego gwałtownego ruchu, który mógłby kogoś zaniepokoić. Stanęła przy Kruszynie.

– Daliśmy ciała – szepnęła. – Idź do Stalówki.

Kruszyna bez słowa wstał i zniknął w namiocie.

Dzwoneczek wzięła oddech i rozejrzała się po obozie. Próbowała wzrokiem przebić się przez linię kolejki, co przy jej wzroście wcale nie było takie łatwe. Jednak to, co dostrzegła, tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że spierdolili. Spierdolili dokumentnie.

Bo choć godzina była jeszcze wczesna – robiło się już ciemno, ale imprezy inaczej definiują „późno” – choć ze sceny wciąż sączyły się dźwięki, a gdzieś z oddali dochodził gwar doprawiony rykiem silników, nie dało się nie odnieść wrażenia, że zlot cichł. Stygł. Między kolejkowiczami, których zwarte dotąd szeregi również się przerzedziły, tak że dało się dostrzec, co dzieje się za nimi, widziała bikerów snujących się jak pijani lub wręcz pokładających się. Widziała chodzących bez celu i tego celu szukających, wpadających na innych lub padających na ziemię, by potem długo podnosić się z powrotem do pionu.

Cholera! Wcześniej tego nie dostrzegała, choć przecież rozglądała się za czymś niezwykłym, była czujna. Szukała niezwykłości, czekając, kiedy się zacznie. Rzecz w tym, że to, co się działo, wcale nie było takie niezwykłe, przynajmniej na razie. Czasami jest tak, że

nie widzisz, dopóki nie wiesz, na co masz patrzeć. Teraz wiedziała. Teraz widziała. Kiedy było już, kurwa, za późno.

Powoli podeszła do Bruzdy, objęła go od tyłu i pocałowała w szyję. Czuła, jak się napręża, jak sztywnieje i próbuje się odwrócić, więc szepnęła szybko:

– To ja, Dzwoneczek. Uśmiechnij się i rób swoje.

Skinął głową i chyba rzeczywiście się uśmiechnął. W każdym razie czuła, jak napręża się jego twarz i szyja, jakby barman dostawał właśnie szczękościsku. Pewnie wyglądał z tym grymasem okropnie. Szybko rzuciła okiem na zebranych po drugiej stronie baru – nie zorientowali się. Coś tam pohukiwali, coś komentowali. Nie wzbudziła podejrzeń, bo i czym. Przecież i tak wszyscy pewnie zakładali, że skoro tu pracuje, to daje Bruździe dupy.

– Za chwilę udaj, że skończyły się kegi, i powiedz, że chwilowo przerwa – szepnęła.

– Zajebią nas – wycedził przez ledwie otwarte usta.

– Zaczęło się, Bruzda – dodała.

Znowu pocałowała go w kark, raz, drugi. Czuła, jak mężczyzna drży, i poczuła wyrzuty sumienia, że tak się nad nim w tym momencie znęca. No ale wymagała tego wiarygodność.

– Dość tych amorów i lej, kurwa! – zawołał ktoś zniecierpliwiony.

– Dwie minuty i koniec – powiedziała jeszcze Dzwoneczek i wróciła do namiotu.

Ktoś zawołał za nią, pytając, czemu nie stanie za drugim nalewakiem. Ktoś zatoczył się i padł zdezorientowany na ziemię. Inni się roześmiali. Słyszała te dźwięki jak zza szklanej ściany.

– Dzwoń do Kędziora – poleciła Kruszynie.

– Gdzie idziesz? – zapytał Stalówka, widząc, jak wróżka podchodzi do tylnej ściany namiotu i podciąga ją, by się pod nią prześliznąć.

– Nie widzę ani Piotrusia, ani Lubego czy Bliźniaków – powiedziała. – Ale skoro podali im łzy, a te ewidentnie zaczynają działać, to zaraz będą musieli sprzedać im historię. Bo inaczej…

– Inaczej co? – zapytał Stalówka.

Tylko pokręciła głową.

– Będę w okolicy sceny – rzuciła jeszcze i wyśliznęła się z namiotu.

* * *

Troglyd przejechał wierzchem dłoni po tarce, w jaką zamieniło się miejsce nad jego górną wargą. Gęsta broda, żadnych wąsów – sierżant Dark Passengers nosił taki zarost, od kiedy tylko udało mu się zapuścić pierwsze rzadkie włoski. A potem doprawił ten wygląd należytą tężyzną, paroma bliznami i dzikim spojrzeniem spod krzaczastych brwi.

Był niskim, krępym mężczyzną, solidnie umięśnionym i wytatuowanym podobno wszędzie z wyjątkiem twarzy. Słowo „brzydki” z pewnością nie oddawało w pełni estetycznego wrażenia, jakie wywoływał, choć „obrzydliwy” byłoby już krokiem za daleko. Mimo to kobiety lgnęły do niego, sycąc się aurą drapieżności, dzikością w ruchach, siłą, jaką emanował. Z tych samych powodów większość mężczyzn trzymała się od Troglyda z daleka.

Upił kolejny łyk piwa i raz jeszcze rozejrzał się po sali. Wzdłuż kilku połączonych stołów o grubych lakierowanych blatach siedziały trzyosobowe delegacje przedstawiciele klubów. Troglyd znał większość zebranych. Widywali się na zjazdach, okazywali sobie wzajemny szacunek, choć z jednym czy drugim swego czasu brali się za łby. Ale łączył ich przecież styl życia, łączyło pożądanie Drogi. Z kim mieliby się dogadywać, jeśli nie ze sobą nawzajem?

Oczywiście były jeszcze interesy, które często stawały między nimi. O ile jednak Troglyd ogarniał, co się wokół niego dzieje, to ten zlot, to spotkanie…

Zawiesił się. Zamrugał. Poczuł się, jakby ktoś nagle otworzył mu głowę i wpuścił do niej świeże powietrze. Wiatr, który poderwał papierzyska myśli i rozrzucił je po pokoju. Troglyd potrząsnął głową.

Akurat mówił coś Stówa z Promiennych. Prezydent Proroków rzeczywiście miał zacięcie klechy i przemawiał tak, jak oni napierdalają te swoje kazania. Zawieszanie zdania, podnoszenie

głosu, machanie łapami, akcentowanie słów. Troglyd miał ochotę mu jebnąć. Tym mocniej, że Stówa kiedyś… No właśnie, co? Ta myśl też uciekła, wywiało ją. Stówa zrobił coś złego, ale…

Obraz mu się rozmył, wokół nieostrych sylwetek bikerów pojawiły się nagle tęczowe łuny, a Troglyd poczuł, że robi mu się słabo. Zerknął na piwo. To ono, to na pewno. Zdrada, kurwa! Ktoś go otruł, podał jebane… jebane. Noż kurwa, to słowo! Podał mu…

Odsunął się gwałtownie od stołu, zaszurało krzesło. Poderwał się, zatoczył, wsparł dłońmi o blat.

– To zdra… – przerwał, zdając sobie sprawę, że nagle nie wie, jak skończyć.

To słowo. Nie ma, kurwa, po… Nie wie. Po prostu nie wie.

Powiódł wzrokiem po zebranych i przynajmniej u części z nich dostrzegł w oczach to samo, co właśnie czuł. To słowo, de… dezo… Nie, nie pamiętał. Zapominał teraz wszystko szybciej, niż formował myśli. Każde zdanie w głowie miało lukę, każdemu słowu brakowało liter, obrazowi fragmentów, dźwiękowi…

Nagle zapomniał, jak stać. Runął na ziemię, uderzając czołem o blat stołu.

* * *

Z miejsca na jednej z głównych namiotowych alejek zdecydowanie wyraźniej mogła dostrzec, że coś się dzieje. Bikerzy, damulki i dziunie, a także zwykli gapie trzymający niepewnie za ręce zagubione i przestraszone dzieci słaniali się, wodzili wokół nieprzytomnym wzrokiem, albo marszczyli brwi, usiłując w ten sposób skupić myśli.

„Rany – pomyślała Dzwoneczek – jak mogłam być tak głupia!? Jak mogłam tak bardzo nie widzieć tego, co się dzieje!?”

Jednak dobrze znała odpowiedź na to pytanie. Łzy na czysto albo zmieszane z wodą czy mlekiem działały po krótkiej chwili, z alkoholem nie działały w ogóle. Ale jeśli zawartość alkoholu była tak niska jak w piwie bezalkoholowym? Tego nie mogła wiedzieć, bo

przecież nikt w jej otoczeniu takiego nie pijał. Nigdy nie miała potrzeby czy okazji próbować. A tu wyglądało na to, że ta drobinka zadziałała jak opóźniony zapłon. Dała czas, by każdy solidnie się nasycił, zanim przyszła pora na skutki. Długo nie działo się zupełnie nic, a potem, gdy już nagle zaczęło, to nagle. Nie mogła zauważyć pierwszych, pojedynczych symptomów, których wypatrywała, bo one nie istniały. Nadeszły falą, gdy było już za późno, a jej została bolesna świadomość, że to przecież ona nalała większość tego piwa. Nikt się nie zorientował, bo nikt nie spodziewał się solidnego alkoholu, a smak był podobny do tego, co zwykle dostajesz na festynach. Może tylko trochę bardziej rozwodniony, ale czyż nie narzeka się na to zawsze? I tak, kurwa mać, Cień znowu ją przechytrzył!

Dopadła barierek pod sceną i przesadziła je zgrabnym susem. Nikt jej nie powstrzymywał, choć przynajmniej jeden z bikerów, który powinien to zrobić, stał tuż obok i na nią patrzył. A przynajmniej kierował w jej stronę twarz i swoje niewidzące oczy. Pewnie nie wiedział już ani po co tu jest, ani nawet jak się sam nazywa.

Przebiegła parę metrów dzielących barierki od krawędzi sceny. Podciągnęła się żwawo, wsparła o odsłuch i wstała, uważając, by nie zaplątać się w kable. Z podwyższenia powiodła wzrokiem po słaniającym się towarzystwie. Łzy zbierały coraz większe żniwo i kolejni ludzie zerowali się wspomnieniowo. Jak daleko? Jak głęboko? Jakie było stężenie tego dziadostwa i ile go w siebie wlali? Nie miała pojęcia. Wiedziała jednak, że to najwyższa pora, by Piotruś i Cień wdrożyli drugą część planu. By sprzedali ludziom opowieść, wcisnęli nowe wspomnienia, które zastąpią te wymazane. Inaczej…

Widziała, co robi za dużo łez bez zastępczej historii… Złapała za mikrofon zamocowany na statywie, włączyła. Zastukała w sitko, ale spodziewany dźwięk, „tap, tap” z głośników po obu stronach, nie nastąpił.

– Kur… – chciała zakląć.

Wtedy poczuła, jak coś wbija się w jej ramię i z ogromną siłą szarpie do tyłu. Krzyknęła.

* * *

Pierwszych kilku telefonów Kędzior w ogóle nie wyczuł, bo dźwięk był wyciszony, a wibracje zgrały się z drżeniem Ślicznotki. Dopiero za którymś razem, gdy stał na światłach, zdał sobie sprawę, że ktoś dzwoni, ale aparat miał w ciasnej przedniej kieszeni spodni, a właśnie zapaliło się zielone. Gdy w końcu dał znak Milczkowi i zjechali na wysypany żwirem parking, nieodebranych połączeń miał dwadzieścia, wszystkie od Kruszyny.

– Kurwa! – warknął.

Otworzył jedynego SMS-a, który nie informował go o połączeniu z pocztą głosową bez pozostawionej wiadomości. Dwa słowa: „Zaczęło się”.

Zaklął jeszcze paskudnie i błyskawicznie wskoczył na maszynę.

Milczek machnął ręką, by zapytać, co się stało, ale Kędzior w odpowiedzi zaklął po raz trzeci i wrzasnął:

– Nakurwiamy Skrótem!

Nie czekając na odpowiedź, odpalił Ślicznotkę, wbił bieg i ruszył, buksując tylnym kołem po żwirze. Milczek pognał za nim i zaraz płynnie przeskoczyli na mroczną drogę.

Skrót wydawał się dziwnie ospały. Być może dlatego, że pochyleni nisko pędzili jak szaleni, nie zwracając uwagi na to, co działo się po bokach. Gdzieś w głowie Kędziora brzęczała jednak paskudna myśl, że może wszystko, co w tym miejscu było straszne i obrzydliwe, wylazło stąd, jak wtedy, gdy pojawiało się przebicie, i rozpełzło się po terenie Zlotu. Może to była część planu Cienia? Taka, o której Stalówka nie miał pojęcia? Może wcale nie chodziło o łzy, a właśnie o to, by w jakiś sposób zmienić tych bikerów w szczury?

Pomyślał o Dzwoneczku. O Kruszynie i Stalówce, a nawet o Bruździe. O nich wszystkich otoczonych przez wygłodniałe stwory o paciorkowatych oczach, domagające się mięsa i popiskujące ku swej gryzoniowej uciesze. Oczyma wyobraźni widział, jak docierają za późno, widział twarz Dzwoneczka z wyrwanym policzkiem i rozgryzionym okiem, grubasa, którego ogromny bandzioch wije się i wybrzusza jak wielkie szczurze gniazdo. Kurwa! Jak mógł być tak

głupi i nie trzymać telefonu w jakimś miejscu, do którego miał łatwy dostęp? W takiej pierdolonej sytuacji! Jak mógł być takim kretynem!?

Milczek zrównał się z nim i dał znak mający oznaczać: „Wyskakujemy”.

Kędzior skinął głową, skupił się i szarpnął umysłem za kurtynę rzeczywistości. Przedarł się i pojawił na drodze. Prawie wpadł na idącego środkiem siwego gościa w motocyklowej kamizelce. Odbił Ślicznotką w lewo, a widząc, że gość rzuca się ku niemu, kopnął go w brzuch. Ten zgiął się w pół, zatoczył i wpadł prosto pod koła wychodzącego ze Skrótu Milczka. Niemowa skręcił, ale motocykl przewrócił się i zaszorował o asfalt. Widząc to, Kędzior wrzasnął, zatrzymał się i pognał w stronę brata.

Milczek leżał na poboczu, poobijany, lecz żywy. Nie wyglądał, jakby coś mu się stało, musiał jakimś cudem zeskoczyć z maszyny, zanim przyszpiliła go do jezdni. Kędzior pomógł mu wstać.

– Trzeba było mówić, że nie pamiętasz, jak się jeździ… Ta, sam spierdalaj.

Przeszli obok maszyny Milczka. Nie nadawała się specjalnie do jazdy, więc odpuścili. Gdy mijali gościa w kamizelce, ten warknął coś i wyciągnął ku nim ręce. Kędzior kopnął go w głowę.

– Dziwne – stwierdził przy tym. – Nie wygląda jak szczur.

Milczek zgodził się z nim i w odpowiedzi zamigał parę słów.

– Nie wiem, brachu – mruknął Kędzior, dosiadając Ślicznotki. – Ale z drugiej strony ja się tam na dragach specjalnie nie znam. Wsiadaj!

Od terenu zlotu dzieliło ich już najwyżej pół kilometra. Ruszyli.

* * *

Gość, którego palce wbiły się w jej ramię, był postury Kruszyny, tylko sporo niższy. Miał na grzbiecie kamizelkę BattleSnake. Właśnie to sprawiło, że otrząsnęła się tak szybko. Szarpnęła się, wykręciła, a gdy uścisk zelżał, odwróciła przodem do napastnika i grzmotnęła go nasadą dłoni w podbródek. Cios był mocny i celny. Biker zachwiał się i poleciał do tyłu.

Odsunęła się, ciężko dysząc, i przez moment zastanawiała, czy nie poprawić kopniakiem czy dwoma, ale ostatnim, czego teraz potrzebowała, była kontuzja stopy. Zwłaszcza że stała teraz w świetle i dojrzało ją paru kolejnych gości o nieprzytomnym spojrzeniu. Ruszyli energicznie w jej stronę, wydając z siebie nieartykułowane dźwięki.

Rozejrzała się. Opcji ucieczki nie miała za wiele. Front sceny odpadał, bikerzy i damulki już przesadzali barierki. Na schodkach od strony zaplecza było to samo. Jeden już chwytał za poręcz, następni napierali na niego. Światła reflektorów, w których blasku stała, zdecydowanie nie pomagały. Po obu bokach była gruba i mocna plandeka. Zanim by się przez nią przebiła nożem, już by ją dopadli.

Zostawały więc tylko metalowe szkieletowe słupy. Mogła się na taki wspiąć, a potem… No właśnie, co?

– Nie myśl tyle, dziwko. Uwierz! – skarciła się i pognała w stronę słupa.

Wspięła się kawałek, zanim dopadł ją pierwszy biker. Kopnęła go w twarz i podciągnęła się wyżej. Próbowali ruszyć za nią, ale najwyraźniej nie umieli. Na ich twarzach gniew mieszał się z przerażeniem i kompletną dezorientacją.

Wspinała się wyżej i wyżej, aż sięgnęła prostopadłej belki dachu, z góry opiętej plandeką, od dołu obwieszonej reflektorami. Stanęła na niej. Balansując ciałem, z szeroko rozłożonymi rękami przebiegła na drugą stronę. Zaryzykowała zerknięcie w dół. Część otępiałych wciąż próbowała wspiąć się na słup, reszta zaczęła walczyć między sobą. Nie miały już znaczenia zapomniane klubowe barwy. Każdy był najwyraźniej przeciw każdemu.

Wykorzystała okazję i gęstniejący mrok. Przeszła boczną krawędzią zadaszenia sceny na jej tył, a potem, upewniwszy się, że nikt nie czeka na dole, zeszła i sprintem pognała w stronę namiotów z piwem.

Przebyła niezauważona może jedną trzecią dystansu, ale gdy już się zorientowali, natychmiast ją otoczyli i powoli zaczęli się zbliżać, zaciskając pętlę. Przemknęło jej przez myśl, że potrafiła ich zjednoczyć, sprawić, by przestali walczyć między sobą. Jakby to

jedno pamiętali, a może w jakiś sposób mieli zakodowane w swej nowej ograniczonej pamięci – Dzwoneczek jest wrogiem.

Krąg wokół niej zacieśniał się z każdą chwilą. Sunęli z wszystkich stron, gęby wykrzywione, oczy puste, niezrozumiałe jęki i krzyki – urzędowy język państwa obłędu.

Tym razem się nie uda, tym razem…

Rozległ się ryk potężnego silnika, a potem ktoś wykrzyczał jej imię. Podniosła wzrok i natychmiast zmrużyła oczy uderzona dwoma snopami białego światła. Część napastników, wrzeszcząc nieludzko, rozpierzchła się na boki. Kilku zwróciło się w stronę reflektorów, zamierając niczym sarny na drodze.

Dzwoneczek zrobiła daszek z dłoni i wtedy dopiero zobaczyła, co się dzieje. W jej stronę przebijała się ciężarówka z piwem. Za kółkiem siedział Bruzda, a po obu stronach kabiny na stopniach stali Kruszyna i Stalówka. Ten ostatni wywijał hakiem jak bronią i to on krzyknął jej imię. Teraz zaś, zupełnie jak nie on, darł się:

– Won, skurwysyny, nadciąga Hak i Piraci Słonego Wpierdolu!

Parsknęła śmiechem, znowu zwracając na siebie uwagę. Zgrabnie jednak wywinęła się łysemu brodaczowi z The Tribe i kopnęła pod kolano stojącą obok niego damulkę w wyraźnie przyciasnej koszulce Motörhead. A może dziunię? Teraz nie było zbyt wielkiej różnicy…

Uskoczyła na bok, schodząc z drogi ciężarówce, a gdy ta ją mijała, wyciągnęła rękę do Kruszyny. Chwycił ją i przyciągnął do siebie.

– Wiem, co się dzieje – powiedziała. – Ja…

– Ciii… – uciszył ją grubas, a jego oczy błysnęły na zielono.

* * *

– Won, skurwysyny, nadciąga Hak i Piraci Słonego Wpierdolu!

– Słyszałeś? – zawołał z dumą Kędzior, przekrzykując ryk silnika i jęki napierających na nich ze wszystkich stron zlotowiczów. – Wiedziałem, że się, kurwa, przyjmie! Przed chwilą minęli wjazd do obozu i ruszyli główną alejką, rozdając ciosy i kopniaki każdemu, komu przyszło do głowy spróbować ich zatrzymać. A tych było wielu,

bo właściwie każdy, kto pojawiał się na ich drodze, rzucał się ku nim z rozcapierzonymi palcami, z rykiem, piskiem bądź wrzaskiem. Wielcy mężczyźni, drobne kobiety, chudzielce, grubasy… A gdzieś tam pomiędzy namiotami kuliły się przerażone dzieci gapiów. Kędzior miał tylko moment, by to ocenić, ale wydało mu się, że strach w ich oczach jest inny niż u reszty. Jakby… świadomy.

Milczek klepnął go w ramię i Kędzior znowu skupił się nad tym, co przed nim. W samą porę, by uniknąć namiotowej linki i… zakląć na widok muru ludzi tarasującego im drogę. Olbrzym zatrzymał Ślicznotkę.

– Tak mi się coś zdaje, brachu – powiedział, stawiając podpórkę i schodząc z maszyny – że ktoś tutaj domaga się solidnego łomotu, nie sądzisz?

Milczek stanął obok niego i zamigał coś, na co Kędzior roześmiał się głośno.

– Oczywiście, że mam na myśli nas, a kogo niby? To co, zrobisz wyjątek i krzykniesz ze mną? Nie? To się pierdol, jebana niemoto…

Zacisnął pięści, pochylił głowę i rzucił się biegiem prosto na tłum.

– BANGARANG! – ryknął, obalając pierwszą linię, a potem jeszcze raz, tłukąc bez pardonu na lewo i prawo. – BANGAKURWARANG!

Czuł, jak zęby jakiejś damulki wbijają mu się w udo, pazury innej wczepiały się teraz w jego biceps. Jakiś osiłek grzmotnął go w szczękę, inny walił w jego plecy jak pijak w potrzebie w drzwi zamkniętego monopolu. Kędzior nie pozostawał dłużny, a jego ciosy były zdecydowanie skuteczniejsze i mocniejsze. Każdy wymach pięści kończył się chrupnięciem pękającego nosa czy szczęki, przeciągłym jękiem lub głuchym łoskotem upadającego na ziemię ciała. Chwilę potem do symfonii dźwięków doszły jeszcze dwa, cichsze, ale bardziej złowrogie chlaśnięcia i dźgnięcia.

– Skądżeś ty, kurwości, nóż wytrzasnął? – zaciekawił się Kędzior.

Milczek jednak nie miał dość rąk, by jednocześnie dźgać, chlastać i migać. Dlatego ograniczył się do pokazania bratu faka.

– Sam się pierdol! – fuknął Kędzior i grzmotnął z młota jakiegoś chudzielca. – Chuj, przed chwilą myślałem, że tu umrzemy

w chwale, ale nie zamierzam zdychać w towarzystwie takiego nieuprzejmego kutafona.

To powiedziawszy, zderzył głowami dwie małolaty i wyrżnął z bańki wyrastającemu zza nich łysolowi od Proroków.

Powoli brnął przez tłum, zmierzając ku jedynej, jego zdaniem, sensownej miejscówce. W stronę murowanego domu, gdzie miało się odbyć zebranie.

* * *

– Gdzie jechać? – Bruzda musiał krzyczeć, by przebić się przez wrzaski i piski z zewnątrz. – I co tu się, kurwa, właściwie dzie… Trzymaj się, Stalówka!

Dał albinosowi sekundę, na wtulenie się w drzwi, po czym odbił w prawo, by przeorać burtą o namioty. Kilku rozszalałych bikerów próbujących się wspiąć na pakę auta, odpadło od niego. Jeden z nich wleciał pod tylne koła. Wóz podskoczył.

Dzwoneczek, która ledwie chwilę wcześniej wsunęła się do kabiny przez boczne okno, przecisnęła się za plecami Bruzdy i usadowiła na fotelu pasażera.

– Jedź w stronę chaty – poleciła. – Jeśli Cień i Piotruś są tutaj, to siedzą właśnie tam.

– Jeśli? – Bruzda zerknął na nią. – Może ich nie być? Dzwoneczku!

– Myślę! – odkrzyknęła.

Po swojej stronie Kruszyna złapał za gardło barczystego Dark Passengera i mocno pchnął nim w stronę syczących damulek. Natychmiast rozpierzchły się niczym kłębowisko żmij, między które ktoś cisnął pochodnię. Nie pomogło na długo, uczestnicy zlotu z każdą chwilą wyraźnie zyskiwali na śmiałości i drapieżności.

– Dobra, jasne komunikaty – powiedział Bruzda.

Skręcił najpierw w lewo, a zaraz potem w prawo, mało przy tym nie tracąc Stalówki, który próbował wyrwać swój hak z krwawiącego oczodołu chudego Bękarta Kaina.

– Gdzie mam stawać? Rozjebać ścianę czy jak?

Dzwoneczek przejechała ręką po twarzy i spojrzała w stronę budynku. Zauważyła na dachu kwadrat światła.

– To świetlik? – zapytała, wskazując palcem.

– Na to wygląda.

– To podjedź do ściany, wejdę tamtędy. Potem wycofaj.

Bruzda prychnął.

– Jak się da. Tu jest ciągle kilka setek tych pojebów. I lgną do nas jak… kuuurwa!

Mijali właśnie scenę. Zgromadzeni na niej bikerzy najwyraźniej załapali już, o co chodzi we wspinaczce po słupie, bo kilku z nich wlazło na górę. Jeden właśnie skoczył i z hukiem wylądował na masce. Nie utrzymał się, stoczył i wpadł pod koła, ale ta jedna krótka chwila, gdy wykrzywiając twarz w grymasie wściekłości i przerażenia spojrzał prosto na Bruzdę, miała zostać z barmanem już do końca jego dni. Wiedział o tym, czuł to. Otarł czoło.

Dzwoneczek znowu ustawiła się tak, by móc wyjść przez okno.

– Gdy wejdę, licz wolno do trzydziestu i wbijaj pełnym gazem – poleciła. – Stalówka, wesprę się na tobie.

Albinos posłusznie napiął mięśnie i posłużył ramieniem, by mogła po nim wspiąć się na dach kabiny.

– Trzymaj się ante… auu!

Spojrzał w dół. Drobna brunetka z włosami w koński ogon właśnie wskoczyła mu na nogę, objęła ją i zaczęła się wgryzać w kolano. Stalówka się obejrzał.

– Bruzda, znowu włażą na pakę!

– Jasne, trzymajcie się!

Barman znowu odbił najpierw w lewo, potem w prawo, ale tym razem nie było namiotów, o które mógł się otrzeć burtą, więc zabieg nie na wiele się zdał. Kilku Kainowych i dwóch Snake’ów weszło na dach i ruszyło w stronę Dzwoneczka.

Widziała ich, widziała, jak się zbliżają, człapiąc na czworaka, dysząc ciężko. Coraz mniej w tym było strachu, coraz więcej wściekłości, dzikiej drapieżności rozjuszonych zwierząt. Czy da im radę, jeśli się zbliżą? A może zdąży przeskoczyć na dach, zanim tu doczłapią? To tylko parę metrów. Dystans, zarówno do krawędzi

dachu, jak i do nich, zmniejszał się z każdą chwilą. Kucnęła. Skakać? Walczyć?

Podjęli decyzję za nią. Pierwszy z Kainowych Bękartów wstał, zachwiał się i rzucił w jej stronę, a drugi zadarł tyłek, przeniósł punkt styku z kolan na stopy i przyspieszył. Niemal w tym samym momencie ciężarówka zahamowała gwałtownie. Dzwoneczek skoczyła.

* * *

– Gryzienie. Nie. Jest. Spoko!

Każde słowo Kędzior podkreślił ciosem pięści prosto w zarośniętą, śniadą gębę Promiennego, robiąc to tak skutecznie, że gdy wypowiedział ostatnie słowo, zdanie zupełnie przestało bikera dotyczyć. Olbrzym splunął jeszcze w zmasakrowaną gębę i pchnął gościa w tłum. A potem dla poszerzenia swej przestrzeni grzmotnął na oślep w lewo i w prawo, po czym rozejrzał się za Milczkiem. Ten wlazł akurat na jakiś stolik, skąd hojnie rozdawał kopniaki.

– Laski nie w mordę i nie w cycki! – krzyknął Kędzior – Może się jeszcze ockną i… O, ty tłusty fiucie!

Złapał za brodę Snake'a, który właśnie niemal wybił mu oko, i szarpnął w dół, zadzierając w górę kolano. Gruchnęło, a kawałek języka tamtego, znajdujący się pechowo po niewłaściwej stronie zębów, poleciał na ziemię. Z ust motocyklisty chlusnęła krew.

– Nie na koszulk… – jęknął Kędzior. – Kurwa! Widziałeś, Milczek? Całego mnie ujebał… Co ty tam machasz? Co znaczy: dobrze, że krwią? Jesteś chory, tyle ci powiem…

Milczek wzruszył ramionami i wyszczerzył się głupio. Akurat wspięła się koło niego całkiem zgrabna dziunia, więc skorzystał z okazji, złapał ją, przycisnąwszy do siebie, pocałował namiętnie, a potem pchnął na resztę atakujących. Zadarł łeb w górę i bezdźwięcznie zapiał. Kędzior zrobił to na głos za niego.

– Kukuryyykuuu! – poniosło się w niebo i było w tym okrzyku wszystko, o czym sobie przypomnieli, wszystkie odzyskane myśli,

pragnienia, lęki i nadzieje. Wszystko, co dobre i złe. Wszystko, co Chłopcowe.

„Jestem szczęśliwy – przemknęło Kędziorowi przez myśl. – Jestem nieśmiertelny”.

Wtedy padł strzał.

* * *

Dzwoneczek przemknęła po dachu i pochyliła się nad świetlikiem. Zajrzała do wnętrza i zaklęła. Zamiast Piotrusia czy Cienia zobaczyła trzech czy czterech bikerów; z miejsca, gdzie była, nie mogła dojrzeć, jakie godła mieli na plecach. Stali do siebie plecami i opędzali się od całej reszty zachowującej się zupełnie jak ci na zewnątrz.

„Ta czwórka musiała pić coś innego”, pomyślała wróżka i przez moment zastanawiała się, czy powinna im pomóc. Zaraz jednak dostrzegła jeszcze jednego przytomnego – na jego plecach widniał emblemat szwedzkich Wilków – skradającego się do stolika z bronią. Złożyli ją tam pewnie na początku zebrania na znak pokoju, a potem w zamieszaniu nie zdołali się do niej dopchać. Teraz czterech pokrzykujących robiło zamieszanie, a czwarty próbował dyskretnie zdobyć coś, co zmieni zasady gry.

Tylko gdzie jest Piotruś? I Cień?

Dzwoneczek nie potrafiła dopatrzeć się motywu, sensu czy jakiegokolwiek uzasadnienia dla takiego przebiegu spraw. Po co tyle planować zwykłą masakrę? Po co tyle kombinacji i jaki miało to przynieść skutek?

Ledwie skończyła tę myśl, kilka rzeczy wydarzyło się niemal równocześnie. Po pierwsze, Wilk zaryzykował przesadzenie ostatnich metrów dzielących go od stolika jednym susem, złapał za spluwę i przeładował. Sekundę później z hukiem otworzyły się wysadzone z zawiasów główne drzwi.

Uzbrojony wilk odwrócił się gwałtownie w tamtą stronę. Padł strzał.

* * *

Bruzda dostrzegł Dzwoneczka, jak mknie po dachu. Dobrze. Wycofał więc i zaczął liczyć.

– Raz, dwa, trzy, cztery…

Wrzucił jedynkę i ruszył do przodu, odbijając najpierw w lewo, by zrobić nadbiegówki, a potem po łuku w prawo, by ustawić wóz prosto przed drzwiami…

– …dziesięć, jedenaście, dwanaście…

– Co planujesz? – krzyknął do niego Stalówka, widząc, że Bruzda zatrzymał pojazd na wprost wejścia.

Barman wyłamał palce.

– Nie przebijesz się! Zablokujesz wejście!

Dopiero wtedy Bruzda przyjrzał się ścianie i uznał, że, cholera, gdyby teraz się wbił, wóz mógłby się zaklinować. Jak wtedy wejdą? Stracą cenne sekundy, być może dla Dzwoneczka kluczowe, by wbić się oknem?

– Cokolwiek robisz, pospiesz się! – ponaglił Stalówka. – Ich tu nie ubywa!

Bruzda wciągnął powietrze i krzyknął:

– Chuj! Wysiadamy! Kruszyna, rozjebiesz te drzwi?

– A czy Piotruś Pan to złamany kutafon!?

Bruzda uznał to za odpowiedź twierdzącą. Poczekał więc, aż grubas zeskoczy ze schodka, i złapał za klamkę. Wystrzelił z kabiny. Tłukąc napierających zlotowiczów, ruszył w stronę budynku.

– Jestem – wydyszał, dopadając ściany.

Kruszyna cofnął się o dwa kroki i wyrżnął barkiem w drzwi. Puściły zamki, strzeliły zawiasy i drzwi wraz z grubasem wpadły do środka.

Wtedy właśnie Bruzda go zobaczył i nagle świat zwolnił, jakby chciał, żeby barman wszystkiemu uważnie się przyjrzał. Spanikowanemu mężczyźnie ze spluwą w ręce odwracającemu się w ich stronę, lufie unoszącej się mimowolnie, palcowi na spuście, Kruszynie na linii strzału.

Skoczył bez namysłu. Padł strzał.

* * *

Kula trafiła go w szyję. Poczuł gorąco, potem ból, a potem, jeszcze w powietrzu, ciepło krwi zalewającej mu ramię. Walnął o podłogę i spróbował się przetoczyć na plecy. Nie dał rady.

„Nie żyjesz”, przemknęło mu przez głowę. Jak w jednej z tych starych, podwórkowych zabaw. Bum, bum, nie żyjesz. Tyle że tym razem to się działo naprawdę. Tym razem nikt nie pomoże mu wstać, nie poczeka, aż otrzepie koszulkę i spodnie.

Bum, nie żyjesz.

Ktoś krzyknął rozdzierająco. Chyba Stalówka. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Zapewne świetlik. Czy to Dzwoneczek skoczyła do niego, by podziękować, że uratował jednego z jej Chłopców? Powiedzieć, że mu wybacza?

Ale to nie ona, lecz Kruszyna pochylił się teraz nad nim, zasłaniając światło. Bruzda spróbował się uśmiechnąć, ale zakrztusił się krwią. Przyszedł podziękować?

Oczy grubasa błysnęły zielenią.

– Niepotrzebnie – powiedział tylko.

Bruzda zmarnował swój ostatni oddech na pełne zdziwienia:

– Och…

* * *

Kędzior i Milczek pędzili teraz trasą, którą jeszcze chwilę temu pokonywała ciężarówka. Przeskakiwali nad ciałami, pilnowali, by nie pośliznąć się na parujących wnętrznościach. Tłukli też wszystkich, którzy próbowali ich zatrzymać.

W uszach brzmiały im, prócz jęków, syków i wrzasków zlotowiczów, kolejne strzały dochodzące z wnętrza chaty. Strzały. Znaczy poważnie.

Już prawie dopadli rozwalonego wejścia, gdy z budynku wyszli najpierw Dzwoneczek z obrzynem wspartym na ramieniu,

a następnie Stalówka z glockiem i Kruszyna. Ten ostatni w jednej ręce niósł torbę z bronią, a na ramieniu drugiej dźwigał ciało Bruzdy.

– Co… – zaczął Kędzior, ale Dzwoneczek nie dała mu dojść do słowa.

– Piotrusia tu nie ma. Do ciężarówki. Milczek, prowadzisz.

Jakiś biker spoza kręgu światła skoczył ku niej. Strzeliła bez celowania, a śrut niemal urwał mu głowę.

– Gazu!

Pognali do ciężarówki. Milczek usadowił się za kółkiem, Dzwoneczek i Kędzior w kabinie, a Stalówka i Kruszyna na pace. Niemowa wbił bieg i ruszył.

Nie kluczył, nie przejmował się nikim i niczym. Po prostu przyspieszał tak długo, aż pedał gazu dotykał podłogi, a pola terenu zlotu ustąpiły miejsca czarnemu asfaltowi.

* * *

Ciało Bruzdy położyli na stole w lecznicy i bez słowa wyszli zapalić. Chcieli dać Dzwoneczkowi chwilę, by mogła się pożegnać, uronić łzę, na którą nie mogła sobie pozwolić tak po prostu, zwłaszcza teraz, gdy znowu była ich mamą.

Ale wróżka najwyraźniej nie potrzebowała tego czasu, bo wyszła, ledwie Stalówka zdążył rozdysponować resztkę zawartości swej wymiętolonej paczki.

– Masz też dla mnie? – zapytała.

Wyjął zza ucha zachowanego dla niej papierosa.

– Co tam się właściwie wydarzyło? – zapytał, podając ogień.

Zaciągnęła się i wzruszyła ramionami.

– No łzy w piwie.

– Ale mówiłaś przecież, że w alkoholu… – chciał zaprotestować Kędzior, ale Stalówka wszedł mu w słowo:

– To było piwo bezalkoholowe.

– O, bezduszne chuje! – jęknął olbrzym.

Milczek również się zaciągnął, a potem zamigał. Dym z jego papierosa kreślił linie w powietrzu.

– To prawda, Milczek – zgodziła się Dzwoneczek. – Zwykle łzy tak nie działają, ale po pierwsze, normalnie daje się ich tylko odrobinkę. Po drugie, sprzedaje się do nich historyjkę, która ma zastąpić to, co wymazane. Tu łez było dużo, a historyjki żadnej, więc, jak sądzę, zwyczajnie ich zresetowało. Łzy wykasowały wszystko, co świadome, a zostawiły zwierzęce instynkty. Zdarzały się już w przeszłości takie akcje, takie przypadki, jak na przykład…

– To nieważne – stwierdził Kruszyna.

On jeden nie palił. Stał na uboczu z założonymi rękami i lekko zwieszoną głową.

– Właściwe pytanie brzmi, gdzie byli wtedy Cień i Piotruś.

– Otóż to – zgodził się Kędzior, a zaraz potem, jakby właśnie w tym momencie coś do niego dotarło, wycelował paluchem w Stalówkę. – No właśnie! Dlaczego go nie było w czasie i miejscu kluczowym dla jego planu!?

Albinos splunął i spojrzał hardo na brata.

– Jebnę ci zaraz.

– Ja tylko pytam – Kędzior rozłożył ręce. – Pytam, jakim cudem, zamiast zapobiegać planom Piotrusia, władowaliśmy się w to całe zombie gówno? Może o to chodziło, co, Stalówka? Może taki właśnie był…

Stalówka się szarpnął i gdyby nie Milczek, który stał obok, rzuciłby się na Kędziora. Ten przyjął pozę i podniósł pięści.

– No dawaj, kurwa, dawaj – zachęcił. – Bo coś mi tu za mocno jebie chujem to wszystko. To ty mówiłeś, że tam będzie. Że to właśnie jest jego plan, żeby ich wszystkich zjednoczyć. A teraz…

– A może faktycznie taki był plan? – zastanawiał się Kruszyna. – Może… coś się stało?

Wszyscy popatrzyli na niego.

– Znaczy, że, kurwa, co? – chciał wiedzieć Kędzior.

Grubas wzruszył ramionami.

– Nie wiem, różne rzeczy chodzą po ludziach. Może coś go powstrzymało?

Dzwoneczek zaciągnęła się po raz ostatni i cisnęła niedopałek na asfalt. Patrzyła, jak odbija się od niego, sypiąc na boki pomarańczowymi iskrami.

– Myślę, że jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć. Stalówka, trafisz tam?

– Znaczy do obozu? – upewnił się. – Powinienem.

– Świetnie. – Dzwoneczek przeciągnęła się i wyłamała palce. – Zatem złóżmy tym dwóm chujom wizytę!

OSIEM

Zresztą skosztuj sama. Skosztuj i powiedz, czy już wiesz, co chciałaś wiedzieć, i czy rozumiesz. Skosztuj…

Wgryzła się w podsuniętą jej pod nos czerń i już od pierwszego kęsa poczuła zawroty głowy. Miała wrażenie, że jej ciało robi się wiotkie, że nogi się pod nią uginają, że zaraz upadnie… Ale stała prosto, wręcz sztywno, i pewnie nawet się uśmiechnęła, bo Piotruś wyszczerzył się, a potem zawołał coś do reszty. Jego słowa nie wiedzieć czemu kojarzyły się jej z matką ubraną odświętnie, ojcem szukającym paska do spodni i krawata, z zapachem rosołu niosącym się z kuchni. Niedziela! Jego słowa kojarzyły się z niedzielą i…

Kolejny zawrót głowy. Myśli niczym satelita krążyły po orbicie jej umysłu. Przewróciła oczami.

Kościół! Tak!

„Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy”, powiedział Piotruś jak ksiądz, tyle że hostia Pana była czarna i rzeczywiście stanowiła wyrwany… kawałek ciała.

Jej żołądek szarpnął się, napłynęły obrazy innych ciał, wyciągniętych w górę rąk, Piotrusia patrzącego z zaciekawieniem. To nie były jej wspomnienia, to nie były jej myśli, ale czuła je jak swoje. Czuła na twarzy wiatr doprawiony morską solą, widziała maszty okrętu wyrastające znad drzew wyspy. Z głębokiego dołu ręce wyciągnięte do Pana i on patrzący z zaciekawieniem, a także… Czy to możliwe? Czy on rzeczywiście mógł czuć to, co w tym momencie mówiły jego oczy?

– BANGARANG!

Krzyk odbił się echem od ścian obozu, uderzył w drzewa, słupy palisady, motocykle i samochody, napiął luźne plandeki, zabrzęczał

usypanymi w stos kołpakami. Każdy z tych dźwięków niósł za sobą kolejne wizje, cienie dawnych rozmów do świtu, rozedrgane powidoki rzuconych pospiesznie, pełnych emocji słów… W tych obrazach Piotruś był jeszcze chłopcem, choć na twarz rzucił mu się rzadki zarost, napęczniały pierwsze pryszcze, a strój podkreślał męskie aspiracje. Była także ona, Dzwoneczek, groteskowa w swej bajkowości, maleńka i krucha, choć próbowała być inna. W tle, niemal zlani ze ścianą, przestraszeni Chłopcy. Twarze blade, oczy za to niczym małe żaróweczki. Stali w bezruchu, słuchając, jak ważą się ich losy. Nagle wróżka powiedziała coś, a Piotruś się zamachnął. Wizja rozmyła się zaraz jak wszystkie inne, ale słowa wróżki zostały…

Pan złapał za linę, objął Wendy w pasie i poszybowali w górę, gdzie między gałęziami czekały już kolejne cudze wspomnienia. Miała wrażenie, że czyta niezwykle pasjonującą książkę, ale tylko na wyrywki, strona tu, strona tam, i gorączkowo próbuje zrozumieć jej sens. Miała tak kiedyś, w szkole, gdy chciała na szybko, w ciągu kilku przerw nadrobić *Mistrza i Małgorzatę* na polski, a potem co fragment wsiąkała. Musiała się odrywać i przerzucić parę kartek, by poznać zakończenie. A tam znowu wsiąkanie w świat od nowa…

Na platformie czekały Bliźniaki. To z nimi wcześniej Pan spiskował, szykując pułapkę na Cienia. Udało się, więc cała trójka była dumna i wyraźnie zadowolona z siebie. Ona jednak widziała w ich identycznych twarzach dawny strach, gdy tak stali pod ścianą, pamiętała, jak zadrżeli, gdy Dzwoneczek powiedziała Piotrusiowi… prawdę? Tak, to musiała być prawda, inaczej by tak nie zareagował. Inaczej nie uniósłby ręki. A skoro tak, to ona, Wendy, musiała mu pomóc, musiała, jak mówił Cień, dopełnić swojej roli.

Dziewczynki dojrzewają szybciej, powiedział jej ktoś kiedyś, bo jeśli to one będą szły pierwsze, chłopcy ufnie pójdą za nimi. Będą się gapić na cycki, tyłek, mówić o rżnięciu i walić konia przy każdym postoju, ale pójdą. W drugą stronę to nie działało tak łatwo.

„Taka jest rola Wendy”, pomyślała i rozejrzała się po pomieszczeniu, a gdy znalazła to, czego szukała, sięgnęła po to dyskretnie i schowała za plecami. Jeszcze nie czas.

Pan mówił coś rozbawiony, ale nagle, w jednej chwili, odwrócił się do niej, spojrzał jej w oczy zaniepokojony.

– Coś się stało, Piękna? – zapytał.

Dopiero po dłuższej chwili przeniosła na niego spojrzenie, a potem powoli, z rozmysłem skinęła głową.

– Tak, chyba tak – odparła. – Chyba zrozumiałam.

Przechylił głowę i uśmiechnął się trochę niepewnie.

– Co takiego zrozumiałaś, że masz taką minę? – zapytał. – I co tam chowasz przede mną?

Nie odpowiedziała od razu. Wyjrzała przez balustradę, przez chwilę przyglądała się mieszkańcom obozu. Wyglądali, jakby budzili się z wyjątkowo dziwnego snu. Przecierali oczy, patrzyli na siebie nawzajem, wyraźnie odsuwali jeden od drugiego. Byli tacy, którzy siedzieli na ziemi wpatrzeni w przestrzeń przed sobą, inni chodzili, jakby zwyczajnie bali się zatrzymać. Patrzyli z obrzydzeniem na grupkę wciąż pochyloną nad ciałem Cienia, dojadającą czarne, lukrecjowe resztki.

„Bierzcie i jedzcie – pomyślała. – Oto lukrecja z cukierni dobra i zła. Skosztujcie i poznajcie, czym jest grzech”.

Kilka maszyn zaryczało, gdy jeden z drugim odpalili silniki i ruszyli w kierunku bramy. Piotruś krzyknął coś w ich stronę wyraźnie zaskoczony. Nazwał ich dezerterami. Ale ona rozumiała. W jej głowie rozległ się nagle wierszyk wypowiedziany głosem Lubego:

Po co się martwić w słoneczny dzień?
Poczucie winy przelej w swój cień.
I tak jest czarny, ma w sobie mrok,
a ty zachowasz beztroski krok.

Czy to właśnie zrobili? Czy tym skusił ich do zamieszkania w obozie? Wzięciem na barki ich win, refleksji, odpowiedzialności? Jeśli tak, to przykro mi, chłopcy i dziewczęta, ale lustro pękło i każdemu wbiło się w serce maleńkie szkiełko wyrzutów sumienia. Wszystko, co zrobili, wszystko, co się tutaj działo, nagle znowu miało skutki.

Wendy oczywiście nie zdawała sobie sprawy, czy to naprawdę tak wielki ciężar, pewnie rozkładał się nierówno, ale potrafiła sobie wyobrazić, że dostać tym wszystkim, w jednej chwili… to musiało być paskudne.

A ty zachowasz beztroski krok…

Teraz tylko Bliźniacy i Piotruś zachowywali się tak jak wcześniej. W ich przypadku nie było w tym nic zaskakującego, nie tknęli wszak ciała, ale on? Czy jego winy nie były najgorsze? Czy on nie powinien czuć się najgorzej?

„Jesteś niewinny, dopóki nie poznasz poczucia winy", podpowiedział Cień w jej głowie. To okropna, paskudna, obrzydliwa, ale wciąż niewinność.

– Wendy, co tam chowasz? – ponowił pytanie Piotruś, a w jego głosie zabrzmiały nieznacznie groźniejsze nuty.

Czy rzuci się na nią, by sprawdzić? Czy szarpnie, uderzy, by zaspokoić ciekawość?

„Nie – pomyślała. – Nie zrobi tego". Była jego Wendy, a on był jej Piotrusiem. Tu nie chodziło o uczucie, ale o role. Była tu po coś, była dla niego i teraz właśnie nadszedł czas, by zrobiła swoje.

– Niech oni sobie pójdą, to ci pokażę – wskazała brodą na Bliźniaków.

Popatrzyli po sobie.

– Tyle zamieszania o trochę ruchania – prychnął Pierwszy.

– Widzimy się na dole – dodał Drugi i wyszli.

Wtedy wyciągnęła zza siebie rękę. W dłoni trzymała nóż.

Piotruś znowu się wyszczerzył, tym razem dziko, drapieżnie.

– Spodobały ci się spiski i zdrady, co, Piękna? – zapytał. – W porządku, to zabawa, której jeszcze nie znam za dobrze, ale przez to może być ekscytująca.

Wendy wpatrywała się przez chwilę w jego zarośniętą, ogorzałą twarz, tak piękną, tak chłopięcą, tak dziką. Po policzku popłynęła jej łza.

– Nigdy w życiu nie przygotowywałeś się do przygód, prawda? – zapytała, choć znała odpowiedź. – Po prostu beztrosko robiłeś to czy

tamto.

Nie odpowiedział. Patrzył.

– Więc dlaczego tyle przygotowań do tej jednej? Skąd to szukanie ścieżek w gasnących oczach, skąd te wszystkie okrutne próby, skąd…

Jego górna warga uniosła się nagle, obnażając zęby. Zmrużył oczy, jego ręce zadrżały, a potem zacisnęły się w pięści.

– Pamiętasz moment, w którym przestałeś biec przed siebie, a zacząłeś uciekać?

– Nie uciekam – warknął. – Nigdy!

Wendy się uśmiechnęła.

– Ależ tak, uciekałeś i uciekasz. Owszem, próbowałeś ją poznać, nauczyć się od innych, których rzucałeś jej w ofierze. Czasem w przypływie odwagi lub głupoty stawiałeś się hardo, by szczeniacko pokazać, że jeszcze cię nie dorwała. Ale uciekałeś cały czas, Piotrusiu. Pytam, czy pamiętasz moment, gdy coś się zmieniło.

Powoli wypuścił powietrze z płuc, a potem równie wolno znowu się nim zaciągnął.

– Zamierzasz coś zrobić z tym nożem… dziwko? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Nie obrazisz mnie, Piotrusiu, bo wcale tak o mnie nie myślisz.

– Skąd niby wiesz, co…

– Cień, którego dałeś mi do skosztowania. Cień, który pomógł mi zrozumieć. On wiedział. Podobnie zresztą jak Dzwoneczek, która próbowała cię powstrzymać, gdy już się zorientowała. Ale było za późno, prawda? Dlatego uciekła, by uratować Chłopców przed twoją obsesją. Zanim to jednak nastąpiło, ona i Cień szukali – każde na własną rękę, każde swoimi metodami – sposobu, jak nasycić nowe pragnienie Pana i jednocześnie uporać się z jego pierwszym prawdziwym lękiem.

Zrobiła pauzę, a potem patrzyła mu w oczy tak długo, aż w końcu się odezwał. Próbował być hardy, ale głos drżał mu lekko, co, gdyby tylko potrzebowała potwierdzenia, że ma rację, byłoby najlepszym z dowodów.

– Nie boję się Śmierci.

– Boisz – zaprzeczyła pewnie, bo owszem, były to jej słowa, ale nie jej myśli, nie jej przemyślenia. – Boisz, ale to nie jest problem. W jakiś sposób bałeś się jej bowiem zawsze, jak każdy. Dzieci też. Tyle że dla nich śmierć jest odległa, nie czai się wszędzie, w każdej nadpróchniałej gałęzi, w każdym chybotliwym kamieniu na rzece, w każdym samochodzie jadącym za blisko chodnika. Strach przed nią jest abstrakcyjny do czasu, aż ta się nie zbliży. A gdy tak się stanie… dorastasz.

Milczał, ograniczając się do oblizania spierzchniętych warg, a ona – czy też może on, Cień w jej głowie – mówiła dalej:

– Czy to był moment, gdy zginął Hak? Gdy dźgnąłeś go w serce, a potem patrzyłeś w mu oczy, jak odchodził? To była ta chwila, prawda? Zobaczyłeś, że umiera, widziałeś, jak rusza na największą z przygód, i zobaczyłeś w jego oczach coś, czego zapragnąłeś. A potem cię to przeraziło. Bo śmierć nigdy wcześniej i nigdy później nie była tak blisko. Zobaczyłeś ją, zobaczyłeś…

– Koniec Drogi – skończył zdanie, ale najwyraźniej nie tak, jak chciała, bo pokręciła głową.

– Nie wiesz tego. Być może to tylko zakręt, a ty nie przyjrzałeś się uważnie? Może tylko żwirowy parking, na którym możesz przez chwilę odsapnąć. To właśnie jest problem, Piotrusiu. Przywykłeś do przygód o ustalonych zasadach, bo takie są dziecięce reguły. Ale to już jest nie jest zabawa dla dzieci. Śmierć, największa z przygód, ma tabliczkę „Tylko dla dorosłych”.

Musiała przesadzić, bo parsknął nagle:

– No proszę, Wendy nauczycielka – zadrwił. – Miałem już takie.

– Tak, Piotrusiu – zgodziła się. – Wszystkie nimi były, ja też jestem. Choć to, co teraz słyszysz, to raczej Cień, który mi oddałeś… Tak, to dobre słowo. Myślałam, że się nim dzielisz, ale ty mi go oddałeś, wraz z całym pakietem. Sam odsunąłeś to wszystko tak daleko, że już cię nie dotyczy. Nawet więcej: poprzez wszystko, co robisz, próbujesz pokazać, że cię nie obchodzi, że ci nie zależy. I im bardziej to podkreślasz, tym mocniej…

Nie dokończyła. To słowo nie musiało padać już więcej w tej rozmowie. Zamiast tego raz jeszcze uśmiechnęła się do niego.

– Co zamierzasz zrobić z tym nożem, Wendy? – zapytał ponownie.

– Ja? Nic, kochanie – odparła, chwytając drugą ręką za ostrze i podając go Piotrusiowi rękojeścią w jego stronę. – Ale może ty?

Zadrżał, przełknął ślinę, a potem wziął od niej nóż.

* * *

Zatrzymali się kilkanaście metrów od głównej bramy. Ciężarówkę prowadził Kruszyna, który się na to uparł ku zaskoczeniu wszystkich. To była jedna z dwóch niezwykłości związanych z tym w gruncie rzeczy nad wyraz spokojnym odcinkiem podróży. Drugą był właśnie ów spokój na opustoszałym Skrócie, który kompletnie siebie nie przypominał. Był niczym zwykła, choć ostatnio z rzadka uczęszczana droga ciągnąca się gdzieś z dala od głównych arterii autostrad, wiodąca do miejscowości, o których dwa razy do roku przypominają sobie tylko krewni mieszkańców. Nikt nie łypał na nich zza linii zwyczajnie wyglądających drzew, nikt nie błąkał się poboczem, nie kusił, nie straszył. Aż się chciało, jak to w pewnej chwili stwierdził Kędzior, stanąć i odlać na drogowy słupek. Oczywiście tego nie zrobili. Skrót nadal był Skrótem.

Potem wjechali do miejsca, o którym mówił Stalówka. Tam zatrzymali się i wysiedli. Przed nimi na ogromnej przestrzeni porośniętej pożółkłą trawą rozpościerał się obóz. Wyglądał jak obudowany palisadą zagajnik z kilkoma wręcz nienaturalnie wielkimi drzewami w centrum. Wszystkie one obwieszone były dziesiątkami małych domków, drabinek i platform, a spinały to wszystko grube liny, sznurowe mosty i kable oświetlenia.

– Gwiazdka postanowiła przyjść w tym roku wcześniej, co?

Kędzior podrapał się po szorstkim policzku i po raz kolejny zdał sobie sprawę, jak bardzo wkurwia go brak brody.

Stojący obok Milczek migał coś przez chwilę, bawiąc tym wszystkich prócz olbrzyma.

– No raz faktycznie stała przez cały rok, wielka mi rzecz – obruszył się Kędzior. – Komuś przeszkadzała?

Milczek mignął.

– No to trzy razy, wielkie mi ha… auuu, kurwa!

Złapał się za głowę, rozcierając bolące miejsce. Pozostali błyskawicznie skoczyli za otwarte drzwi ciężarówki, szukając osłony.

Kędzior też zamierzał się schować, ale wtedy jego wzrok spoczął na metalowej kulce, którą właśnie oberwał. Innemu rozbiłaby pewnie głowę, ale jego łeb był twardy i ktoś, kto ją wystrzelił, najwyraźniej o tym wiedział. Ta kulka nie miała zabić. Miała wkurwić.

I znakomicie wywiązała się ze swojego zadania.

– Niech no ja dorwę te jednojajowe chuje, to im nogi z dupy i w dupę, kurwa!

Następna kulka śmignęła mu koło ucha i stuknęła w szybę ciężarówki, zostawiając na niej białą pajęczynę pęknięć.

– No chyba im się, kurwa, nudzi. Kędzior podbiegł do drzwi od strony pasażera. Siedzący już w kabinie Stalówka podał mu zdrową rękę i wciągnął olbrzyma do środka. Reszta zapakowała się na tył, a Kruszyna, już za kółkiem, odpalił silnik. Ruszyli.

Po drodze uderzyły w nich jeszcze dwie kulki, ale stanowczo nie był to opór, jakiego mogli się spodziewać. Nawet brama, którą zamierzali staranować, była tak naprawdę otwarta – jej skrzydła rozchyliły się przed nimi.

Obóz był pusty. Kędzior, który wypadł z samochodu z obrzynem w jednej i glockiem w drugiej ręce, rozejrzał się wkoło, ale dopiero gdy zadarł głowę, dostrzegł żywą istotę. A właściwie dwie. Pierwszy i Drugi uzbrojeni w proce patrzyli na niego z mieszaniną znudzenia i drwiącej niechęci. Jeden z nich zmrużył oczy.

– Ty, czy to nie jest ten kutafon spod celi, który…

– Tak, to chyba on – odparł ten drugi i uniósł procę.

Widząc to, Kędzior wycelował do niego ze spluwy.

– Tylko spróbuj, wypizdku! – warknął.

– Pizdkę to ty masz na czole – zadrwił Bliźniak. – Wielki mi chojrak ze spluwą.

Kędzior zerknął prosząco na Dzwoneczka, która właśnie wyszła zza ciężarówki, ale ona pokręciła głową. Westchnął i strzelił

w powietrze.

– To było ostrzeżenie – zawołał.

– W dupie mam twoje, ostrze… – zaczął jeden z braci.

Wtedy nagle olbrzym zakręcił pistoletem, złapał go za lufę i cisnął. Wszystko to zrobił tak szybko, że Bliźniak skończył zdanie już z rozbitym nosem i naruszonymi dwoma zębami. A potem klapnął na tyłek.

– Kędzior! – krzyknęła Dzwoneczek.

Olbrzym wzruszył ramionami.

– No co?

Nie odpowiedziała, tylko powiodła wzrokiem po opustoszałym obozie. Musiał się wyludnić całkiem niedawno, bo pojedyncze paleniska jeszcze się żarzyły, a w powietrzu unosiła się woń niezdrowego jedzenia, brudu, potu i spalin.

– Gdzie on jest? – zapytała, nie patrząc w stronę wieżyczki z Bliźniakami, ale kierując to pytanie ewidentnie do nich.

– On? – zapytał ten z całym nosem. – Nie ma tu już żadnego jego prócz nas dwóch. Jest…

– Ona – dobiegło ich gdzieś z góry. – Ja.

Zadarli głowy i lufy broni. Na mostku między dwoma platformami stała Wendy. Miała na sobie dżinsy i niedopiętą, luźną śnieżnobiałą koszulę. Rozpuszczone włosy i bose stopy dopełniały wizerunku dziewczyny z okładki taniego romansu, ale było w jej ruchach coś, co przeczyło temu wrażeniu. Nie była jedną z tych, które czekają na swego wybawcę, swego księcia. Być może już nie…

Złapała za jedną z lin, skoczyła, a mechanizm złożony z zębatek i odważników sprawił, że moment później stała już twarzą w twarz z Dzwoneczkiem.

– A więc tak teraz wyglądasz – powiedziała. – We wspomnieniach Cienia byłaś trochę niedookreślona.

Dzwoneczek wzięła się pod boki.

– Jeśli coś tu jest niedookreślone, to wszystkie te rzeczy, które zaraz ci zrobię, przemądrzała pizdo, jeśli nie powiesz mi gdzie jest, Piotruś.

Wendy sie zaśmiała.

– Nie zapytasz, kim… – zaczęła.

Dzwoneczek błyskawicznie doskoczyła do niej, złapała ją jedną ręką za kark, a drugą, zaciśniętą w pięść, wyrżnęła w twarz dwa szybkie proste.

– A ty to możesz, tak? – mruknął z wyrzutem Kędzior, ale zlekceważyła go, skupiając wzrok na dziewczynie.

– Wiem kim jesteś, zdziro – wycedziła. – Jego kolejną Wendy, kolejną podświadomie pragnącą odmiany dupeczką, którą oczarował i sprawił, że poczuła się ważna. Ale coś ci powiem, laleczko. Nie jesteś ważna. Nie jesteś wyjątkowa. Jesteś jedną z wielu… A teraz powiesz mi, gdzie on jest, albo wsadzę ci obrzyna w cipę i zapłodnię ołowiem!

Puściła dziewczynę i wytarła brudną od krwi rękę o spodnie.

Wendy się zatoczyła i szeroko rozłożyła ręce, by złapać równowagę. Gdy się jej udało, wzięła się pod boki i wybuchnęła szczerym śmiechem. Dzwoneczek uniosła brew.

– Jestem dla ciebie tylko lisem, takim jak sto tysięcy innych, co? – śmiała się Wendy. – Czytałaś *Małego Księcia*, Dzwoneczku? W ogóle czytasz książki, pani groźna i w skórach?

Dzwoneczek nie odpowiedziała. Czekała.

– Zgadza się – kontynuowała dziewczyna. – Byłam dla niego jak wszystkie inne, ale to nic złego. On szukał tej, która zrozumie. I ja zrozumiałam.

– Gdzie on jest? – Stalówka wystąpił krok do przodu.

Wendy go zlekceważyła.

– Gdy pojęłam to, co ty wiedziałaś już dawno, Dzwoneczku, dałam mu nóż – ciągnęła. – Cień wymyślił to wszystko, by odwrócić uwagę Pana, by go zabawić, ale Piotruś się tym znudził. Od tej jednej chwili, gdy zobaczył Śmierć w oku kapitana Haka, wiedział już, że to jedyna przygoda, jakiej jeszcze pragnie. Ale też jedyna, jakiej się boi. Cień też się bał. O niego. Ale ja nie, bo zrozumiałam. Byłam, jestem tą Wendy, której szukał. Lisem jedynym spośród…

– Dobra, dobra, bo nam tu zaraz masturbacyjny poemat jebniesz na swoją cześć. – Kędzior poklepał się obrzynem w ramię. – Zabił się, tak? Piotruś się zab… Widzę, jak naciągasz tę procę, kutasie. Kątem oka cię tam widzę i radzę ci, odłóż kulkę.

Bliźniak z całą twarzą opuścił procę i usiadł obok pojękującego brata próbującego samodzielnie nastawić sobie nos. Pomógł mu, a wrzask rannego poniósł się echem po pustym obozie.

– Zabił się? – Dzwoneczek powtórzyła pytanie Kędziora.

Wendy splunęła krwią i znowu się roześmiała.

– A gdzie tam! – powiedziała. – Przez chwilę milczał, potem wziął nóż, ale go schował i odszedł. Potem snuł się po obozie, szukając zrozumienia i sympatii, z których tak drwił, które tak go rzekomo nudziły. Ale nikt nie patrzył mu w oczy. Nikt nie chciał z nim rozmawiać. W końcu więc sklął mnie i wszystkich, wsiadł na motocykl i odjechał. A za nim, jeden po drugim, pozostali, nazwijmy ich przebudzonymi. W końcu zostałam tylko ja i ci dwaj. Nie za bardzo mieliśmy dokąd się udać…

Kędzior podrapał się po głowie.

– Znaczy to koniec, tak? Całe to zamieszanie, akcja, człowiek czuje się jak w filmie, a tu dup i psss, uszło powietrze? To już wszystko, Dzwoneczku?

Wróżka wzruszyła ramionami.

– Wygląda na to…

– Czekaj, zaraz!

Stalówka tym razem stanął tak, by obie kobiety musiały na niego spojrzeć. Wyglądało to trochę groteskowo, jakby wpychał się na wizję. Hak zamiast dłoni tylko pogłębiał to wrażenie. Zwrócił się do Wendy:

– Żaden koniec, przecież uciekł, nie? A Cień? Czy Cień jest razem z nim!?

Zrobiła krok w bok i pokazała leżące na środku obozu zabrudzone płótno. Coś się pod nim wybrzuszało.

– Tyle zostało z Cienia – powiedziała. – Piotruś go zabił, a potem… Smakował trochę jak lukrecja.

– Bez jaj! – mruknął Kędzior, czym znowu rozbawił dziewczynę.

– No jaj to chyba nikt nie spróbował, ale nie sprawdzałam. W każdym razie Piotruś, gdziekolwiek jest, jest sam. Stracił tu wszystko i się poddał.

– Może i tak, ale na pewno nie na długo – stwierdził Stalówka. – Pozbiera się i znajdzie nowych Chłopców. On potrafi snuć wizje,

potrafi gromadzić wokół siebie ludzi, przekonać ich, że wszystko jest zabawą. Teraz jest słaby, ale jeśli go zostawimy, niedługo zapomni o wstydzie i porażce i wróci, prawda, Dzwoneczku?

Wróżka milczała przez dłuższą chwilę, jakby się zastanawiała. W końcu potrząsnęła głową.

– Nie sądzę, by zapomniał o wstydzie i porażce, Stalówka – stwierdziła wreszcie. – Dorośli nie zapominają o takich rzeczach. Ale to w sumie jeszcze gorzej, bo…

Nie dokończyła. Spojrzała na Wendy.

– Tych dwóch zabieram ze sobą, bo są moi. – Wskazała palcem w stronę wieżyczki. – A ty co zrobisz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Pewnie coś zjem. Potem się zobaczy…

Wróżka skinęła głową, jakby uważała to za właściwą odpowiedź. Następnie, nie odwracając się, zawołała:

– Kruszyna, odpalaj silnik!

– Nie – odparł grubas, który nagle wyrósł koło niej. – On już nie pojedzie.

Spojrzała mu w oczy, dostrzegła zieleń i z jej piersi wyrwało się cichutkie westchnienie zrozumienia.

– Masz tyle żyć. Nie mógłbyś jednego… – zaczęła, ale spojrzał na nią z politowaniem i słowa ugrzęzły jej w gardle.

W końcu, po dłuższej chwili udało jej się wykrztusić dwa:

– Dobranoc, Kruszyno.

– Usłyszał – odparł kot ustami grubasa.

A potem zwaliste cielsko runęło na ziemię u stóp szlochającej wróżki.

Zdezorientowani Milczek z Kędziorem rzucili się w stronę brata, ale powstrzymał ich Stalówka. Zmusił obu, by się zbliżyli i nachylili, a potem rwanym szeptem wytłumaczył, co się stało.

* * *

Załadowali ciało na ciężarówkę nie do końca pewni, co z nim zrobią. Wiedzieli jednak, że nie zostawią go tutaj, na tej urojonej ziemi. Potem sprawnie, choć bez satysfakcji, Milczek z Kędziorem skrępowali Bliźniaków i wrzucili ich na pakę obok zwłok.

Nie mówili za dużo, jakby zbyt wiele padło do tej pory słów. Jakby wszystko, co było do wytłumaczenia, już zostało wyjaśnione i została tylko smutna cisza, w której wrażenia obracały się w myśli, myśli w przemyślenia, a te – powoli – w zmianę.

Gdy ruszali, Wendy uniosła rękę i trzymała ją w górze długo po tym, jak zniknęli za bramą. Drugą dłonią bezwiednie pogładziła się po brzuchu.

Prowadził Kędzior. Obok w kabinie siedzieli jeszcze Dzwoneczek i Milczek. Stalówka sam zadecydował, że pójdzie na tył i przypilnuje Bliźniaków będących przecież mistrzami przestępczego fachu, więc kto wie, czy nie ucieczek.

Milczeli, pokonując kolejne metry Skrótu i patrząc na drogę, prostą, spękaną, szarą. Milczeli, gdy Skrót stał się niepozorną, zwyczajną drogą, równie spękaną i podziurawioną, ale już nie tak szeroką i prostą. Kolejne mijane samochody dawały im znać, że jadą bez włączonych świateł. Myk, myk, długie, krótkie. Jak mrugnięcia.

W końcu Kędzior przerwał ciszę.

– Nie pojadę z wami, Dzwoneczku – powiedział. – Znaczy w pościg za Piotrusiem.

– Wiem – odparła.

– Ja wiem, że trzeba go znaleźć i dobić, zgadzam się ze Stalówką i w ogóle. I, kurwa – przejechał ręką po twarzy – ja wiem, że to wszystko, Kędzierski, Kubuś, to sranie w banię i fałszywka, ale…

– Wiem, Kędzior.

Trzymał rękę na drążku zmiany biegów. Teraz ona położyła swoją na jego.

– Wiem, kochanie, i gdybyś sam na to nie wpadł… – Przez chwilę bez powodzenia szukała w głowie słów, jakimi mogłaby skończyć to zdanie. – Ale wpadłeś i nie mogę być bardziej dumna. Z ciebie też, Milczek.

Niemowa zamigał zdziwiony.

– No jak to z czego? Przecież już zadecydowałeś, że jeśli Kędzior powie coś takiego, to ty pojedziesz z nim, prawda?

Niepewnie skinął głową i wymigał kolejne pytanie.

Roześmiała się, wycierając przy tym łzy.

– No jak to skąd, głupku? Jestem przecież wróżką. Was dwóch łączy więź mocniejsza niż Bliźniaków i musicie… Zresztą, rany, rozmawiamy tu tak, jakbyśmy się rozstawali na zawsze, a przecież to nie tak. Ruszamy dobić skurwiela, póki się jeszcze nie pozbierał, a wtedy wrócimy i pomyślimy wspólnie, co robić dalej. W końcu babcią jeszcze nie byłam. To może być ciekawe doświadczenie.

– Tak, pod warunkiem, że jakoś sprzedam mojej starej, że moja matka ma lepsze cycki niż ona – mruknął Kędzior.

Dzwoneczek się zaśmiała.

– Jeżeli są obwisłe, to nasmarujemy je proszkiem i…

– …niech powiedzą życzenie – dokończył Kędzior i również wybuchnął śmiechem.

* * *

Pojechali do lecznicy, gdzie przez kilka kolejnych dni najpierw przywracali Bliźniakom pamięć, a potem pracowali nad nowo skradzionymi maszynami i przygotowywali je do podróży. Zwłaszcza Stalówka zawziął się, by skonstruować sobie taki motocykl, którym mógłby jeździć wygodnie i pewnie bez dłoni. Z początku pomagali mu w tym Kędzior i Milczek, ale ponieważ dręczony wyrzutami olbrzym zrobił się chwilowo nieznośnie spolegliwy i grzeczny, albinos kazał mu spierdalać i robotę kończył już tylko z niemową.

Kruszynę pochowali razem z Bruzdą. Wcześniej trzymali ich w dwóch skradzionych zamrażarkach, a pewnego dnia po prostu zakradli się do BarSakwy, położyli ich obu na stołach, zalali alkoholem i benzyną, po czym puścili całą budę z dymem. Paliło się aż miło.

Wtedy też ostatecznie powiedzieli sobie, co było do powiedzenia.

Nie było tego dużo. Nie ma na świecie wielu naprawdę ważnych słów…

* * *

– Dobra, brachu – odezwał się w końcu Kędzior, gdy już otarł oczy rękawem.

Żar płonącego baru piekł ich w karki, cztery motocykle właśnie zniknęły za zakrętem, a z oddali dobiegały już dźwięki strażackich syren.

– To teraz musimy ci znaleźć jakąś metę, bo ze mną i moją starą przecież mieszkać nie możesz.

Milczek wzruszył ramionami. A potem zamigał coś z drwiącym uśmiechem.

Kędzior prychnął.

– Chuja tam z Tinką, pierdolona niemoto! Była już ze mną, więc teraz nie dałaby ci, choćbyś się spuszczał brylantami.

Wsiedli do małej corsy, którą Milczek wypatrzył na parkingu i, jak stwierdził, nie mógł się oprzeć, gdy zobaczył w środku pudełko z płyty Billy'ego Joela. Teraz ją włączył i z głośników popłynęły dźwięki *New York State of Mind*.

– Musimy też pomyśleć nad jakimiś chatami dla reszty, zakręcić się dla nich za jakąś robotą. Może ogarniemy wspólnie jakiś sensowny biznes – westchnął Kędzior, gdy ruszyli. – Kurwa, stary… My i prawdziwe, nudne życie, pomyślałbyś kiedyś?

Milczek zamachał ręką, a Kędzior pokiwał głową.

– Święta racja, brachu. To dopiero największa z przygód.

EPILOG

Na skraju Miasteczka, tuż przy drodze wiodącej do zamkniętego niedawno Lunaparku rosło rozłożyste drzewo. Kilku zaradnych ojców zbudowało na nim domek i teraz okoliczne dzieciaki bawiły się tam a to w rycerzy, a to w Indian czy piratów.

Czasem przyglądał im się czarny kot, o tyle niezwykły i charakterystyczny, że z czerwonym krawatem zamiast obróżki. Bywały dni, gdy podchodził bliżej albo rozsiadał się na dachu domku i dostojnie, z namaszczeniem lizał się po jajkach. Gdy ktoś próbował go dotknąć, kot wystawiał długie, ostre pazury i to najwyraźniej wystarczało, bo nigdy nikogo nie podrapał.

Dzieci zastanawiały się czasem, do kogo należy, ale choć po latach dorosły, założyły rodziny i miały własne potomstwo – a części z nich ów kot towarzyszył przez większość życia czy to w snach, czy zupełnie na jawie – nigdy nie poznały tej jednej, prawdziwej odpowiedzi.

Kot był jak Cień.

Nie należał do nikogo.

OD AUTORA

Ten cykl nie był największą z moich dotychczasowych przygód, ale mnie samego zaskoczyło, jak wielu z nich dał początek.

Od chwili, gdy napisałem pierwsze zdanie pierwszego tomu, przejechałem autobusem przez Stany (potem wróciłem Krainy Opowieści jeszcze trzykrotnie), wydałem książeczkę dla dzieci, ruszyłem w dwie trasy Rock&Read, a Stephen King pochwalił moją kurtkę i litościwie mi jej nie zabrał, choć zaoferowałem.

Znalazłem swój port, a jakiś czas później musiałem go pożegnać. Zrobiłem wreszcie prawo jazdy, a niedługo później miałem bardzo poważny wypadek, z którego – w przeciwieństwie do samochodu – wyszedłem bez szwanku. Cóż, Droga.

Najważniejsze jednak, że od tamtej pory poznałem mnóstwo cudownych ludzi, bez których dziś nie wyobrażam sobie swojego życia. Może się Wam wydawać, że nie ma ich na kartach tej powieści, ale są. Ja ich widzę.

Zresztą co ja tam wiem, mnie czasem zdarza się widzieć rzeczy, których nie ma, roić sobie to i owo, a potem wierzyć samemu sobie. Teraz na przykład widzę Ciebie, Czytelniku. Twoja twarz się zmienia jak w klipie Michaela Jacksona, ale jesteś tu ze mną, na ostatnich stronach tej opowieści. Co sobie myślisz? Nie wiem, ale jest szansa, że kiedyś o tym pogadamy.

Na razie pozwól mi jeszcze tylko podziękować moim bliskim. Tym, którzy są ze mną od zawsze, i tym, których kocham dopiero od niedawna.

Pozwól wyrazić szczególną wdzięczność pierwowzorowi Bruzdy, Lambertowi, Tessce, Młodemu (dla którego ta książka jest najbardziej), Tomkowi, Iwo oraz Paulinie. (Jej nade wszystko za ciekawostkę o tym, że Kapitan Hak to po francusku Capitaine Crochet, co zaowocowało w tej książce konkretną sceną, którą

bardzo lubię). Dziękuję Igorowi Polkowskiemu za uwagi odnośnie do prawdziwych zlotów i bikerów. To nigdy nie miała być książka o prawdziwych klubach, ale cień wiarygodności powinien się tu i ówdzie czaić. A skoro o cieniu mowa, to jeżeli chcecie, by ta historia była jeszcze mroczniejsza i lepsza, posłuchajcie jej w audiobooku, bo to, co wyprawiają Sound Tropez i fenomenalny Jacek Rozenek, to poezja. Dzięki!

Na koniec najważniejsze. Cholernie wdzięczny jestem też całej ekipie z SQN, które to wydawnictwo – kto by pomyślał tych parę lat wstecz – stało się idealnym przyczółkiem do spełniania coraz odważniejszych literackich (i nie tylko) marzeń.

OK, skoro mam już to za sobą, możemy sobie pomilczeć. Bo podobno opowieść kończy się tam, gdzie autor nie wie, co jest dalej, i zdając sobie z tego sprawę, nie pieprzy bez sensu. Dla mnie ten punkt w tej historii jest – być może na razie – właśnie tutaj.

Z ważnych słów zostały mi już tylko dwa: DO ZOBACZENIA.

Jakub Ćwiek
Głuchołazy, 15 września 2015

Chłopcy 4

Największa z przygód

Copyright © Jakub Ćwiek 2015
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2015

Redakcja – Tomasz Hoga

Korekta – Joanna Mika

Skład i łamanie – Joanna Pelc

Przygotowanie okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Rysunek na okładce – Iwo Strzelecki

Wszystkie rysunki w książce – Rafał Szłapa

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2015
ISBN EPUB: 978-83-7924-499-7
ISBN MOBI: 978-83-7924-498-0

www.jakubcwiek.pl
www.facebook.com/JakubCwiekOfficial

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Raz
Dwa
Trzy
Cztery
Pięć
Sześć
Siedem
Osiem
Epilog
Od autora
Strona redakcyjna

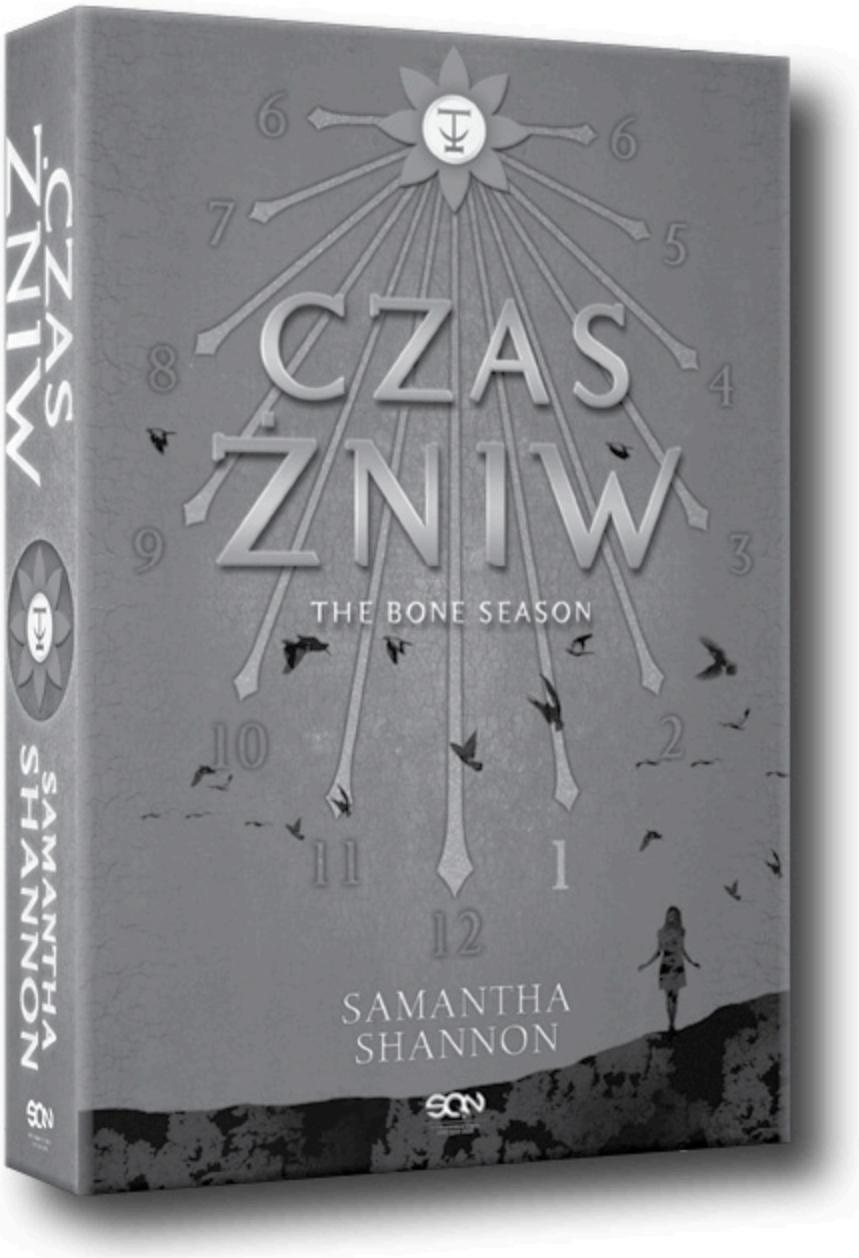
CZAS ŻNIW
SAMANTHA SHANNON
CZAS ŻNIW
THE BONE SEASON
SAMANTHA SHANNON

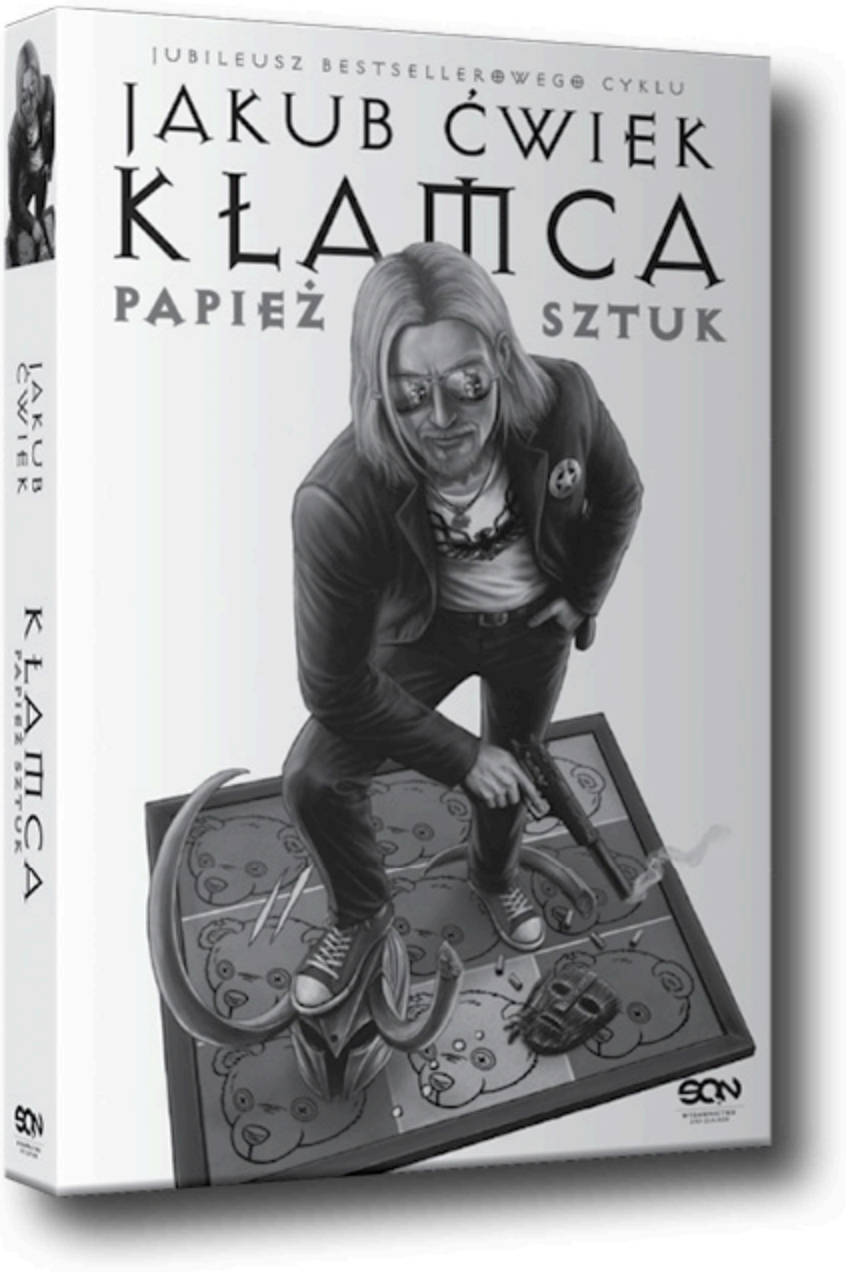
JUBILEUSZ BESTSELLEROWEGO CYKLU
JAKUB ĆWIEK
KŁAMCA
PAPIEŻ SZTUK
JAKUB ĆWIEK
KŁAMCA
PAPIEŻ SZTUK

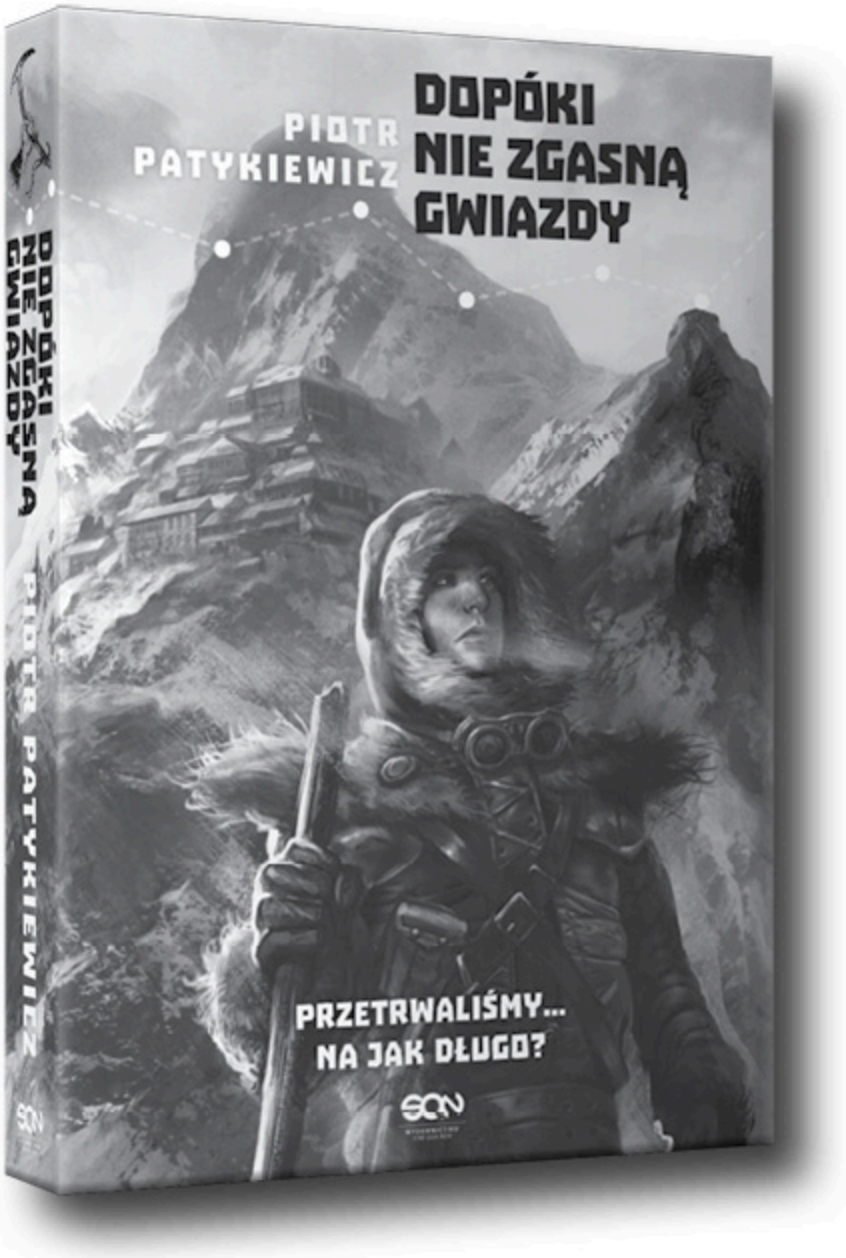
PIOTR PATYKIEWICZ
DOPÓKI NIE ZGASNĄ GWIAZDY
PRZETRWALIŚMY...
NA JAK DŁUGO?
SQN

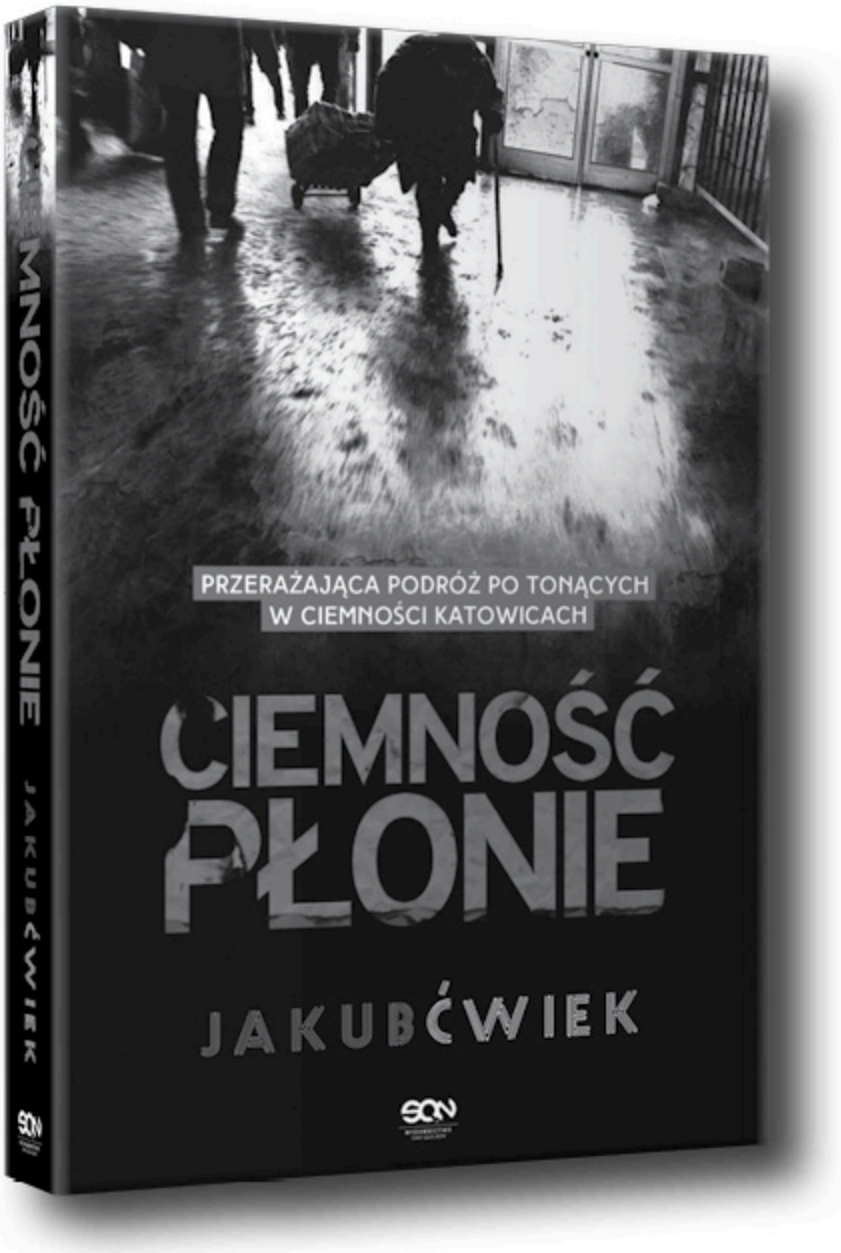
CIEMNOŚĆ PŁONIE
JAKUBĆWIEK
PRZERAŻAJĄCA PODRÓŻ PO TONĄCYCH
W CIEMNOŚCI KATOWICACH
CIEMNOŚĆ
PŁONIE
JAKUBĆWIEK

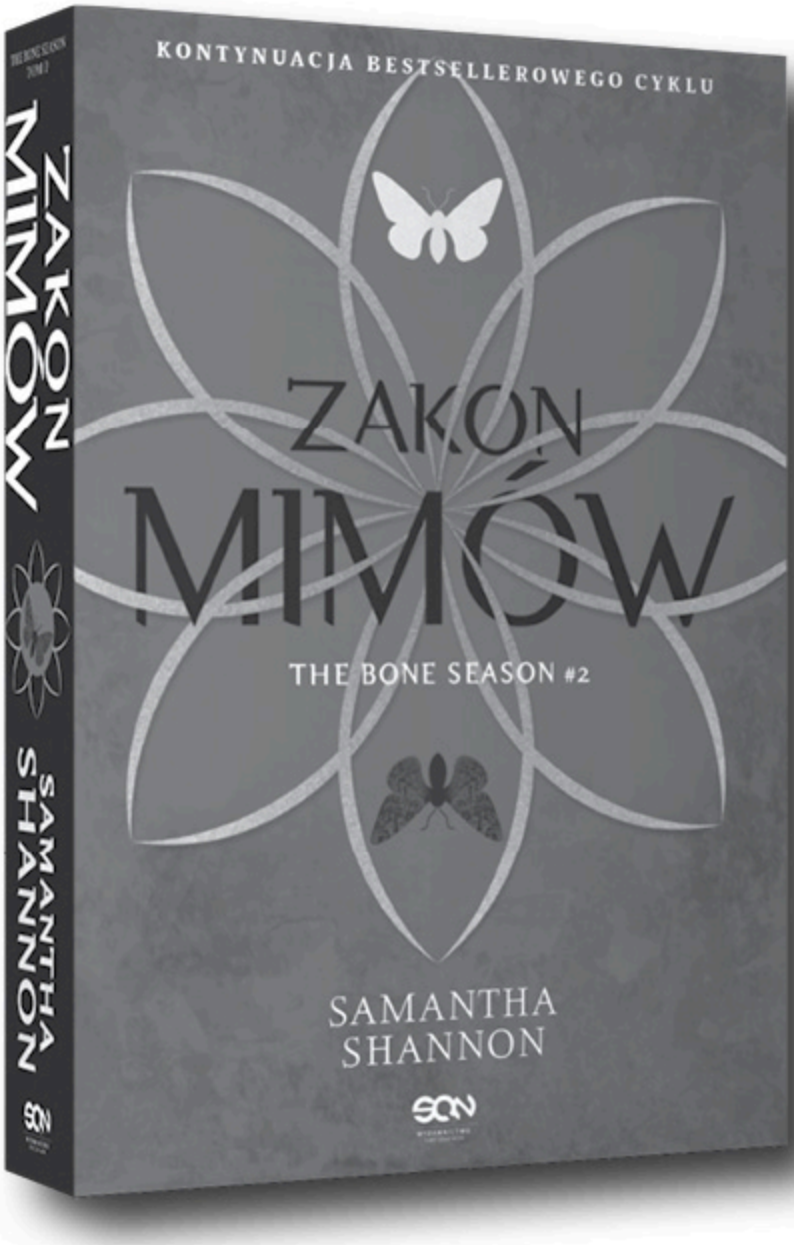
KONTYNUACJA BESTSELLEROWEGO CYKLU
ZAKON MIMÓW
THE BONE SEASON #2
SAMANTHA SHANNON
ZAKON MIMÓW
SAMANTHA SHANNON

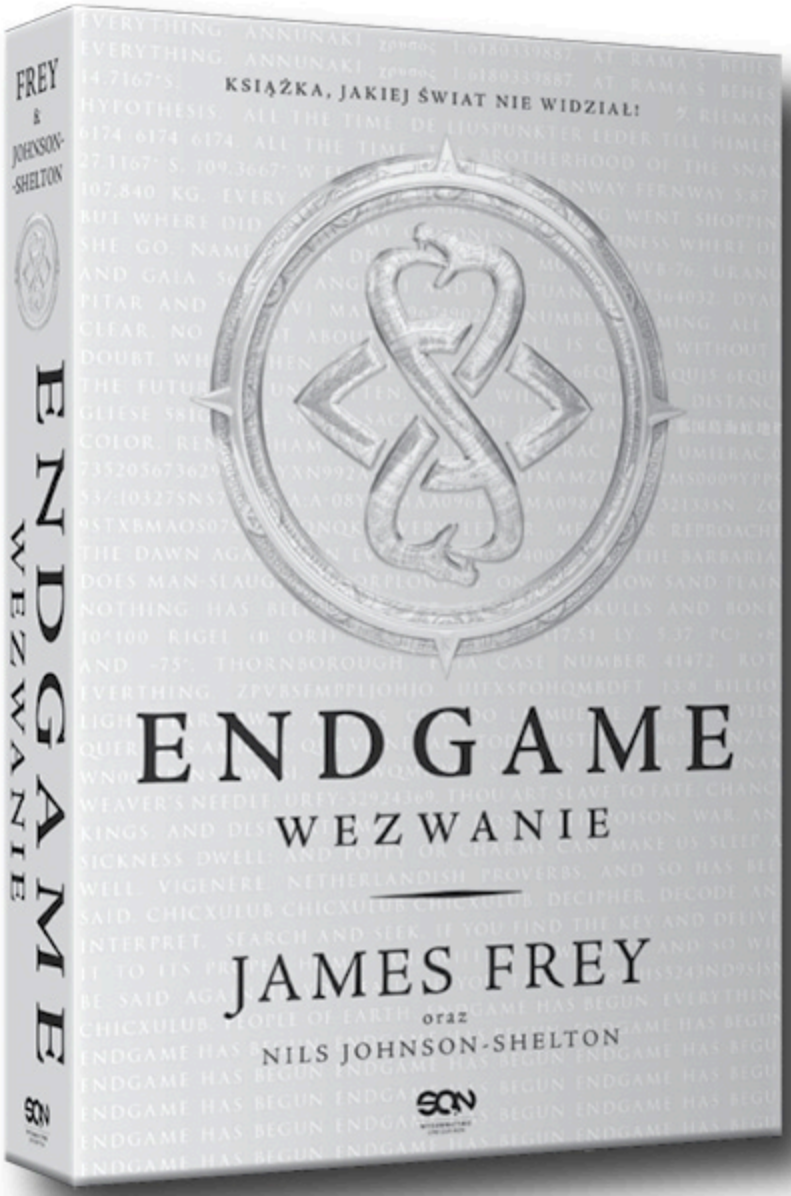
KSIĄŻKA, JAKIEJ ŚWIAT NIE WIDZIAŁ!
ENDGAME
WEZWANIE
JAMES FREY
oraz
NILS JOHNSON-SHELTON
FREY & JOHNSON-SHELTON
ENDGAME
WEZWANIE

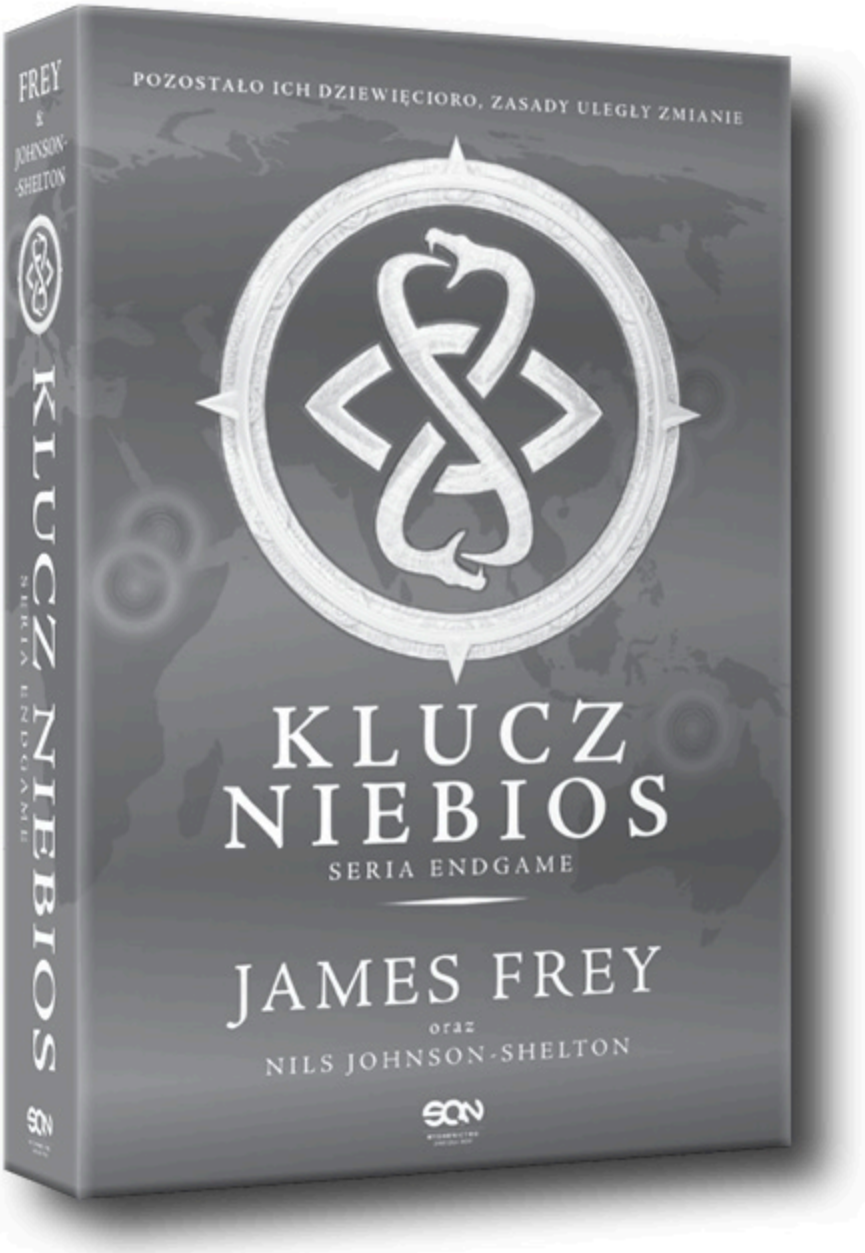
FREY
&
JOHNSON-
-SHELTON
KLUCZ NIEBIOS
SERIA ENDGAME
POZOSTAŁO ICH DZIEWIĘCIORO, ZASADY ULEGŁY ZMIANIE
KLUCZ
NIEBIOS
SERIA ENDGAME
JAMES FREY
oraz
NILS JOHNSON-SHELTON

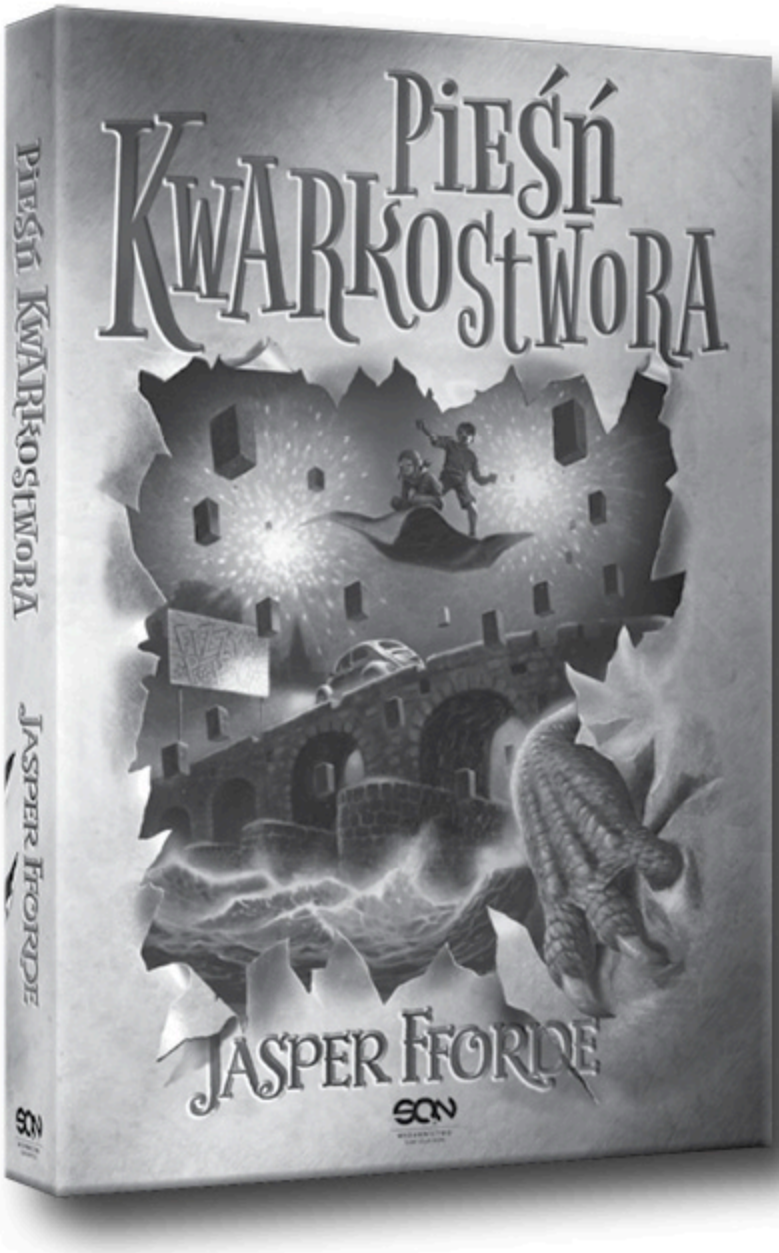
Pieśń Kwarkostwora
Jasper Fforde
Pieśń Kwarkostwora
Jasper Fforde

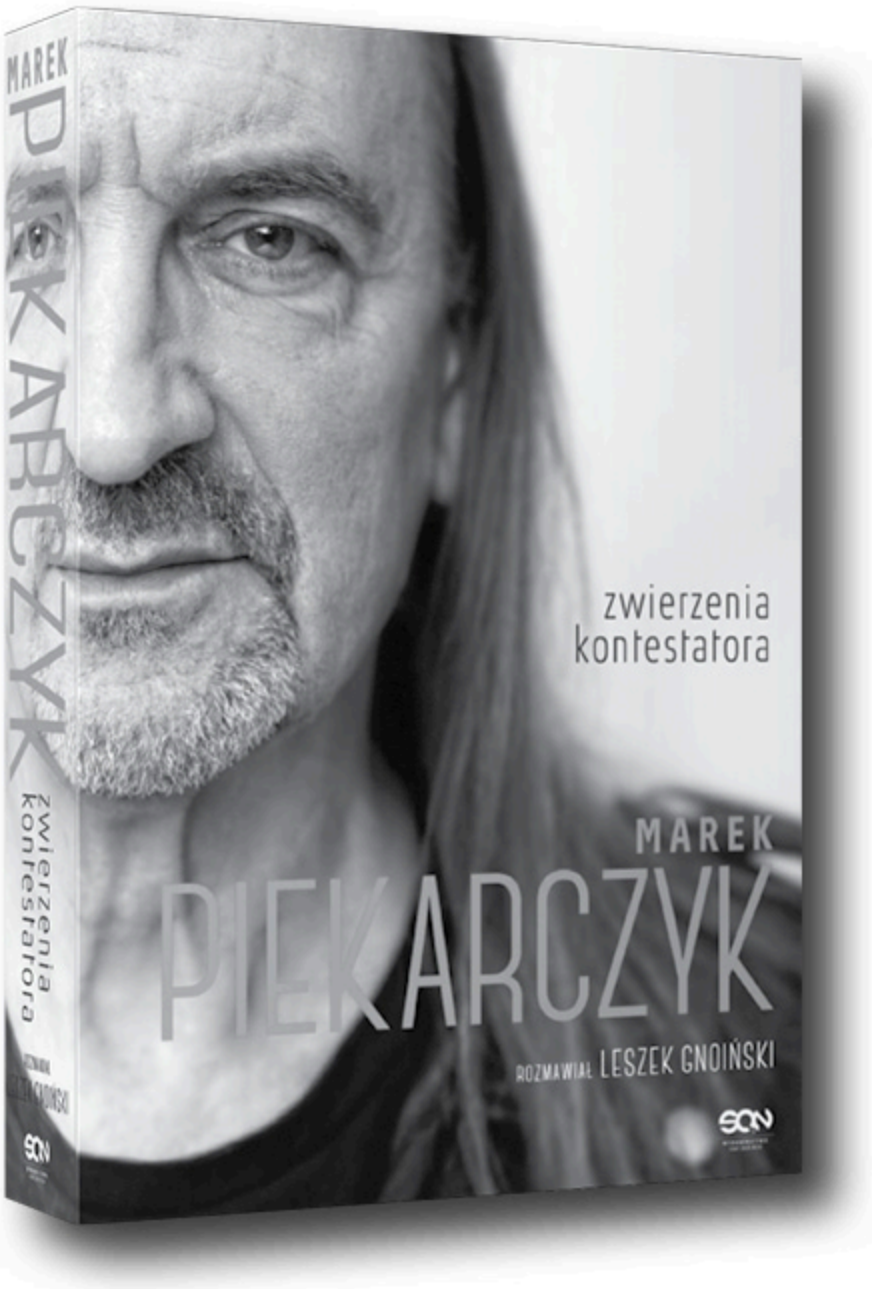
MAREK
PIEKARCZYK
zwierzenia kontestatora
MAREK
PIEKARCZYK
zwierzenia kontestatora
ROZMAWIAŁ LESZEK GNOIŃSKI

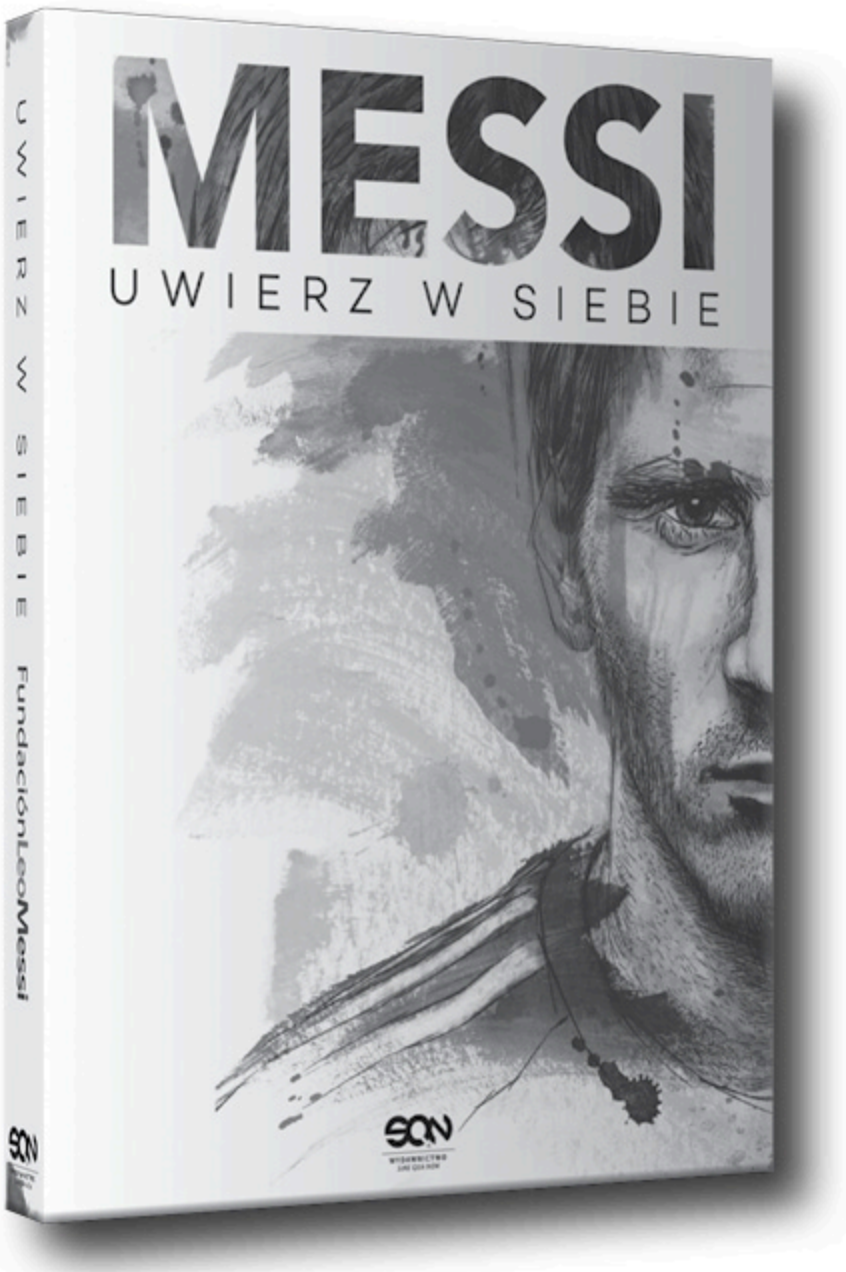
MESSI
UWIERZ W SIEBIE
UWIERZ W SIEBIE FundaciónLeoMessi

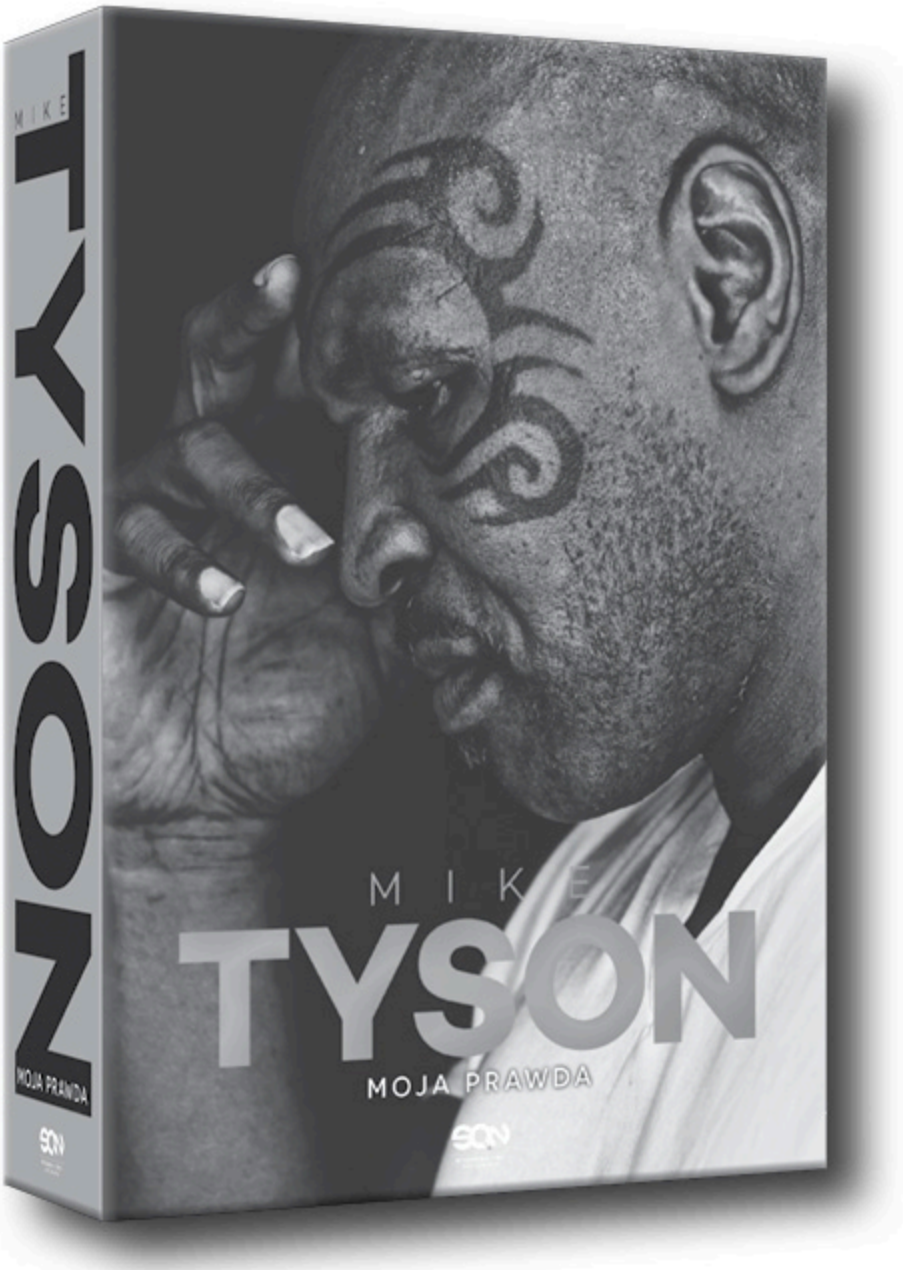
MIKE
TYSON
MOJA PRAWDA
MIKE
TYSON
MOJA PRAWDA

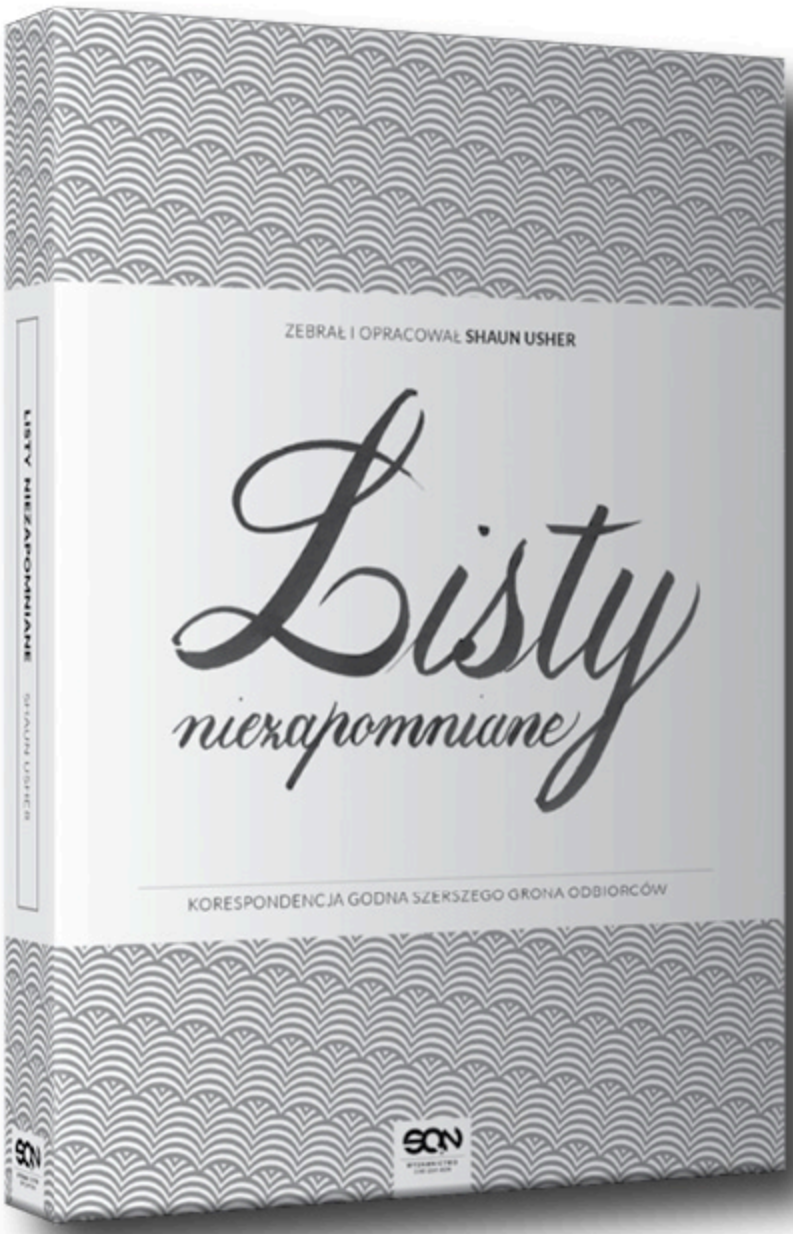
ZEBRAŁ I OPRACOWAŁ SHAUN USHER
Listy
niezapomniane
KORESPONDENCJA GODNA SZERSZEGO GRONA ODBIORCÓW
LISTY NIEZAPOMNIANE
SHAUN USHER

MICHAŁ KĘDZIORA
MR.VINTAGE
RZECZOWO O MODZIE MĘSKIEJ
PORADNIK
MICHAŁ KĘDZIORA
MR.VINTAGE
RZECZOWO O MODZIE MĘSKIEJ

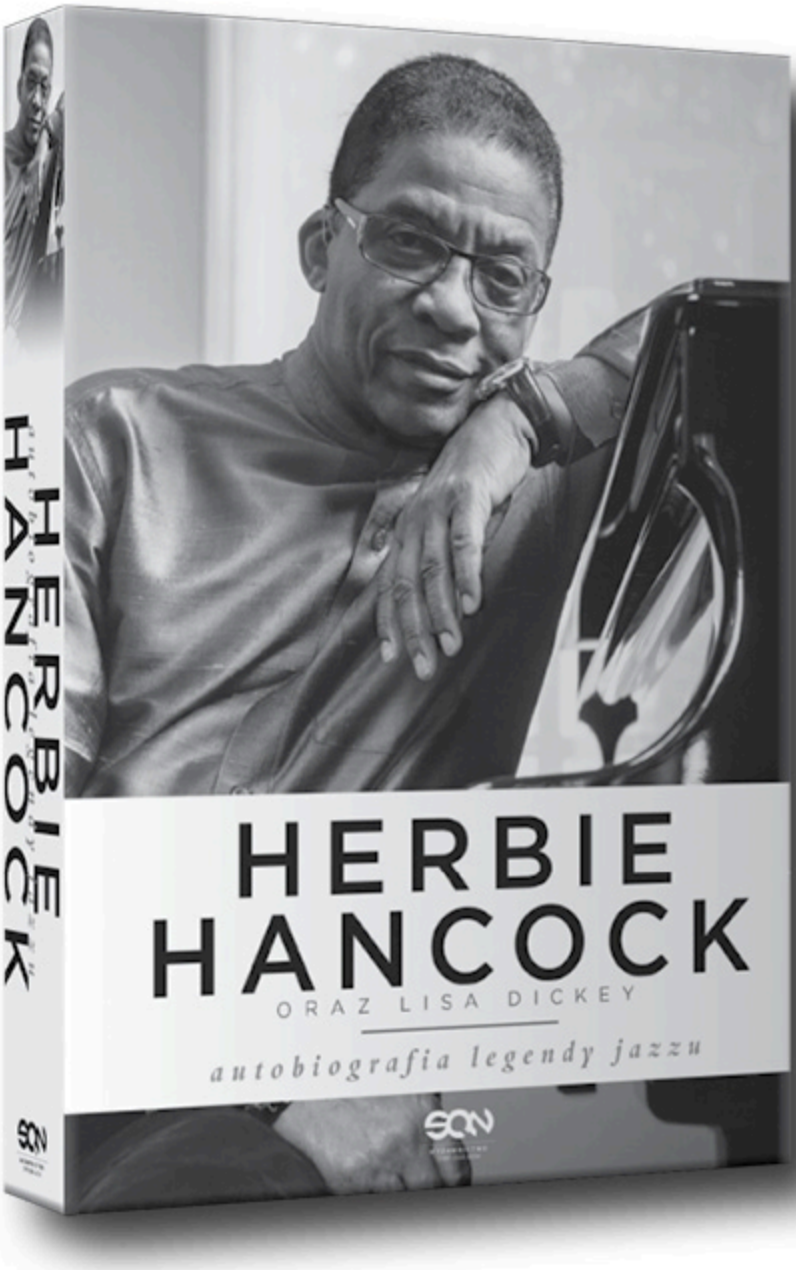
HERBIE HANCOCK
HERBIE HANCOCK
ORAZ LISA DICKEY
autobiografia legendy jazzu

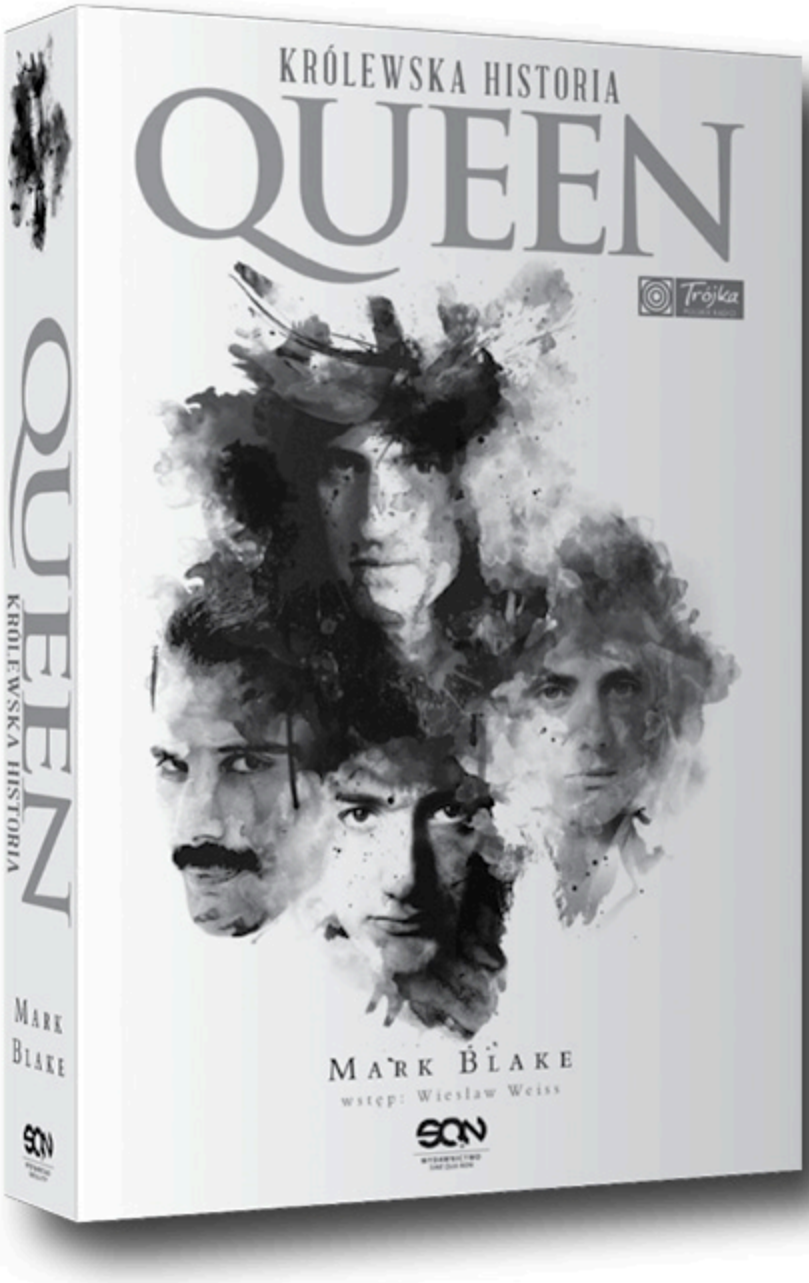
KRÓLEWSKA HISTORIA
QUEEN
Trójka
MARK BLAKE
wstęp: Wiesław Weiss
QUEEN
KRÓLEWSKA HISTORIA
MARK BLAKE

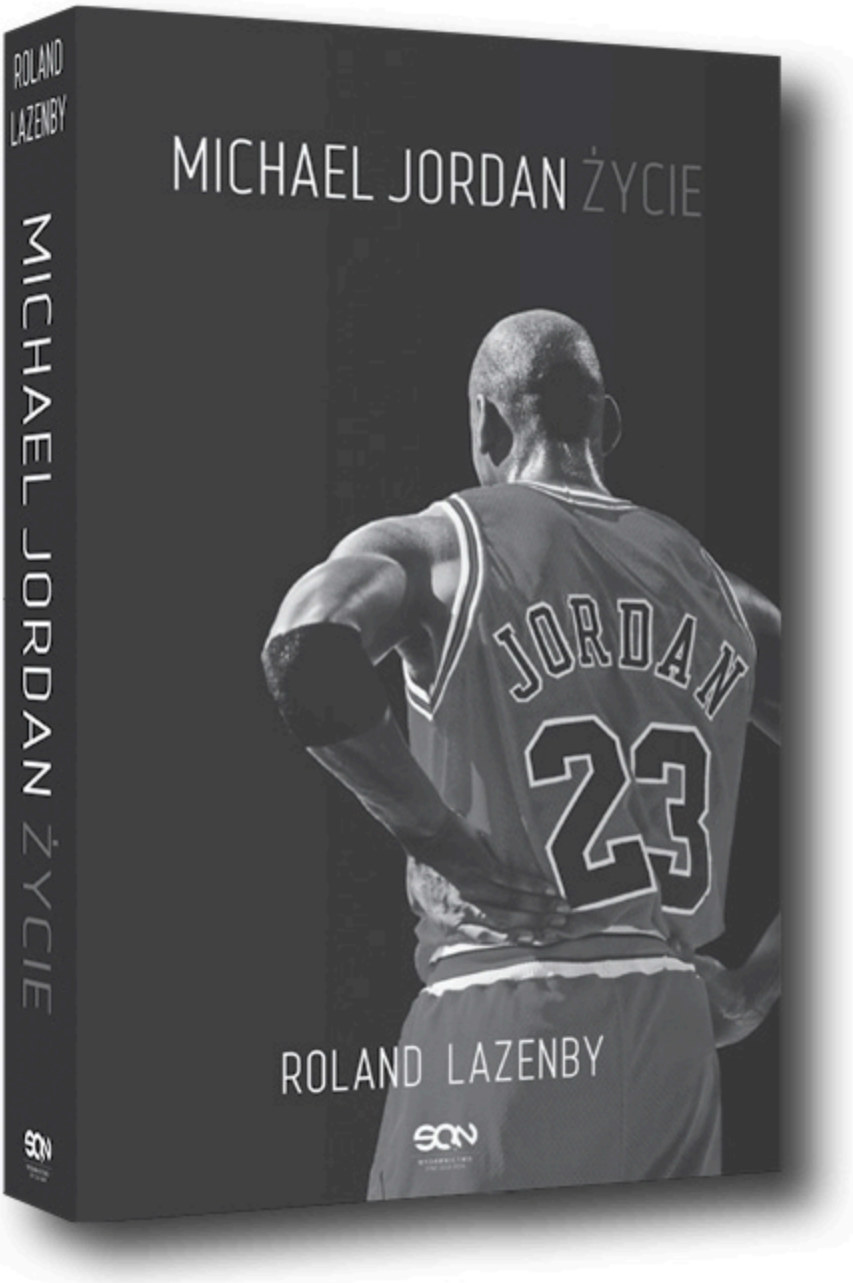
ROLAND LAZENBY
MICHAEL JORDAN ŻYCIE
MICHAEL JORDAN ŻYCIE
JORDAN
23
ROLAND LAZENBY

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:
/WydawnictwoSQN
/SQNPublishing
www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:
www.labotiga.pl

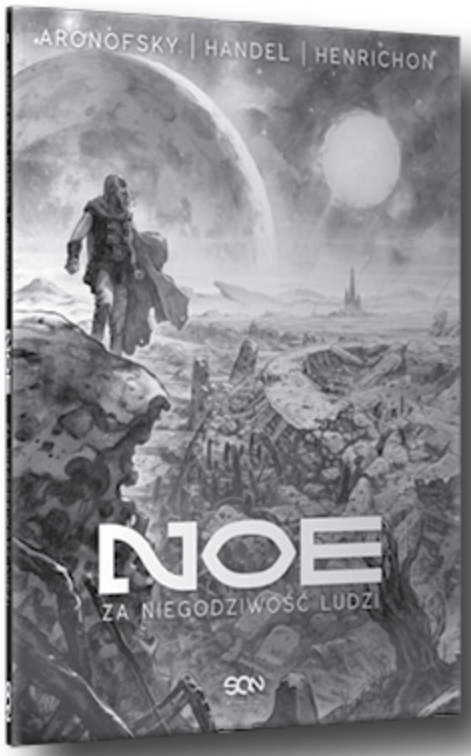
ARONOFSKY | HANDEL | HENRICHON
NOE
ZA NIEGODZIWOŚĆ LUDZI

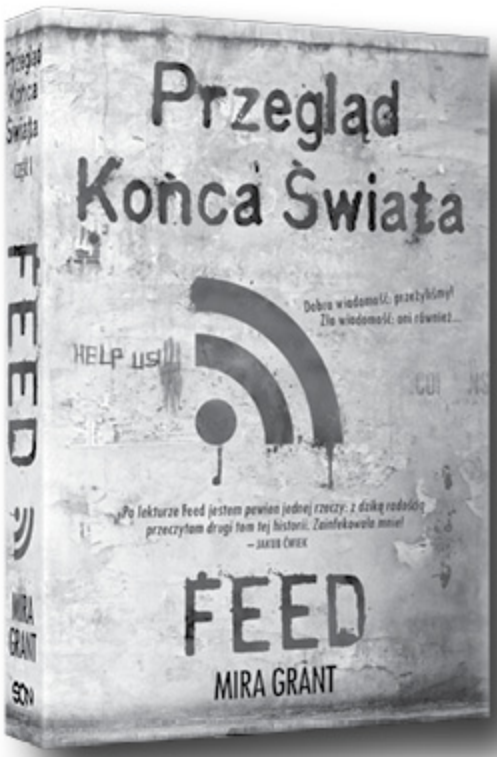
Przegląd Końca Świata
FEED
MIRA GRANT
Dobra wiadomość: przeżyliśmy!
Zła wiadomość: oni również...
„Po lekturze Feed jestem pewien jednej rzeczy: z dziką radością przeczytam drugi tom tej historii. Zainfekowała mnie!
— JAKUB ĆWIEK
FEED
MIRA GRANT

Vol. 1
THE X FILES
WIZERUNKI
Z ARCHIWUM
Oficjalna kontynuacja kultowego serialu
SQN

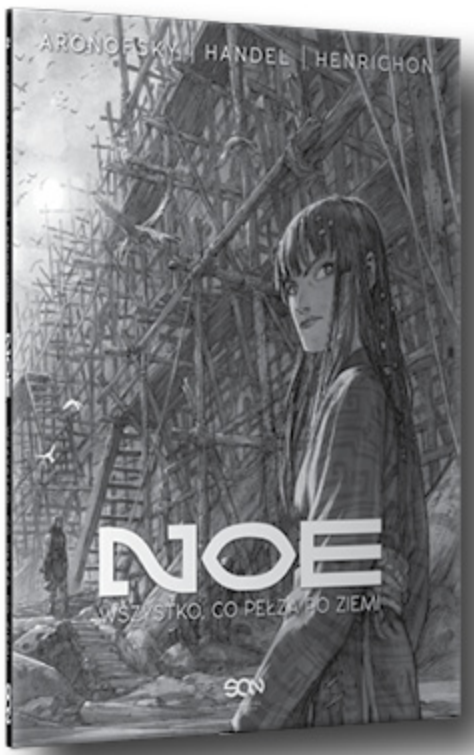
ARONOFSKY | HANDEL | HENRICHON
NOE
WSZYSTKO, CO PEŁZA PO ZIEMI
SQN

NIEZWYKŁA HISTORIA
MARVEL COMICS
SEAN HOWE

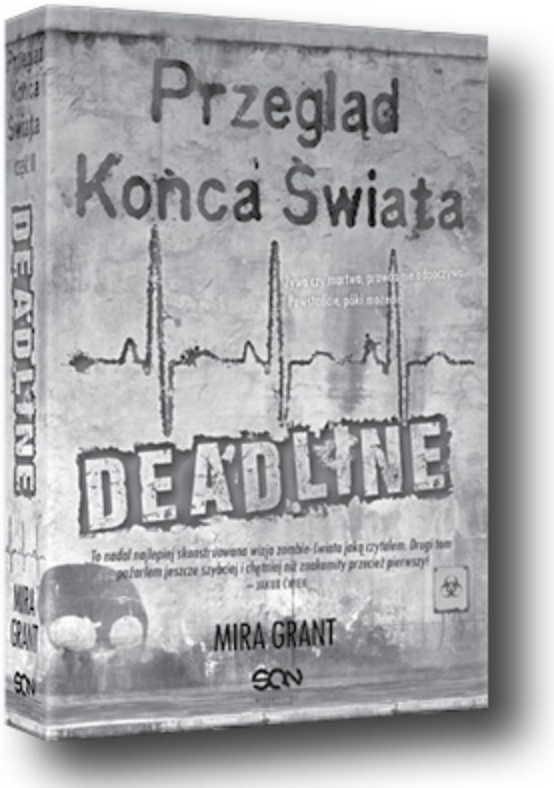
Przegląd Końca Świata
DEADLINE
MIRA GRANT

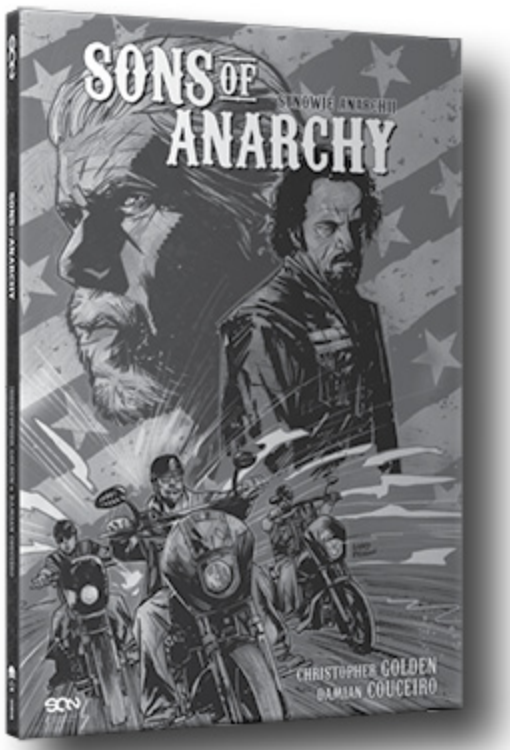
SONS OF ANARCHY
SYNOWIE ANARCHII
CHRISTOPHER GOLDEN
DAMIAN COUCEIRO

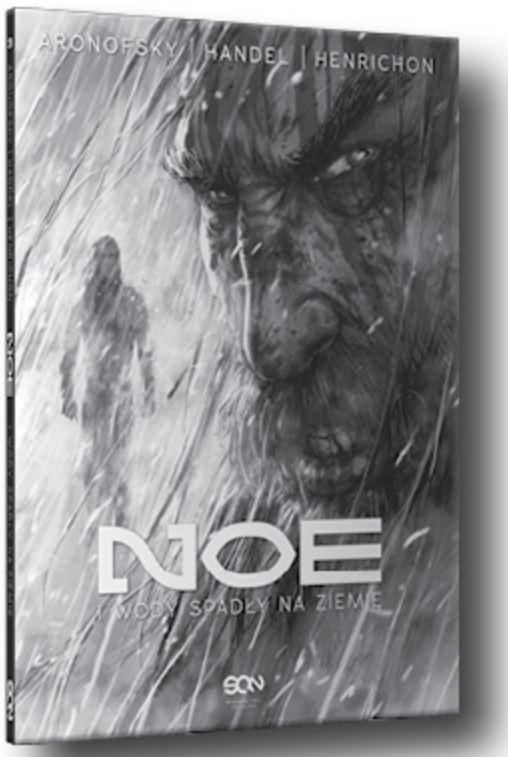
ARONOFSKY | HANDEL | HENRICHON
NOE
I MIODY SPADŁY NA ZIEMIĘ

vol. 2
ŻYWICIELE
THE X FILES
Z ARCHIWUM
Oficjalna kontynuacja kultowego serialu

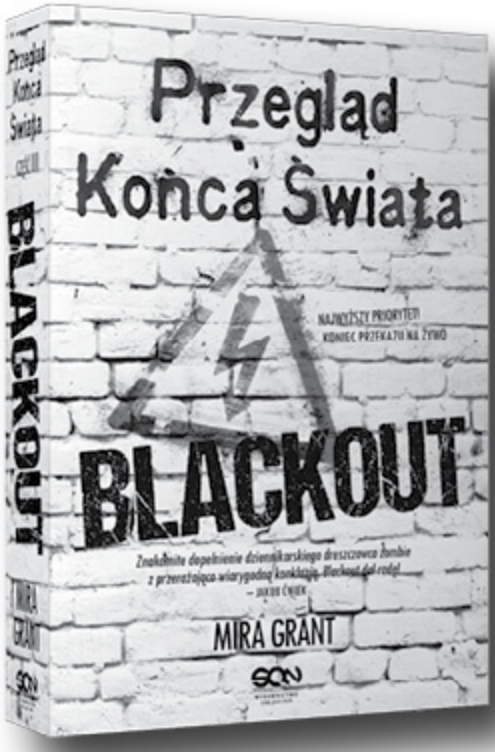
Przegląd Końca Świata
BLACKOUT
NAJWYŻSZY PRIORYTET!
KONIEC PRZEKAZU NA ŻYWO
BLACKOUT
MIRA GRANT

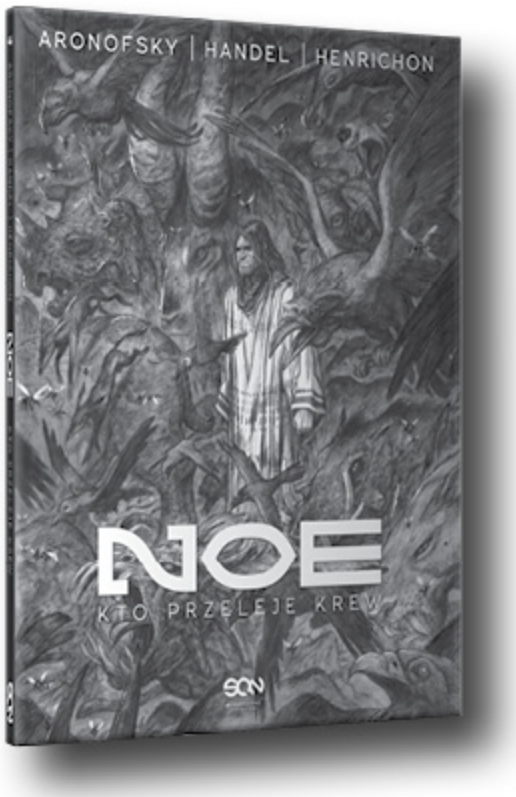
ARONOFSKY | HANDEL | HENRICHON
NOE
KTO PRZELEJE KREW